



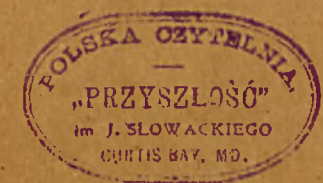
W 24.

24.

ANUNCYATA

Tcm < 2 >

Wygumi. Kaczkowski.



No 24. 43

SN
w zbiorów
STANLEYA NAMA



→ No 24 ←

ZYGMUNT KACZKOWSKI

WYBÓR PISM

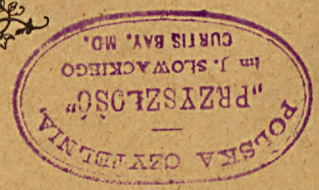
Z PRZEDMOWĄ IGN. CHRZANOWSKIEGO

TOM IX

ANUNCYATA

Część I.

Paul J. Sandalgi,
Z PORTRETEM AUTORA
Rector



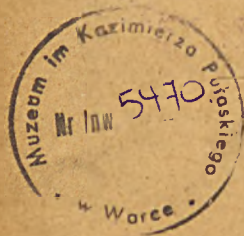
WARSZAWA

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA

KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

1900

KRAKÓW. — Druk W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.



24.

No 24.

Paul J. T. F. B.
Sandalgi,

Дозволено Цензурою.
Варшава 28 Июля 1898 года.

Działo się to w roku ^{Portego} którego niepodobna z historyczną ścisłością oznaczyć.

Scena ta bowiem, która w istocie rzeczy była niby związkiem a przez to i w powieści musiała się stać wstępem do zdarzeń następnych, zaczerpnięta jest z pamiętnikowych notatek takich, które jako dopełnienia, ręką późniejszą pisane, zapomniały o chronologii.

Jednak jak już na pierwszy rzut oka nietrudno nam się domyślić, że się to działo pod koniec panowania Augusta III, tak przy dokładniejszym rozpatrzeniu się możemy nawet powiedzieć z pewnością, że był to także koniec szóstego dziesiątka XVIII stulecia.

Powiedzmy tedy, trzymając się wysłowienia pamiętników i narratorów ówczesnych, że się to działo *circa annum Domini 1756*.

A działo się to w województwie Sieradzkim, w zamku kasztelańskim, nad Wartą.

Zamek to był obszerny, wyniosły i piękny, a jak powiadano naówczas, był on srodze zmurowany z ciosowego kamienia, wspaniały ku mieszkaniu, ku obronie stateczny. Składał on się, nie licząc w to innych pomniejszych dodatków i głębokich podziemiów, bez których się nie umiała obchodzić architektura ówczesna w Polsce, głównie z dwóch skrzydeł i środkowego gmachu, czyli korpusu. Obadwa skrzydła, z których północne kończyło się wielką basztą

czworograniastą z galeryą, zawieszoną już prawie nad szumiącymi falami rzeki, dochodziły bokami swymi aż do samego brzegu Warty, który równie srodcze obmurowany ciosem, czynił przystęp do zamku jeszcze trudniejszym z tej strony, niż z każdej innej. Ponieważ zaś środkowy gmach zamku, łączący obadwa skrzydła ze sobą, był odsuniony od brzegu rzeki o kilkadziesiąt kroków: więc tym sposobem, w samym wnętrzu zamku a przecież na samym brzegu Warty, znajdował się mały podłużno-czworograniasty dziedzińczyk, który dawniej nie miał i nie mógł mieć żadnego znaczenia, lecz późniejszymi czasy, przemyślną ręką ogrodnika włocha zamieniony w bardzo misternie wypracowany ogródek, nabrał nietylko znaczenia, ale nawet i osobliwszej sławy na całe województwo Sieradzkie. Pod imieniem wirydarza zamkowego uchodził on bowiem istotnie pod owe czasy za taką osobliwość, jakiej podobnej nie znaleziono nigdzie, a kiedy wszyscy się nad nim unosili w pochwałach, kiedy w mitologiczne porównania bogata szlachta nazywała go ósmym cudem świata lub porównywała do ogrodów Semiramidy, kto tylko z obcych był w zamku, za najpierwszą rzecz sobie to miał, aby obaczyć ów tak sławny wirydarz. Każdemu gościowi chętnie zadość czyniący kasztelan, zwykle sam go wtedy prowadził na środkową galeryę zamku, która się nad tem ogródkiem na ośmiu kolosalnych kolumnach zwieszała, a pokazując mu to aredyzielo, mówił z zwykłą sobie powagą, chociaż nie bez pewnej wewnętrznej uciechy:

— To mój Żardzinier dla mojej jedynaczki założył i oddał go jej na jej imieniny przed trzema laty. Niemasz w tem nie osobliwszego, boć są rzeczy osobliwsze na świecie: nie gdybyś waś wiedział, co tu za wertep był przedtem, tobyś się dopiero zadiwił. Toż to niegdy tu stały armaty, z których'em sam stąd strzelał do Szwedów za Wartę, jako to pewno pamiętają do dziś dnia.

Wszakże goś, nie zważając zupełnie na to, co opowiadał kasztelan, przypatrywał się zwykle z zadiwiającą ciekawością temu misternemu utworowi zamorskiej sztuki, a kiedy go we wszystkich najdrobniejszych szczegółach do-

kumentnie oglądał, lubo mu po kilkakroć powiadano, że ogrodnik jest włochem, każdy przecież przy śmiechu rubasznym, zawołał w końcu:

— Mój dobrodzieju! czegoż to jeszcze nie wymyślą te Niemcy.

Pomimo to wszystko, jednak nie miał ten ogródek nie w sobie takiego, coby dziś jeszcze mogło kogoś wprawić w zdziwienie. Był to bowiem, jak się tego już każdy domyślił, bardzo mały, czworograniasty płateczek ziemi, który otoczony z trzech stron piętrowymi murami zamku, z czwartej tylko był zupełnie otwarty, lecz tutaj, będąc wysoko wyniesiony nad stromy bieg rzeki, dawał widok bardzo obszerny i piękny, obejmujący niemal całą tę ziemię, tak malowniczą i piękną, która się rozciąga między Pilicą i Wartą. Z tej też strony ogradzały go wielkie żelazne sztachety ze złożonymi grotami, które mieszcząc w sobie takąż samą ze sztachet złożoną bramę, unosiły nad nią olbrzymi herb kasztelana, z koroną i armaturą, na obiedwie strony wypukły i wyzłocony. Była też to podług dzisiejszych naszych uczuć i wyobrażeń, najpiękniejsza strona tego ogródka, nie dla herbu, korony i armatury, co wszystko razem już dzisiaj tylko w archeologii i heraldyce ma swoje miejsce, ale dla tego wspaniałego widoku, który podnosząc człowieka nad wielką przestrzeń tak uroczonego kraju, zwykł równie wysoko podnosić jego myśli i serce. Nie uważano wszakże tego widoku wtenczas za najpiękniejszą stronę ogródka. Bo lubo wówczas człowiek był tak samo człowiekiem jak dzisiaj, i co ludzkie nie było mu obce, i w jego sercu wrzały może nieraz daleko silniejsze, potężniejsze uczucia: rzeczą jest jednak pewną, że te uczucia w bardzo wielu kierunkach nie były jeszcze tak rozwinięte jak dzisiaj, a pod niektórymi względami nawet spały zupełnie. Tak spało w nich także owo dziś tak głębokie i tak wykształcone uczucie piękności natury, które nas wzbogaciło tylą nieocenionych skarbów i poczynającemu się już nudzić na ziemi, ludzkemu sercu na tejsze samej ziemi tak nowe, tak czarodziejskie podkrywało światy; to uczucie spało jeszcze w ówczesnych

ludziach, a chociaż na widok uroczych krain poprzerynanych niebieskimi wstęgami rzek i strumieni, na widok skał niebotycznych albo gór wzniosłych, ukoronowanych wieńcami lasów, i temu i owemu nieraz się mimowolnie z piersi wydarło westchnienie, nie przychodziło jednak nikomu na myśl, zastanowić się nad istotnem źródłem tego westchnienia — i tak najpiękniejsze uczucia przemijały bez samopoznania i bez dalszego rozwoju. Stąd poszło, że i w owym ogródku prawie nikt nie zwracał uwagi na ów widok przepyszny, rozścielający się za bramą i herbem, lecz każdy, dobiegłszy oczyma co najdalej do herbu i pochwaliwszy zaenność tego klejnotu, zwracał czempredziej uwagę na owe drobnostkowe misterstwa, których był pełen ogródek. A było tam tych misterstw zaprawdę niemało: ogrodnik bowiem, stwarzając plan tego dzieła, zamierzył sobie ten płatek ziemi, za pomocą różnych zieleni i kwiatów, zamienić w malowany kobieriec, pełen owych grymaśnych floresów i arabesków, jakimi się zalecają wykwintniejsze tkaniny wschodu a które i my nieraz podziwiamy — w kobiercach. Z samych więc klombów i rabatów, utkanych z barwinku, bukszpanu i różnie zakwitających powojów, obwiódł on cały ogródek bardzo misternym szlakiem, który w samej istocie mógł się równać z szlakami najpyszniejszych kobierców. Dalej po całym ogródku porozrzucał klomby w kształcie liści palmowych a na nich posadzał bukiety najrozmaitszych kwiatów, które lubo podług wschodniego gustu, przedstawiały niby bezładną mieszaninę wszystkich najjaskrawszych barw w świecie, odpowiadały przecież jaknajściślej pewnemu rysunkowi, który okrywał sobą cały ogródek. Na tym wszakże rysunku, jak to bywa zwykle we wschodnich kobiercach, rozciągał się jeszcze rysunek drugi, malowidło jeszcze więcej uwydatnione, które stworzone zostało tym sposobem, że cały ogródek podzielony był na regularne kwatery, z których z każdej wyrastał bujny krzak róży, to czerwonej, to białej, wedle ścisłego porządku. A wszystko to razem było pomyślane z tak sumienną dokładnością, a wykonane z taką pracowitością aż do najmniejszych drobno-

stek, jaką dzisiaj widzieć możemy tylko w rzeźbach średnich wieków i jaką, na ówczesnej sztuce wykształceni artyści i rzemieślnicy, osłaniając podobno najczęściej tem drobnostkowem ministerstwem brak myśli twórczej, odznaczyli się we wszystkich swoich robotach.

Jednakże to, cośmy powiedzieli dotychczas o tym ogródku, nie jest jeszcze wszystkim co się w nim zawierało. Ogrodnikowi bowiem, wiernemu wyobrazicielowi ówczesnych pojęć o piękności i sztuce, nie dosyć było utworzyć dzieło, złożone jak mozaika z najmisterniejszych drobnostek: trzeba mu było jeszcze, bez czego nikt się nie potrafił obejść natenczas, upstrzyć to dzieło jakimś dodatkiem, ukoronować je jakimś osobliwszym konceptem. W tym celu wykroił on w samym środku ogródka cyfrę młodzietkiej kasztelanki, dwie rzymskie litery A. M., i obwiódłszy je najstaranniej regularną zielenią, okrył środkiem gęstymi, niebiesko kwitnącymi kwiatkami. Wszakże i to jeszcze nie dosyć: nad tą cyfrą bowiem u góry postawił on graniasty postument kamienny a na nim umieścił średniej wielkości spizowy posążek anioła. Posążek ten miał swoją historję. Kiedy bowiem kasztelan — nie będąc jeszcze ani Spicimirskim a tem mniej jeszcze Sieradzkim kasztelanem, na który to stopień dopiero niedawno postąpił, tylko rotmistrem kawaleryi narodowej, wodzącym pułki królewskie przeciwko Szwedom, Tatarom i zbuntowanym kozakom — kiedy więc wówczas, a mianowicie w r. 1712, odniósł nad tymiż tatarami znaczne zwycięztwo i między innem rupieciem wojennem zabrał im dwie spizowe armatki; król August II, prócz innych nagród za wierne służby i poświęcenia, na pamiątkę tego zwycięztwa darował mu te armatki.

Ale kasztelan miał na swym zamku dostatek armat i bez wątpienia daleko lepszych, niżeli wszystkie, jakimi się można było obłowić na ówczesnych tatarach: już więc z tego powodu, że mu ta broń była niepotrzebna, już dlatego, ażeby swoim potomkom zostawić długotrwałą tego zaszczytu pamiątkę, rozkazał z nich odlać takiego samego anioła, jaki się między innymi posągami, trącającymi po naj-

większej części pogaństwem, znajdował w zamku królewskim. Był też to anioł, nie tylko przyzwoity zupełnie i uformowany dość pięknie, ale mógł mieć nawet symboliczne, odnośne do zwycięstwa, znaczenie. Stał on bowiem na jednej nodze, miał skrzydła rozpostarte w powietrzu i był cały w przedzie pochylony, właśnie jak gdyby się zrywał do lotu, mając zaś ręce obie dwie wyciągnięte przed sobą, trzymał w nich wieniec duży, upleciony z liści wawrzynu i dębu. Jak na takiego małego anioła był ten wieniec nawet trochę za wielki, co też uważano niejednokrotnie; ale ponieważ ten wieniec wyobrażał nagrodę za zwycięstwo nad tatarami a stąd nie mógł być nigdy zanadto wielkim, więc poświęcano chętnie artystyczną prawdę uczuciom obywatelskim, i nikt nigdy o tem nie wspomniał, chociaż niejednemu nawet dowcipnie się stąd nastroczały uwagi. Jednakże sam kasztelan musiał widzieć w tym posągu coś niezręcznego, stawiał go bowiem po różnych miejscach a nigdzie go nie zostawił na zawsze, włócząc go ciągle jak pokutnika po całym zamku. Widząc to kasztelańscy dworzanie, doradzili raz swemu panu, ażeby nad swoim łóżem kazał wybić framugę w murze i tam owego anioła umieścić: tym sposobem wieniec laurowy, odebrany w nagrodę zwycięstwa, unosiłby się właśnie nad głową zwycięzcy; jednakże skromny w pożądlivosti nagród doczesnych Kasztelan, nie tylko tę pokusę prawie z gniewem odepchnął, ale jeszcze od tego czasu i dla tego niewinnego posągu tak zobojeźniał, że go kazał wynieść do biblioteki i muzeum, i tam go zamknąć na wieczne czasy. Szukający wszakże właśnie czegoś takiego ogrodnik, wrędcę go w tem schowaniu wypatrzył, a znalazłszy go jakby umyślnie do swego zamiaru zrobionym, postawił na przygotowanym już postumencie w ogródku. Postawił go zaś tak umiejętnie i zręcznie, że ów wieniec laurowy unosił się właśnie w samym środku nad cyfrą kasztelanki — a ponieważ ten wieniec był, jak to już wiemy, ze spiżu i przez to nie mógł być ani do cyfry kwiecistej stosownym, ani nawet pomiędzy tyłą jaskrawości dostatecznie widocznym, więc go zwykle oplatał w kwiaty, a czyniąc

go tym sposobem i większym, i więcej w oczy uderzającym, wtedy dopiero osiągał w zupełności zamierzone na widzu wrażenie. Wszystko to wszakże, tak misterne i skomplikowane desenie ogródka, jak jego cyfra środkowa z wieńcem, jak nareszcie i cały ogródek, nie przedstawiało się widzowi w całej swojej świetności z ogródka, tylko z owej zamkowej galeryi, która unosiła się nad nim: chcąc też kasztelan sprawić przyjemność swym gościom, tam ich zwykle prowadził i pokazując im stamtąd i całość i wszystkie szczegóły owe osobliwe wirydarza, który się wtedy istotnie jakby jakiś ogromny i przepyszny kobierzec pod ich stopami rozścielał, podawał im sposobność do unoszenia się w pochwałach nad tem arcydziełem ogrodniczego kunsztu, które używało tak głośnej sławy swojego czasu.

Takim był tedy ów zamkowy ogródek, przez który młodzianka córka kasztelana, jako jego wyłączna pani, weszła niejako już wtedy w świat tego życia, którego odgłos ściany domowe przerosi — a przez który i my także wchodzić musimy w ów węzeł zdarzeń, który, lubo związany w ciasnym kole rodzinem, rozprzeździł się jednak potem i powplatał się w tak ważne sprawy dziejowe, że się stał sam, jeśli nie częścią narodowej historii, to przynajmniej małym światłem, oświetlającym część tej tajemniczej świątyni.

Owo więc w tym ogródku, na jednym dniu letnim, o południowej godzinie, znajdowało się dwoje dzieci, różnych od siebie i płcią i wiekiem, i podobno nawet tem wszystkim, w czem nawykli szukać między sobą różnicy próżni mieszkańce tej ziemi.

Była to więc dziewczynka i chłopiec.

Dziewczynka mogła mieć co najwięcej lat dziesięć i była lśniącą, prawie uderzającą urody. Po jej białej jak lilia i delikatnej jak listek liliowy twarzy, widać było na pierwszy rzut oka, że było to dziecko nadzwyczajnie pieszczone i najstaranniej od wszelkich wpływów szkodliwych chowane; wszakże jej duże, ciemnego koloru oczy, patrzyły śmiało i zdawały się jakby dopiero rozpatrywać po ziemi. Patrząc na nią, mimowolnie myśl przychodziła, jak

gdyby dziecię to dopiero co zstąpiło z jakichś krain dalekich i innych, i jakby mu tutaj wszystko jeszcze zdawało się niewidzianem i nowem. Był nawet jakiś delikatny cień smutku w jej twarzy, w jej oczach jakiś wyraz pół-anielskiej tęsknoty. Dziewczynka ta zresztą była ubrana w habit klasztorny, z paciorkami i krzyżykiem u pasa, w którymto strój w owe czasy bardzo często pobożni rodzice ubierali te dzieci, które albo były słabowite, albo zawczasu do zakonnego życia przeznaczone. Jakoż nie powinno to było zadziwiać. A przecież na ten widok jakiś dziwne się obudzało uczucie. Patrząc bowiem na tę cudowną twarzyczkę, idącą w świeżości w zawody z najpiękniejszymi kwiatami a unoszącą się nad ciemnym i ponurym habitem, zdawało się widzieć kwiat żywy, położony na trumnie. Dziecięca ta zakonnica wszakże była już oswojona z tym strojem i nie tylko że nie widziała w nim nie stosownego dla siebie, ale nawet nauczyła się jakiejś tak osobliwej powagi, która im więcej była odpowiednią jej poważnemu strojowi, tem większe stanowiła przeciwieństwo z jej młodocianą postacią i twarzą. Jakoż z tą cokolwiek nienaturalną powagą przechodziła się ona teraz pomiędzy drobnymi klombami swego ogródka i urywając tu i ówdzie na przód upatrywane kwiatki, wila z nich wianek, który w tej chwili miała już prawie na ukończeniu.

Inaczej jednak wyglądał jej ogródkowy towarzysz, był on bowiem przedewszystkiem o wiele starszy. Ile mógł lat mieć, trudno z pewnością powiedzieć, bo, jak to było widać po nim na pierwszy rzut oka, trzymał się do niedawna nabito i dopiero teraz rosnać zaczynał. Z tego powodu także miał i twarz teraz jeszcze potężnie tłustą i tak mocno rumianą, jak gdyby tylko co miała krew z niej wytrysnąć. Przy tem wszystkim miał włosy jasne, ale tej jasności niepewnej, która z czasem całkiem ciemną barwę przybiera, a czem najdowodniej mówiły jego ciemno-błękitne oczy i brwi całkiem czarne. Chłopiec ten, mimo tak niedorosłego pacholęctwa swojego, był jednak już ubrany jak stary: miał lamowy żupan na sobie, kontusz granatowy z ciężkiego sukna, długi aż po kostki, czapkę białą

czworograniastą na głowie i szabelkę u boku. Tak nawczas ubierano we wszystkich domach chłopców, którzy tylko cokolwiek odrośli, i to nie bez powodu: przyzwyczajano ich bowiem zawczasu do ciężkich sukien, aby im potem pancierz nie ciążył; obszarpywano boki szabelką, aby mogły potem kord bojowy udźwignąć. I to były powody słuszne, które dobre za sobą przynosiły skutki. Ale było w tem także i trochę złego, przyzwyczajając bowiem dzieci do lam złocistych i innych drogich świecideł, zaszczepiano w nich owo namiętne zamięłowanie do wystawności i zbytków w strojach, a za strojami i wszystkim innym, które jak się nieszczęśliwie poczęło jeszcze czasu Zygmunatów, tak przetrwało wszystkie dole i niedole narodu, zostawiając swym wnukom jeszcze i niedolę ubóstwa.

Chłopczyk ten wszakże, jakby to był zrobił każdy inny na jego miejscu, tem bogactwem swego ubioru wcale się nie cieszył; przeciwnie nawet był on smutny w tej chwili, i więcej jeszcze, bo był srodze zafrasowany. I frasunek ten musiał być istotnie głęboki; oparłszy się bowiem plecy o kamienny postument, na którym stał ów anioł spiszowy, osmucony chłopczyna czapkę zacisnął na oczy, jakby już nawet nie chciał nic widzieć, i twarzyczkę swoją tak zaturbował i skwasił, jakby chciał tem powiedzieć: Już mi teraz i świat niemiły! — Widząc takie małe pachole tak po desperacku zaturbowane, każdyby się był raczej uśmiechnął niż ulitował; chłopczyna bowiem miał policzki jeszcze łzami zwilżone i w oczach nawet co chwila nowe łzy się jawiły. Musiał to więc być smutek nie bez słusznego powodu.

Oprócz tych dzieci wszakże były jeszcze trzy inne osoby w ogródku.

Najpierw tedy na głazie, przypierającym do jednej z owych ośmiu kolumn olbrzymich, na których się opierała galerya, siedział mąż bardzo dojrzały i sięgający może już pięćdziesiątki. Był on po kozacku ubrany, miał więc kurtę granatową na sobie i takżej hajdawery dostatnie, pas skórzany ze srebrną klamrą, na której herb kasztelana, i krzywą szablę u boku. Pomimo tego ubioru nie był to

jednak kozak rodowity, tylko Litwin z dóbr kasztelańskich, służący z dziecka u swego pana, najwierniejszy i najpoczciwszy Jawnuta. Wiernością i poczciwością litewską wysłużył on sobie najpierw kresę głęboką na prawym policzku, potem garb na plecach od stumilowych podróży na koniu i siwiznę w czerwonych włosach i wąsach, od bezsenności i pracy; ale wysłużył sobie także miłość i szacunek u pana, uwolnienie od wszelkich trudów mozolnych i zaufanie bez granic. Dzisiaj był też on tylko już stróżem skarbów pańskich, czego dowodem najlepszym, że mu kasztelan powierzał zwykle skarb swój najdroższy, jedyną i najukochańszą córeczkę. Jak zaś ten sługa godnym był takiej ufności, widać to było i teraz, siedział on bowiem nieruchomo na głazie i z przechodzącą się po ogródku dziewczynki, ani oka nie spuszczał. Widząc go tutaj, powiedziałabyś, posąg drewniany, pomalowany żywo, ale nieruchomy, nieczuły: a przecież, ile tam było krwi jeszcze, ile serca!

Pod kolumnami, jakby podług starego Jawnuty umyślnie zrobiony, igrał sobie mały kozaczek, żywszy wszakże od swego pierwowzoru; to biegał po pod kolumny, to strugał nożykiem kawałek drzewa, to zagadywał coś do starego, który mu jednak nigdy nie odpowiadał. Był on tu także do pilnowania swojego młodego pana, bo wówczas nie było tak małego pana, żeby nie miał swojego sługi — ale rozpustny Pawełek był takim sługą, że trzebaby mu było znów osobnego sługi, co się także podówczas zdarzało. Był to więc sługa, więcej dla imienia, niżeli dla istotnego pożytku.

Oprócz tych dwóch kozaków, w kącie ogródka, gdzie gmach środkowy zamku przypierał do skrzydła lewego i były drzwi otwarte prowadzące do kurytarzów tamtejszych, stała młoda jeszcze i nawet piękna kobieta. Była ona ogromnego wzrostu, miała na głowie czepiec jakiś w kształcie turbanu ze złotolitej lamy, na sobie spódnice bitą w dziwnie jaskrawe i fantastyczne kwiaty, a do tego rańtuch z równie jaskrawymi szlakami, zarzucony przez plecy. Patrząc na nią, zdawało się widzieć niby branke tu-

recką albo tatarską, albo przynajmniej mieszczkę z którego z naszych południowo-wschodnich miasteczek. To domniemanie zdawała się twarz jej jeszcze bardziej utwierdzać.

Była to bowiem twarz pochodzenia niewątpliwie wschodniego, odznaczająca się mocno smagłąwą cerą, nosem orlim, dużemi czarnymi jak węgle oczyma i hebanowej czerności połyskującymi włosami. Tymczasem, jakiego pochodzenia była istotnie, nie było to nikomu wiadomem. Przed wielu laty bowiem znaleziono ją dzieckiem w polu dalekiem i przyniesiono do zamku. Ogłaszano po wszystkich wsiach okolicznych i dalszych, że takie a takie dziecko znalezione jest i chowane na zamku, ale nikt się po nie nie zgłosił. Robiono zresztą poszukiwania wszędzie, skądby to dziecko mogło pochodzić, ale i te nie przyniosły żadnego skutku. Skończyło się więc na domyśle, że przesładowani naówczas w tych okolicach cyganie, napadnięci nagle, zostawili je w polu. Kasztelanowa tedy kazała ochrzcić to dziecko, a dawszy mu imię Marty i poruczywszy je opiece jednej z kobiet służbowych, kazała je chować jako sierotę. Chowala też się ta sierotka nad podziw pięknie, a lubo ją wszyscy ludzie zamkowi nazywali cyganką i pozwalali sobie z tego powodu nieraz nawet uszczypliwych przeciwko niej żartów, była ona jednak zawsze bardzo pobożną, poczciwą i pracowitą. W cnotach tych wszystkich, jak też i w przywiązaniu do domu swych opiekunów, nie dała się wyprzedzić żadnej z służebnic i tylko jedną rzeczą odróżniała się od innych: a tą było jakieś osobiwsze zamiłowanie w jaskrawych strojach. Zamiłowanie to było nawet tak uporeczywe, że się stało jakby namiętnością: jakoż gdzie tylko mogła zachwycić jakiś płatek czerwony, przetykany srebrem lub złotem, zawsze go wykręciła dla siebie, ażeby zeń zrobić jakąś przyczepkę do swojego ubioru. Kilka razy zdarzyło się nawet, że znachodzono u niej płatki takie, które bez pozwolenia na to, pochowała do swojej skrzynki, i stąd w późniejszym czasie wyniknęły dla niej wielkie zgryzoty. Kiedy raz bowiem kilka sztuk sreber stołowych zniknęło w zamku, sługi zamkowe, u których, już to dla osobiwszej piękności swojej, już dla

to, że lubo nie wolno jej było wchodzić ani do komnat pańskich, ani do żadnej antykamery, patrzano jednak przez szpary na to, kiedy się pokazywała w zamkowych podziemiach, gdzie były kuchnie, pralnie i pomieszkania służących. Z tych podziemiów, jakieśmy to już widzieli, wyprowadzały, drzwi do ogródka; tamtędy tedy zakradała się ona i jak to wszyscy widywali swojego czasu, nie zaniebala nigdy się stawić na swoim miejscu, kiedy młodziutka kasztelanica przechodziła się po ogródku.

Sprzeciwiał się zrazu i temu kasztelan; przyzwyczaił się jednak pomalu do jej widoku a widząc ją zwłaszcza, że się nigdy do kasztelanicy nie przybliżała, tylko surową baczność na to swemu wiernemu Jawnuciu nakazał, i nigdy już o tem nie wspominał. Tak Marta przychodziła prawie codziennie do zamku, stawała we drzwiach wyprowadzających w ogródek i przypatrywała się milejącemu temu dziecięcemu, które, Bóg wie sam tylko, jak gorącą miłością kochała. Widząc ją, jak tam nieraz po całych godzinach stawała i z jakim uczuciem rozkoszy nie spuszczała oka z ukochanej przez siebie dziewczicy; i wiedząc o tem, że jej swojej gorącej miłości inaczej zadość uczynić nie wolno, i że w pokorze swojej nawet i nie pożąda już więcej; — nie można było dla tej kobiety nie uczuć w sercu najwyższego współczucia, a nawet poszanowania i części.

Takie były tedy te trzy osoby, które prócz owych dwojga dzieci, znajdowały się w owej chwili w ogródku.

Kiedy więc owa malutka dziewczynka uplotła już swój wieniec zupełnie i obejrawszy go, przekonała się, że był takim, jakim go mieć chciała, przybliżyła się do owego zafrasowanego chłopczyzny i oddając mu go, rzekła:

— Otóż patrz! jaki ładny wieniec dla ciebie uplotłam, tylko nie płacz już więcej.

Ale chłopczyzna tylko spojrział na nią z pod czapki i odpowiedział poehmurnie:

— Ej! co mi tam z wieńca!

— Jaktó? to gniewasz się na mnie — zapytała słodziutkim głosem dziewczynka, cofając rękę z wiankiem a zaglądnąc mu prawie filuternie w twarz pochyloną ku ziemi.

Chłopiec patrzył na nią przez chwilę z zajęciem, a twarz jego zaczęła dziwnie prędko się wypogadzać.

— Nie gniewam się, Nunciu, na ciebie — odpowiedział z owym tak pięknym uśmiechem w oczach, który przedzierając się przez lzy żywe, wygląda jak promień słońca, wystrzelający z za chmury — nie gniewam się na ciebie, boś ty temu nie winna, ale mi krwawy żal jest, że już muszę od was odjeżdżać.

— I mnie żal tego — rzekła na to z westchnieniem dziewczyna — bo już teraz sama się będę musiała bawić w moim pięknym ogródku; ale cóż na to robić, kiedy tak każą starsi? Ja prosiłam mamę za tobą, ale się to na nie nie zdało. Mama mi powiedziała, że nie powinnam prosić za tobą, bo kiedy ciebie bierze do siebie taki pan wielki i dobry jak pan Potocki, to to jest wielkie szczęście dla ciebie. Mama mi powiedziała, że kiedy się będziesz dobrze sprawował, to ty sam wielkim panem do nas powrócisz, bo pan Potocki robi wszystkich panami, których bierze do siebie. Ja sobie nad tem po cichutku myślałam i popatrywałam się temu panu Potockiemu w oczy, i doprawdy Józiu, on taki dobry, że jabym sama nie a nie się nie bała, gdyby mnie brał do siebie. Otóż ja się tem zgoła nie smuce, bo i tobie dobrze będzie u niego.

— Może mi tam i dobrze będzie — odezwał się chłopiec — ale przecie mi tak nie będzie, jak u was.

— To też ty tam nie zostaniesz na zawsze, tylko znowu do nas powrócisz. Słuchaj mnie Józiu! mnie mama powiadała, że ten pan Potocki ma tyle, tyle wojska, żeby tu całą ziemię zakryło, i zawsze wielkie wojny prowadzi; a ci panicze, co są u niego, wszyscy na wielkich jenerałów wychodzą. Otóż i ty, jak tam będziesz, także jenerałem zostaniesz...

— O! to pewnie, że luzakiem nie będę...

— Otóż ja sobie tak myślę — mówiła dalej dziewczynka — że jak ty jenerałem zostaniesz, i będziesz wielkim panem, i będziesz mógł robić, co ci się będzie podobać, a ja wtenczas już także wyrosnę: to ty do nas przyjedziesz, i zabierzemy się wszyscy i pojedziemy sobie

w świat, precz, daleko, za morze. Tato mnie powiadał, że tam dalej na świecie są takie wielkie miasta, jak wszystkie wsie nasze, i takie wielkie pałace, jak pięć razy nasz zamek, i takie wielkie ogrody, jak sto razy ten mój ogródek. Tato tam był wszędzie, kiedy chodził na wojnę. Otóż jabym chciała to zobaczyć i tak sobie myślę: że jak ty wyrośniesz i ja już wyrosnę, to zabierzemy z sobą tatę i mamę, i tam pojedziemy.

Chłopczyna słuchała ją z wielką uwagą i stał w zamyśleniu. Zdawało się, że w swojej wyobraźni dziecięcej zgodził się na to wszystko, był już jenerałem, już po nią przyjechał, już ją wziął z sobą i ruszył w wielką podróż po świecie.

Dziewczynka umilkła i patrzyła mu w twarz tak wielkimi oczyma, jakby wyczekiwała odpowiedzi od niego. A kiedy milczał, spytała go głośno:

— I cóż ty mówisz na to?

Chłopczyna spojrział na nią, jakby ze snu się zbudził, a kiedy na jego twarzy odbił się wyraz jakby jakiegoś postanowienia, odpowiedział jej głosem stanowczym:

— Otóż ja tak i zrobię! Zostanę wielkim rycerzem i przyjadę po ciebie, ale wtedy mnie już nikt rozkazywać nie będzie. A ty pojedziesz ze mną?

Dziewczynka chwilę patrzyła na niego, a potem odpowiedziała, oczka spuszczać ku ziemi:

— Pojadę.

Wtedy on ujął ją pod ramiona i podniósłszy trochę od ziemi, pocałował ją w czoło.

Widząc to stary Jawnuta, mruknął głosem basowym:

— Ej! podstolicu paniezu, jeszcze ci i wasy nie odrosły pod nosem, a już jest do całusów. Co to będzie za czasem!

A na to Marta się odezwała ode drzwi:

— Ot! i niema czemu się dziwić, kochają się dzieci, to się też i całują.

Na te słowa obejrzał się stary Jawnuta, a obaczywszy Martę, że już stoi na posterunku, wstał z swego głazu i zaczął wolnym krokiem zbliżać się do niej — kiedy

wtem dał się słyszeć rumor na głównych wschodach, sprzedających w ogródek.

Byli to gospodarze zamkowi i goście, którzy skończywszy obiad, przedłużony długą biesiadą, jak to zwykle bywało za Sasów, wychodzili właśnie do małego ogródka, aby dzieci obaczyć i świeżego zaczerpnąć powietrza. Wkrótce też z pod galeryi wysunęło się całe towarzystwo, a było to towarzystwo bardzo szlachetne i piękne.

Szedł tedy w pierwszą parę jw. Joachim Potocki, podczaszy wielki litewski, generał-lejtnant i szef kawaleryi, okazały personat, jak to wówczas mówiono, nie tylko imieniem, godnościami i rozległą fortuną, ale i powierzchownością i będąc ubrany w ówczesny strój polski, lśniący od karmazynu, drogich kamieni i złota — prowadził pod ramię panią kasztelanową sieradzka, bardzo podeszłą już wówczas matronę, ubraną w czepiec poważny i ciężki robron jedwabny.

W drugiej parze postępował Stanisław Lubomirski, także generał wojsk koronnych, a lubo mniejszy wzrostem od wyniosłego podczaszego, także jednak okazałej postaci i jeszcze więcej strojnego ubioru. Ten prowadził pod ramię damę średniego wieku, ale wyniosłej i nieledwie dumnej powierzchowności, która ubrana w ciężką suknię z aksamitu czarnego i mając ciężki łańcuch złoty, zwieszający się z szyi na piersi, czy chcąc, czy nie chcąc, ściągająca wszystkich uwagę na siebie. Była to pani Bierzyńska, podstolina nowogrodzka, z domu Wessłówna, a matka tego małego chłopczyny, któregośmy dopiero co rozmawiającego z kasztelaną słyszeli.

Za tą parą postępowała mniszka zakonu Norbertanek, przyrodnia siostra kasztelanowej. Ta szła z głową cokolwiek ku ziemi schyloną i rozmawiała z jw. Wesslem, podskarbin koronnym, który był niski wzrostem, miał nos duży, a oczy małe zielonego koloru i był ubrany we frak aksamitny ze złotymi haftami, trzewiki i pończochy, i ogromną jak wieża, kędzierzawą, spadającą na plecy, białą upudrowaną perukę.

Dalej szedł pan Gałęcki, starosta bydgoski, człek okrą-

gły, rumiany, z rudawym wąsem, w żupanie i kontuszu po kostki i prowadził jakąś damę poważną, której jednak imię i godność zaginęły w niepamięci.

Za tą damą postępował stary kasztelan, rozmawiając z młodzieńcem, nie tyle urodziwej, ile okazałej powierzchowności. Ten był wzrostem nadzwyczaj słuszny i wysmukły jak sosna, twarz miał okrągłą i ospowatą, nos cokolwiek zadarty, oczy czarne jak węgle i włosy krucze: a lubo wąsik jego jeszcze zaledwie przed rokiem się zaczął wykluwać, zakręcał go jednak i nastawiał ile możności do góry. Był ten młodzieniec zresztą prawie tak samo ubrany jak wszyscy inni tylko cokolwiek jaskrawiej i krócej, niżeli była moda natenczas, ale szedł tak butno i tak górnio naokoło spoglądał, jak gdyby najmniej pół świata należało do niego. Pomimo to jednak była to wtedy wcale nie nieznacząca figura, jmc pan Michał Dzierżanowski, dziedzic jednej wioski około Zamościa, na której nawet jeszcze i nie dziedziczył, bawiając tymczasem nibyto jako przyjaciel, niby zresztą gdzieś z daleka powinowaty, na dworze księcia Marcina.

Za nimi jeszcze postępował mnich jakiś z kapelanem zamkowym, marszałek dworu, kilku dworzan starszych i młodszych, a nareszcie pan Kucharski poeta, i Koziółek błazen nadworny. Ci obadwa szli razem, bo obadwa do jednej kategorii należeli, nietylko na zamku, ale podówczas nawet i w kraju. Poezye jednych i figle drugich chrzczone bez różnicy błazenstwem, co zresztą pod owe czasy, tak zupełnie podupadłe w wszelkich naukach, nie było z krzywdą niezyską, bo też i nie było poetów.

Kiedy ci goście weszli w ogródek, porozstępowali się trochę od siebie, szukając każdy dla siebie odpowiedniej rozrywki, albo też upragnionej rozmowy.

I tak pan podskarbi koronny z panią podstoliną nowogrodzką a swoją siostrą stryjeczną, przybliżyli się do swojego chłopczyny, chcąc go częścią pocieszyć, a częścią upomnieć, że nie należy się wtenczas frasować, kiedy się odbiera dowody łaski, będące zawiązkiem pewnego szczęścia na przyszłość.

Pan podczaszy litewski, przystąpiwszy do kasztelana, unosił się jeszcze raz przed nim nad pięknością tego ogródka, który porównywał z najpiękniejszymi ogrodami, widzianymi przez siebie we Francyi i Włoszech.

Pan starosta bydgoski rozmawiał z kasztelanową i mniszką, prawiając strzępiaste komplementy dla kasztelanki, której przymioty duszy i serca pod niebiosa wynosił, rzucając przytem równie strzępiaste konjektury o jej świetnej przyszłości.

Inni rozmawiali z innymi, a książę Marcin stanąwszy z młodym Dzierżanowskim na stronie i wskazując mu milczkiem na malutką kasztelana córeczkę, tak mówił do niego:

— Otóż to, panie Michale, będzie za czasem partya, o którą warto będzie choćby i karku nastawić. Wiedz bowiem o tem, że to za tem pójdą i miliony, bo to i tutaj są dobra nie szpetne a i na Litwie wsi kilkanaście, że już nic nie wspominam o kasztelańskiej szkatule, która i teraz jest już po same brzegi nabita, a cóż dopiero będzie, nim ta dziewczynka wyrośnie!

— Wierzę, mości książę — rzekł na to pan Michał, biorąc się jedną ręką pod boki — że to będzie kąsek nie lada, ale jak ona jest jeszcze dzieckiem, tak też i mnie jeszcze nie myśleć o hymenowych nagrodach. Trzebaby to pierwiej jakoś się po świecie rozpatrzeć i tam i sławy, a z nią i szczęścia poszukać; bo podług mego zdania, jako nie wiele wart taki człowiek, który nosa nie wytknął za granicę swojego kraju i nie obeznał się z tem wszystkim, co jest do widzenia na Bożym świecie: tak jeszcze mniej waży taki, który sam się niedorobiwszy niczego, chce się jako najprędzej cudzym kosztem ozłocić.

— Piszę się na to wszystko — odpowiedział mu książę — boć i sam ci tego doradzam, ażebyś teraz, kiedy się wyprawimy do Węgier, wstąpił na jaki czas w służbę cesarską. Obiecuję ci nawet, za pośrednictwem grafa Hadyka, mojego przyszłego teścia, wyrobić u Cesarza protekcyę; jakoż i radzę, jeżeli służba ta pójdzie po rękę, trzymać się jej czas jaki, bo służby takie postronne dają

potem tem większą łatwość osiągnięcia jakiegoś zaszczytu w kraju. Mało który z naszych hetmanów tak koronnych jak i litewskich, od najdawniejszych aż do dzisiejszego pana Jana Klemensa Branickiego, nie służył z młodu u potencyi postronnych; toż i tobie to zaszkodzić nie może. Ale przytem i to zauważyć należy, że nie każdy, który ma zasługi, zaraz i zaszczyt odnosi, a nie każdy znów zaszczyt niesie z sobą fortunę. Ale kto ma zaszczyty, nie trudno mu o fortunę, boć od tego są wiana panienek. Jakoż i to jest rozum, żeby nietylko nie zapomnieć o tamtem, ale też i o tem pamiętać.

— Wiem, że mi to książę radzisz ze szczerego dla mnie afektu — rzekł na to pan Michał — jakoż zapewne kiedyś i w tem się udam do waszej książęcej mości o łaskawą protekcję; ale teraz ani mi myśleć o tem. W świat mi teraz, w świat szeroki, i w świat jaknajprędzej! Kiedy sobie pomyślę, że ja się tutaj tak kwaszę i czas trawię na niczem, kiedy tam w wielkim świecie tyle sławy jest do rozdania i tyle do wysłuzenia zaszczytów; jak mi Bóg miły, taka mnie nieraz niecierpliwość porywa, że obdzieram guzy od własnego kontusza. Jeśli książę jeszcze dłużej zwlekać będziesz tę swoją podróż do Węgier, to się niebawem nie będę mógł nawet pokazywać pomiędzy ludźmi, bo przy żadnym z moich kontuszów ani jednego guza nie będzie.

Książę, lubo sam jeszcze młody, śmiał się jednak z tej niecierpliwości młodzieńczej i mówił:

— Cha, cha, cha! otóż to mi jest prawdziwie ognisty kawaler! Mści się na samym sobie za to, czemu zgola nie winien. Ale nie frasujże mi się bardzo, choćbyś i wszystkie guzy potracił, bo jak wstąpisz w służbę Cesarską i w niej pójdziesz na wojnę, to ci tam wszystkie guzy oddadzą, może nawet z prowizją.

Tak rozmawiał książę z niecierpliwą fantazyi młodzieńcem — a tymczasem, kiedy podskarbi koronny z podstoliną nowogrodzką zbliżyli się do owego zafrasowanego chłopeczyny, matka pogładziła go ręką po twarzy i pocałowała go w czoło, rzekła do niego:

— Nie smućże się już, mój Józeczku, bo to i nie ładnie dla ciebie. Każdy inny chłopiec na twojem miejscu cieszyłby się z tego, że mu się taka droga do szczęścia otwiera. Przecież w tym wieku i tak z niczego zostać nagle paziem u takiego pana, jakim jest pan podczaszy litewski, jest to już szczęście takie, którego i starsi i zamożniejsi od ciebie nie pomału zazdrościć ci będą.

— Ja się też już nie smucę — rzekł na to chłopiec — jeno mi żal jest, że mnie stąd zabierają. Przeciebym i u pana kasztelana mógł być także pazikiem.

— Ale cóż też nie gadasz! — rzekł na to pan podskarbi koronny, a oglądając się na około, tak dalek mówił półgłosem:

— Pan kasztelan paziów nie chowa, a choćby chował, nie byłoby to jedno, być u niego, albo u pana podczaszego. Będąc u niego, cóżbyś mógł mieć za widoki przed sobą? oto w najlepszym razie zostałbyś takim samym dworzaninem, jakich tu widzisz kilku, a którzy już posiwili i jeszcze zawsze siadają przy marszałkowskim stole. U pana Potockiego zaś, nietylko, że już i teraz będziesz znaczył więcej, niżeli zwykły dworzanin, ale też z pewnością wyżej postąpisz. Toż i ja kiedyś byłem paziem u króla, a jestem dzisiaj podskarbim. I tobie także nie trudno się będzie dostać do króla. Ja ci sam to wyrobuję. Wiesz o tem dobrze, że z łaski Boskiej, a mojej służby długoletniej i wiernej, mam nie małe względy u naszego miłościwego pana, i kiedybym chciał, potrafiłbym bez trudności przelać cząstkę tych względów i na kogoś innego, a cóż dopiero na tak blizkiego krewnego? Jakoż tych względów możesz być najpewniejszym, a kiedy wytrwasz w służbie u pana podczaszego, dopóty, póki nie wyrośniesz w młodzieńca, jak Bóg na niebie, za moją poręką przejdiesz na zamek królewski.

— Widzisz Józeczku — odezwała się matka z kolei — jaki pan podskarbi jest dobry dla ciebie. Toż to się dostać na zamek królewski, ledwie najpierwszym paniczom się zdarza, bo i w raję nie może być lepiej. A wszystko

to ci jw. wuj twój, przez swoją osobliwą łaskę dla ciebie wyrobi.

Tu matka spojrziała wzrokiem znaczącym na chłopca. Chłopczyzna zastanowił się chwilę i odpowiedział narazie:

— To ja się już wcale smucić nie będę i panu wujowi za jego łaskę dziękuję.

To mówiąc, pocałował go w rękę — a tak podskarbi, jak podstolina, uśmiechnęli się do siebie, ciesząc się tą rezygnacją i przytomnością chłopczyzny.

Wtedy odezwał się głośno pan podczaszy litewski.

— A co tam, panie podskarbi! czy tylko nie buntujesz mi chłopca?

— Uchowaj Boże! panie podczaszy litewski! zgoła przeciwnie, przygotowujemy go do jego służby, dając mu nasze upomnienie na drogę.

— No, tak to dobrze. Chodźże sam do mnie, mój mały, i pokaż mi się, czy jeszcze bardzo się frasujesz swoim odjazdem?

Kiedy to mówił podczaszy, uformowało się z gości prawie tak jak pół kole.

Mały Bierzyński przystąpił do podczaszego, który go badał łaskawie o jego frasunki, po kolei też wszyscy coś przemawiali do niego, a maleńka kasztelanka stała naprzeciw wszystkim gości i trzymając upleciony przez siebie wianuszek w rękach, przypatrywała się scenie temi wielkimi oczyma, które zdawały się całą jej postać drobniutką oświecać półanielskim swym blaskiem.

Tymczasem, kiedy się to działo, w środku ogródka, stary Jawnuta stał oparty o drzwi przy wróźce-cygance, a ona tak mówiła do niego:

— Otóż i naszego podstolica takie wielkie szczęście spotyka! Zaczyna wczesnie, to pewnie i daleko zabiegnie. Ale daj mu Boże choćby też i najdalej, boć to poczciwie z kośćcami chłopczyisko. Gdyby też nawet miał jakie wady, wszystkiębym mu odpuściła już dlatego samego, że tak serdecznie kocha moją złotą panienkę.

A na to odpowiedział Jawnuta:

— Jeszcze to tego dzisiaj powiedzieć nie można, czy to będzie wielkie szczęście dla niego, czy małe? bo pańska łaska, jak to mówią, pstrego ma konia pod sobą. A gdyby i nie to, toż to i młode jeszcze, i trudno wiedzieć w co się to uda? Może być krzyż, a może też i łopata.

— O! już to pewnie, że jak wszystko, tak i to w Boskiem jest rękę — odpowiedziała Marta — ale powiedzcie mi Jawnuto, czy nie wiecie wy sprawiedliwie, dlaczego jego kasztelan oddała?

— Nie wiedziałem, dlaczego go wziął, nie wiem też także, dlaczego go teraz oddała.

— Eh! jużto dlaczego go wziął — rzekła Marta — to przecie wszystkim wiadomo. Boć nie mało to fortuny Bierzyńskich przyrosło niegdy do dóbr kasztelańskich.

— Może też i przyrosło, ale pewnie nie niesprawiedliwie.

— Oh! ja tego nie mówię... chociaż to nie za tego pana się stało, jeno jeszcze za dziada. Ale już to musiał tam być jakiś powód do tego, kiedy kasztelan wziął sierotę na swoją opiekę. Ale dlaczegoż go teraz oddała? wy nie wiecie, Jawnuto?

— Ot! co tu i wiedzieć! Trafia się chłopcu dobre pomieszczenie, kasztelan mu nie przeszkadza do tego, i to cała sprawa.

— Może i to! — rzekła na to cyganka — ale przecie tutaj tak mówią po zamku, że go kasztelan porzuca od siebie dlatego, że się chłopczyzna tak przywiązała do jego panienki. Otóż obawia się, żeby się co z tego nie wyklęło na przyszłość i dlatego sam mu to miejsce wynalazł. Wy nie wiecie, Jawnuto?

— Ja o tem nie wiem. Nie widzę też czego by się tu można obawiać?

I tu mruknął sobie pod nosem jakieś ruskie przysłowie.

Na to Marta już nie odpowiedziała, tylko wpatrzywszy się w grono gości i stojącą przed nimi dziewczynkę, mimowoli się zamyśliła.

Tymczasem właśnie, w tej samej chwili, pan podczaszy litewski przemówił coś głośno do kasztelanki. Pan podczaszy miał głos nadzwyczaj silny, a przyzwyczajony do komnat wysokich, nie mitygował go nigdy, tem mniej jeszcze, kiedy był na wolnym powietrzu — i tym głosem, a oraz i niespodziewanym zwrotem do nieprzygotowanej na to dziewczynki, tak ją przestraszył, że ta, zamiast mu odpowiedzieć, stanęła osłupiona i wypuściła wianuszek swój z ręki. Widząc upadający wianuszek, pochylili się poń jednocześnie ogromny wzrostem pan Dzierżanowski i niedorosły Bierzyński — ale tymczasem dziewczynka odzyskała przytomność i będąc najbliżej wianuszka, sama go przed nimi obudwoma podniosła.

— A! bardzo ładnie! — zawołał na to pan podczaszy litewski — bardzo ładnie! Otóż tak trzeba zawstydząć kawalerów niezręcznych! Ale to nie dość na tem, moja śliczna panienko, boć przecież trzeba oddać komuś ten wianuszek na końcu: Komusz go więc oddasz, lubeczko, he?

To zmieszało trochę dziewczynkę. Patrzyła ona otwartymi oczyma na wszystkich i widać było, że się znajdowała w kłopotcie, ale w mgnieniu oka umiała się zdecydować — i kiedy na nią wszyscy najciekawiej patrzyli, ona przybliżyła się do mniszki, która właśnie naprzeciw niej stała, i pokłoniwszy się z osobliwą zrzęczością, jej ten wianuszek oddała.

Taka przytomność małego dziecka ucieszyła niezmiernie wszystkich i stąd zrobił się gwar między gośćmi — ale, tymczasem, właśnie w tej chwili, cyganka skoczyła jakby piorunem rażona ze swego miejsca i chwyciwszy się oburącz za głowę, zawołała przerażającym głosem:

— Chryste Panie! co się to stało!

Po tych słowach, trzymając się zawsze oburącz za głowę, zatoczyła się jak pijana w kurytarz.

Widząc to stary Jawnuta, poszedł za nią i znalazł ją w kurytarzu plecyma o mur opartą, w przód pochyloną, z rękami załamanymi, przed sobą i jakby zupełnie nieprzytomną.

— A wam co się stało takiego? — zapytał on ją — skoczyliście nagle, jakby was nożem kto ukłuł.

Wtedy cyganka wyprostowała się nagle, a jej twarz cała nabrała jakiegoś osobliwszego, przerażającego wyrazu. Zbladła jak ściana, wszystkie żyłki na niej poczerniały, usta jej drżały jakby w konwulsyi, a oczy były tak pełne jakiegoś niezwyčajnego ognia, że się zdawało, jakby żywe iskry ze siebie sypały. Tak porwała ona Jawnutę za ramię, wstrzęsła nim jakby snopkiem i zawołała przerażającym głosem:

— Kto jest ten młodzian, który się chyłał po wieniec? Kto on jest! skąd go tu wichry przyniosły!?

— Ot! szlachciec jakiś... — zaczął mówić Jawnuta.

— Nie! — przerwała mu prędko Marta — nie! to nie szlachciec... to jest... szatan!

To słowo ostatnie wymówiła z takim wysileniem i krzykiem, że po niem zaczęły ją znowu siły opuszczać. Zniepokojony Jawnuta zaczął znowu coś mówić, ale tymczasem ona, wytężając się na wysilenie ostatnie, jeszcze mocniej go ścisnęła za ramię, a prawą ręką wskazując przez drzwi otwarte w ogródek, dodała głosem drżącym, a przez to jeszcze więcej przerażającym:

— Słuchaj mnie stary Jawnuto! Kiedy te dzieci dorosną, będą się działy rzeczy takie, jakich jeszcze nie było na ziemi! Szczęśliwy będzie, kto w całości ich końca dożyje!

Jawnuta aż zadrżał cały na te straszne słowa — ale w tej chwili dał się słyszeć głos kasztelana, powołujący do ogródka.

Goście chcieli strzelać do tarczy, Jawnuta był dozorcą strzelnicy, kazano mu więc iść naprzód i przygotować wszystko, co potrzeba do tej rozrywki. Wkrótce potem i goście wyszli wszyscy z ogródka, udając się jedni do górnych komnat, a drudzy do strzelnicy.

Jawnuta był jednym z najzawołańszych strzelców swego czasu, a stąd i najzręczniejszym do usługi około broni, ale pomimo to wszystko jakoś licho dziś służył w strzelnicy. Nabijał nie regularnie, nie wiedział, komu ma broń

podawać, i ciągle się czegoś zamyślał. Kasztelan nie mógł mu się nadziwić, a wstydząc się przed gośćmi za niego, usprawiedliwiał go, mówiąc: że już stary nieboraka. — Tymczasem wcale nie starość jeszcze była powodem jego roztargnienia, tylko owe niezrozumiane słowa wróżki-cyganki, które na nim głębokie uczyniły wrażenie. Stary Litwin bowiem wierzył w gusła i czary, w przeczucia i przepowiednie, a sądząc Martę także zdolną do przeczuć i przepowiedni, jej osobliwzemi słowami nadzwyczajnie się zaniepokoił. Jak tylko więc się skończyło strzelanie do tarczy, które dzisiaj jeszcze skończyło się daleko prędzej właśnie dla jego roztargnionej usługi, pobiegł czemprowadz w podziemia zamku, aby tam Martę odszukać.

Ale Marty już oddawna nie było.

Gdyby nie goście w zamku, a stąd i obowiązek dla niego nie oddalania się z domu, byłby on pewnie pobiegł natychmiast do jej chatki przy kuźni, bo był tak pewnym jak dnia jutrzejszego, że byłby się od niej bardzo ciekawych rzeczy dowiedział. Jakoż było to męką dla niego piekielną, siedzieć aż do północy w antykamerze i trapić się ciekawością, której zaspokoić nie zdołał. Wszakże nazajutrz rano, jak tylko goście, zabrawszy małego podstolica ze sobą, odjechali ze zamku, pobiegł on w ten moment do Marty.

Tym razem była ona u siebie. Siedziała na łóżku i opuściwszy głowę ku ziemi, zdawała się być mocno zamysłoną.

Widząc to Jawnuta, lubo się obawiał dowiedzieć od niej jakiejś wróżby złowrogiej, pocieszył się jednak, bo był pewnym, że zaspokoi swoją ciekawość.

Ale jakież było jego zdziwienie, kiedy Marta wypatrzyła się wielkimi oczyma na niego i na jego wszystkie pytania, odpowiedziała krótko:

— A wam się znowu co przyśniło! cóż to? czy to ja wróżka jestem, czy mam taką łaskę u Pana Boga, że bym przyszłość wiedziała? Ot! mielibyście też rozum, chociaż wy Jawnuto!

Ta odpowiedź tak zadziwiła starego, że się cofnął

o parę kroków i patrząc na zupełnie chłodną w tej chwili i obojętną kobietę, sam nie wiedział, co myśleć. Już mu się zdawać zaczęło, że wszystko to, co widział i z jej ust słyszał dnia wczorajszego, tylko mu się przyśniło. Jakoż bardzo niepewnym już głosem odezwał się po chwili:

— Ale proszę was Marto, przecieżeście wczoraj zaczęli przepowiadać jakieś nieszczęścia, jeno żeście nie mieli czasu ich dopowiedzieć do końca.

— To się wam chyba coś przesłyszało — rzekła na to Marta z niechęcią — bo ja nie wiem o tem.

— Ej! gdzie tam nie wiecie! — mruknął na to zachmurzony tym zawodem Jawnuta — wiecie wy dobrze i zapewne nie mało, jeno że nic nie chcecie powiedzieć. Już też i ja u was nie zasługuję na wiarę!

Te słowa stary wymówił głosem tak głęboko żalonym, że niemi wzruszył litościwą kobietę, Jakoż patrzała ona na niego przez chwilę wzrokiem takim, jak gdyby jego samego zapytywała o to, czy jest wart tego, ażeby jego przykrość własną okupiła przykrością? — Ale po chwili przewały się jej serce na korzyść starego i tak mu na to odpowiedziała:

— Jeno proszę was mój Jawnuto, nie gniewajcie się na mnie. Bo wy mnie tu wszysey macie za wróżkę, która umie powiadać przyszłość, a ono przecie tak nie jest, bo i nie może to być. Nie ma we mnie takiej niecnoty, że bym tę moc udawała przed ludźmi, ani chwala Bogu takiej ślepoty a pychy, że bym w nią samą wierzyła. A jeśli mi się tam czasem coś przywidzi takiego, co się potem stanie na prawdę, to już to chyba przypadek. Aleć mi się i nieraz przywidują rzeczy takie, które się nigdy potem nie stają, bo już to taka jest moja choroba. Dlatego też nie rada co o tem powiadam, bo i nie warto.

Ośmielony trochę tą otwartością Jawnuta, rzekł na to:

— Może to być, że i nie wszystko to potem się staje, co przepowiecie, ale ja przecież, co zapamiętam, to się wszystko sprawdziło. Powiedzcież mi, co się wam przywidziało dnia wczorajszego?

— Dnia wczorajszego... — powtórzyła Marta, zamyślając się nad tem — ot! i nie pomnę już dobrze.

Mówiąc to wszakże, wstrząsała się, jakby jej śmierć zagładnęła w oczy, a Jawnuta znów spytał:

— Cóż to było takiego?

— Ot! i nie pomnę już dobrze — powtórzyła znów Marta — jeno kiedy się ten panicz wysoki chyłał po wianek... w Imię Ojca i Syna! jakoś mi się w nim sam niezczysty przywidział. A potem mi się przywidziały wojny wielkie i jakieś wielkie nieszczęścia... A podstolic był w hełmie i z mieczem w ręku, był na górze i w dole, i zniknął, bo krew wszystko zalała... A potem widziałam moją złotą panienkę, jako oddawała wianuszek swój mniszce... coście i wy też widzieli, boć i tak było. Ot! i już wszystko. I co to było powtarzać? Przestraszyłam się trochę, bo to ja już taka bojaźliwa z natury. Łada co mi się przyśni, zaraz i strach. A ono zapewne w końcu niema czego się strachać, bo wszystko w Boskiem jest ręku, a bez jego woli i włos nam z głowy nie spadnie. A wy czego się tak zamyślili Jawnuto?

— Ot! myślałem sobie — rzekł stary Litwin z westchnieniem — że od owego mnicha, który się był pojawił na żelaznym krążganku, kiedy się nic nie jawiło nowego, myśleliśmy, że już spokój będzie koło naszej panienki: a ono widzę jakieś nowe wykluwają się dziwy.

— Ot! dalibyście też pokój tym dziwom! — odpowiedziała Marta, trącając w ramię starego — kto tam wierzy tym rzeczom! Jeden Bóg tylko rządzi nami i wszystko jest w Jego opiece.

KSIĘGA PIERWSZA.

I.

Było to w roku Pańskim 1764, w dzień ś. Michała.

U pana Gałęckiego, starosty bydgoskiego, był dnia tego taki liczny zjazd szlachty, jakiego oddawna nie pamiętano.

Pan starosta bydgoski, człowiek zamożny i skoligacony z najpierwszymi domami województwa sieradzkiego i ziemi wieluńskiej, był to jeden z tych ludzi, którzy w gruncie serca nie mają żadnych ambicyi, żywią jednak w sobie nieugaszoną żądę popularności. Słabego po większej części charakteru i słabej głowy, pocziwego zwyczajnie serca, ale więcej trwożliwi, niżeli odważni, więcej bierni niż czynni, gdyby im społeczeństwo poruczyło jakiś ważny urząd lub posłannictwo, byłiby niezawodnie w jaknajwiększym kłopotcie: pomimo to jednak czynią się oni niespracowanymi sługami otaczającego ich towarzystwa i częstokroć nieobojętne ponoszą dlań trudy, ażeby jak najpowszechniejszą pozyskać miłość i stać się niejako niezbędnymi w swoim powiecie. Obadwa te główne rysy ich charakteru zdają się być w niepodobnej do pogodzenia sprzeczności, a tymczasem skojarzenie się ich jest jaknajzupełniej logicznem i naturalnem, obadwa bowiem wpływają z jednego źródła: z cywilnego tchórzostwa. — Zwykle też ci ludzie nie mają żadnego własnego przekonania, żadnej samoistnej opinii, którą im zawsze głos wię-

kszości narzuca; nie mają oni nawet żadnej samodzielności, oprócz tej jednej, za pomocą której nie zaniedbują nigdy mieszać się do wszystkich waśni i sporów sąsiedzkich i godzić poróżnionych ze sobą, co też jest ich głównym i jedynym rzemiosłem. Nie należąc tym sposobem nigdy do żadnego stronnictwa, zdają się oni, mając rzekomo tylko dobro ogólne na celu, stać niby na stanowisku wyniesionem nad wszystkie czasowe i drobnostkowe dążności, a przez to stać moralnie daleko wyżej od innych: jednakże w rzeczy nie stoją oni nad stronnictwami, tylko pod nimi, nie najwyżej, ale najniżej — a dając się wedle okoliczności i tym pociągać za sobą i owym, nie służąc rzeczywiście nikomu, tylko osobistej swej sprawie — zajmują stanowisko w społeczeństwie takie, którego znaczenie, położone na wadze istotnego pożytku, nie przeważa i zera.

Dlatego też na ludzi charakteru pewnego i niewzruszonych przekonań, robią oni nadzwyczaj kliwne wrażenie, a czasem nawet i takie, jak emetyk na fizycznym organizmie człowieka: lecz nie mniej przeto od powszechności, wyrabiającej swoje opinie podług pojedynczych wypadków, a nie podług ich sumy ogólnej, bywają kochani i szanowani, a częstokroć i na rękach noszeni. Ogół tedy z dobrego serca daje im popularność, a oni ją w dobrej wierze przyjmują — lecz kiedy ogół myśli niejednokrotnie o tem, że ich w danym razie z najlepszym skutkiem będzie mógł użyć do czynu, oni właśnie myślą przeciwnie, ażeby też jakim stanowczym czynem tej popularności nie stracić. — W dawnej Polsce, lubo wykształceni na wzorach takiego Kallimacha, Prazmowskiego prymasa i innych podobnych ministrów, zdarzali się tam i sam intryganci, polityczni szalbierze, albo zgoła odstępcy — takich charakterów jednak nie wykazują nam nigdzie ówczesne kroniki i relacye, bo też ich i nie było. Dawna chrobrość umysłu i serca, ożywiana wciąż czynnym życiem i kształcona na wzorach niedalekiej swej własnej lub staro rzymskiej przeszłości, wychowując tylko hartowne, czarne lub białe, ale zawsze pomnikowe postacie, nie umiała wylęgać

tych popielatych poczwerek, które w maleństwie ducha i skromności swojego serca, byłyby w stanie wyżywić siebie drobniotkami ziarnkami powiatowej popularności. Dopiero sławna owa saska bezczynność i daleko jeszcze sławniejsza zniewieściałość powszechna, zaczęły wysiadywać te półnotki obywatelskie, które w braku enót całych, musiały tu i owdzie wystarczać na składanie indywidualności, wystających nad ogół. Takich ludzi było pod koniec panowania Augusta III-go już w całej Polsce nie mało — i takim był także pan starosta bydgoski.

Starosta, jako człowiek tak popularny i powszechnie kochany, miał oczywiście dom bardzo obszerny i nadzwyczaj gościnny. O ile z wieści tamtoczesnych wniesić można, miał to być dawniej dwór zwyczajny drewniany, jakie się spotykało wszędzie na pomiernych majątkach; od czasu wszakże, kiedy starosta zaczął coraz więcej wznosić w zachowaniu powszechnem, domuował on do niego jedno skrzydło, bez piętra wprawdzie, ale tak wspaniale dostatnie, że w niem się pomieściły, oprócz kilku innych komnatek, dwie sale tak wielkie, jakich nie było nigdzie w całym powiecie, oprócz kasztelańskiego zamku. Jedna z tych sal była zaopatrzona chórem dla kapeli zapewne i była przeznaczona do zabawy i tańców; druga mieściła w jednym kącie bezpośredni wehód do piwnicy i była salą jadalną; obiedwie zaś razem, będąc połączone ze sobą tylko dwoma rzędami kolumn, przedstawiały przestrzeń tak wielką, na której w potrzebie możnaby było wyprawić nowożytną operę, starożytniejszy dyalog albo nawet jeszcze starożytniejsze turnieje. Takiej też przestrzeni u siebie potrzebował starosta koniecznie: nie było bowiem ani kondescensyi jakiegokolwiek natury, ani waśni sąsiedzkiej, ani sądu polubownego, ani zgoła żadnej takiej sprawy publicznej, któraby choć raz przynajmniej nie założyła swojej sesyi u niego; po kilka razy do roku odprawiały się huczne fety spraszane, a na ś. Michał, jako w dzień jego imienin, zjeżdżała się szlachta prawie z całego powiatu. Nie pamiętano jednak, aby ten zjazd kiedykolwiek był tak liczny, jak tego roku.

Jaka była przyczyna, mówiąc ówczesnym wyrazem, tej tak licznej *frekwencji* gości w dniu owym, trudno orzec z pewnością; niewątpliwą wszakże jest rzeczą, iż nie było do niej żadnego osobliwego powodu. Cały powód tedy leżeć musiał w chwili obecnej, do licznych zjazdów nadzwyczajnie przyjaznej. Działo się to bowiem, jak to wyżej wspomniana data wskazuje, właśnie pod koniec bezkrólewia po śmierci Augusta III. Ukochany ten król, który się dał tak dobrze wywczasować rycerskiemu duchowi narodu, umarł był jeszcze w październiku przeszłego roku. Po jego śmierci, jak zwykle, nastąpiło bezkrólewie — czas przeznaczony właśnie na obiór nowego króla, ale będący przytem także i niejako popisem narodu, w którym ten naród miał okazać przed światem, o ile w enotach i w rozumie postąpił, albo przybrał narowów. Nie wiem czyli się kto kiedy z tego stanowiska na nasze bezkrólewia zapatrzył i zestawivszy je z sobą, krytycznie się z nimi rozprawił: jestem atoli pewny, że któryś z następnych dziejopisów to niezawodnie uczyni i tą pracą niejedyn widok nowy odsłoni i niejedną tajemnicę ducha narodowego odgadnie. Zapatrzywszy się z tego punktu na bezkrólewie po Auguste III, i uważając je jako sumę nabytków moralnych, uzyskanych przez czas panowania tego króla, trzeba by o tem panowaniu wydać bardzo niepoehlebne świadectwo: bezkrólewie to bowiem było nie tylko jednym z najburzliwszych, jakie zapamiętano dotychczas, i przedstawia nietylko najchaotyczniejszy zamęt pojęć, widoków i wyobrażeń, ale co najważniejsza, przedstawia także w rozpaczliwym ubezwładnieniu moralnem tę naówczas część główną narodu, która przez cały ciąg dziejów odznaczała się tak sprężystą energią, że nią łamała wszystkie zastępujące drogę jej zamiarom przeszkody, a narazcie i owym sławnym politycznym instynktem, który częstokroć wart był daleko więcej, niżeli rozum stanu i najgłębsza rozważa innych państw narodów.

W tem bezkrólewiu tego wszystkiego nie było — a lubo jedna frakcja ogółu wystąpiła otwarcie z opiniami takimi, które możeby były mogły sprowadzić naród w ko-

lej jego dawnych dróg i przeznaczeń, opinie te jednak były naówczas reprezentowane tak słabo, a ich wyobraźciom brakło do tego stopnia na energii i siłach, że nie umiejąc zyskać dla siebie dość popleczników, nie byli w stanie nawet wystąpić z niemi na polu elekcyi i skończyli tylko na wewnętrznych zamieszkach i zaburzeniach. Jakie były te zaburzenia, jaki ich charakter i zresztą pojedyncze wypadki, każdemu z dziejów dostatecznie wiadomo — nam tedy nie pozostaje nic, jak tylko dodać, że podczas owych zaburzeń zapleśniała w długim spokoju szlachta tak się na nowo zniepokoiła i rozwłóczyła, iż, lubo wówczas bezkrólewie już było skończone i Stanisław August obrany królem, ona przecież po części rozdrażniona w swoich ambicyach, po części zaś całkiem zawiedziona w widokach, włóczyła się i zjeżdżała całemi hurmami po domach, radząc i wykrzykując po czasie. Tutaj też leży powód, do którego tak wielu gratulantów zjechało się na imieniny starosty.

Zjazd też ten był nadzwyczaj liczny i rozmaity. Obiedwie sale, lubo tak wielkie, były jakby nabite szlachtą najródniejszej fantazyi i kraju, od karmazynowych potentatów wojewódzkich i powiatowych, do chudopacholskich szaraków, od białowłosych starców do gołowąsych młodzików. Widziałeś tedy pomiędzy nimi nietylko kasztelanów, jak Rospierski, Konarski i Spicimirski, nietylko wyobraźcieli najznakomitszych tamtejszych domów, pomiędzy którymi rej wiedli Szembekowie, Karśnicey, Załuskowscy, Garczyńscy, Dąbscy, Zalewscy, Zarembowie, Chodakowscy, Biernaccy i inni — nietylko zresztą całą szlachtę osiadłą, między sobą znajomą — ale nawet i figury takie, o których nikt nie wiedział, skądby byli i jakieby nosili nazwisko, i których sam gospodarz nawet nigdy nie widział na życiu. Pomimo to przecież, albo raczej właśnie dlatego, starosta był uradowany niezmiernie, węża kręcił, w tył wyloty zarzucał, a każąc swoim pajukom coraz lepsze wina wynosić z piwnicy, sam przepijał, sam zdrowia przy obiedzie wymyślał i tak wszystkich rozserdeczył, roz-

tkliwił, że niektórzy, poobracawszy się ze stołkami ku sobie, brali się już w ramiona, rzewnymi zalewając się łzami.

Jakoż tak było aż do końca obiadu.

Lecz po obiedzie, — kiedy się damy wyniosły do komnat przyległych, a na ich miejsce wniesiono całą beczkę wina, którą na kobylicach, już naprzód na to przygotowanych w sali, postawiono do powszechnego użytku, a oprócz niej jeszcze przyniesiono i kilka przyniesionych zapleśniałych butelek, — wkrótce całkiem inny animusz zaczął wstępować w zgromadzenie, a z niego inne wywiązywać się sceny.

O ówczesnej głównej sprawie narodu nie było wprawdzie mowy, bo fakt główny, elekcya, była już dokonana i to tak dobrze, że istotnie nie było co o niej wspominać, — ale natomiast zaczęto tem głośniej rozprawiać o tego faktu antecedenyach. A więc o sejmikach i wyborach posłów na sejmy, o sądach kapturowych i jego wyrokach, o poplecznictwie tego lub owego stronnictwa, o intrygach i przekupstwach czyli tak zwanych praktykach politycznych, i zgoła o owych wszystkich sprawach i sprawkach, z których składało się bezkrólewie. A kiedy o tem wszystkim rozprawiano przy rozegrzanych głowach, oczywiście że przytem zaczęły wychodzić na jaw pretensye do pojedynczych osób, podejrzenia, oskarżenia a nawet i całkiem prywatne osobistości. Jakoż już z samego początku można było uważać, że w jednym kącie zaczęto się czepiać Chodakowskiego o niedojście jakiegoś sejmiku w Szadku, — w drugim kącie obłożono Karśnickiego, podkomorzego ziemi wieluńskiej, i zarzucano mu opieszałość w porozumieniu się z księciem biskupem krakowskim, — a gdzie indziej, bardzo nawet niepowściągliwie, obwiniano Kossowskiego, starostę sieradzkiego i posła, o śmierć Karłowskiego, starosty kruszwickiego, rozstrzelanego za wyrokiem sądu kapturowego w Kcyni. Z tych zarzutów i obwinień, które coraz więcej nabywały energii i głosu, zaczęły wyradzać się inne, to pomniejsze, to większe, — stąd tumult i wrzawa, zgiełk i zamieszanie powszechne.

A lubo wtenczas, w jednym kącie bawialnej sali, kilkunastu szlachty, obsiadłszy stolik zastawiony kilka bute-

lek, śpiewali sobie najspokojniej starą piosnkę, wykrzykując chórem:

Kurdesz! kurdesz! kurdesz nad kurdeszami!

W drugim zaś kącie sali jadalnej ichmość szaraczkowi, siedząc na ziemi przy beczce i drwiąc sobie z kłótników, śpiewali równie głośnie:

Siedzi zając pod miedzą,
A myśliwi o nim nie wiedzą,

pieśń bardzo długą i zajmującą kilka stronnic in quarto w jednej z ksiąg Pieśni ówczesnych: przykłady te jednak nie wywierały na swarzących się żadnego wpływu, przeciwnie nawet, zgiełk się wciąż wzmagał i zamieszanie rosło do zatruwających rozmiarów.

W zamieszaniu tem nawet już nie można było dosłyszeć, o co gdzie chodzi. Zgiełk bowiem był tak powszechny i jednostajny, jakby brzęk pszczoł w kilkudziesięciu ulach, słów i frazesów mnóstwo, ale wszystkie ze sobą zmieszane, nad które czasem tylko wyleciało jakieś słowo gwałtowniejszego gniewu, ale czasem już także dawał się słyszeć szczeń szabel i kordów.

Widząc to starosta bydgoski, był przerażony niezmiernie. Znał on najlepiej swych gości i wiedział, że lada chwila mogą się porwać do szabel i skieroszować którego z tej szlachty, których się tak gwałtownie czepiają, lada chwila dom jego, który dotychczas był jakby świątynią zgody, mógł być obłany krwią bratnią i jako miejsce krwawego wypadku stać się sławnym w powiecie. To przerażiło starostę niezmiernie, — jakoż latał on jakby sparzony pomiędzy wrzaskliwych i szarpiających się już panów sąsiadów i usiłował ich koniecznie uspokoić i zgodzić. Nigdy też on nie pokazał po sobie tyle energii, nigdy tyle zapału w swoim medyatorskiem rzemiośle, ile w tej chwili. Jego twarz cała, lubo błada w ten moment, była jakby pełna natchnienia, jego oczy pełne żywego ognia, jego usta pełne wymowy. Tak biegał on przez obydwie sale i wpadając wszędzie, gdzie było niebezpieczeństwo,

rzucał się między skaczące ku sobie strony, tych obimając w ramiona, do drugich modląc się jak do świętych, a trzecich nawet na własnych rękach z pośród tumultu wynosząc.

— Panie mieczniku dobrodzieju! — wołał on razem tu i owdzie się obracając — panie skarbnikowiczu! jeżeli masz tylko szczyptę przyjaźni dla mnie! jeżeli Pana Boga masz w sercu!... Panie wojski łaskawco! panie chorąży! na rany Chrystusa Pana was zaklinam, dajcie pokój tej kłótni! Co się stało, to się już nie odstanie! Pan starosta temu nie winien! Ja was kocham, wielbię, szanuję, jak'em sodalis, jak sobie życzę wiekuistego zbawienia, on ani ręki nie przyłożył do tego!... Chodź, chodź czempredzej starosto! bo cię tu jeszcze poranią!...

I to mówiąc, zasłoniwszy sobą piersi starosty, wyrzucił go siłą z koła oblegających go napastników. Tak wpadł także w kąć drugi, gdzie się na Chodakowskiego rzucano, — także Szembeka i Karśnickiego. Tak się rzucał nareszcie i dalej, kłękał przed zaciekrzewionymi panami bracią, całował ich po rękach i nogach, zaklinając na wszystkie Bogi, aby pamiętali na honor jego i swojego własnego imienia i nie zrywali się do przelewu krwi bratniej, który im może przynieść tylko hańbę, i przekleństwo Boże na wieki.

Wszystko to wszakże nie przynosiło żadnego skutku. Chociaż bowiem i tu i owdzie udało mu się zaciekłość trochę uśmierzyć, rzekome uspokojenie to trwało tylko dopóty, dopóki on się nie odwrócił gdzieindziej; jak tylko zaś jego nie stało, spór dawny się wszczynał na nowo i wybuchał jeszcze nawet gwałtowniej. Lubo tak gorąco zajęty, uważał to jednak starosta — i już natenczas zaczął opadać w energii, tracąc resztę nadziei.

Jednak nie dosyć na tem, w tej chwili bowiem, nie wiedzieć skąd i jakim sposobem, wpadł jakiś szlachcic do sali, który na zaciekłych i już do bitwy się rwących wywarł wpływ taki, jakby kto na ogień nalał oleju. Był to szlachcic przysadkowaty i mały, w szaraczkowym kontuszu i karmazynowym żupanie, twarzy prawie pąsowej, ale

tak gęsto pokiereszowanej, jak bót stary łatany, co mu dawało wyraz dziwnie charakterystyczny i niemal typowy sejmikowego rębacza. Miał on przytem czapkę jasno-zielonego koloru na głowie, co oznaczało dawnej partyi saskiej stronnika, i szablę dobytą w rękę, i tak w czapce na głowie i z szablą w rękę przebiegł prędko obydwie sale, wołając w głos:

— Kieresz! kieresz! kieresz! kieresz panowie bracia!

Czy to był znak, przez jakąś fakeję naprzód już umówiony, czy tylko przypadkowe zdarzenie, mające swoje źródło jedynie w rozgrzanej fantazyi sejmikowego junaka, nikt z stateczniejszych świadków tej sceny nigdy potem nie doszedł: to tylko wtedy widzieli wszyscy, iż na ten znak podniósł się okrzyk w obydwóch salach, niemal większa połowa zgromadzonej szlachty zaraz nakryła głowy i zaczęto dobywać szabel.

Moment to był stanowczy, — za małą chwilę miała już wytrysnąć krew bratnia.

Widząc to starosta, zbladł jak ściana i upadłszy zupełnie na siłach, zatoczył się jak zemdlony na środek sali, gdzie oparłszy się ręką o stół ogromny, na tem miejscu stojący, w zupełnej bezwładności i z głową obwisłą, nie chciał już nawet widzieć, co z tego będzie.

Wszakże kiedy się działo to wszystko, przez cały czas tego zgielku i gwaru, o brzeg głębokiej framugi gotyckiego okna oparty, stał młody człowiek, który się przypatrywał tej scenie z coraz więcej wzrastającą uwagą, ale powszechnego zapалу w najmniejszej części nie dzielił. Był to młodzieniec bardzo pięknej, można powiedzieć, nawet uderzającej urody. Smukły wzrostem nad innych, chociaż nie nadzwyczajnie wysoki, nie miał on więcej lat jak dwadzieścia i parę; twarz jego była piękna, biała jak u kobiety i niemal wypieszczona cokolwiek, oko duże ciemnoniebieskie, długie ciemno blond włosy spływały mu w zgrabnych kędziorach na plecy — a jego cała postać była wzorem tej zgrabności i wdzięku, któren, lubo nie rzadki wówczas nawet i u szlachty drobniejszej, mógł być nabytym tylko na wielkich dworach.

Był on zresztą ubrany w kontusz z czarnego cienkiego sukna i żupan także czarny morowy, a nawet i pas czarny jedwabny ze złotą fręzlą, co bez wątpienia oznaczało załobę: jednakże tak z kroju tych sukien, jak z bogatej spinki pod szyją i w korale oprawnej rękojeści u szabli, jeszcze o tyle więcej potwierdzał się już przedtem powzięty domysł, że młodzieniec ten, jeżeli nie jest synem jednego z najzamożniejszych domów, to przynajmniej, przez familijne relacye albo jakieś inne szczególne względy, stał się uczestnikiem tych przywilejów w wychowaniu i życiu, jakie naówczas służyły wyłącznie tylko najpierwszym domom. Wśród zbiegowiska szlachty, po największej części pomiernej a zresztą nawet ubogiej, już sama powierzchowność tego młodzieńca była uderzającą; wszakże daleko więcej jeszcze uderzającą była twarz jego, która lubo na pierwszy rzut oka odróżniała się od innych tylko niezwykłą gładkością, przy dokładniejszym rozpatrzeniu się jednak znamionowała w wysokim stopniu to, co my dzisiaj nazywamy inteligencją. Pod tem czołem wyniosłem, podnoszącem się śmiało nad ogolone głowy i kurzące się czupryny, widać było niewątpliwie myśl głębszą i obszerniejsze o wszech rzeczach pojęcie, jego ciemno-błękitne oczy, lubo więcej melancholiczne, niż bystre, zdradzały się same z siebie, że nie tylko patrzają, ale także i widzą — a stąd domyślać się należało także, że i pod tym czarnym kontuszem bije serce umiejące czuć tkliwiej i głębiej, niżeli te wszystkie serca tak nazwane gorące, które się zapalały nagle jak proch na panewkach, ale też i gasnąć umiały tak prędko. Jakoż i teraz, patrząc niby zupełnie obojętnie na zgiełki i gwary szlachty, widać było w nim, że patrzył z coraz więcej wzrastającą uwagą, kaźden ruch śledził i chwycił kaźde ważniejsze słowo: a kiedy stąd po jego twarzy rozlewał się wyraz coraz głębszego smutku a czasem nawet nieutajonej goryczy, można było być pewnym, że jest to wyraz najszlachetniejszej boleści nad tem, że tak piękny i drogi materyał, mogący być na innej drodze do najwspanialszych czynów użytym, sponiewierany już jest

do tego stopnia, iż już tylko na kłótnie domowe i krwawe burdy wystareza.

Jednakże ten młodzieniec nie był tak obojętnym do końca.

Kiedy bowiem zgiełk zaczął się wzmaczać a z pojedynczych wykrzykników, podnoszących się w górę, nie trudno się było domyśleć niebezpieczeństwa, jakie powszechnemu spokojowi a głównie niektórym osobom groziło: jego twarz żywym się obwlokła rumieńcem, a jego oczy zaczęły nabierać coraz większego ognia i blasku. W dalszym czasie, kiedy niebezpieczeństwo było coraz groźniejsze i lada chwila mogła już gdzieś szabla dobytą zabłysnąć: on się jeszcze więcej ożywił, odsunął się od framugi i już prawie drżał cały, jak gdyby czekał tylko ostatniego powodu, ażeby do zgiełku się wmieszać. Wtedy wpadł ów szlachcic wrzaskliwy, wołając wszędzie:

— Kieresz! kieresz! kieresz!

Szlachta nakryła głowy i zaczęła dobywać szabel. Był to moment ostatni i rzeczywiście decydujący.

W tym momencie ów junak sejmikowy, stanąwszy pod kolumnami, zaczął wrzeszczeć chrypliwym głosem, czynając swoją perorę od słów:

— Panowie bracia! najdują się tu między nami figury, którym się od nas zapłata należy! panowie bracia!...

Ale w tymże momencie ów młodzieniec od okna rzucił się jakby piorunem rażony i wyskoczywszy jednym skokiem na ów stół ogromny, o który się w swoim omdleniu oparł był starosta bydgoski, głosem tak czystym i donośnym jak dzwon ze szlachetnego kruszcu ulany, zawołał nagle ponad głowami wszystkich:

— Mości panowie!...

Już samo wskoczenie na stół i postać jakaś unosząca się nad tłumem gwarliwej szlachty, byłaby była zdolną zwrócić uwagę na niego, zwrócił ją wszakże jeszcze daleko więcej przenoszący gwar cały głos jego, — jakoż ucihli na chwilę: wtedy takim samym głosem zawołał młodzieniec znów:

— Mości panowie i bracia! Jeżeli są tu pomiędzy

nami ludzie, którzy zasłużyli na karę, to ich wszystkich weźmiem na szable i powycinamy do nogi! Będziem ich rąbać, siekać, ćwiertować, a ćwierci porozwieszamy na wiekiście pamiątkę przy drogach! Ale pierwszej posłuchajcie, co powiem!

Kiedy to mówił młodzieniec, gwar był uciął niemal zupełnie; lecz przy ostatnich słowach wzniecił się on na nowo:

— A to co będzie! — wołano razem z kilku miejsc różnych — precz z oratorem! Nie potrzebujem perory!

— Panie podstolicu, ze stołu!

— Panie paziu królewski! a pod stół!

— A do antykamery!

— Precz z niemcem! nie dawajcie mu mówić!

— Nie potrzebujem nauki! precz! fora ze dwora!

— Za drzwiami! za drzwiami! — wołali inni, wykrzykując i rwąc się naprzód, albo się chowając za plecy innych.

Wszystkie te krzyki wszakże, które trwały tylko jedną sekundę, nie zatrwożyły ani nawet zachwiały młodzieńca; jakoż krzyknął on teraz jeszcze daleko głośniej i prawie tonem rozkazującym:

— Mości panowie! proszę drzwi zamknąć, żeby stąd ani jedna noga nie wyszła przed czasem, i proszę słuchać, co powiem! Jestem obywatelem tej ziemi, takim samym jak i z was każdy, i głos mi się zawsze pomiędzy wami należy! Czy jest kto, który mi głosu tego odmówi? — Jeżeli jest, niech wystąpi, pierś do piersi i oko w oko, a odpowiem mu tak, jak na mnie przystało!

To mówiąc, przybrał rycerską postawę i uderzył ręką po karabeli; jakoż zaraz zgiełk uciął a stąd i z owad dały się słyszeć głosy:

— Dajcie pokój! niech mówi!

— Nie należy odmawiać głosu nikomu!

— Butnie mówi, ale niech mówi!

Jak tylko zgodzono się na to, aby głosu wysłuchać, była to już tak jak połowa zwycięstwa. Jakoż młodzieniec zebrał się zaraz i zaczął mówić.

Co mówił i jak mówił, już nas to mniej może obcho-

dzić. Nie chodziło tu bowiem o to, co mówić, tylko ażeby mówić, mową uczynić przerwę w namiętym ferworze i tym sposobem ferwor ochłodzić. O tyle więc tylko trzeba było mówić do serca, ażeby nikogo nie znudzić, i perorę ile możności przedłużyć. A to pod owe czasy przy ładającej wymowie nie było trudno, zwłaszcza mając przed sobą auditorium, złożone w największej części z miernych a więc i mało, albo i całkiem nieoświeconych szlachciców. Jak bowiem dzisiaj widzimy, często lud wiejski słuchający niezrozumiałego dla siebie kazania, a pomimo to słuchający cierpliwie, wzdychając z szczerego serca a częstokroć nawet rzewnymi zalewając się łzami, tak naówczas i ogół szlachty, zaprawdę nie o wiele więcej wykształcony książkowo od dzisiejszego ludu, łatwym był do zamienienia w cierpliwego słuchacza. Jeżeli zaś pomiędzy słuchaczami znajdowali się tacy, którzy mieli trochę więcej nauki, to i tych nie było zbyt trudno zająć i ucierpliwieć: jak bowiem ówczesna nauka była tylko kościotrupem nauki a nie rzeczywistą nauką, jak się cała składała tylko z form suchych i pustych a nie z myśli jędrnych i żywych, tak i mowy dość było rzucać szumne, wypiętrzone frazesy, pełne łaciny i mitologicznych porównań, ażeby jak najpowszechniejsze pozyskać oklaski.

Perorujący młodzieniec znał też dobrze swoich słuchaczy i wiedział o tem, jakimi środkami jaki cel może osiągnąć; lecz przytem wiedział on także i o tem, że nie dość jest osiągnąć cel bliższy, jeżeli można osiągnąć i dalszy. Nie dość uspokoić umysły na teraz i tę tylko chwilę ubezpieczyć od rozlewu krwi bratniej, jeżeli można przez wyjaśnienie i ocenienie samegoż powodu nieporozumień, powód ten w samem źródle utłumić i przez to uniemożliwić podobne zaburzenia i na dal. Jakoż to mając na myśli i czując w sobie dosyć siły do osiągnięcia tego zamiaru, wzywał on Marsa i Bellonę, oświecającą umysły Minerwę i kłosoносną Cerenę tylko dopóty, póki go nie zaczęto słuchać ze stateczną uwagą, — kiedy zaś to się stało, przeszedł od pustego wstępu do pełnej znaczenia rzeczy i zaczął wykładać po kolei wszystkie główne fazy

sprawy publicznej, przez które przeszła podczas bezkrólewia, dążąc tym sposobem do przedstawienia stanu, w jakim dzisiaj się znajdowała. — W tej swojej mowie nie powiedział on ani jednej rzeczy takiej, któraby nie była każdemu ze słuchaczy wiadomą, nie objawił nawet ani jednego uczucia takiego, któreby się nie odzywało w sercu każdego: ale właśnie dla tego, że wypowiadał to tylko, co każdy wiedział i czuł w głębi swojego serca, oczy i uszy słuchaczy przywierały się z coraz większym zajęciem, z coraz żywszą sympatją do niego. Mówcy bowiem i autorowie mają po wszystkie czasy jednakową kolej losu przed sobą, i stosunkowo jednakową otrzymują nagrodę. Jak więc ci autorowie, którzy, nic nie przynosząc nowego, wypowiadają to tylko, co cały ogół wie i czuje, chociaż sam wypowiedzieć nie umie, nagradzani bywają zwykle najobszerniejszą i najżywszą popularnością: tak też i mówcy, którzy umieją pierwsi stać się wyobraźicielami już gotowych a nie przedstawionych jeszcze opinii i uczuć, cieszą się zwykle największą ciszą podczas swojej mowy i najżywszym zajęciem.

Taka też nagroda spotkała i perorującego ze stołu młodzieńca, i trzeba mu to przyznać, że na nią rzeczywiście zasłużył. Mówił on bowiem nietylko ozdobnie i płynnie, ale i ze znajomością rzeczy, godną powszechnego uznania. Wszystkie zdarzenia bezkrólewia, lubo epoka ta jeszcze wtedy nie była częścią narodowej historii, znał on nietylko ze słuchu, ale i z dokumentów publicznych, które niejednokrotnie przytaczał; zdarzenia te przedstawiał on z historyczną skrupulatnością, a co ważniejsza, umiał je nietylko historycznie ze sobą zestawić, ale określił także ich dziejowe znaczenie, z którego to punktu jednocześnie bardzo jasno rzucił światło i na politykę ówczesną, dając przytem do zrozumienia, co ta polityka już uczyniła i co jej jeszcze do uczynienia zostaje. Krótko mówiąc, pomiędzy szlachtą ówczesną, — umiejącą czyny spełniać, ale rzadko się zastanawiać nad nimi, umiejącą czuć głęboko i żywo stanowiące o sprawie publicznej zdarzenia, ale nie znającą się weale na tem, co jest polityczna rozważa, —

zajaśniał on w tej chwili jak lampa oliwna, przy której świetle promiennem, jego słuchacze, po raz pierwszy dziś podczas bezkrólewia, zajrzeli czystem okiem w swe własne serca i po raz pierwszy także objęli okiem cały ten chaos wypadków od razu, który dotychczas oglądali tylko częściowo, pod promieniami chwilowych żądz i uniesień. Była to ze strony młodzieńca niepospolita zasługa. Umiano też ją ocenić i uszanować — i kiedy zaraz z początku jego perory poodkrywano głowy i pochowano szable do pochew, — teraz go słuchano z wytężoną uwagą i była cisza, jak podczas nabożeństwa w kościele.

Widząc tę przewagę, ten spokój, to uczucie uszanowania, rozlane po całym tem zgromadzeniu, niedawno jeszcze tak wzburzonym i rozszokowanym, można było być już zupełnie pewnym, że jakiegokolwiek ostateczne wrażenie wywrze ta mowa młodzieńca, szlachta już ani pomyśli o wznieceniu na nowo dawnego zgiełku, i krew braterska pozostanie w całości, czyli mówiąc ówczesnem słowem: uchowa się na lepsze czasy Rzeczypospolitej.

Takiem też napełniony przekonaniem gospodarz domu, całkiem ze swego przerażenia ochłonał i słuchając tej mowy z najprzykładniejszym oczywiście zajęciem, patrzył nietylko z wyrazem nieskłamanej wdzięczności, ale prawie z nabożeństwem na mówcę.

Tak przysłuchiwali się także i inni.

Nie należy jednakże myśleć, ażeby pomiędzy słuchaczami nie znajdowali się także i tacy, którzy tej mowy nie potrzebowali zupełnie, bo w potrzebie koniecznej, byliby ją także potrafili powiedzieć. W ówczesnej Polsce bowiem, lubo nieuctwo było powszechnem, a i uczoność nawet taka, jaką można było nabyć w ówczesnych szkołach, nie dawałaby jeszcze rzeczywistej oświaty, nie brakowało przecież na ludziach oświeconych istotnie. Oświata ta, której treść główną stanowiła tylko owa moralna, tradycyjna, obyczajowa spuścizna, w dawnej Polsce na wszystkich niemal szlacheckich domach nieodzielna od spuścizny materialnej, — lubo nowoczesne wyobrażenia niemal żadnej do niej nie przywiązują wagi, — była jednak skarbem

tak wielkim, że niepotrzeba było do niej nic więcej, tylko dobrej woli i wrodzonego rozsądku, ażeby nią samą wszystkim obowiązkom podołać, a w danym razie nawet i wielkim czynom wystarczyć. — Dziś tej tradycyjnej oświaty, na której niegdyś opierały się domy, a z której snuł się także w największej części tak wspaniały i świetny żywot całego narodu, nie masz już ani śladu, bo, przyznajmy to sobie otwarcie, samiśmy tę nie złota zerwali, po której z ojców i dziadów spływały na nas te skarby, — i jak nam źle jest z tem dzisiaj, jak pomimo całej naszej nauki, literatury, kunsztów i wogóle całej dzisiejszej cywilizacji, nie umiemy owej zaschłej krynicy starych cnót niczem zastąpić, widzi to każdy, kto tylko nie chce nie widzieć, przyzna każdy, kto ma dobrą wolę do przyznania słuszności. Dzisiaj tedy może już tylko cienie tej pradziadowskiej tradycyjnej oświaty błakają się między nami, — lecz wówczas jeszcze żyła ona w całej swej pełni; i ona to była owem źródłem tajemnem, które pomimo długoletniej ciemnoty i nieuctwa za Sasów, przechowywało przecież w sobie taki zasób skarbów moralnych, że kiedy przyszły czasy po temu, to nie zabrakło krajowi mężów, przypominających cnotami swemi wieki Zygmun-tów i Kazimierzów. Toż i tutaj, jakeśmy to powiedzieli powyżej, nie brakło słuchaczy takich, którzy sami ze siebie znali dokładnie położenie kraju ówczesne — a jeżeli słuchali tej mowy z równem całym zgromadzeniu zajęciem, to czynili to przedewszystkiem dla dania ze siebie przykładu innym, a nareszcie i dlatego, że zawsze młodzieniec, objawiający niezwyčajne zdolności a do tego energię i śmiałość, do wystąpienia publicznego konieczną a nie zawsze towarzyszącą zdolnościom, w samej rzeczy godzien jest tego, ażeby pilną nań zwrócić uwagę. Takimi też byli w samej istocie dwaj poważni mężowie, którzy stojąc przy końcu długiego stołu, na którym stał młody mówca, od początku jego mowy do teraz, śledzili z najpilniejszą uwagą każde słowo powiedziane przez niego. Jednym z nich tedy był podkomorzy sieradzki, białowłosy starzec już wtenczas, szanowany powszechnie nie tylko jako

princeps nobilitatis, ale i jako człowiek znamienitego rozumu, — drugim zaś imię pan stolnik Szadkowski, szlachcic ciekawy, wszystko wiedzący i będący jakby żywą gazetą wszystkich wydarzeń.

Kiedy więc perora młodzieńca już się widocznie zaczęła zbliżać do końca i cichym szeptem nie można już było popsuć sprawionego przez nią wrażenia, podkomorzy sieradzki, który się długo przez okulary przypatrywał twarzy wdzięcznego mówcy, trącił w łokieć stolnika i spytał:

— Proszę waści, a jakże mu imię temu oratorowi?

— To jest imię pan Bierzyński — rzekł na to stolnik — jako się pokazuje, mówca wcale ozdobny.

— Ale co to ozdobny! — zawołał podkomorzy, zdejmując okulary z orlego nosa i chowając je w safianową pochewkę — waszmość zamało powiadasz, bo tam nietylko ozdoba, nietylko *sensus* jak trzeba, ale i zręczność tak sprawna, że zaręczam W Panu, dawno już nie słyszałem tak obrotowego a przytem tak kształtnego języka. Przyłóżno waść tylko uwagi, toż to cytuje *exempla* z historyi, pierwsze lepsze, jakie mu się nawiną, a przecie mu się każdy tak obraca na końcu, jak mu tego potrzeba, i z każdego umie wyciągnąć dowód na swój zrzecnie tajony *pro posit.* Umieć dobrze historyę, nie powinna to być nowina, boć to jest pierwsza rzecz po pacierzu; ale umieć ją tak, aby jej jako broni używać w perorach, jest to zawsze zasługą. A używać jej zrzecznie i z dobrym skutkiem, to już nawet i sztuka. A tę sztukę, ile uważam, posiada ten młodzieniec w wysokim stopniu. Bo już to prawdę mówiąc, trochę on fałszem wojuje z tą swoją historyą. Z przytaczanych przez niego przykładów właściwie inne wypadałyby wnioski. Nie dlatego przegrywali Polacy, że ich niecierpliwość gubiła, ano częściej dlatego, że się zbyt długo ociągali ze sprawą. Nie raz i nie dwa byłaby Polska i nie wiedziała o Ordzie, gdyby jej byli drogę zastąpili zawczasu, a nie aż wtenczas, kiedy już była u Lwowa, albo i dalej. Ale u niego stąd nauka przeciwna, w czem zresztą na dzisiaj niewymownie go chwale, bo tak mówić powinien. W drugim już wniosku jest za to prawy jak

trzeba, bo istotnie dlatego omijały nas z naszych zwycięstw korzyści, że nas stać było na to, aby się zerwać i pobić, ale nie umieliśmy nigdy wytrwać do końca w imprezie, co też i bardzo zręcznie powiedział. Ale że taki młody i taki już wprawny! Rozważając to sobie, tak myślę, żeby to kiedyś mogła być z tego pociecha, żeby tylko zacność była przytem i cnota. I powiadasz waś, że to nasz, sierdżanin?

— Jest on nibyto nasz a niby nie nasz, — rzekł na to stolnik — i jak to mówią, kiedyby było z niego co dobrego, moglibyśmy się przyznać do niego, a kiedy ladaco, to wyprzeć.

A na to podkomorzy z uśmiechem:

— Waszmość zawsze po staremu na dwoje... aleć tu przecie dawniej był między nami Bierzyński, jeśli mnie pamięć nie myli, nowogrodzki podstoli, który miał za sobą Wesslównę, podskarbiego powinowatą, a który posiadał dziedzicznie wieś Gozdawkę po Wesslach.

— Otóż ten podstoli — mówił dalej stolnik Szadkowski — to był ojciec tego młodego, ale był on nie Sierdżanin, tylko z Litwy przychodzić...

— Panie bracie! — zawołał na to podkomorzy — ten Bierzyński nie był z Litwy przychodzić...

Powiedziawszy wszakże te słowa zanadto głośno, spostrzegł się starzec, i nie chcąc przeszkadzać perorze, która jeszcze wciąż trwała, wziął stolnika pod ramię i zaprowadził go w najodleglejszy kąt sali. Tam stanąwszy naprzeciw niego, tak dalej mówił:

— Ten Bierzyński nie był przyrodnim, bo ja sam jeszcze pamiętam Bierzyńskiego starego, który był tutejszy i tutaj mieszkał. — Był to, jak mi się zdaje, ojciec podstolego, a dziad tego młodego. Był on wtedy ubogi, ale pomnę to dobrze, chociaż młody jeszcze byłem natenczas, że powiadano o nim, jakoby był zubożałym i to przez niefortunne procesy. O! otóż teraz dopiero mi to na pamięć przychodzi. Powiadano tak tedy, że jego przodkowie, to jest tego starego, którego ja zapamiętam, mieli tutaj znaczną fortunę, którą przez długoletni proces z Ma-

czyńskimi stracili; przypominam sobie to nawet, że wyliczano naówczas posiadane niegdyś wsie przez Bierzyńskich, które teraz, jeśli się w tem nie mylę do naszego kasztelana należą.

Tu niecierpliwy stolnik chciał się odezwać, ale podkomorzy go chwycił za rękę i mówił dalej:

— Poczekaj waszmość, bo jeszcze sobie coś przypominam. Otóż ten stary Bierzyński, którego ja zapamiętam, prowadził nawet sam jeszcze proces z Mączyńskim. Był to proces głośny swojego czasu, a i naówczas jeszcze tu i owdzie o nim mówiono, i pamiętam to dobrze, że tak powiadano, jakby wskutek tego procesu, który miał być nie całkiem sprawiedliwy ze strony Mączyńskich, duch któregoś z Bierzyńskich miał się jawić na zamku dzisiejszego kasztelana, co jednak, jako *relata* pomijam. To wszakże zapamiętam z pewnością, że dzisiejszy kasztelan zgodził się był z owym Bierzyńskim, co mu nie było trudno, bo jak powiadam, był to człowiek ubogi.

— To mi pan podkomorzy ciekawe rzeczy powiadasz — rzekł na to stolnik, ale go starzec jeszcze raz podchwycił, mówiąc:

— Tylko proszę do tego żadnej wagi nie przywiązywać, bo to są tylko starodawne gawędy, za których prawdę wcale nie ręczę. Nie powtarzaj też waś tego nikomu, żeby stąd jakie plotki nie wyrosły, bo to taki i plotki istotnie. Ale powiedzże mi waś z łaski swojej skądże się tu wzięła ta wersya, jakoby podstoli nowogrodzki z Litwy tu przyszedł?

— Bo taki przyszedł z pewnością, co też i ja sam zapamiętam. A zresztą, toż i sam tytuł jego na to wskazuje. Jak to było, tego już nie wiem dokładnie, ale to pomnę, że był z młodu dworzaninem u kasztelana, a nawet rękodajnym jejmości, potem go długo nie było, bo mieszkał długo na Litwie, skąd też tu przyszedł, ożenił się z Wesslówną i osiadł w Gozdawce.

— Hm! toż to zapewne tak było, kiedy tak mówisz, bo to ja ani z Wesslami, ani też z Bierzyńskimi, a nareszcie i z kasztelanem nie miałem nigdy familijnych re-

lacy. Powiedźże mi waś jeszcze, a pani Bierzyńska sama, jestże jeszcze przy życiu? bo to ja, jako stary i nieruszający się z domu, nawet i tego już nie wiem.

— Pani Bierzyńska żyje — rzekł na to stolnik — i cieszy się swoim synem...

— Wierzę bardzo, że się cieszy, bo i któżby się takim młodzieńcem nie cieszył? Ale powiedźże mi waś jeszcze na zakończenie, bo to pani podskarbina i wdowa podobno w miernym staniku, że to tak syna potrafiła wychować?

— A! bo do tego wychowania także się przyłożył kasztelan, a nareszcie i szczęście, bo też się wiodło podstolicowi, jakby się naprawdę w czepku urodził. Owo więc jak tylko umarł podstoli, kasztelan jego chłopca wziął był zaraz do siebie i tam go chował, nawet i z sumptem, bo osobnego nauczyciela trzymał do niego. Kiedy zaś chłopiec zaczął podrastać, zdarzyło się tak, że, czy to za wdaniem się kasztelana, czy tylko szczęściem, dostał się na dwór pana Potockiego, podczaszego litewskiego, gdzie był paziem lat kilka. Ale stamtąd mu się jeszcze lepiej powiodło, bo się dostał do króla i pobytwszy tam znowu paziem jaki rok albo nawet dwa lata, zakradł się w łaskę jakiemuś niemieckiemu księżęciu, który go wziął w podróż ze sobą i woził, Bóg sam nie wie, po jakich miastach i krajach przez całe lato. Powróciwszy z tej podróży, że to zapewne przez to wypadł był z łaski królewskiej, wstąpił do saskiego wojska i tam służył czas jakiś. Ale na pół roku przed śmiercią królewską dostał się znowu do dawnej służby na zamek, w której też już dotrwał do końca. Po śmierci króla bawił jeszcze w Dreźnie ze dwa miesiące, poczem wreszcie przyjechał do matki i tu zasiadłszy, niby to gospodaruje w Gozdawce, ale w rzeczy podobno stroi się na to, aby jakoś przecie cudzoziemskim zwyczajem podziękować kasztelanowi za odebrane od niego łaski...

— A jakto waszmość rozumiesz? — zawołał podkomorzy, patrząc na stolnika ciekawemi oczyma — miałby

taki zacny młodzieniec taką drogę sobie obierać do znaczenia i szczęścia?

— Ha! tak to bywa u młodych — dorzucił starzec — niema co mówić. Ale nie trzeba powiedzieć, że chociaż to jest wada młodzieży, jest w tem jednak i cnota. Bez tego bowiem, nie mielibyśmy tych ludzi, którzy się w górę wynoszą, nie mielibyśmy tych, którzy ważą swe zdrowie i życie, aby jakiś cel wyższy osiągnąć, nie mielibyśmy zresztą i walecznych żołnierzy. Co zaś do tego młodzieńca, to ja tak mówię. Niema mu to być miane za grzech śmiertelny, jeżeli oko podniósł na kasztelanę, bo kasztelanstwo nie jest to tron niebieski, ani nawet i ziemski. Jest też on sobie krwi zacnej i tak dobrej jak inni, i może także kiedyś zasiąść na kasztelanii, albo nawet i wyżej. Znam ja ludzi, którzy z mniejszego zaczęli niż on, a przecież potem posiadli krzesła i różne inne jaśniejsze zaszczyty: bo to u nas w Polsce droga stoi otworem każdemu i do kasztelanii, i do buławy a choćby też i do tronu, jako to mamy najlepszy dowód na dzisiejszym elekcie. Śmiałybym też nawet powiedzieć i nikt mi tego nie zgani, że bliżej podstolicowi choćby i za rok do kasztelanii, niżeli było stolnikowi przed rokiem do tronu. Mimo tego wszystkiego jednak, ja mu teraz jeszcze tych jego affektów, jeśli to prawda, nie chwaleb, boby to trzeba na to jakoś pierwej zasłużyć. Trzebaby mieć jeszcze cierpliwość, a przy cierpliwości starać się zdobyć zasługę, i zarobić ten i ów zaszczyt, a tak kiedyś za czasem możnaby coś i o tem pomyśleć.

— Ba! takbyśmy to pono poradzili mu wszyscy — rzekł na to stolnik — boć i dobra to rada. Ale chociaż dobra, nie wiem ażali będzie czas do jej wykonania, bo jako slysze konkuruje tam już po formie jme pan Dzierżanowski, człek już skończony, ba i sławny po trochę, z którym sprawa nie łatwa, bo przy tegiej fantazy, ma po sobie jeszcze i księcia Marcina.

— Słyszałem ja także coś o tem — rzekł podkomorzy — lecz widzi mi się, że to trudno może co z tego

być... chyba, że tam nie znają tego pana Dzierżanowskiego?

— Jakże to? — spytał trochę zdziwiony stolnik — to jegomość dobrodziej masz coś przeciwko niemu?

— Jać tam nie mam nic przeciw niemu — mruknął starzec pod nosem — alebym córki mojej nie dał za niego.

— Proszę waszmość pana — pytał stolnik coraz ciekawiej — powiedz mi jegomość dlaczego, bom nie po-mału ciekawy. Tego pana Dzierżanowskiego ja widziałem po kilka razy, kiedy z Francji powrócił, i muszę to powiedzieć, że mi się bardzo podobał. Służył w wojskach postronnych, był w świecie i na dworach też bywał; prezencya piękna, wymowa gładka jakim niebądź językiem, a jako mówią, jest też i fortuna po temu, bo ma to być tęgich wsi kilka koło Zamościa. Kiedy zaś przytem ma jeszcze i zachowanie, ba nawet przyjaźń u takich panów, jako ksiązę Marcin, jako nasz wojewoda i inni, nie rozumiem doprawdy, czemu by się nie miał i kasztelanowi podobać?

To rzekłszy, patrzył na podkomorzego ciekawie — ale podkomorzy nie odpowiadał nic na to. Spytał go tedy znowu:

— Jakże jegomość sądzisz?

— Ja tam nic o tem nie sędzę — rzekł podkomorzy nareszcie — bo mi też nic do tego. Jaka jest prawda, czas najlepiej pokaże. Jeno co do fortuny, muszę opinię waszmości sprostować, bo wiem to pewnie, że do Dzierżanowskich należała tylko wieś jedna, która się zwie Sułowice i leży koło Zamościa, a która przypadła na jmć pana Michała, ale która podczas jego włóczęgi posiadała jego macocha. Powróciwszy z początkiem bieżącego roku pan Michał i zastawszy swój Sułowice w posiadaniu macochy, nie mogąc go dobrowolnym sposobem odebrać, zmówił się z bratem swoim rodzonym, jmć panem Franciszkim, który jest porucznikiem w regimencie Mirowskich, i zrobił zajazd na dom macochy, przy której to imprezie, oświeczywszy i ją i cały dwór jej różgami, wioskę swoją

odebrał. Jednakże wkrótce, bo już to jemu podobno na żadnej nie osiedzieć się wiosec, zrobił dobrowolną umowę z macochą i wzięwszy od niej jakąś sumę niewielką tytułem odstępnego, oddał jej Sułowice napowrót i *in aeternum*. O czem wszystkim wiem dokumentnie, bo tam mieszka zięć mój, od tej wioski o miedzę, który mi to wszystko opisał.

Ciekawy stolnik słuchał tych wiadomości z nadwyzczajną uwagą — ale wtem właśnie Bierzyński skończył swoją perorę i stąd po dłuższej ciszy wszczęła się nowa wrzawa w obudwóch salach. Na pierwszy odgłos tej wrzawy obadwa rozmawiający myśleli, że się dawny tumult rozniecił i zaczynają się znowu dobywać szable — ale tymczasem rzecz się miała całkiem przeciwnie, wrzawa ta bowiem była tylko objawem uznania i afektów dla mówcy. A jak niedawno wybuchy oburzenia, gniewu i złości były gorące, a nawet wcale zaciekle, tak też zaciekle teraz były objawy przychylnego afektu. Serca ówczesne nie znały żadnych dróg połowicznych ani nawet umiarkowania, zwłaszcza też wtedy, kiedy wino porozgrzewało głowy i burzyło się we krwi. Więc jak tylko się mowa skończyła, powstał okrzyk tak głośny, jakby się waliło domostwo — porwano Bierzyńskiego ze stołu, wzięto na ręce i obnoszono po salach — a kiedy rwący się do noszenia, najnielitościwiej szarpali i gnietli nieszczęsnego tryumfatora, drudzy podrzucali czapki do góry, obimali siebie samych w ramiona, nosili także i innych, krzycząc *vivat!* lub *pereat!* ile tylko głosu zmieścili gardła.

Widząc to starosta bydgoski, był znów z kolei niezmiernie uradowany, sam też ile możności do afektów pomagał, sam całował i ścisnął i nosił na rękach — ale tą robotą zajęty wina już nie poddawał. Był też to środek najlepszy do pozbycia się właśnie tych gości, którzy byli najskorsi do każdego rodzaju tumultów. Jakoż i tutaj ten środek okazał się całkiem skutecznym. Kiedy bowiem nie dodawano wina, wkrótce wrzawa ustała — a kiedy i potem jeszcze nie dodawano wina, i ci i owi, uznawszy i słusznie, że już dosyć zabawy, zaczęli się do wyjazdu

zabierać. Za ich przykładem poszli i drudzy. Starosta też już nie zatrzymywał nikogo, tylko żegnając wszystkich, polecał się i nadal ich łaskawej pamięci, myśląc jednakże w sercu, że nie prędko dom swój drugiemu tak licznemu zjazdowi otworzy. Wkrótce też obiedwie sale znacznie się wypróżniły — a kiedy się zmierzchać zaczęło i światło wniesiono do komnat, starosta żegnał w ganku już ostatnią licniejszą drużynę, która nie zostawiła za sobą w salach tylko kilkunastu już szlachty i to samych starszych i poważniejszych.

Wróciwszy tedy napowrót pomiędzy gości i widząc, że to już sami swoi, objął czemprowadz młodszego Bierzyńskiego w ramiona, wołając doń z szczerem zapewne uczuciem:

— A chodźże tu sam, panie bracie, niech cię serdecznie uściskam. Wybawiłeś mnie z wielkiego kłopotu, a pewnie i cały powiat od jakiego nieszczęścia, bo-by się to było pewnie nie skończyło między czterema ścianami.

— Panie starosto! — rzekł na to Bierzyński, oddając z rewerencyą uściski — za to, co się stało, nie należy mi się żadna wdzięczność z nieczyjej strony. Bracia szlachta się zanadto w zapale uniosła i stała już na tym punkcie, na którym niema się na nic żadnego względu i zwykle się popelnia szaleństwo. A żeby powiat swój od takiego szaleństwa obronić, choćby i zdrowie i życie swoje na szwank w tej obronie wystawić, każdego obywatela pierwszym jest obowiązkiem.

Tedy już mowa była o tem, aż rzekł podkomorzy:

— Wpan sobie w tym terminie postąpiłeś tak zręcznie, że jużby lepiej ani sam Cicero w to nie potrafił. Ja się temu już nie dziwuję, bo widzę, że sam w dobrych bywałych szkołach, gdzie i do lepszych jeszcze rzeczy można się było przyuczyc, jakoż jak stary jestem, tak wpanu w tem palmę przyznaję i proszę w imieniu całego województwa, ażebyś swojej nauki zawsze ku wspomnieniu dobra naszego używał. Żebyś jeno nie zechciał zawsze występować w roli mitygatora, bo nas rzadko trza lodem okładać, ano częściejby ogień się przydał tym

naszym kunktatorom, którzy lecą wielkim pędem na sejmiki i zjazdy, a ledwo konie kuja natenczas, kiedy trzeba do sprawy...

— Mości dobrodzieju! — rzekł na to Bierzyński — wmpan możesz być przekonany, że mi położenie kraju obecne jest dokładnie znajome i tylko to było powodem, żem uznał za rzecz konieczną, zgasić zapał niewczesny, który niejednemu szkodę, a nikomu nie byłby przyniósł pożytku. Występowała tu zresztą na teatrum prywata, którą zawsze trzeba niweczyć, nie dopuszczając nigdzie jej miejsca. Ale moje sentymenty są wcale inne i mogę wmpana zapewnić, że kiedy słuszna tego będzie potrzeba, to koń u mnie będzie najpierwej okuty, życia swego oszczędzać nie będę, a co znajdzie się w głowie, tem także, da Bóg przed innymi, wmpanom posłużę.

Poczem wszyscy z kolei ściskali młodzieńca, mówiąc:

— A natenczas licz na nas i bądź przekonany, że służby twoje pewnie bez nagrody nie będą.

— A kiedyby cię trzeba poforytować naprzód — mówili inni — to i to uczynimy, boś wart tego i masz głowę i fantazyę po temu.

Chodakowski zaś i Kossowski, którzy najwięcej mieli wdzięczności dla niego, bo to ich głównie od napaści obronił, jeszcze wyraźniejsze czynili mu obietnice na przyszłość — lecz po tem wszystkim podkomorzy sieradzki, chcąc młodemu dać także i jakąś naukę, nachylił się ku niemu i dodał te słowa:

— Tylkoż pamiętaj, panie bracie i na to, że aby po nagrodę osiągnąć, trzeba pierwej na nią zasłużyć. Nie służy się też dobrze rzeczy publicznej, kiedy się poda w służbę jakim obowiązkom prywatnym. Dobrze jest się ożenić, boć i to trzeba, ale młodemu jeszcze wielki czas na to. Nie masz z tem się co spieszyć, ani obawiać, bo pójdzie za mąż jedna, która się podobała, to się potem podoba druga, a jeśli pójdzie i druga, to jest jeszcze i dziesiąta i setna, a za lat dziesięć także jeszcze się która podoba. Ja miałem lat czterdzieści z okładem, kiedym się

zeni, a jeszcze nigdy tego nie powiedział, żebym do tego sakramentu przystąpił za późno.

Temi słowami starca zdawał się być młodzieniec bardzo nieprzyjemnie przejęty, jakoż nie odpowiadał nie na nie i nawet się pomału odsunął od niego; pomimo to jednak dalsza rozmowa trwała jeszcze przez cały wieczór i dopiero koło północy porozjeżdżali się wszyscy do domów.

Tak się skończył ten hałaśliwy zjazd u starosty, na którym młody Bierzyński dał się zbliżać poznać szlachcic sieradzkiej, bardzo przychylną zwrócił na siebie uwagę i wogóle zresztą zrobił krok tak szczęśliwy dla swojej przyszłej kariery, o jaki inni się starali przez długie lata i z wielkim trudem, a nie zawsze ze skutkiem.

II.

W następującą niedzielę po św. Michale, około godziny trzeciej z południa, gościńcem gładkim, prowadzącym od wsi do wsi brzegami Warty, jechała bardzo piękna, a nawet wspaniała kawalkada powozów.

Jechał więc naprzód, o jakie pięćset albo i więcej kół, kozak w barwie książęcej, który spędzał furi i inne choćby znakomitsze telegi, czyniąc rum dla swych panów po drodze. Był to przywilej ówczesnych magnatów, a nawet i zamożniejszej szlachty, nie obwarowany wprawdzie żadnymi konstytucjami, ale istniejący *de facto* i wykonywany *de facto*, bo kiedy kto nie chciał dobrowolnie usunąć się z drogi, w najlepszym razie dostawał jakieś nieprzyjemne poczęstne od pańskiego stangreta, w gorszym tracił oś albo łusznę u swojego wozika, a czasem nawet razem z wózkiem bywał wrzucany do rowu. Przyznać jednakże trzeba, iż do takich awantur skorzy bywali tylko tacy panowie, którzy nie posiadali powszechnego szacunku i nie umieli na niego zasłużyć, bo wszystkim innym, a okazałe jeżdżącym, ubożsi podróżni z własnej chęci ustępowali z drogi, okazując uszanowanie temu, kto go

słusznie używał. Jakoż i tutaj działo się nie inaczej. Po barwistym kozaku poznawano niemylnie, kto za nim jeździe i uznawano zapewne uszanowanie na swoim miejscu, bo każdy wózek, każda bryka, a czasem nawet i szlachecki karabon, zjeżdżały natychmiast na bok, postępując odtąd noga za nogą i przypatrując się ciekawymi oczyma tej ogromnej karawanie, która, to kureząc się, to przedłużając na skrętach, sunęła jak gad stepowy po gładkiej drodze, wznosząc za sobą nieprzejrzone tumany kurzu.

Składała się tedy ta karawana najprzód z całego oddziału nadwornej milicyi konnej, z poręcznikiem na czele, w barwie książąt Lubomirskich herbownej, której książę Marcin używał, a więc w granatowych kontuszach, żupanach słomianego koloru, takichże czapkach i w pasach czarnych skórzanych bramowanych srebrem i z srebrną klamrą. Za milicyą jechał forys na siwo jabłkowatym bachmacie, a za nim dopiero, sześciami takichże koni uprzężona, wielka kolebka, wyścielona aksamitem błękitnym ze złotemi frzłami — dalej powóz czterokonny otwarty, z takimiż samymi herbami i ozdobami — a nareszcie i trzeci czterokonny ekwipaż, prawie równie błyszczący, ale odmiennym trybem ozdobny i opatrzony herbem Grzymałą. Wszakże za tymi powozami jechał znów taki sam oddział milicyi, jakiśmy widzieli na przodzie, a pomiędzy nim jeszcze i kilku innych dworzan na koniach, którzy byli zbrojni od stóp do szyi i bez wątpienia także należeli do świty, ale mając odmienną, a właściwie żadnej nie mając barwy na sobie, należeli do ostatniego, Grzymałą ozdobionego, powozu.

Tak wyglądała ta kawalkada, która zwracała na siebie wszystkich przejeżdżających uwagę i to nietylko swoją błyszczącą okazałością, ale także i otoczeniem, tak uzbrojonem a licznem — co jednak zresztą nie zadziwiało nikogo, bo były to czasy po tak burzliwym bezkrólewiu jeszcze nie całkiem spokojne, w których jeździć nie zbrojno nie było bezpiecznie.

Jednakże obejrzawszy tę kawalkadę zewnątrz, zaglądnijmy i do powozów. Jakoż w pierwszej zaraz kolebce,

która dla sprzyjającej i żadną chmurką niezamąconej pogody, była do połowy otwartą, siedziało dwóch mężów przy sobie. Obadwa byli jeszcze dość młodzi, okazałych postaci i bogato przybrani, lecz pogładając niememi oczyma przed siebie, obadwa długo milczeli. Osobliwie też drugi — który siedział po lewej stronie i miał twarz ospowata, oczy czarne jak węgle, wąsy butnie wykręcone do góry i bródkę czarną wykrójoną z hiszpańska — tak nisko głowę pochylił na piersi, jak gdyby ją najcięższe przyniatały frasunki. Spoglądał czasem na niego pierwszy, to zasmucenie uważał i zdawało się wtedy, jakby w przelotnych jego twarzy poważnej wyrazach, widoczny się przebijal niepokój; jednakże widać było zarazem, że przemocą tłumil w sobie te przelotne uczucia, rozglądając się przytem po okolicy i bawiąc się złotymi fręzłami u pasa. Aż kiedy na drogi zakręcie, w oddalonym widoku, pokazał im się zamek nad Wartą — zamek duży o kilku piętrach, z ogromnymi basztami i różnymi murami, błyszczącymi śnieżną białością od słońca — rzekł ostatni z przytłumionem westchnieniem:

— Owóż tedy i nasza forteca; aby tylko zdobyta!

Zbudził się tamten ze zamyślenia i spojrzawszy przed siebie, odpowiedział zupełnie trzeźwo, a nawet prawie weselo:

— Gdyby szło o zdobycie, zaręczam księciu, że byłaby to najmniejsza, bo do jutra jużby tam pewno nie inne jeno nasze sztyldwachy straż trzymały na murach; ale tu gorsza, bo tu potrzeba, aby nam się forteca dobrowolnie poddała. Jakoż tak sobie myślę, że gdybym wiedział, iż mam tylko trochę łaski u Pana Boga, to teraz najgoręcejbym się modlił do Niego.

A kiedy mówił te słowa, mimo myśli zapewne, głos mu się zmienił, a z piersi ciężkie i nieledwie bolesne się wydało westchnienie, ale książe rozśmiał się na to i rzekł mu:

— A widzisz, panie Michale! a nie przepowiadałem tego już w domu? nie zmięкло serce, kiedyśmy się zbliżyli do mety? he? Bo to inna wojna jest w polu, a inna z podwika, toż i fantazyja wtedy się składa inaczej, jako

wiem z doświadczenia. Ale jeszcześmy ognia nie dali, jeszcze pora po temu; kiedy zechcesz, możemy nawrócić.

— Mości książe! — zawołał na to tamten, patrząc jakby z zdziwieniem na księcia — Dzierżanowski jeszcze nigdy nie wracał od mety, jak długo żyje. Niechże tedy i tutaj nie wraca, a co ma być, niechaj będzie.

— Chwałę bardzo tę twoją determinację, mój panie Michale — rzekł na to książe z uśmiechem — i mam dla niej respekt tak słuszny, jak dla twojej fantazyi, która mi równie znajoma. Ale chociaż obiedwie te cnoty są osobliwe i może najprzedniejsze ze wszystkich, mają jednak tę wadę, iż nie każdą imprezę koronują zwycięstwem: a że użyte zawczasem, tak w wojennych, jak politycznych tego życia terminach, raczej szkodę niżeli pożytek przynoszą, o tem i nie trzeba powiadać. Osobliwie też w konwencyach mało kto niemi co zyskał.

— I ja może nie zyskam, ale to wiem z pewnością, że przynajmniej nie stracę.

— Stracisz — odpowiedział książe z przyciskiem — i stracisz na zawsze. A żeby było wytrzymać..

— Ale proszę księcia — przerwał mu prędko pan Michał — dajmy pokój już temu, bo jako widzę nigdy się w tem nie zgodzimy.

Wyrazy te, powiedziane cokolwiek zanadto sucho, widocznie nie podobały się księciu, jakoż nie ukrywając swojego uczucia, odpowiedział na nie:

— Jak mi Bóg miły, tak cię wcale już nie rozumiem.

Ale Dzierżanowski odpowiedział tak samo:

— Tedy się nie rozumiemy obadwa, bo ja też także nie rozumiem waszej książecej mości.

Na te słowa książe się już tylko zachmurzył i zaciął w głąb powozu. Zdawało się, jakby sobie postanowił w tej chwili nie mówić już ani słowa przez całą drogę. Jednak zauważył to Dzierżanowski i uznał zapewne, że to nie dobrze, jakoż zaraz odezwał się tonem łagodnym:

— Książe gniewasz się na mnie, a jak księcia poważam, tak niema za co. Bo czy to ja winien jestem tej całej sprawie? czy nie jest ona *ab origine* dziełem samego

księcia? Wszakże już temu będzie lat blisko ośm, jeszcze byłem naówczas młokosem, a kasztelanka małym dziećciem, kiedy będąc z księciem u kasztelana, książeś mi ją pokazał, mówiąc te słowa: — Otóż to, panie Michale, będzie za czasem partya, o którą warto będzie choćby i karku nadstawić. — Śmiałem się wtedy z tego, bo ani to była pora jeszcze po temu, ani też mnie mogły być w głowie takie stateczne projekty. Lecz kiedy teraz natyrawszy się dosyć na lądzie i morzu i nasłużwszy się niemało u postronnych, tak chrześcijańskich jak też trochę i pogańskich, potencyi, powróciłem nareszcie do Polski i postaremu się zgłosiłem do księcia, książe mi rzekł: — A cóż myślisz, panie Michale? — Odpowiedziałem księciu: — A co wiecieć, co za czasem pomyśleć? ale na teraz, radbym też trochę w spokojności posiedzieć. — A książe na to: — A to kiedy chcesz w Polsce osiadać, toby się trzeba ożenić, bo też i czas już po temu. I jeżeli mną nie pogardzisz, to ja sam cię poswatam. — Podziękowałem panu za łaskę, a książe zaraz i dalej: Ot i wiesz co, panie Michale, co mnie na myśl przychodzi? Pamiętasz to tę małą dziewczynkę, którąś nigdy razem widzieli u kasztelana sieradzkiego na zamku? Ona już teraz wyrosła, widziałem ją tymi czasy i powiadam tobie, wcale to gładka z tego wyrodziła się dziewczka. A miliony, jak były, tak i są zawsze, może też nawet jeszcze i podrosły. — Otóż kiedy wola będzie po temu, to ja cię z kasztelanką poswatam, a nie powinnyby tam być oporu, bo to szlachta miejskiego rodu, byli też jeszcze niedawno mieszczanami w Krakowie. — Owo więc, chociaż mówiąc Bogiem a prawdą, nie wiele miałem wtedy ochoty do takiej imprezy, myślałem jednak, że i to byłaby niezła, i pojechałem z księciem do kasztelana. Tam obaczyliśmy dziewczkę: a że mi ta dziewczka dziwnie słodko do serca przypadła i że byłbym się z nią ożenił choćby i tego samego momentu — czy to ja winien temu? Czy mnie bić za to, albo nawet i łajać? Mości książe! za sentymenta swoje nikt nie jest odpowiedzialny, bo rodzą się one same po ludzkich sercach, jako kwiatki na łące: a że u mnie każdy senty-

ment jest taki prędko, jako właśnie piorun, który z nieba upada, i że tak jako piorun słomianą strzechę, tak i on mnie w oka mgnieniu zapala, to także z trudna mam być o to inkułpowany, bo takiego mnie Pan Bóg stworzył i już taka jest moja natura.

Udobruchała znowu ta przemowa księcia, jakoż odpowiedział mu tonem łagodnym, a nawet wesołym:

— Nie myślże, proszę, panie Michale, żebym się gniewał o co na ciebie. Wiem przecie dobrze, co ludzkie serce i co sentymenty gorące, bo i sam pono nie jestem z lodu. Przecież nie dawno temu, sam byłeś świadkiem, że kiedy uderzony przezemnie w głowę, koniuszy mój, Burezymucha, wyzwał mnie na pistolety, to się z nim *eo instante* strzelałem i mam zgruchotaną rękę od niego. Dziś, kiedy sobie tę sprawę rozważyłem spokojnie, sam to przyznaję, że jak głupstwo zrobiłem, że uderzyłem w głowę człowieka, tak i to nie mądrzejsze, że się potem z nim strzelałem, bo to nie była sprawa dla mnie, ani ten hulaj wart tego: ale zrobiło się i przepadło. Tak się też ma i z sentymentami innymi, które nie zawsze człowiek mieć może w swej mocy, a najmniej wtedy, kiedy się już stały affektem. Jestem jednakże zdania, iż do pewnego stopnia, zwłaszcza kiedy jest tego konieczna potrzeba, można przecie nad nimi panować. Są ludzie, którzy to dobrze umieją, ale o tobie tego nie powiem. Bo ty nietylko, że nad sobą nigdy panować nie umiesz, ale nawet i nauczyć się tego nie chcesz. Kiedyż więcej jest roztropność potrzebną, jeśli nie wtedy, kiedy mamy zamiar stan nasz odmienić? Bo tu trzeba nietylko tych ludzi umieć zyskać dla siebie, od których decyzji los nasz zależy, ale i wszystkich także, którzy się składają na rozgłos publiczny. A ty nie pamiętasz ani o jednym, ani o drugim. — Nie wspominam już o innych szczegółach, mogących złożyć dowody na to co utrzymuję; ale trzeba ci też było teraz właśnie robić burdę z macochą i jeszcze do tego pozbyć się Sułowca? Inni ludzie, kiedy mają zamiar żenienia się, właśnie się starają o własność i posiedzenie:

a ty, miawszy już taką własność, porzuciłeś ją, jakby ci całkiem nie była potrzebna.

— Prawda to, mości książę! — rzekł na to Dzierżanowski — że się to jakoś nie na czasie zrobiło, ale już się zrobiło, a nawet powiem, że się inaczej zrobić nie mogło. Przyjechałem do mojej wioski i zastałem w niej osiadłą macochę, baba mi się stawiała butnie, toż i trudno było jej nie oświecyć i nie wyścigać. Ale kiedy na to zaczęli wrzeszczeć sąsiedzi i ja nawet sam przekonałem się potem, że to jakaś nie zła kobieta i mająca zachowanie w sąsiedztwie: trudno znów było jej nie nagrodzić za ból i szkodę. Gdybym też był miał inne jakie fundusze, to bym był ją nagrodził inaczej, ale kiedy nie miałem nic prócz Sułowca, to jej darowałem Sułowiec, wymówiwszy sobie kilkanaście tysięcy.

— Przedni jesteś, mój Grzymalito, jak mnie Pan Bóg miły! — zawołał na to książę ze śmiechem — jedną wieś miałeś i tę darowałeś macosze, a cóż też zostawiłeś dla siebie?

— Juźci to prawda — odpowiedział pan Michał, jakby dopiero teraz zastanawiał się nad tem — już to prawda, że tej wsi szkoda... Ale jakoś się to stało tak prędko... a zresztą stało się! to i trudno żałować. Przecie nie będę żądał Sułowca napowrót, kiedym go raz już darował.

— To za pewne; ależ sam się zostałeś o niczem i to właśnie natenczas, kiedy o własny dom trzeba się starać koniecznie.

Dzierżanowski myślał nad tem, książę się patrzył na niego przez chwilę, a potem dodał:

— No! ale już się tam zresztą nie frasuj o to, bo kiedy będzie potrzeba, to i dom jakiś się znajdzie, żeby tylko było kogo do niego wprowadzić. Jakoż i do tego możeby przyszło, gdyby tylko dosyć podobnej sprawy nie zrobił niepodobną przez pośpiech. Powtarzam raz jeszcze tutaj, co powiedziałem w domu, że pojedę i deklarację uczynię i zrobię wszystko, co tylko będzie w mej mocy, ale tak mówię, że lepiejby było i pewniej, gdybyśmy się jeszcze z tem jaki czas powstrzymali...

— O! co to, to już nie może być! — zawołał na to pan Michał.

— Nie może być, bo sam nie chcesz, ale wiedz o tem, że przez to także sam siebie gubisz.

— Ale przez Boga żywego! jak też książę nie chcesz tego zrozumieć, co już tyle razy mówiłem, a co jest jasne jak słońce! Wszakże już powiedziałem dokładnie, jak rzeczy stoją. Ten młokos Bierzyński ściele mi tam drogę gwoździami już dawno, nosi plotki, praktyki czyni i zgola czerni mnie wszędzie jak może. Czyż mam czekać, aż póki całego dyabła nie zrobi ze mnie? A do tego już podobno nie bardzo daleko, kiedy, jak mi o tem powiadał stolnik Szadkowski, już tam nawet i szlachta krzywiła się na mnie u bydgoskiego starosty na św. Michał. Opowiadał mi nawet, że tam wywlekano i tę macoszyną historię i za moje najlepsze serce, jeszcze psy na mnie wieszano! A wszystko to jest tego zdrajcy robota, który jako widzę, nie darmo chleb jadał razem z niemieckimi ministry i był w łaskach osobliwszych u Bryła, pierwszego mistrza do wszystkich praktyk pokątnych. O cóż mu tedy łatwiej, jak o zbałamucenie starego, kiedy do jego domu ma przystęp tak łatwy, wszystkich ludzi zamkowych po sobie, a do tego jeszcze i taką wymowę, że jedną perorą cały powiat zburzony ukoił. Już to żebym ja tam był się znajdował, zjadłby on był pięćdziesiąt tysięcy... czybyśmy byli nie poobcinali uszów tak Chodakowskim, jak i owemu przeznaczemu posłowi, który instygował na nieboszczyka kruszwickiego starostę: byłoby się też i panu paziowi co po tej liliowej twarzy dostało: ale w plotkach a praktykach innych ja z nim o lepszą isię nie chcę, i co będzie, to będzie, ale niechaj wiem już przynajmniej, gdzie jestem.

— Ale mój panie Michale! — rzekł na to z powagą książę — co też ci tak w głowę włożył ten Bierzyński! Nie przeczę temu, że jeśli się edukował pod ręką Bryła i jeżeli go jeszcze do tego ma w swej opiece jmc pan podskarbi, to on może praktyki czynić, ale temi prakty-

kami swojemi ani sobie nic nie pomoże, ani też tobie popsuje. Bo to trzeba znać kasztelana, a ja go znam dobrze i ręczę tobie, że wszystkie plotki tylce znaczą u niego, co u mnie. Nie myśl też także o tem, żeby Bierzyński w jakibądź sposób mógł sobie drogę uścielić do jego córki. Bo to Mączyńscy przecie także coś znaczą i wiedzą o tem. Lubo więc może po którym obiedzie, jak mi to przypomniałeś dopiero, ja sam się o nich wyraziłem z przekąsem i wypominałem im pochodzenie od mieszczan krakowskich; mówię ci jednak teraz wyraźnie: że pochodzenie takie, jeśli nie przydaje zacności, to pewno jej nie ujmuje, zwłaszcza też jeszcze takim, który jak ojciec jme panny Annuncyaty wodził z chwałą chorągwie jeszcze za szwedzkich wojen, za Augusta III już był kasztelanem spicimirskim, a niebawem wziął kasztelanję siedradzką i dziś siedząc na fortunie tak słusznej, bez krzywd ludzkich nabytej, z prawdziwym zaszczytem dla narodu i siebie, ten urząd znakomity piastuje. Piękne są te splendory, które dziedziczymy po przodkach, ale któż tego nie przyzna, że to jeszcze piękniejsze, które sobie własną zdołędziemy zasługą? Pamiętano o tem w Polsce po wszystkich czasach i ceniono to także i w kasztelanie nie nizko, kiedy i moi rodzice nawet, zawsze statecznym go otaczali szacunkiem i przy chrzcie moim nie znali w całej okolicy nikogo zacniejszego na kuma, jak jego. Wie też to także i sam kasztelan i ręczę ci za to, że tak pracowicie nabytemu splendorowi swojego imienia za lada chłystkiem sponiewierać się nie da. Cóż tu dopiero o Bierzyńskim pomyśleć, który nietylko, że jeszcze nie zgoła nie jest, ani też znaczy, ale jeszcze do tego jako ubogi sierotka, kasztelańską był niegdyś wspomagany jałmużną? O niego tedy nie masz się co wcale obawiać i niemasz tu żadnego *periculum in mora*, a kiedy tak jest, jeszcze raz wracam do mego zdania i mówię, czyby też nie lepiej choć cokolwiek jeszcze czekać?...

— Nie! mości książe — rzekł na to stanowczo i niecierpliwie pan Michał — już tu nie ma co czekać, jeno

deklarować czempredzej i kwita. A zresztą, ja nie mam czasu do żadnego czekania. Bo najpierwej pilno mnie wiedzieć, co też tam o mnie postanowiono u kasztelana? a jeszcze pilniej, co też o mnie na prawdę myśli owa najpiękniejsza ze wszystkich dziewczeczka, jakie kiedykolwiek w życiu widziałem. O! mości książe! Jego mość ani zaśniłes o tem, co to tam za anielskie przymioty siedzą w tem słabutkiem stworzeniu! Gdybyś książe był wiedział, z jaką pilnością mnie słuchiwała, kiedy jej rozpowiadał o różnych wojnach i lądowych i morskich, których bywałem świadkiem a na czas i aktorem, jako też i o różnych narodach, które siedzą po rozmaitych ziemiach; i gdybyś książe był przytem słyszał, jak rozumne mi czasem zadawała pytania: tobyś się był sam w niej rozmiłował na umor. Jakoż kromia gładkości tem mnie też najbardziej pochwyliła za serce i tak zniewoliła ku sobie: że gdyby mi tępym nożem odcinano rękę lub nogę a za nią, tobym się mógł śmiać przytem, jako przy laskotaniu. Z rozmaitych słówek i *circumstancji* słuszną wyprowadzając konkluzję, wiem ja też to i owo o jej sentymentach, a chociaż nigdy nie finalnego nie mogłem z niej wyinkwirować, mam przecie niezgorszą nadzieję: ale sama nadzieja jeszcze nie utuczyla nikogo, a nie jeden już i schudł od niej, zwłaszcza wtedy, gdy była próżna. A ja do tego nie mam wcale ochoty — i dlatego też nie mam czasu do dalszego czekania. Kromia tego nie jest to rzecz także, siedzieć jak mnich na pokucie i czekać, póki zbawienie samo z siebie nie przyjdzie. Jam nie stworzony do tego, bo też i tak rozumiem, że żaden nie powinien być takim. Żaden nie powinien marnować czasu na długie oczekiwanie szczęścia na jednej drodze, kiedy ma sto dróg innych otwartych. Więc chociażby mnie to srodze ukłuło w serce, gdyby mnie konfuzya spotkała w tej hymenowej imprezie, rzecz jednak pewna, że ani bym na to nie umarł, ani też zdesperował, jenobym się w lot rzucił na inną drogę, któraby mnie też może zaprowadziła i dalej, niżeli te tam wieńce i wiana. A że dróg takich mam nie mało przed sobą, samemu księciu to najlepiej wiadomo: bo kromia

tęgo, że mi nasz elekt ofiaruje z kopyta szambelaństwo u siebie, poodbierałem też listów pełno od moich zagranicznych przyjaciół, którzy mnie wszyscy zapraszają do siebie. A jest też po co, bo wielkie rzezy się przygotowują po cudzych krajach i wszędzie znamienite są do zdobycia nagrody. Piszą więc z Francji, że się tam ładodzi wyprawa do ziemi murzyńskiej, piszą zaś z Hollandyi, że się tam kilka okrętów ładuje na wyprawę do Indyów, a i Angielczycy też w domu siedzieć nie myślą i po staremu precz się za morze gotują. Tedy jak tu czas tracić na oczekiwaniu ładajakiego u szlachcica respektu, kiedy tam króle, kiedy tam pierwsze potencye, czekają już z gotowym respektem? jak tu czynić długoletnie zabiegi o marny honor kasztelańskiego zięcia, kiedy tam w każdej wyprawie są nie takie do zdobycia honory a krom szlif generalskich kopalnie złota i srebra, a nawet i całe królestwa?... Jakoż to rzecz więcej jak pewna, że gdyby nie wokacya mojego serca, anibym patrzył na te zamki nad Wisłą i dobra litewskie, bo to wszystko niczem jest wobec tego, co gdzieindziej mieć można. Lecz kiedy serce tak każe, słucham go i tentuję, ale tak sobie mówię: będzie co z tego, to dobrze, siadam w Polsce natenczas i patrzę, jakoby tutaj można wyżyć szczęśliwie? — a nie będzie nic z tego, to ani jednej chwili się nie zabawię, jeno myję w lot głowę temu młokosowi za jego praktyki i ruszam zaraz w świat wielki. Trochę mi się serce zakrwawi ze żalu, ale też je krwią zaraz obmyję, a jak się dostanę za morze, to będzie też gdzie i odebrać.

To rzekłszy, patrzył z uwagą na księcia, jak gdyby wyczekiwał od niego jakiejś ciekawej uwagi, ale książę odpowiedział na to z uśmiechem:

— Zawsze jesteś zdeterminowany na wszystko i w tem doprawdy cię admiruję.

— Niemasz tutaj co admirować — mówił dalej Dzierżanowski — bo tak być każdy powinien. Życie nasze to jeno chwilka. Nie byłoby warte i złamanego szeląga, gdybyśmy mocy nie mieli z każdego momentu korzystać, ka-

zda sprawę w lot kończyć i w skok drugą zaczynać, a czasu próżno nie tracić ani na oczekiwania, ani też na lamente za straconą nadzieją. Niechaj sobie inni smakują w długich kontemplacyach i żalach, ja się do tego cechu nie piszę, bo też jak długo żyję, jeszcze ani jednego dnia nie straciłem nad takimi rzeczami. Dlatego ledwom trzydziesty rok zaczął, a gdzieem był i com widział, tego druga szlachta i przez trzy pokolenia nie ujrzy. A co wiedzieć, gdzie jeszcze będę i o co się oprę?... A od tego mnie pewno nie powstrzyma ani imię pan Bierzynski, ani Kasztelan, ani jego córka, ani nikt w świecie, co też racz książę Kasztelanowi powiedzieć, jeśli tego będzie potrzeba.

— Ej! toż to o tem niema co mówić — rzekł na to książę z uśmiechem — boć to jeszcze na dwoje. Jeszcze rezolucyi nie mamy, a powiem tobie, że jakkolwiek tak bardzo obstawałem za poczekaniem, czynilem to więcej dlatego, ażeby później można z zupełną pewnością do tego aktu przystąpić, ale nie dla tego, ażebym dzisiaj nie miał żadnej nadziei. Tak bowiem rozumiem, że ja to przecie wykolaczę dla ciebie. Staruszek wprawdzie lubi się często upierać przy swoim, ale też i cudzego zdania wysłucha, a ja mam u niego votum bardzo przeważne. Chociażby tedy i miał jakie niechęci ku tobie, toż i te można będzie przeważyć, a że ważyć będę całym moim ciężarem, o tem nie potrzebuję ci mówić...

A kiedy tych słów domawiał książę, zatrzymały się wszystkie powozy. Była to rzecz naprzód już ułożona. Kozakowi, torującemu drogę, kazano się zatrzymać na granicy dóbr kasztelańskich, która z tej strony dochodziła o małeńkie éwierć mili do zamku, — a tu właśnie była granica. Poznać ją można było z łatwością, bo znajdował się w tem miejscu spory lasek brzozy, który dosyć szerokim klinem dochodził do samej drogi, a przy drodze stał słup prawie ogromny, z przybitą u góry miedzianą tablicą, na której były wymalowane herby Kasztelana i Kasztelanowej.

Po drugiej zaś stronie drogi stała murowana kapliczka, w której wnętrzu był umieszczony posąg kamienny, wyo-

brażający św. Wincentego a Paulo. Grunt ten, na którym stała ta kapliczka, należał już do Gozdawki, majątności Bierzyńskich, a posąg jej, wcale przyzwoicie zrobiony i nie rażący żadną monstrualnością, jak inne podobne kapliczkowe figury, był postawiony niegdyś przez jednego z Bierzyńskich, którego imię własne było Wincenty i który tę cześć swojemu patronowi wyrządził na intencję prowadzonego przez siebie procesu. Nietrudno tedy było po tylu znakach poznać to miejsce graniczne, jakoż tu się kozak zatrzymał i tu się zatrzymały powozy.

Widząc to książe, rzekł do swego towarzysza podróży:

— Otóż jesteśmy wreszcie u twojej mety. Wsiadaj tedy, panie Michale, i czekaj tutaj cierpliwie, póki nie odbierzesz wiadomości odemnie. Da Bóg, za jaką małą godzinę przyłeci tu pędem mój kozak i każe ci przyjeżdżać co prędzej do zamku, aby zaraz ugiąć kolano; ale nie dziw się proszę, jeżeli i dłużej poczekać przyjdzie, bo to dzisiaj niedziela, może jakich gości zastanę a może też trzeba będzie długą przeprowadzić dysputę.

— Już mnie pewnie cierpliwości nie braknie, choćby mi przyszło czekać nawet do jutra; daj tylko Panie Boże szczęście! — rzekł Dzierżanowski i uściskawszy podaną sobie rękę, wysiadł z powozu.

Jak tylko wysiadł, cała kawalkada książęca ruszyła wielkim pędem do zamku; powóz zaś trzeci, opatrzony herbem Grzymałą, skręciwszy z drogi, pojechał pod ów lasek brzozowy, gdzie się w chłodzie ustawił.

Pozostali także przy tym powozie i owi niby dworzanie, którzy nie mieli na sobie barwy książęcej i stanowili świtę Dzierżanowskiego. Pomimo to jednak, że stanowili jego świtę na dzisiaj, nie byli to jego dworzanie, Dzierżanowski bowiem nie utrzymywał natenczas żadnego dworu; byli to więc właściwie tylko jego poplecznicy i przyjaciele, którzy mając podobne jak i on usposobienia umysłu i serca a nie posiadając jego samodzielności i tak imponować mogącego szaleństwa, przygarnęli się byli do niego, chcąc niby mu służyć z przyjaźni i uszanowania dla jego heroicznej odwagi, lecz w rzeczy pragnąc tylko pod jego sztan-

darem dogodzić swojej własnej awanturniczości i junakierii. Jest to zresztą rzeczą zwyczajną, że ludzie, odznaczający się jakimś niepospolitym charakterem i odważną przedsiębiorczością do jakichbądź czynów, jak z jednej strony obudzają pomimo woli sympatyę u podobnych a słabszych od siebie, tak z drugiej strony sami się o podobne sympatyczne dla siebie subjekta starają, bez którychby też trudno coś mogli przedsięwziąć a jeszcze trudniej wykonać.

Kiedy więc ci tymczasowi dworzanie razem z powozem podjechali pod lasek, pozsiadali natychmiast z koni, rozkiełzali je z munsztuków i trzęli i, jak to było wówczas zwyczajem, na rozpuszczonych linewkach puścili w paszę; sami zaś zgromadziwszy się razem, trzymając końce linewek w rękach, zaczęli się zabawiać rozmową. Dzierżanowski z początku ani nie patrzył na nich. Odprowadzał on najpierw swojego dziewosłęba tak daleko oczyma, jak długo tylko mógł dojrzeć tumany kurzu, unoszące się nad jego ekwipażami; potem patrzył na zamek, który stąd widać było dosyć dokładnie, i patrzył wzrokiem tak przenikliwym, jak gdyby chciał mury nim przebić i zajrzeć, co się tam dzieje w jego komnatach, — a nareszcie odwrócił się i zaczął się w samotności przechadzać przy brzegu lasku nad drogą.

Wkrótce jednak zbliżył się do gromadki swoich przyjaciół, a wzięwszy tego na oko, który ze wszystkich najbutniejszą miał minę i najgłośniej perorował pomiędzy nimi, rzekł do niego:

— No i cóż ty, Biesiekierski? bo to ty słyszysz jak trawa rośnie, jakże tedy rozumiesz, nim słońce zajdzie, czy będziemy wołać *Victoria!* czy pospuszczamy nosy na kwintę?

— Panie pułkowniku! — odpowiedział spytany — już to sam Pan Bóg tylko wie o tem. Ale w każdym wypadku tak sądzę, że nigdy nosów nie pospuszczamy na kwintę, bo to nie nasza robota.

Dzierżanowski, służąc w wojsku cesarskiem, wyszedł z tej służby z rangą majora, a że rangi wojskowe, za granicą nabyte, zawsze podrastały przez drogę, nim się

do kraju dostały, więc i jego czczono wtedy powszechnie tytułem pułkownika.

— Dobrze to mówisz — rzekł na to pan Michał — boć i tak będzie. Ale przecie, jakże prognostykujesz?

— Jw. panie — powiedział na to Biesiekierski, uchyłając czapki cokolwiek — kiedyby mi dobrodziej pozwolił, tobym miał co powiedzieć.

— A to mów, panie bracie, bez ceregielów! przecie wiesz, że przed przyjaciółmi sekretów nie robię. Już też nareszcie i nie pora po temu.

— Tedy powiem dobrodziejowi — zabrał głos tamten — że taki z tego już nie będzie.

— A to dlaczego?

— Bo już tak jest. Butno to tam bardzo na tym zamczku i skąpo z respektem. Masz też dobrodziej tam i niejednego takiego, który buty mu szyje. Tak mnie to o tem powiadał Jarocki, mój przyjaciel, a kasztelański dworzanin.

— Cóż tedy mówił?

— Kiedym się z nim zjechał niedawno temu w Siemradzu — powiadał dalej Biesiekierski — gdzie był jeździł za jakimiś tajnymi sprawami, żem to był nie pomалу tego ciekawy, pytałem go też i o to, a on mi na to: — Otóż ci powiem, panie bracie, na pewno, że panu Dzierżanowskiemu taki Kasztelanek nie dadzą. Do pewnego czasu jeszcze to było na dwoje, ale teraz już to jest pewno, boć i tak wszyscy mówią na zamku. — Jaka temu przyczyna, już to trudno mi było od niego wyciągnąć, ale z dalszej mowy tak się to niby miało rozumieć, że albo jegomości uszył buty imé pan Bierzyński, albo też panna ksieni, która tam srodze na dobrodziej powstawała mówiąc, żeś dobrodziej heretyk, albo też może i Sułowiecka sprawa zaszkodziła najbardziej, bo i o niej tam wiedzą.

Dzierżanowski słuchał tego i myślał, a w tem drugi towarzysz uchylił czapki i rzekł:

— I jabym też coś WMpanu powiedział.

— Proszęż was — zawołał na to niecierpliwie pan Michał — nie róbcież ze mną tych ceremonii, ano co który

ma, niechaj mówi prosto a z serca, jak Pan Bóg przykazał...

— Tedy powiem dobrodziejowi — mówił prędko towarzysz — że już to nikt inny się WMpanu w tem nie przysługiwał, jeno imé pan Bierzyński. Ptaszek to, dobrodziej, ptaszek, jakimś dawno nie widział. Ledwo z gniazda wyleciał, a już lata tak górnio, jakby miał jutro zasiąść w senacie albo wziąć buławę do ręki. Trzeba go było widzieć u starosty na św. Michał!... Już też i nie wiem, co mam o tem rozumieć.

— A co rozumieć! — zawołał na to trzeci — zdrada to była po prostu a nic innego. Proszę WMpana, jużśmy mieli tak wszystko po temu, już czapki na głowach, już i szable dobyte i już tylko uderzyć; już Chodakowskiego trzymano za pas, a Kossowski się pocił jakoby w łaźni: aż tu nagle ni stąd ni z owąd, jest kaznodzieja na stole! Po kazaniu już też się tylko przeżegnać i wychodzić z kościoła, toż i tak się zrobiło. Ale czy to jest rzecz? hej! żeby nie te przewielebne sensaty, co to jak wezmą człowieka w językowe obroty, to jakbyś był w rękę u mistrza; byłbym ja jego nauczył, co to jest rzucać się krzyżem na drogę, kiedy chorągiew biegnie pędem do sprawy! Jakoż to tam zaraz mówiłem: Ej! moiści panowie! widać to, że niemasz tutaj pomiędzy nami imé pana Dzierżanowskiego, boby to pewno nie skończyło się na kazaniu!

Na to zaś Dzierżanowski chwycił mówiącego silną ręką za ramię i zawołał głosem drżącym od wewnętrznego wzburzenia i gniewu:

— Słuchaj waś! tam mnie pomiędzy wami nie było, ale tu jestem! Jestem! i powiadam ci, że nie darmo tu jestem! Bo czy widzisz waś tę kaplicę? — to mówiąc, wskazał ręką na ową kapliczkę, która przy kopcach granicznych stała po tamtej stronie drogi, — widzisz waś tę kaplicę? tę kaplicę postawił Bierzyńskiego pradziadek, kiedy się pieniał z Mączyńskim o ziemię; a ja powiadam waści, że on tu grób dla swego wnuka postawił! I nie myśl waś, żebym to mówił na wiatr, bo jakom jest Dzierżanowski, jeżeli mnie konfuzyja spotka na zamku, tu jej

na wieczne czasy srogi wystawię monument!... Przypatrzcie się waszność temu cudnemu miejscu zawczasu, żebyście do niego trafili!

Mówiąc zaś te ostatnie słowa, obrócił się sam ku tej kapliczce, od której dotychczas był odwrócony, jakby jej także chciał się przypatrzeć. Lecz obróciwszy się, stanął nagle zdziwiony, jakby mu w oczy wpadł jakiś taki przedmiot, którego nie spodziewał się ujrzeć w tem miejscu.

Jakoż w istocie rzeczy, na ścieżce, prowadzącej prosto do lasku i przecinającej przez tenże las, załamany przy granicach, gościniec, stała w tym momencie jakaś kobieta, która tak kolosalnym wzrostem swoim, jak i jaskrawym i dość niezwykłym ubiorem, mogła każdego na chwilę w zadziwienie wprowadzić. Jednakże Dzierżanowski nie dlatego tak się zadziwił, bo nietrudno mu było poznać zaraz na pierwszy rzut oka, że to była Marta, po kowalu wdowa, niegdyś mamka Kasztelanki, a dziś powszechnie nazwana, to cyganką, to wróżką, — ale się zadziwił dlatego, że mu się zjawiła właśnie w tej chwili, kiedy w przekonaniu, że nie masz żywej duszy nigdzie dokoła, wypowiedział donośnym głosem takie uczucia i myśli, które nie powinny były być nikomu wiadome.

Tymczasem Marta, — która przechodząc tędy, niespodziewanym zupełnie dla siebie widokiem tylu ludzi i koni także niepomąta zdziwiona, zatrzymała się była na ścieżce, stała jeszcze ciągle na swoim miejscu, przypatrując się z ciekawością tym ludziom, którzy niewiedzieć dlaczego popasali pod gołem niebem, kiedy nie daleko od tego miejsca, przy drugiej drodze, prowadzącej ku brzegom Warty, była murowana i wcale przyzwoita gospoda?

Wszystko to wszakże trwało tylko przez oka mgnienie, Dzierżanowski bowiem, jak tylko ją poznał, zaraz kiwnął na nią ręką, wołając głośno:

— Hej! a chodźno tu jejmość!

Poznała go także w tym momencie cyganka, jakoż przybliżywszy się do niego, pokłoniła mu się do kolan, mówiąc:

— Kłaniam się jegomości.

— A gdzie to Pan Bóg prowadzi? — spytał pan Michał.

— Idę do Gozdawki do dworu.

— Do pani podstolnej z plotkami! — zawołał na to pan Michał, zapalając się zaraz oburzeniem i gniewem, jak to było u niego zwyczajem.

Zadrżała na to przerażona eokolwiek kobieta, ale odpowiedziała śmiało:

— Ej! gdzietam, jegomość, z plotkami! Jak długo żyję, nigdy się nie podawała takiej robocie. Już to trzeba zostawić dworskim, bo to ich jest rzemiosło.

— Albo to ty nie dworska! — zawołał pan Michał — już mi ty tylko nie gadaj, bo ja wiem dobrze, jakie to praktyki czynisz po tym gościńcu; nietrza i poczy! Miałbym też wielką ochotę, kazać cię tu pościelić na tej murawie, a owemi brzózkami, eo ich mam tu pod ręką, wytatarować chociaż na ruski miesiąc!

Na te słowa Marta pomimo woli o krok cały cofnęła się od niego i jakby w obronę swoją drżącym głosem odpowiedziała:

— Jeszcze też tego jegomości brakuje!

Ta odpowiedź była też istotnie jak najlepszą obroną, Dzierżanowski bowiem sam teraz się od niej odsunął i pomileczawszy chwilę, rzekł głosem łagodnym i zupełnie spokojnym:

— No! nie bójno się naprawdę, boć ja nie taki straszny, jak mnie może malują. Umieję ja zalać sadła za skórę, gdy trzeba, ale z kobietami jak żyw nie wojuję.

— Jak czasem — odpowiedziała na to patrząc mu w oczy cyganka.

Był to więc zaraz i odwet, i odwet dobry, bo Dzierżanowski, który może teraz po pierwszy raz uczuł całe znaczenie swojego na macochę zjazdu, tak się w tej chwili zawstydził, że i nie wiedział, co mówić. Rzekł jednak w końcu:

— Jakoś butno mi odpowiadasz i owo tak właśnie, jakby ci się koniecznie chciało dostać jakies poczęstne. Ale przecie ja w tobie uszanuję kobietę i dam ci pokój;

jednakże pod warunkiem. Oto masz tutaj dłoń moją, dłoń szeroką jak książka, nie żal na niej poczytać; popatrz więc na nią z uwagą i powróć mi trochę.

To mówiąc, wyciągnął ku niej dłoń prawej ręki. Ale Marta ani spojrzała na nią, mówiąc:

— Ale co też to jegomości? czy to ja umiem wróżyć?

— Otóż masz: wróżka i wróżyć nie umie!

— Ale jak jegomości szanują, tak mi się ani śni o tem.

— A toż znów po jakiemu? toż przecie wróżką jesteś z rzemiosła i zbiegają się ludzie do ciebie z całego świata.

— Ale ich wszystkich naganiam.

— No! to ich naganiasz, ale mnie przecie nie naganisz. Masz tu dłoń moją i wróż mi.

— Proszę też jegomości — rzekła na to Marta, kłaniając mu się znowu do kolan — niech mnie jegomość wyswobodzi od tego, bo to mnie tylko ludzie tak osławili, ale ja nie zgoła nie umiem. Byłam raz chora i w tej chorobie, ot! jak to wszyscy w chorobie, coś tam plotłam, ni to, ni owo. Ktoś to słyszał i tak powiedział, że się to wszystko potem sprawdziło. Otóż i cała rzecz. Ale żebym też kiedy wiedziała, co choć za godzinę się stanie, to jak jegomości życzę szczęścia i wszystkiego dobrego, to nie. A potem, na co to i wróżyć co komu, kiedy i tak każdy wiedzieć może, co dla niego jest przeznaczono?

— A to jak? boć to dziwnyby jakiś był rozum, któryby to potrafił.

— Nie trzeba tu na to wielkiego rozumu, bo przecie każdy to wie, że kiedy sobie poczyna dobrze, to mu dobre jest przeznaczone, a kiedy źle, to złe.

— Anoż to mówisz jak ksiądz. Ale choćby i ksiądz to powiedział, to przecie nie koniecznie to prawda. Ale kiedy masz taki rozum, to powiedzże mi, czy mnie tu dobre napotka, czy złe?

— Ja nie wiem, na co jegomość tu czekasz, toż i nie mogę wiedzieć, co jegomości napotka; a gdybym nawet i to wiedziała, to znowu nie wiem, jakie jegomość sobie ku temu poczynał?

— Ale co tam! — zawołał pan Michał — czym sobie tak poczynał, czy owak, czy czekam na to, albo na owo, to jedno. Ot! tak, popatrz mi w rękę i powiedz krótko: dobre czy złe?

To mówiąc, znowu ku niej rękę wyciągnął, ale ona znowu nie patrzyła na rękę, tylko natomiast w twarz mu popatrzawszy uważnie, odpowiedziała głosem dobitnym:

— Jeżeli to, co tu jegomość napotka, będzie dla jegomości złe, to przecie będzie to dobre, bo będzie dobre dla innych.

— A widzisz, gadzino! — zawołał na to Dzierżanowski — a nie dobrze ja mówię, że ty praktykujesz przeciwko mnie na tej drodze? Idźże sobie do trzech kroć stu tysięcy! — wołał dalej, nabiegłszy krwią cały i trzęsąc się w gniewie — idźże sobie, dopókiś cała, bo cię tu każę na kawałki rozsiekać!... A to mi baba! bodaj was powybijano do nogi!

Tak wybuchnąwszy nagle, wymyślał dalej w rozmaite sposoby, — ale kiedy się to działo, Marty już przed nim nie było. — Za pierwszym słowem bowiem odskoczyła ona od niego i pośpieszyła prędkim krokiem do lasku, w którego głębi wkrótce zniknęła. Dzierżanowski zaś, wyfukawszy się do woli na wszystkich, których miał w posądzeniu o nieprzyjaźń dla siebie, pozostał na swoim miejscu, wyczekując z niecierpliwością wiadomości od księcia.

III.

Za owym laskiem brzozowym, który, jakeśmy o tem wspomnieli powyżej, wązkim klinem dochodził do granicy dóbr kasztelańskich, na gruncie do Gozgawki już należącym, znajdowała się dosyć obszerna wiejska zagroda. — Widząc, że ta zagroda była położona tak daleko ode wsi i w zupełnem odosobnieniu od innych chatek wieśniaczych, jakoż i to, że otoczona prawie dokoła drzewami, zdawała się leżeć wśród lasu: należało się domyślać, że to jest pomieszkanie gajowego albo leśnika. Tak jednak nie było.

Była to bowiem własność tak zwana kmieca, jakich zapewne i więcej znajdowało się we wsi, z tą wszakże od tamtych różnicą, że właściciele tamtych mieli pobudowane swe chaty, obyczajem zwyczajnym, w szeregu wiejskiej ulicy, ta zaś miała swoją zagrodę w środku swojego gruntu. Posiadłość ta zresztą odznaczała się od innych jeszcze i tą różnicą, że kiedy tamte rozległością pól swoich dosięgały zaledwie pół włóki, ta się składała z włóki całej i miała ją w jednym ręku, rozciągającą się pasem szerokim od kopca do kopca.

Miejsce to i na którym stały zgromadzone wszystkie budynki, należące do tej zagrody, nie powiemy, żeby było nadzwyczaj piękne, ale miało w sobie coś dziwnie zacisznego a przez to pociągającego ku sobie. Był to bowiem prawie tak jakby ostęp jakiś, daleko odsunięty od świata, który, opierając się jedną stroną o las brzoźowy, z dwóch drugich stron był otoczony kilkudziesięcią nadzwyczaj starami, rozłożystymi i pomiędzy sobą zagałęzionymi drzewami; z trzeciej tylko strony był widok całkiem otwarty, pokazujący w oddali drogę a za nią ową mурowaną kapliczkę, którąśmy niedawno widzieli. Wszakże pomimo tego naturalnego ogrodzenia było to miejsce obwiedzione jeszcze i płotem wysokim, mocno ocienionym u góry, pod płotem krzewiły się gęsto dzikie róże i głogi, a od strony lasu był usypany wysoki wał z ziemi, który tak był usypany wzdłuż całej granicy. Wchodząc do tej zagrody i widząc, jak była starannie i pięknie zacieniona dokoła, pomimo woli każdego obejmowało jakieś dziwnie spokojne i mile uczucie; a ktokolwiekby miał być jakie ciężkie smutki na sercu, jakąś gorycz do przetrwania albo do przeboleń żalobę, tenby pewnie był z serdecznym westchnieniem powiedział sobie: — Ach! gdybym tutaj mógł mieszkać!

Pomimo to jednak nie było to miejsce urządzone ani do wygodnego, ani nawet do znośnego mieszkania, — co jeszcze o tyle więcej dziwiło, ile że na wszystkim innym oprócz mieszkania, było widać nietylko ład i zamożność, ale nawet ową przezorną i długoletnią troskliwość, jaką

widzimy dzisiaj tylko w starodawnego gospodarstwa za-bytkach. I tak zaraz na samym wstępie uderzały każdego przepyszne, starożytne drzewa, z których nietylko żadne nie było psotniczą ręką popodcinane albo odarte, ale niektóre z nich nawet sztucznie zapomożone, obłożone darniem u dołu, albo w kłamrę ujęte u góry. Pomiędzy temi drzewami znajdowało się nawet kilka istotnie zadziwiającej wielkości, z których naprzód wspomnieć należy pięć lip przepysznych, które stały w samym kącie zagrody od drogi, a po nich olbrzymiego dębu, który stojąc tuż przy wejściu do zwyczajnej wieśniaczej piwnicy, wyglądającej na powierzchnię ziemi jakby mała mogiłka, swoimi rozłożystymi konarami prawie cały dziedziniec ocieniał.

Dąb ten był u pnia tak gruby, że ledwie sześciu ro-słych parobków mogło go objąć rękami; należało stąd wnosić, że musiał jeszcze przynajmniej Bolesławowskie pa-miętać czasy; lecz widać było, że cześć należną tak po-ważnej starości oddawano mu jeszcze i teraz, bo jak cały pień był starannie obłożony ziemią dokoła, tak z jednej strony była przy nim postawiona kamienna ława i jakiś głaz wielki czworograniasty, który niewykwintnym marzy-cielom tutejszym służył zapewne za stolik. Rozpatrując się dalej, widać było taką samą troskliwość i na wszystkich gospodarskich budynkach, które lubo skromne, a jak to wtedy mówiono, wedle staniku, były jednak zbudowane porządnie i fundamentalnie.

Taka więc była jedna duża a druga mniejsza stodoła, takąż stajnia obszerna a do tego nawet wymurowany, wa-pnem narzucony i dachówką pokryty szpiczlerzyk. Tylko na miejscu domu mieszkalnego albo przynajmniej chaty dostatniej, stała mała i przygarbiona lepianka, która była tak uboga a nawet nędzna, że porównyując ją z jej oto-czeniem, nie można jej się było dosyć nadziwić. Na tem miejscu, gdzie ta lepianka stała, widać było wprawdzie ja-kieś stare trawą zarosłe gruzy, prawdopodobnie fundamenty dawniejszego a odpowiedniego domostwa, — widać było także w pobliżu kilka sągów kamienia i cały stos zapewne na nowy budynek nagotowanego budulcu, — ale jak na

kamieniach także już zielska porosły, jak budulec całkiem już ściemniał, chociaż był strzechą słomianą nakryty, tak też i widać było, że o postawieniu nowego domu nikt tu jeszcze nie myśli.

Tak też było w istocie. Właścicielem bowiem, czyli wyrażając się odpowiedniej owoczesnym stosunkom, posiadaczem tej kmiecej roli był stary Barnaba, który sam nigdy tutaj nie mieszkał. Tutaj się on urodził, tutaj wychował, lecz kiedy dorósł, został wzięty do dworu na służbę, w której przechodząc od najniższych stopni szlacheckodworską hierarchię, został nareszcie włodarzem, a po śmierci podstolego nowogrodzkiego, nawet najgłówniejszą figurą w gospodarstwie Gozdawskim. Pani podstolina bowiem, przerzuciwszy niezmiernie wielką liczbę dyspozytorów i podstarościch, przekonała się wreszcie, że od nich wszystkich daleko rozumniejszym i wierniejszym był stary Barnaba i jemu powierzyła zupełne zwierzchnictwo nad rolą, stajniami, oborami, szpichrzami i wszystkim, co stanowiło jej gospodarstwo. Barnaba tedy, lubo Bóg nie wie czegoby nie dał był za to, gdyby był mógł we własnej chacie i na własnym gospodarstwie zamieszkać, nie był jednak w możności tego uczynić, bo mając tak ważne obowiązki względem dworu na sobie, musiał też mieszkać we dworze. Tak więc wyręczając się tutaj także tylko sługami a nie mieszkając sam osobiście, nie widział wcale potrzeby stawiania nowego domu, — i stąd to pochodziło, że w gospodarstwie takim zamożnym, wśród otoczenia tak dostatniego i utrzymywanego troskliwie, pierwsze miejsce zajmowała tak nędzna i przygarbiona lepianka.

Pomimo to wszakże, że stary włodarz tutaj nie mieszkał, przybiegał on do swej zagrody nie tylko tak często, jak tego nadzór jego gospodarstwa wymagał, ale i oprócz tego jeszcze, jak tylko mógł to bez uszczerbku w swych obowiązkach uczynić. Najusilniejsze jego starania o to, aby się mógł od służby uwolnić, nie przyniosły jeszcze wprawdzie dotąd żadnego skutku; ale jego pilność i nieskażona sumienność w dopełnianiu swych obowiązków, której niezbite i długoletnie złożyły dowody, obdarzyły go taką ze

strony dworu ufnością, że mógł się zawsze dowolnie na kilka godzin z niego oddalić, nie obawiając się zarzutu o niedbalstwo. Nie korzystał on z tej swobody zbyt często, bo mu na to nie pozwalało jego sumienie, — ale też za to nie opuścił żadnej niedzieli ni święta, aby całego popołudnia nie przepędził w swojej zagrodzie. Lubił on bardzo ten swój skromny zakątek, tak jak każdy lubi swą własność, — lubił ją jeszcze tem więcej, ile że w używaniu tego dobra był cokolwiek ograniczony, — była też to zresztą może jedyna za jego wszystkie cnoty nagroda!

Jakoż i dzisiejszej niedzieli siedział on tutaj w najulubieńszym dla siebie miejscu, pod owym starożytnym dębem, który jego dziedzinie ocieniał, a koło niego, o ów glaz czworokątny oparty, stał młody chłopiec, który z pewnym wyrazem uszanowania z nim rozmawiał, a raczej tylko odpowiadał na jego liczne i szczegółowe pytania.

Barnaba dzisiaj był to człowiek już stary i zapewne najmniej sześćdziesiątletni. Wysoki wzrostem, był on zbudowany zażywnie i silnie, jak wszystek lud wiejski tamtych okolic. I jak niemal wszyscy starce wiejskiego ludu był jeszcze czerstwy i krzepki, na rzepkowatych policzkach miał jeszcze świeże rumieńce, a cała głowa jego, otoczona białym jak mleko włosiem, i opromieniona dużemi, niebieskimi, myśląciami oczyma, przedstawiała jedną z głów tych cudownych, które nie tylko nas pociągają ku sobie swoją, że tak powiem, niezniweczoną pięknnością, ale pomimo woli obudzają w naszym sercu jakąś prawie religijną cześć i szacunek. Za przypatrzeniem się bliższem jednak nie było widać w tej twarzy żadnego innego wyrazu, oprócz niezawodnej poczciwości, a nawet uderzającej dobrodusznosci, która zdawała się o pierwszeństwo dobić z jakimś niby przygnębieniem wewnętrznem, z jakąś może już przebolełą żalobą, a może jeszcze do dziś dnia żywą, choć już z kolebki wyniesioną, goryczą. Tak siedział on z głową pochyloną na piersi, z rękami założonemi przed sobą i lubo prawie ciągle rozmawiał, zdawał się jednak w jakichś głębokich pograżony być myślach.

Młody chłopiec, który stał przed nim, stanowił z nim

przeciwieństwo prawie zupełne, a co ważniejsza, stanowił nawet przeciwieństwo ze samym sobą. Miał on bowiem teraz lat ledwie szesnaście lub siedemnaście, miał twarz okrągłą, rumianą, świeżą, czarne, żywe, wesołe oczy i wogóle cały zdawał się być pełnym swobody w sercu i swawolnej pustoty w umyśle: a pomimo to był ubrany w jakąś długą po kostki, z ciemnego sukna uszytą, sukmaną, która przypominając, jeżeli nie księżą sutannę, to przynajmniej ubiór bakałarski albo organistowski, była jakby żelazną kłatką, która trzymała na uwięzi swobodną i do lotu stworzoną ptaszynę. Patrząc na tego żwawego chłopca, zakutego w taką rewerendę nielitościwą, mimowolnie zbierała ochota, przystąpić do niego, obdrzeć go z tych więzów sukiennych i puścić na wolne powietrze, niechajby się okazał takim, jakim był w samej rzeczy i niechajby poszedł w świat życia temi drogami, do jakich własne pociągało go serce. Ale na teraz nie można było jeszcze o tem i myśleć, młody ten chłopiec bowiem był to syn starego Barnaby, który dotychczas był w szkołach w Wieluniu, wczoraj przyszedł na ferye do ojca, a po feryach natychmiast miał się udać do dalszych szkół do Poznania, albo też do Krakowa, co jeszcze nie było zdecydowanem.

— I czegożto was tam uczą w tych szkołach? — pytał dalej Barnaba, po małej chwili namysłu.

— Ot! czego by nie uczyli! — odpowiedział chłopczyna — co im się podoba, tego nas uczą. Uczyli zrazu gramatyki i łaciny, potem retoryki i poezyi, dalej matematyki, fizyki, aż też i astronomii.

— Hm! i cóż to jest astronomia?

— Astronomia to jest nauka o gwiazdach, kędy się które znajdują, jakie mają nazwiska i jako lecą po firmamencie.

— I to jest pewno, że one lecą?

— Lecą, tatuniu, tak jak i ziemia do koła słońca, i to tak akuratnie, że żadna z nich ani minutki nie chybi, jeno tam stawa gdzie jej Pan Bóg przeznaczył miejsce.

— Hm! tożto i to dobrze wiedzieć, bo i to potrzebna nauka a jeszcze zwłaszcza dla księdza.

Na te słowa chłopczyna spojrział jak gdyby z trwogą na ojca, i po chwili namysłu zapytał:

— Już mi więc koniecznie być księdzem?

— Albo księdzem, albo takim parobkiem jak ja — rzekł na to starzec stanowczo — innej drogi niema dla ciebie.

— Hm! — odezwał się chłopiec, skrobiąc się w głowę — anóż przecie ja tak rozumiem, że choćbym też i księdzem nie został, to wždy mnie jeszcze nie koniecznie wezmą do dworu.

A na to ojciec:

— Jako śmierć, tak i to cię nie chybi. A im więcej będziesz uczony, im lepiej być możesz przydatny, tem cię prędzej pochwyca. Bo już tak jest. A ja nie chcę, żeby tak było. Nie powinien ja wprowadzić na to płakać tak bardzo, żem jest w służbie we dworze, boć mi z tem źle nie było, i dzisiaj nie jest. Pan podstoli nieboszczyk, Panie świeć jego duszy, był mąż surowy i trochę bitny, jakozż za niego bywało różnie; pani podstolina nosi się także nie nisko i umie także utrzymać rygor pomiędzy ludźmi, ale już też i z dzieckiem własnem nie mogłaby się obchodzić lepiej, jak ze mną. — Mam też u niej i chleb dostatni i zachowanie. Nieraz jaki podstarość albo też dyspozytor z sąsiedztwa, kiedy wejdzie do niej, to stoi przy drzwiach choćby i pół dnia: a mnie i siasć nie nowina przy pani. A kiedy najdzie mnie siedzącego, to już mi nigdy wstać nie pozwoli, a mówi do mnie: — siedźcie sobie Barnabo, boście się nachodzili. — Toż i z paniczem, który się teraz bierze do rządów, ba nawet i lepiej, bo już tam u niego jest i krzeselko przy drzwiach, na którem siadam jako na swoim, kiedy przychodzę wieczór ze sprawą. Ale przecie to wszystko jeszcze nie nie pomaga, bo już taki chłop chłopem na zawsze. Prosiłem pani, mówiąc jej nieraz: — Co jaśnie wielmożnej dobrodziejce to szkodzi? Będę służył poeciwi i wiernie jak dotąd, będę nawet po staremu we dworze mieszkał, dajże mi dobrodziejka swobodę, żebym był wolny, jako niegdyś ojcowie i żebym był o syna spokojny. — Ale ona jak nie,

tak nie, i mówi na to: — Już co tylko zechcesz Barnabo, to zrobię dla ciebie, ale co tego, to nie. Gdybym też miała i najlepszą wolę po temu, tobym jeszcze tego uczynić nie mogła, boby mnie szlachta ukamienowali za taką robotę. — Nuż dopiero perswazyje, że na co mnie tego? — Rozmawiałem też o tem z paniczem, kiedy się już trochę osiedział. Myślałem sobie, wielkiej to pocziwości chłopczysko, to będzie miał wolę po temu; a jest też mężny i ma króla po sobie, to się nie będzie strachał przed szlachtą. Prosiłem tedy i jego, ale i to do niczego. — A więc naprzód się temu zadziwił, że tego żądam, kiedy mi tak dobrze bez tego. A kiedym zaczął trochę lepiej nastawać, powiedział mi prosto: — Już też tej rzeczy nie wymagaj odemnie, bo kiedy tego nie uczyniono przedemną, ja też także nie mogę. Ja jako widzisz dopiero teraz w obywatelstwo wchodzę, to mi się od tego zaczynać nie godzi. — A kiedym jeszcze lepiej nastawał, powiedział zasie: — Już ja to kiedyś z pewnością zrobię, ale co teraz, to nie. — I owóż rzecz. Obiecał on mnie wprawdzie, że tak samo pamiętać będzie o mojem potomstwie jak o mnie, i że go w takim będzie mieć zachowaniu; i może tak! — ale już to co słowo, to wiatr, a z wiatrem przychodzą panom naszym rozmaite fantazyje, a za fantazyją może przyjść i służba, a kto wie, jaka? — Otóż ja tego nie chcę dla ciebie. Nie upierałbym ja się przy tem tak bardzo, żebym to wiedział, że tak samo poddani bywali wszyscy, którzy od wieków na tej roli siedzieli; aleć to tak nie było, bo bywało inaczej. A wiem to o tem od mego ojca i jeszcze dziada, którzy to także mieli od swoich ojców a tamci także od swoich, po wszystkie wieki.

— Już to mnie także mówił o tem ksiądz rektor jegomość — odezwał się na to chłopczyną, który słuchał ojca z uwagą — że to dawniej bywało inaczej, a mówił prawie te słowa: — Kiedyś ty Wojtku synem kmiecia na całej włóce, toż to twoi ojcowie pewno dawniej bywali wolni, bo i jam jest synem takiego kmiecia i tak też bywało i u mnie. Godziłoby się, żeby to kiedy przyszło o tem do mowy na sejmie, ale snać ztrudna może do

tęgo przyjść, boby to pewnie zakrzyczano od razu. A potem już mi o tem nie mówił nic; anoż byłaby to ciekawa to wiedzieć, bo jużto lepiejby było żyć mi tutaj na swoim, niżeli koniecznie zostawać księdzem. A wy ojcie to wiecie?

— Jużto snać tylko tego dębu-by pytać o to — odpowiedział Barnaba — bo on jeden tylko pamięta te czasy, tak się to już teraz pozacierało pomiędzy ludźmi! Ale wiem też i ja coś o tem, jako mówię od ojców, a to miało tak być. Dawnymi czasy, jeszcze z początku, wieki już temu minęły, wszyscy, którzy siedzieli na tej ziemi, byli jakoby jeden. Ten miał jedną włókę pola, drugi miał dwie, a trzeci więcej, ale wszyscy tę ziemię uprawiali zarówno, jako który umiał i mógł. A było wtedy ziemi do syta a ludzi mniej, więc ile kto mógł jej odrobić, tyle jej sobie wziął, stawiał domostwa, zakładał pasieki, zarybiał stawy, a co sobie wyrobił i wystawił, to było jego. Byli też między nimi i tacy, którzy się trudnili łowiectwem, bo było zwierza dosyć i postronni dobrze placili za skórki. A wojen wtedy nie było, — więc żyli sobie wspaniale w spokoju, w dobrem zachowaniu i zgodzie, — i dobrze było wtedy na świecie. Ale za czasem przyszło też i tutaj do wojen. Jeden cesarz niemiecki zaczął zagnąć najeżdżać te ziemie, palić, zabijać, rabować. Trzeba więc było się bronić. Tedy tak uradzili pomiędzy sobą tutejsi kmiecie, boć to wszystko kmiecie byli natenczas, żeby jedni brali za broń i szli na cesarza, a drudzy zostawali przy roli, aby też chleba nie brakło. Najpierwsi, którzy się do wojny zerwali, byli ci, co się łowiectwem trudnili, bo już byli do tego sprawni i do trudów zwyczajni, i ci też wyruszyli na wojnę. Wracając z wojny, kiedy im Pan Bóg poszczęścił, przyprowadzali niewolników ze sobą, a przyprowadziwszy każdy swoich do swojej zagrody, kazał im rolę uprawiać, jako zwyczajnie niewolnikowi. Ale te wojny trwały i dalej — i przyszło do tego, że już nareszcie i nie było bez wojny. Nie mogło więc być i bez ciągłej obrony, która też była po wszystkie czasy. Przyszło więc wreszcie do tego, że byli tacy, którzy zaczęli już tylko

samą wojną się trudnić, i musieli wybrać z pomiędzy siebie starszego, któryby im rozkazywał i nimi rządził. Ale ten, który był do tego wybrany, nie przestał na tem, jeno zarządzając już nimi i mając żelazo w ręku, zaczął też pomału zarządzać i całym krajem, czemu się też spokojni rolnicy już opierać nie mogli. A oprócz niego, zaczęli się także do rządów mieszać i ci, którzy zabawiali się wojną i mieli także żelazo w ręku. A już wtedy ci się nazywali rycerzami, albo też szlachtą, a który im rozkazywał, królem. Ci tedy rycerze, przyprawdzając z wojen wciąż niewolników, osadzali ich albo na swoich starodawnych ziemiach, albo na tych, które pomału dostawali od króla, i kazali im swoje pola obrabiać, albo też robić pańszczyznę. A tak przyszło do tego, że porobiono sprawiedliwych chłopów na ziemi, których dawniej nie było, a z którymi każdy ich pan, albo rycerz, albo też szlachcie, mógł to robić, co mu się podobało. Anoż to teraz rzecz jest ciekawa, jakim sposobem się to stało, że z czasem i owych kmieciów, którzy dawniej byli równi rycerzom, jeno że nie chodzili na wojnę, także przerabiano na chłopów? A to znowu tak było. Kiedy król zaczął rządzić wszystkimi zarówno, którzy tylko zamieszkali tę ziemię, nie zwyczajając na to, czy to byli nowomodni rycerze, czyli też starodawni kmiecie; razu jednego zwołał wiec wielki i zasiadłszy na tronie, tak do wszystkich powiedział: — Moi rycerze służą swej ziemi w ten sposób, że oganiają granice i tłuką na nich nieprzyjaciół: ażaż nie mają jej służyć także i kmiecie? Tedy stanowią wam prawo takie, aby każdy kmieć, który nie idzie na wojnę, płacił mi co rok po dwa grosze z każdego łanu. — To więc prawo stanęło i żaden jemu się nie przeciwiał, bo było też sprawiedliwe; a choćby też było i nie całkiem sprawiedliwe, toby mu się także był nikt nie przeciwiał, bo jakoż ma się przeciwieć ten, który siedzi spokojnie na roli i krom sochy nie ma innej broni przy ręku? — Jakoż byłaby to niewielka rzecz, gdyby było przy niej zostało; aleć to był tylko początek. — Wprędce też potem kazano płacić miasto dwóch groszy po cztery, a dalej po sześć, aż też i po

dwanaście. A po groszach przyszło i dalej. Tedy kazano dawać *osepy*, płacić ziarnem za *stróżę* po zamkach, nuż dostarczać *podwozy*, *powozy*, *przewody* i Bóg sam wie już tylko, jakie oddawać daniny i ponosić ciężary. A wtedy już król powiadał o kmieciach: Owo moi poddani! — Ale i z tem jeszcze jakoś dziadom nie było ciężko i niebardzo płakali, bo kromia tego byli zresztą swobodni, byli właścicielami na swoich gruntach, a oprócz króla nikt do nich nie miał. Sądono też ich wtedy tylko w sądach nadwornych albo też kasztelańskich, a za czasem ich sprawy odsyłało do ziemstwa. Aleć to tak nie zostało na długo. Bo to już wtedy niektórzy rycerze albo też szlachta, obłowiwszy się raz i drugi na wojnie, wzbogacili się byli i wzrosli; a kmiecie siedząc po staremu na swoich rolach, nie mając nic kromia tego, co im się urodziło na gruncie, a i z tego nie wszystko, bo siła szło na daniny, poubożeli i pomaleli. Owo więc możni rycerze a już panowie natenczas, mając chłopów pod sobą, którzy dla nich robili, a mając też i kmieci niedaleko od siebie, którzy byli całe swobodni, bardzo sobie w tem nie mogli podobać, że to ci mali kmiotkowie, którzy tędy owędy już niewiele byli bogatsi od inszych chłopów, przecie nie znają nikogo nad sobą krom króla i mało nie tak są dobrzy, jak szlachta. A że to ludzie bywali zawsze tego łakomi, aby nad drugimi panować, więc i ich to kusiło. Przyszedł tedy niektóry rycerz do króla, a odznaczywszy się jakim wielkiem zwycięstwem na wojnie, tak mówił do niego: — Panie mój miłościwy! Mam ja z łaski miłościwego pana słuszną rolę około mojego zamku a nie mogę jej mymi chłopami obrobić. Obrobiłbym ci ją pewnie, gdybym siedział na zawsze w domu, ale jako to wiesz, panie mój miłościwy, siedzę ja wciąż na kulbace, służąc tobie i miłej ojczyźnie. Owom też i teraz zabił takiego a takiego hetmana, co się też ojczyźnie przydało. Anoż tak trawiąc całe lata na wojnach, role moje leżą pustynią i nie mam z nich żadnego pożytku. Aleć przy łasce miłościwego pana nietrudna byłaby na to rada. Bo owo niedaleko odemnie, jakoż i pomiędzy chatami moich chłopów właściwych, za-

siedli kmiecie, którzy miłej ojczyźnie żadnego nie przynoszą pożytku, a wodząc się ze swemi sprawami po sądach, jeno miłościwemu panu przysparzają kłopotu. A gdybyś, miłościwy mój panie, oddał mnie prawo nad nimi, byłoby więcej spokoju przy majestacie i jabym też sobie pomógł coś koło roli. — Tedy król nad tem pomyślał mało, a bacząc na to, że ów rycerz się dobrze ojczyźnie zasłużył i wart jest nagrody, położył rękę na jego ramieniu i rzekł mu: — Niech więc tak będzie, oddaję tobie prawo nad twoimi kmieciami. — A po owym rycerzu przyszedł zasie biskup z taką samą prośbą do króla i także takie prawo otrzymał. A potem szli już wszyscy po owo prawo, jak do wody święconej; a że trudno odmówić jednemu, co się dało drugiemu, mało który odchodził z niezem. A kiedy było już siła takich, którzy mieli to prawo, drudzy, którzy go dostać nie mogli, przywłaszczyli je sobie, czemu się już nie sprzeciwiali ani ci, którzy go mieli, ani też biedni kmiecie, których i nie stać było na to. I owóż rzecz.

Tak mówił Barnaba, a powiedziawszy to, spoczął cokolwiek.

Nim jednak powtórzymy jego dalszą z synem rozmowę, musimy tutaj nadmienić, iż to, co nam o przeszłości kmieciów powiedział ten starzec, lubo na prostą bajkę wygląda, nie jest nią wszakże zupełnie. Jest to wprawdzie tradycya — tradycya taka, jaka się mogła w nieoświeconej kmiecej rodzinie przechować — i w formie takiej, jaką mógł prosty i niewykształcony umysł utworzyć — pomimo to jednak treść jej jest nie o wiele uboższą od tego, co o tym przedmiocie wiemy dotychczas ze źródeł pisemnych. Ani te wszystkie żywioły, z których się w czasie złożył stan wieśniaczy, dzisiaj tak rozrodzony i liczny, ani też wszystkie, a bez wątpienia bardzo rozliczne drogi, na których się w Polsce wyrobiło poddaństwo, nie są nam znane dokładnie. Lubo by to była rzecz nadzwyczaj ciekawa i nie mniej ważna, Bóg wie jednak, ażali kiedy do niej przyjdziemy? a to z tego prostego powodu, że nasze źródła dziejowe, jak w wielu innych kwestyach nie do-

starczają nam ostatecznych i niewątpliwych objaśnień, tak w tej pozbywają nas ledwie przelotnem tu i owdzie wspomnieniem. Jakoż pomimo dosyć pilnego rozpatrzenia się w tychże źródłach, bardzo niewielu dat ścisłych jesteśmy w stanie podeprzeć niedokładną tradycyę. Rzeczą jest pewną, że do czasu Karola Wielkiego nie znano w Polsce poddaństwa. Owoczesne dopiero i następne, na zachodzie toczone wojny, zaczęły tę ideę na naszą ziemię przesażać i przez napływ niewolników, już kupowanych, już zabieranych na wojnach, w smutną rzeczywistość zamieniać. Jakie zaś w czasach następnych drogi inne obierała ta idea dla siebie, ażeby się dalej rozszerzać, trudno orzec z pewnością; możemy się jednak domyślać, że tych dróg z czasem się namnożyło nie mało. Wskazują to nam najlepiej najrozmaitsze nazwy, do oznaczenia takich uniewolnionych ludzi służące, a po kronikach spotykane. *Plēbs, ignobiles, rustici, servi, villani, kmethones, iobagiones, incolae, servitores, adscriptitii, famulii, originarii, laboriosi, etc.* wszystkie te nazwy służyły do oznaczenia ludzi, którzy, to uniewolnieni odrazu, to z czasem, składali się przez wieki na ów stan milionowy, który dziś nazywamy bez żadnej różnicy ludem wiejskim. Pod wielu z nazw tych rozumiano wtenczas jedno i to samo, jak np. *kmethones* i *iobagiones*, jak nazywano kmieci; jak *famuli servitores* i *servi*, co oznaczało niewolników; niektóre zresztą służyły ojcom, a drugie ich potomkom, jak np. *adscriptitii* i *originarii*; o innych znowu można rozumieć, że oznaczały stan inny, jak np. *villani*, którzy czasem znaczyło to samo, co *pauperes milites*; — pomimo to wszystkim jednak nie ulega żadnej wątpliwości, że jak w późniejszych czasach, w wyrobionem już społeczeństwie naszym, było niezmiernie wiele odcieni pomiędzy szlachtą, od zagonowej począwszy do Potockich, Tarnowskich i innych, tak w czasach dawniejszych była równie nie policzona ilość różnie pomiędzy ludem wiejskim i rodzajami ich rozmaitego poddaństwa. Idea ta bowiem, całkiem obca pierwotnemu geniuszowi narodu, nie weszła w społeczeństwo ani od razu, ani żądnym, że tak powiem bitym gościńcem, tylko weiskała się

najrozmaitszemi szczelinami i nadzwyczajnie pomału. To też było powodem jej tak różnorodnych w rzeczywistości objawów. Jeżeliby nam koniecznie chodziło o to, ażeby ukłasyfikować te żywioły, które się na stan włociański złożyły i wymienić dokładniej te drogi, na których się ten proces głównie odbywał: to wzięwszy na oko cały ogół tego rozrzuconego przedmiotu, śmiałym powiedzieć, że było obojga głównie po troje.

I tak najpierwej osadzono niewolników przy zamkach, przeznaczając ich do roboty, i to był żywioł najpierwszy. Powtóre osadzono nieosiadłych krajowców na wydzielonych im gruntach, albo wskutek dobrowolnej umowy, albo później na magdeburским prawie. Byli to tak nazwani *adscripitivi*, których potomstwo już się zwało *originarii*, i to był żywioł drugi. — A nakoniec, kiedy rycerze albo też szlachta, jak powiada Barnaba, zaczęli dostawać przywileje na zwierzchnictwo i prawo sądzenia kmieci, a inni i bez przywilejów przywłaszczyli sobie to prawo, przysporzył się żywioł trzeci, który poddaństwa ostatecznie dokonał i rozciągnął je od granic do granic.

Takie są główne rysy dziejów poddaństwa w Polsce, jak widzimy, nie wiele się różniące od treści tradycyi; tak też się ma także z kmieciami. Kmieć pierwotnie był to bezwątpienia pierwszy stan w Polsce, jak i w całej Słowiańszczyźnie. Dawni królowie czescy mieli sprawować swe rządy w zawisłości od kmieci, a najznakomitsza szlachta czeska nazywała się wtedy kmieciami, co jeszcze po dziś dzień jest w użyciu u Serbów. Tak lub podobnie, a zapewne nie z wielką różnicą, było i w Polsce. Jednakże trwało to tylko tak długo, dopóki nie zaczął powstawać w narodzie stan nowy, dopóki się nie zaczęło formować rycerstwo. A jak tylko ten stan się wykształcił do tego stopnia, że się zaczął niejako wydzielać z narodu, stan kmiecy zaczął tracić swoje dawne znaczenie. Jakoż, lubo zabytki pisemne z wieku XII nazywają jeszcze kmieci *właścicielami i dziedzicami*, należącymi do jurysdykcyi książęcej, jednak już wiek następny przynosi

nam przywileje, mocą których jurysdykcyja nad nimi przechodzi w ręce panów duchownych lub świeckich.

Przywileje podobne były jeszcze natenczas zapewne dość rzadkie, bo rzeczą jest niewątpliwą, że je wydawano tylko jako nagrodę za osobliwe zasługi. Smutna to za prawdę nagroda — jednakże uczucie ludzkości stało wówczas jeszcze na tak niskim stopniu rozwinięcia i wykształcenia, że ją znajdowano powszechnie nietylko naturalną, ale nawet zaszczytną, bo się odtąd o nią wszyscy nawet dobijać zaczęli. Powodem zresztą tego łakomstwa na jurysdykcyę nad kmieciami musiały być i materyalne korzyści, które oczywiście z niej wypływały. Jakkolwiek bądź odtąd sprawa ta postępowała dość szybko, i już tylko jednego wieku trzeba było na to, ażeby się sformułowała w narodzie stała zasada poddaństwa. Jakoż za Kazimierza W. widzimy ją już nietylko obyczajem, ale nawet i prawem. Król ten, nie bez powodu za gorącego obrońcę swobód wiejskiego ludu uważany, czynił ze swojej strony nie mało, ażeby wpływającym z tego źródła nadużyciom zapobiedz; zajmował on się sam gorliwie sprawami kmieci, może nawet czasem nietylko gorliwie, ale i niecierpliwie, jeżeli prawdą są jego sławne po dziś dzień słowa: „Miej chłopie ogniwo w kalecie i t. d.“ jednakże rzeczą jest pewną, iż nad zapobieganie nadużyciom nie uczynił nic więcej. Przeciwnie nawet, za jego to, za tego tak zwanego króla chłopów panowania, zmurowana została trwała zasada poddaństwa; za niego bowiem ustanowione zostało prawo: „że kmiecie osiadli są przywiązani do gruntu“ — i „że tylko jednemu a dwóm najwięcej wolno się oddalić corocznie ze wsi“ — a co najważniejsza nazwano ich po raz pierwszy wyraźnie: „poddanymi swojego pana“. — W dalsze szczegóły rozwijania się tej zasady w praktyce nie potrzebujemy już wchodzić, wyjmując zaś tylko główne tej sprawy momenty, dodamy jeszcze, iż za Jana Olbrachta ścieśnione zostało prawo co do wychodźstwa kmieci ze wsi i powiedziano, że dosyć będzie, jeżeli co roku będzie wychodził jeden — zaś za Zygrunta Starego postanowiona została pierwsza trwała zasada pańszczyzny, przez

uchwalone w r. 1520 w Toruniu prawo, ażeby każdy kmięć odrabiał swojemu panu po jednym dniu w każdym tygodniu z ładu. Tak z obyczaju zamieniła się nareszcie w prawo pańszczyzna.

Tyle w ogóle o poddaństwie — przejdźmy teraz do kmięci. Jakkolwiek tedy bardzo daleko w przeszłość sięgają pierwiastki poddaństwa w Polsce, rzeczą jest jednak widoczną, iż wykształciło się ono bardzo pomału i wielu wieków potrzeba było na to, nim się rozgałęziło zupełnie i zamieniło w prawną zasadę społeczną. Przemocną siłą moralnie i materyalnie nadewszystkich wzbogaconego rycerstwa zwalczeni, ulegli nareszcie tej zasadzie i kmięcie, ale ci swobodni niegdyś ziem swoich „dziedzice“ długo się jej opierali i ulegli ostatni. To też skutki tego długiego oporu okazywały się zawsze i aż do ostatnich czasów w ich bycie. Siedząc zwykle na całej włóce, czasem na większym, rzadko kiedy na mniejszym obszarze, byli oni zawsze zamożniejsi od innych chłopów. Tradycyjalnie przywiązani do gospodarstwa i roli, umieli oni z niej największe wyciągać pożytki, i również tradycyjnie pracowici i pilni, przychodzili często do znamienitego bogactwa. Przy zamożności własną pracowitością nabytej — jak to z natury rzeczy wypływa, lubo czasem usiłują temu zaprzeczać rozumy przewrotne — przy zamożności tedy, nietylko łatwiej im było chronić się przywar, idących w ślad za ubóstwem, ale wzrastali także i w enoty nabywając coraz wyższej oświaty i wyrabiając w sercach swoich coraz czystsze i piękniejsze uczucia. Taki stan moralny, a w części także i dobry byt materyalny dawał im nietylko pewne wyższe znaczenie u uboższych od siebie sąsiadów, ale stawał ich w położeniu, zdobycia sobie jakiegoś oględniejszego zachowania u swoich panów. Tym sposobem, lubo w ostatnich wiekach żyli już pod zupełnie uprawnionem poddaństwem, lubo przyszło nawet wreszcie i do tego, że pan sobie przywłaszczył władzę nad ich sumieniem — *tam in saecularibus, quam in spiritualibus*, jak mówi konstytucya z r. 1573 — niektórzy z nich jednak zamożnością, pracowitością i statkiem, umieli sobie znaczną

w tych ciężarach przynosić ulgę i wyrobić pomału egzystencyę tak znośną, a nawet swobodną, że w niej z ojca na syna trwali przez wieki. Takich rodzin kmięcych było w Polsce nie mało.

Były one nie wiele różne od ubogich rodzin szlacheckich i nawet najczęściej lubo przechowywały u siebie niektóre obyczaje ludowe, na wzór tamtych urządziły się w swoim życiu domowem. Kmięcie ci, rzadko piśmienni tak jak i szlachta drobniejsza, umieli przecież czasem czytać na książce, z której się po kościołach modlili. Tak jak i szlachta byli oni głęboko religijni i nadzwyczaj pobożni, i tak jak oni, pełni przesądów i zabobonów. — Przykładem szlachty przechowali oni w swoich rodzinach jak najdawniejsze tradycye i tak jak szlachta, umieli często wylczyć po kolei kilka pokoleń swych przodków. A kiedy i najdrobniejsza szlachta, za przykładem tradycyjalnych swych przodków, zapalała się zawsze do heroizmu i czynów wojennych: za cóżby oni, pobudzeni do tego żywją pomiędzy niemi tradycyą, nie mieli czasem westchnąć za swoją dawną, a wtedy już utraconą swobodą? — Tak też było w istocie rzeczy. Umieli oni bowiem cenić swobodę tak samo, jak ją każdy człowiek ocenia. Jakoż niektórzy z nich nietylko za nią wdychali, ale nagromadziwszy dość pieniędzy, wykupywali się od niej u swoich panów. Inni, nie mający jeszcze takich dostatków, usiłowali dopiero, jeżeli nie samych siebie, to przynajmniej synów swoich od niej uwolnić. Takich też było wielu, a może wшыscy — a do nich należał także i stary wódz z Gozdawki.

Teraz zaś odpocząwszy cokolwiek, tak mówił dalej do syna:

— Owo więc tak się to stało z tymi kmięciami, jakimi też byli i nasi ojcowie. Anoż tu dawniej bywało także inaczej. Jest tu piwnica jakiej i we dworze poszukać. Wiadać też fundamenty starego domu, który był dostatni i wielki. Jakoż mam to od ojców, że tu bywało bogato. Ale pochudli niebożęta za czasem, jak ich cisnąć zaczęto, i podupadli, jak to zawsze być musi, kiedy człowiek nie

dla siebie robi, jeno dla kogo innego. Jam się trochę wy-skrobał, alem też przez wielkie biedy przechodził. Jeszcze się i dalej wydrapię, jeżeli Pan Bóg pozwoli życia. Alem też za to jest w służbie i właśnie tak jak w niewoli. Anóż nie chciałbym tego, żeby i tobie tak było. Dopóki ja żyję, to jeszcze złego nie będzie, ale jak umrę, wróci się stare jak było. Wzięliby cię pewno do dworu, a kiedyby nie wzięli, toby ci przecie nie darowali ani danin, ani pańszczyzny, ani tego wszystkiego, co za tem idzie. A to ciężko, bo to siła jest tego. A już na to niema innego sposobu, jeno nauczyć się, a na księdza, bo już księdza się nie tkną. Jeszczeż i to jest łaska, że i na to mi zezwolili, boć to prawem nie wolno: Kiedy jest na gruncie dwa syny albo i więcej, tedy nie bronią jednemu do szkół; ale kiedy jeden jest w chacie, jako ty u mnie, to ma siedzieć na roli. Jużem to tedy dostał od pani tylko przez łaskę. Więc też to trzeba pamiętać, a tem pilniej faldów przysiądać, żeby też łaska za płot nie poszła, a za okno pieniądze, co tam kosztują te szkoły.

— Mój tatuniu — rzekł na to Wojtek — toć ja tam pewno darmo chleba nie psowam w szkołach, boć się ucze jak trzeba, mało nie lepiej jak drudzy. A jużci nawet i lepiej, bom też i grał w dyalogu, co się nie każdemu dostaje. Prawdać to, że mi nie dali udawać ani miłości, ani sprawiedliwości, ani anioła, jenom musiał przedrzeźniać dyabła, do czego mi ogon i rogi przypięto; ale ksiądz rektor powiadał, że ja w to najlepiej potrafię, żem to jest wesół jak trzeba. Musiało też tak być, bo wszyscy się śmiali okrutnie, a kiedy się już skończyło, Jw. rotmistrz przystąpił do mnie i dał mnie zażyć tabaki. A więc to ja się ucze jak trzeba — ale przecie tak mówię sobie, że bodajby się jeno zdała na co ta nauka!

— A to dlaczego?

— Bo już to tak jest, że mnie taki Pan Bóg nie stworzył na księdza.

— A więc na co cię stworzył?

— Już ja tam tego nie wiem, ano tak mówię sobie, że ladajaki ksiądz byłby ze mnie.

— Hm! — mruknął na to stary Barnaba — już ja to widzę, że ci się czegoś innego zachciewa. Anóż wiedz o tem, że cokolwiek byś począł innego, a księdzem nie został, to taki przecie na końcu zejdziesz na chłopca, bo żebyś też i na końcu świata był, kiedy zechcą, to cię *obeszlą* i na rolę sprowadzą.

Obesłać nazywało się wówczas listy gończe rozesłać, co zazwyczaj czyniła szlachta, jeżeli chłop grunt opuścił pomimo ich woli.

Młody chłopczyzna na tę smutną wiadomość jakoś dziwnie pokręcił głową, a ojciec go spytał po chwili:

— No i cóż tam przemyślasz?

— Ej! to mało tatuniu. Jeno tak myślę sobie, żem to którejs niedzieli widział w Wieluniu chorągiew, jako szła była oddać cześć księciu biskupowi, który tam był przyjechał. Hej! Panie Boże! toż to było co widzieć! Jacy to ludzie, jakie jasne mieli pancerze, a piękne pióra u błyszczących misiurek, a jakie skrzydła srogie u pleców! a chorągiewki tak im cudnie furczały u kopii, że aż się dusza zaśmiała we mnie. A koniki ich tak stapały wsporniale a dumnie, że i trudno było ustać na nogach. Miły Boże! myślałem sobie, anóż to ludzie inni tak sobie żyją cudnie, a mnie już wdziewać sutannę!

Spojrzał stary wódarz na syna, pomyślał chwilę, a potem tak odpowiedział:

— Żołnierz jest sobie żołnierzem, a ksiądz jest księdzem. A co żołnierz, to nie ksiądz, i owóż rzecz. Pięknie jest żołnierzowi kiedy paraduje przez miasto; ale też jeszcze piękniej bywa czasem i księdzu. Bo kiedy ksiądz stanie do ołtarza a ubrany w złoty ornat i stułę, podniesie w rękach Przenajświętszy Sakrament: to tam nie dziwią mu się żaki, rozdziawiwszy gębę od ucha do ucha, ano kto żyw jest pada plackiem na ziemię, a modli się co mu sił stanie. Anóż co ksiądz, to nie żołnierz! Toż żołnierzowi pięknie bardzo kiedy paraduje po mieście; ale kiedy się wojna zacznie, a położy się żołnierz obozem, a kmiecie chleba nie zniosą, a głód pomęczy, a nędza bije, a zimno piecze, a jeszcze na to nieprzyjacieli napa-

dnie i da mu po łbie raz i drugi i trzeci: widziałbyś ty wtedy żołnierza! A niechże sobie będzie wojna jaka tam chce i niechaj ginie żołnierstwo jak muchy, ksiądz sobie siedzi na plebanii za piecem, podpiwek ciągnie, grzanka przejada, a wyjrawszy na czas przez błonę, powie sobie: Bijcie się tam jak chcecie! — zasie za piec. A już go stamtąd i nikt nie ruszy, bo się to nikomu nie godzi. — A wróci zasie żołnierz z wojny, jeśli tam nie zostawił ręki a nogi, albo też głowy, bo i to bywa; wróci więc do dom, idzie ulicą, nikt i czapki przed nim nie zdejmie, boć to i nie ma czemu. Wejdzie li na kompanię, dobrze kiedy go przy drzwiach postawią. Wejdzie zaś do winiarni, pyta żyd naprzód o pieniądz, bo i o wiarę mu trudno. Zapłaci pieniądz, siedzie za stołem, alić wyrwą się jacy z kątów i nuż go po łbie, a drugi w bok, bo to żołnierska rzecz. A posłuży po wojnach z jakie dwadzieścia lat, kiedy mu się zęby zachwieją, a czupryna zbieli albo i puści, przyjdzie wtedy do króla prosić o jaki chleb; to król mu na to: — Mści panie! posłużno wasze jeszcze mało nie wiele, bo nie mam teraz chleba takiego na pogotowiu, ale za czasem to się to znajdzie. — Przyjdzie za rok, to samo, a za pięć lat także to samo. Anoż go wtedy możesz widzieć, tego świetnego żołnierza, jako służąc księżom Paulinom na Jasnej Górze, chodzi z halabardą po wałach — a drugi przyjdzie pod plebanię o kulach i dzwoniąc na nieszpór, a na Anioł Pański, żywi się niebożatko tem, co jegomości ze stołu spadnie. — Anoż to masz żołnierza! A ksiądz przez te czasy, jeśli nie został jakim zacnym prałatem, albo też i biskupem, jak sobie ciągnął podpiwek tak teraz pociąga wino, a już podpiwkem poczęstuje i ubogiego żołnierza. A to wiedz teraz, co jest żołnierz, a co jest ksiądz.

Bardzo to była piękna i nawet dosyć prawdziwa nauka, ale niepodobala się ona tak bardzo młodemu chłopcu, aby mógł w nią całkowicie wierzyć. Jakoż gdy ojciec go spytał:

— Cóż tedy myślisz?

Odpowiedział mu na to:

— Wždy to prawda być musi, tatuniu, kiedy tak powiadacie; ale przecie ja tak rozumiem, że choćbym też i żołnierzem został, to nie skończyłbym na tem, abym też miał w starości chodzić z halabardą po wałach, albo też żyć na jałmużnie u księdza.

— Takbyś może nie skończył, bo grunt spadnie na ciebie, alechy to już wtedy było prawie na jedno.

— Jużbym też ani na grunt nie powracał.

— Jeno gdzie?

— Jużcebym dobił się czegoś i wodziłbym sam za czasem chorągwie.

— Anoż to, jak widzę, jeszcze ci bardzo pstro w głowie! — rzekł na to stary i oparłszy się o dąb pleeyma, trochę się niby zachmurzył.

Chłopiec zaczął patrzeć na niego już z żalem, że go mimowolnie zasmucił — ale w tymże momencie strzecha owej małej lepianki, która zastępowała domostwo, wybuchnęła płomieniem.

Obaczywszy to starzec, zerwał się z miejsca i załamawszy ręce, zawołał:

— Chryste Panie! gorejem!

Chłopiec także w pierwszej chwili się tylko zalał i coś wykrzyknął — a tymczasem płomień, pnąc się do góry po suchej słomie, w oka mgnieniu całą strzechę ogarnął.

— Rata! rata! kto w Boga wierzy! — zawołał starzec i pchnąwszy chłopca w ramię, rzucił się sam do osęków, których kilka stało w rogu stodoły.

Tymczasem, kiedy się to działo w kmiecej zagrodzie, tu, po tej stronie lasku Dzierżanowski stał na tem samem miejscu, na któremśmy go zostawili, kiedy Martę nastraszył i od siebie odpędził. Wyfukawszy się dowoli na wszystkich, których miał w podejrzeniu o nieprzyjaźń dla siebie, zaczął z tem większą niecierpliwością wyczekiwać wiadomości od księcia.

Widząc to jego towarzysze, chcieli go rozmową rozetrwać i odzywali się z tem i owem z kolei — ale wzburzony w swojej niecierpliwości pan Michał, ledwie słuchał tego, co mówią, i ledwie przez zęby im odpowiadał.

Wszakże w tym momencie płomień wybuchnął za laskiem.

— Mości panowie! — zawołał na to pan Michał — a to co jest takiego?

— Pali się! — zawołali wszyscy jednogłośnie, a któryś dodał:

— I to tu zaraz za laskiem!

— Bieźmy tam — rzekł Dzierżanowski — mamy czas jeszcze!

To rzekłszy, zabrali się wszyscy i pobiegli czempredzej na miejsce pożaru. Dopadłszy bramy, nie mogli jeszcze dokładnie obaczyć, co się to pali właściwie, bo dąb, stojący na środku dziedzińca, swoimi rozłożystymi konary pół widoku zasłaniał — dobiegli więc czempredzej aż do samego ognia. Lecz kiedy obaczyli, że się paliła tylko mała lepianka, ochłonęli trochę z zapału, bo był to budynek tak nędzny, że zaledwie go warto było ratować. I towarzysze byliby zapewne wrócili — lecz Dzierżanowski z osobliwszem jakimś zajęciem się wpatrzył w ogień, a widząc wściekający się ten żywioł piekielny, widząc do tego jeszcze, jak słaby starzec z słabszym jeszcze chłopczyną, wołając: — Gwałtu! kto w Boga wierzy! — nadaremnie się pasowali ze strzechą, aby ją osękami rozdzielić: twarz jego nagle prawie takim samym rozgorzała płomieniem. Jakoż w ten moment obrócił się do swych towarzyszy i zawołał:

— Nuże! mości panowie! kto też skorszy do ognia!

To powiedziawszy, wyrwał zaraz osęk Barnabie z ręki i zachaczywszy nim o sam środek gorejącej strzechy, wdarł z niej płat tak potężny, że się pokazało całe niemal poddasze, na którym widać było jakieś poskładane rupiecia. Inni poszli za jego przykładem, rozdzierając strzechę stron innych.

— Dawaj chłopie drabiny! — zawołał Dzierżanowski w tej chwili. A kiedy ta była przystawiona do dachu, wdarł się po niej z osękiem w rękę na górę i stanawszy w samym środku płomieni, zaczął tymże osękiem rozdzielać krokwie i łaty.

Widząc go tam stojącego na górze, otoczonego płomieniami do koła, jako mu się iskry sypały na głowę i suknie, jak pod jego zawziętymi razami trzeszczały silne wiązania dachu i jak z pośród tego ognia i iskier jego twarz ogorzała, ospowata i czarna, to się pokazywała widzom, to niknęła wśród płomieni i dymu: zdawało się jakby to był otwór paszczy piekielnej, w której sam szatan pasuje się z żywiołami, aby się przez nie wydrzeć na ziemię.

Był to wszakże li tylko człowiek. Lecz chociaż człowiek, był on tu bez wątpienia w swoim najwłaściwszym i najmilszym żywiole. — Ogień był dla niego powietrzem, a niebezpieczeństwa pokarmem. Bez niebezpieczeństw i ognia nie pojmował on życia: a gdzie tylko mu się zdarzyła sposobność ogniem odetchnąć i niebezpieczeństwo zwyciężyć, nie miał on tej siły, aby ją minąć. Była jakaś osobliwsza, niezwykczona w nim żądza, poborykać się z wszystkim, co mu stawiało opór — a tej żądzy zawsze towarzyszyła odwaga, lubo nie zawsze wytrwałość. Takich prób przeżył on w swojej młodości nie mało — a zawsze z zadziwieniem obecnych. Na takich też szalonych dowodach odwagi, które nawet i wtenczas imponowały, kiedy jeszcze było dość pospolitem starodawne junaetwo, gruntowała się jego najpierwsza sława, swojego czasu dosyć głośna w narodzie.

Jakoż i teraz czyn jego heroiczny był dokonany, i szczęśliwie, i w okamgnieniu. W kilkunastu minutach bowiem cały dach chatki był rozerwany i zrzucony na ziemię, niebezpieczeństwo rozszerzenia się pożaru na dalsze budynki stłumione i nawet sama chatka, ze stratą tylko li samej strzechy, uratowana.

Ukończywszy tak robotę, zszedł Dzierżanowski z powały, a spojrzawszy na ściany chatki, które stały w całości, rzekł do swych towarzyszy:

— Anoż to, mości panowie, i samemu piekłu możnaby dać radę, kiedyby tego potrzeba!

— Za dobrodziejem — rzekł na to jeden z towarzyszy, którzy dopomagali Barnabie zgartywać palące

jeszcze resztki strzechy na jedną kupę — za dobrodziejem nie bałby się człowiek na prawdę i do piekła zagładnąć.

— A choćby też i zginąć w takiej imprezie — dodał drugi — kiedyby z jegoomością, to i nie żalby było.

— Już co w piekle, to nie żal — odezwał się na to trzeci — byle też nie w obronie takiej chałupy.

— A to czemu? — spytał pan Michał.

— Czemu? — powtórzył tamten — popatrz że jego-
mość po sobie.

Dzierżanowski spojrzął po sobie i nie pomału się zdziwił, bo też istotnie było się czemu zadziwić. Był on bowiem ubrany dzisiaj bardzo paradnie. Miał kontusz z najprzedniejszej karmazynowej sajety na sobie, żupan z jasno-błękitnej mory w złote żyłki i muszki, pas bawoli przepyszny, buty z żółtego safjanu i zresztą mnóstwo ozdób z drogich kamieni i złota, których powszechnie używano natenczas. A wszystko to teraz przez dym i ogień było tak zniweczone, że gdzieniegdzie nawet i barwa pierwotna zginęła. Kontusz karmazynowy zrobił się całe brunatnym, pas bawoli, tak delikatna wschodnia tkanina, skrzył się na postronku, a jego końce zpopielaly zupełnie, pochłwa w karabeli, w karmazynowy aksamit oprawna, przepaliła się całkiem, a z safjanowych butów zrobiły się jakieś łapcie osobliwszego gatunku, z których powylaziły nie tylko palce w naturalnej postaci, ale i wiechcie pilśniowe, jakie naówczas już, zamiast słomianych, nawet i mniej zamożna szlachta nosiła. Widząc to Dzierżanowski, srodze namarszczył czoło i już cały wzburzony do Barnaby przystąpił. Barnaba wtedy, przy pomocy swojego syna, już resztę żaru dogasił i ochłonawszy z niewymownego przestachu, który mu stratą całego, tak żmudnie uzbieranego mienia zagroził, dopiero teraz się zaczął rozglądać po swoich wybawcach, którzy jak z nieba spadli na ratunek jego nieszczęścia. W tej chwili właśnie miał on do Dzierżanowskiego się zbliżyć, aby mu podziękować za pomoc i poświęcenie własnego bezpieczeństwa dobru bliźniego, kiedy wtem on sam zapytał go z gniewem:

— A ty chłopie dlaczego ognia nie strzeżesz jak trzeba?

— Jaśnie wielmożny panie! — odpowiedział na to trochę skonfundowany starzec — ja go strzegę jak mogę najlepiej przez całe życie; anom dziś babie pozwolił na wieś, musiała się spieszyć, zapomniała dobrze ogień zagarnąć, ot! i co się to stało! Albo też może i sama go na strych zaniosiła, kiedy chodziła do skrzyni, boć już doprawdy i w głowie mi się to zmieścić nie może...

— No! to niechże ci się to zmieści! boś ty nie wart z kośćcami tego, co mnie ta obrona kosztuje! Patrz! jakem sobie szaty poniszczył! Bodaj cię zabito!

— Jaśnie wielmożny panie! — mówił na to Barnaba, kłaniając mu się do ziemi — niechże mnie już dobrodziej w tem nie winuje, bo to ja tutaj nie mieszkam...

— A gdzie ty mieszkasz? a coś ty zacz? do jakiejże to wsi należy ta ziemia? — pytał pan Michał, oglądając się naokoło.

— Ziemia ta, dobrodziej — odpowiedział Barnaba — należy do wsi Gozdawki, a ja jestem wódczem u pani podstolinej Bierzyńskiej, a teraz już u pana podstolica, który to przejął na siebie.

— To do Bierzyńskiego już to należy! — zawołał na to pan Michał — patrzajże! jeszcze mu będę jego sług ratował od ognia! Bodajże cię piorun zastrzeł!

Barnaba słuchał ciekawie, ale nie rozumiejąc, coby miała znaczyć ta mowa, przypatrywał się Dzierżanowskiemu z uwagą; on też patrzył na niego przez chwilę, a po chwili już łagodniej zapytał:

— No i cóż tam podstolic? gospodaruje? hę? jakże zaczyna swe panowanie?

— Nic chwala Bogu! tak tam, niezgorzej. Jeszczeż to dopiero początki...

— A gdzież jest teraz? czy pojechał na zamek?

— Jeszcze rano pojechał, jak zwykle w niedzielę.

— A to już tam posiedzi?

— O! chowaj Boże! wróci pewno dziś w nocy, bo

jużto i mało kiedy tam na noc zostaje i jutro mamy siew jeszcze, a przy siewie sam bywa.

— To on tędy jeździ, tą drogą, koło kaplicy?

— A tędy dobrodzieju, bo i nie ma też innej.

Dzierżanowski się nad tem chwilę zamyslił, a potem jakby się budząc z zamyślenia, spytał więcej zapewne z niechęcia niż przez ciekawość:

— A cóż ty?... a to ty masz grunt tutaj, a jesteś w służbie we dworze?

— Tak dobrodzieju.

— A to więc za pańszczyznę?

— Już to tak niby, ale już to za całą swobodę.

— Jakże? więc dali tobie swobodę na zawsze?

— Ej! nie dali, mój dobrodzieju, nie dali! — odpowiedział Barnaba z westchnieniem — prosiłem pani o to, nic z tego. To też i wzdycham na to, bo to już czterdzieści lat służę, a mam też synka, który jest w szkołach... aleć to próżno.

— No! toż to człowiek! — zawołał na to z gniewem pan Michał — służy mu chłop lat czterdzieści, a on mu jeszcze nie chce dać swobody! Bodajżeby sam poszedł w niewolę!

I z tem się odwrócił. Ale Barnaba przystąpił do niego i pokłoniwszy mu się znowu do ziemi, rzekł:

— Dziękuję też jaśnie wielmożnemu panu, że mnie poratował w nieszczęściu. Niech to dobrodziejowi Pan Bóg stokrotnie nagrodzi...

— Co mi tam będziesz, chłopie, dziękował! — odpowiedział na to opryskliwie pan Michał — nie potrzebuję tego! Wiedz bowiem o tem, że m to uczynił ani dla twego pana, ani dla ciebie, jeno dla mojej własnej fantazyi.

— Jużto łaska pańska, ale przecież jaśnie wielmożnemu panu dziękuję, bo sobie też dobrodziej tyle szkody poczynił w sukniach...

— Co mi tam szkoda! Tu masz! wystaw sobie za to nową chałupę!

To mówiąc dobył z kieszeni sakiewkę i rzucił ją przed

Barnabę na ziemię — poczem odwrócił się prędko i wyszedł ze swymi towarzyszami z zagrody.

Ale Barnaba bardzo pomału i jakby z niechęcią podniósł tę sakiewkę ze ziemi, patrząc więcej za odchodzącym, niżeli na nią. Jego syn był ciekawszy od niego, a lubo także nie wiedział na co pierwiej ma patrzeć, rzekł jednak do ojca:

— Ależ to srogi pan jakiś! Rozdarł chatę jak chustkę od nosa, a jeszcze wam dał tyle grosiwa.

— A i nie wiedzieć — dodał Barnaba, wchodząc zapewne w myśl syna — co to za pan taki być może?

— Poczekajcie tatuniu, pobiegnę ja za nim, to się też może i dowiem — zawołał na to chłopczyzna i wybiegł prędko z zagrody.

W krótkiej chwili powrócił.

— Otóż to jest pan Dzierżanowski — mówił zadyuszany żak szkolny — wielki pan od Zamościa, a pułkownik cesarski. Powiadają, że jedzie do pana kasztelana na zamek.

— Dzierżanowski się zowie? — rzekł na to Barnaba, zamyślając się trochę — coś to ja słyszał już o nim...

Chłopczyzna tymczasem patrzył z ciekawością na sakiewkę. Była to sakiewka jedwabna, utkana z czerwonego jedwabiu, a o ile możnaby było widzieć przez jej rzadką tkaninę, znajdowało się na jednej stronie parę talarów i tyńfów, a na drugiej kilkanaście dukatów.

— Pokażcie tatuniu tę sakwę, siła też w niej grosiwa? Wystawicie sobie za to całą słuszną chałupę.

— Daj jeno pokój! — rzekł na to stary — na chałupę mnie stanie jeszcze i bez tego, a już z tem to i nie wiem co zrobić, bo mi jakoś ciężą te pieniądze na sercu. Żeby jeno nie przyniosły ze sobą jakiego nowego nieszczęścia.

— Ot! coś gadacie! Gdzież to się kiedy za pieniędzmi wlecze nieszczęście, przecie co grosz, to i szczęście.

— Idźno, idź z tym szkolnym rozumem, a nie wraźaj się z nim, gdzie nie trza! Weź ot lepiej konewkę a noś wodę ze studni, bo się tam jeszcze dymi, jak widzę.

To rzekłszy, schował sakiewkę w zanadrze, a wiaży syna ze sobą, zaczął nosić wodę ze studni, gasząc jeszcze reszki pogorzeliśka.

IV.

Wszakże kiedy się takie niespokojne sceny odbywały na granicach dóbr kasztelańskich, w samym zamku było spokojnie i cicho, jak zwykle.

Zamek ten już widzieliśmy w części przed ośmiu laty, ale widzieliśmy go tylko zewnątrz; tu więc musimy mu się bliżej przypatrzeć i wejść w jego wnętrze. Nie będziemy jednak zwiedzać wszystkich jego komnat, których liczono do kilkadziesiąt, a które połączone ze sobą najrozmaitszymi krużgankami, wschodami i kurytarzami, nie wszystkie godne są tego, aby je szczegółowo oglądać. Wiedzieć nam tylko trzeba, że były — a ich rozkład nieregularny i oryginalne częstokroć połączenia ze sobą pochodziły nietylko stąd, że wogóle w Polsce architektura stała na bardzo niskim stopniu, a właściwie jej żadnej nie było, ale także i stąd, że zamek ten był niezmiernie stary, nie wystawiony odrazu i prawie przez wszystkie zamieszkałe w nim pokolenia poprawiany i przerabiany bez końca. W tem też także leżała przyczyna tego, że główną jego częścią nie były gmachy środkowe, tylko skrzydło północne. Było to zapewne dosyć oryginalnie, lecz sprawiedliwie, skrzydło to bowiem było istotnie, i największe i najokazalsze, i mieściło w sobie najobszerniejsze komnaty.

Pod tem skrzydłem tedy, jak i pod całym zamkiem, znajdowały się najpierw dosyć głębokie podziemia, które były użyte na składy starych dział niepotrzebnych, na wielkie święta wywlekanych moździerzy, pradziadowskich śmigowni i arkebuzów, a nareszcie całych beczek strzelnego prochu i kul różnego kalibru. Obok tej starożytnej zbrojowni miała miejsce piwnica, pełna także starożytności, z tą jednak ważną od tamtych różnicą, iż te mogły dać ognia na zawołanie, podczas kiedy tamte bez użytku le-

żały. Nad podziemiami znajdowały się tak zwane przyziemia, niskie sklepione komnaty dla kasztelańskiej służby: a więc pomieszkawie starego Jawnuty, kilku służebnych pacholąt, a nareszcie kancelarya samego kasztelana, do której czasem zstępował po szerokich wschodach, wiodących tutaj prosto z jego sypialni, dając posłuchanie gromadom, zamkowej służbie, kupcom i supplikantom. Nad temi przyziemiami dopiero wznosiło się piętro mieszkalne, a w niem główne komnaty. Pomiędzy niemi pierwsza od sieni była sala jadalna. Był to gmach wielki, lecz starożytny jeszcze i już od niepamiętnych czasów nie odnawiany. A więc ściany tej sali były gipsowane na biało, ze sztukateriami u kolumn i ozdobami ze złota. Cztery wysokie gotyckie okna były zarazem i drzwiami i wyprowadzały na szeroką galeryę, zawieszoną nad brzegiem szumiącej u dołu Warty. U stropu wyłoczonego także w jakieś floresy, wisało lustro brązowe o stu pięćdziesięciu świecznikach; pod lustrem stał stół dębowy na kilkadziesiąt osób, a około niego kilkadziesiąt krzesel poręczowych, także dębowych, z sążnistem oparciem z tyłu, czerwonym kordubanem w złote kwiaty wybitym. Pod jedną ścianą stało sześć szaf olbrzymich, zawierających w sobie farfuły, za Sasów dopiero upowszechnioną porcelanę i od wieków znane srebra stołowe, przy drugiej ścianie stała wąska i długa szafa z zegarem, na ścianach wisało kilka obrazów olejnych przedstawiających sceny biblijne — i na tem kończyło się całe umeblowanie tej sali. — Wszakże za to w następnej komnacie, która była tak zwaną bawialnią, było widać już miękkość, przepych, a nawet rzeczywiście bogactwo. Urządzenie tej komnaty było jak wszystko co się znajdowało w tym domu, przynajmniej o pięćdziesiąt lat starsze od czasu, na którym obecnie стоимy; ale są rzeczy, które nigdy się nie starzeją i zawsze są ładne i cenne, a takich była pełna ta staroświecka komnata. Widziałeś więc najpierw na posadzce olbrzymiego rozmiaru prawdziwy perski kobierzec. Była to sztuka tak osobliwa i drogocenna, że ani myśleć było o tem, ażeby do niej przyjść za pieniądze — jakoż i tutaj była ona

łupem wojennym z pod Wiednia. Na ścianach zadziwiwały oko pyszne makaty. Były to grube tkaniny z jedwabiu, cieniutkiej wełny i nitek złota, które jeźeli tak, jak te, nie były kupowane na łokcie, tylko na sztuki, i przybite na ścianie wyobrażały pewien rozmiarzony rysunek, kosztowały niezmiernie wiele i należały także do osobliwości. Dalej w tejże komnacie widać było sprzęty paradne z mahoniowego drzewa, adamaszkim obite, które już nie były naówczas osobliwością, ale pomiędzy nimi znajdowało się kilka sztuk hebanowych, wykładanych perłową macicą. To były wielkie osobliwości, kiedy bowiem hebanowe drzewo, które i naówczas jeszcze używano jako lekarstwo na poty, było niezmiernie drogiem, perłowa macica była płacona prawie na wagę złota. Pomiedzy oknami było zawieszona do stropu sięgające zwierciadło, ujęte w szerokie w ogniu złocone ramy, z filuternym dla dam niemłodych napisem: *Suum cuique*; a pod zwierciadłem była zawieszona koncha ogromna ze srebra, którą dwa gryfy z brązu utrzymywały na skrzydłach, a do których ze srebrnej mordy jakiegoś morskiego potwora tryskała woda świeża, sztucznie wyprowadzona na górę. Po kątach tej komnaty stały na postumentach marmurowe posągi, dalej sztuczne porcelanowe i brązowe zegary z kurantami lub bez nich i zgoła takie mnóstwo najrozmaitszych drogocennych gratów, że gdyby nie owa woda świeża rozwesalająca umysł i orzeźwiająca powietrze, byłoby tu duszno w tej wielkiej i bogatej komnacie. — Za tą komnatą znajdowała się druga, mniejsza cokolwiek, okrągłopodłużna, wyłożona zwierciadłami do koła — a z tej dopiero po sześciu wschodach, opatrzonych sztucznie rzeźbioną poręczą, zstępowało się do komnaty ostatniej i w tem skrzydle narożnej. Komnata ta była tak wielka jak i sala jadalna, tylko trochę więcej podłużna. Ściany jej były wyłożone drzewem dębowem, zapuszczonem na ciemno, a przedstawiającem bardzo misterne i pracowite rzeźby do koła. Takież sam był strop czyli pułap właściwie, belkowany w kwatery i w każdej z kwater mieszczący jakąś głowę ludzką albo zwierzęcą. W ścianie

przedłużonej znajdował się komin olbrzymi z lanego żelaza, który stojąc oparty na żelaznych kolumnach, wydrążonych we środku, zarazem i piec zastępował, ogrzewając zimą tą ogromną komnatę. Komnata ta, jak to łatwo wnieść można ze sześciu schodów prowadzących do niej, była o tyle wyższą od komnat tamtych: dlatego stąd był uczyniony wchód do biblioteki i muzeum, które się znajdowały w kilku niskich pokojach, położonych nad tamtymi komnatami na drugim piętrze.

Wchód ten był osobliwy już dlatego samego, że prowadziły doń schodki kręcone zewnętrzne, ustawione w tejże komnacie. Przez te schodki wychodziło się na galeryę o żelaznej poręczy, która wisiała nad schodkami i była zwana tradycyjnie „żelaznym krużgankiem“; z tego krużganku prowadziły drzwi do biblioteki, ale właściwie były to tylko odrzwi, bo mury były tutaj grube na parę łokci, a więc i wyłom w nich był tak samo głęboki, a drzwi w nim znajdowały się z tamtej strony od biblioteki. Stąd więc na żelaznym krużganku było widać li tylko odrzwi i ciemne wejście w głąb muru. Nie bez powodu opisujemy to miejsce tak szczegółowo, dlatego powiemy jeszcze, jaki był rozkład całej komnaty. Stojąc tedy w miejscu żelaznego krużganku, mamy w tejże samej ścianie podłużnej, dalej po lewej stronie, owe sześć schodów prowadzących do dalszych komnat, a za niemi komin żelazny. Po prawej stronie w ścianie poprzecznej jedno okno gotyckie, dające widok na Wartę. Naprzeciw nas ściana podłużna z dwoma takimiż samymi oknami, a przy niej w rogu kilka starożytnych fotelów, wielka kanapa, stolik pomierny i innych sprzętów cokolwiek. — Ściana zaś druga poprzeczna, zajmująca głębię komnaty, zastawiona jest łozem samego Kasztelana, które tam stoi pomiędzy czterema kolumnami i w nogach zasłonięte jest ścianką parapetową, obwieszoną jeszcze nadto kotarą z zielonej jakiejś tkaniny. Koło łoża przy głowach stoi niska marmurowa kolumna, na której lichtarz srebrny z świecą woskową; koło kolumny szerokie krzesło poręczowe, — zaś za kotarą w nogach, drzwi szerokie i niskie, któremi

znowu po schodach zstępuje się do wspomnianych już wyżej pomieszczeń służby w przyziemiach.

Tak mniej więcej opisują nam owoczesne podania tą staroświecką komnatę, która pomimo całego ogromu swego nie była przecież niczem więcej tylko kasztelana sypialnią. — W ostatnich latach wszakże, a mianowicie w tych, które niniejszem odtwarzamy z przeszłości, odgrywała ona prawie najważniejszą rolę na zamku; Kasztelan bowiem, mocno przygarbiony już wiekiem, w niej niemal cały czas swój przepędzał, w niej przyjmował rodzinę swoją na pogadanki, w niej nawet służył swym gościom, tylko na wielkie fety wychodząc do komnat innych.

Jakoż i dzisiejszej niedzieli byli zgromadzeni w tej komnacie domownicy i goście.

Siedziała tedy na kanapie najpierwej sama Kasztelanowa, dziś zgrzybiała już prawie staruszka. Miała ona na sobie robę z aksamitu czarnego, a na głowie duchenkę z czarnej tafty, pasową podszewką podbitą. Pomimo to jednak, że od tej pasowej podszewki rumianą cień padał na twarz jej, nie to nie odmładzało grzybkowatej starości jej twarzy. Może przez to jeszcze nawet dokładniej widać było wszystkie niepolicone jej zmarszczki, zielonawy jej kolor i mech starości niczem nieuleczonej. W całej postaci jej zresztą widać było już tę przedgrobową bezwładność, w której głowę opuściwszy na piersi i patrząc nieruchomo przed siebie, zapadniętymi usty zdawała się odczuwać, niepowrócone i nawet już w własnej pamięci nieodgrzebane, czasy młodości.

Obok niej na kanapie siedziała mniszka. Była to ksieni zakonu Norbertanek, przyrodnia siostra kasztelanowej. Wiek jej już także zbliżał się do starości, wszakże przy tak zgrzybiałej staruszcze zdawała się młodą jeszcze. Jakoż istotnie w jej zielonawej, wychudłej twarzy, było jeszcze nadzwyczaj wiele życia, w jej oczach, lubo patrzących w ziemię i jakby żenowanych obecnością światowych ludzi, było niemało ruchu, zdawało się nawet przy dokładniejszym wpatrzeniu się, że musi to być kobieta bardzo czynnego i energicznego, jeżeli nawet nie przebiegłego,

umysłu. Jednakże jej wyraz ogólny znamionował przede-wszystkiem powagę i głęboką pokorę.

Tuż koło kanapy w poręczowym krześle siedział kasztelan. Był to dziś już przeszło ośmdziesięcioletni staruszek i także już przygarbiony. W pasowym kontuszu bez wylotów a obłożonym popielicami, w futrzanych butach, z brodą białą spływającą mu poważnie na piersi, z głową trzęsącą się trochę, a obwiedziona już tylko wieńcem białych jak mleko włosów, była to postać tak bardzo poważna i piękna, że patrząc na niego mimowolnie się przypominali starodawni ojcowie narodu lub patryarchowie pokoleń.

Wszakże jakby na odszkodzenie i serca i oka za te tak bardzo już zgrzybiałe starożytności, stała tuż przy nich, przed maleńkim stolikiem, zastawionym kilkoma talerzykami owoców, smukła wzrostem i świeża jak wiosna dziewczica. W jej całej postaci, czy to przez kontrast ze staruszkami, czy przez istotną piękność jej zewnętrznych objawów, czy przez czystość i wzniosłość niepokalanej duszy, był jakiś urok nieopisany i tak przyciągający ku sobie, że raz spojrzawszy na nią, niepodobna było oczu od niego oderwać. Wszakże przy tym uroku, tak w wyrazie jej twarzy, jak i w ruchach całej postaci, przebijała się jakby już wyrobiona i nawet niezupełnie licująca z jej młodocianym wiekiem powaga — a jej duże, ciemnego koloru oczy, więcej zamyślane niżeli żywe, miały przecież jakiś taki imponujący blask w sobie, że na kogokolwiek spojrzała, ten pomimowoli powstawał z miejsca, jakby do spełnienia jakiegoś rozkazu. Jakkolwiekby jednak, patrząc na nią, jak na jej świeżutkiej twarzy splotały się róże z liliami, jak włosy jej ciemne lśniły blaskiem słonecznym do światła, jak jej usta wiśniowe były krasne i świeże, zgoła tak, jakby cała dopiero wczoraj albo dziś rano rozkwitła, — niktby był nie dał wiary, że to jest córka tych obojga staruszków, którzy jak kwiaty zwiędłe i połamane, gasnącemi oczyma patrzeli w groby otworzone dla siebie. A tymczasem tak było w istocie, — Annuncyata była ich córką rodzoną... Była ona wprawdzie już ostatnim promie-

niem zachodzącego słońca, ale który jeszcze o tyle piękniejszym był dla nich, ile że oświecał drogi ich życia natenczas, kiedy myśleli, że słońce już zaszło i noc ciemna się rozpostarła przed nimi.

O parę kroków dalej, jak tego wymagało uszanowanie dla godności i wieku, siedział młody Bierzyński, całkiem czarno jak zwykle dla żaloby po królu ubrany, z twarzą smętną i bladą i jeszcze więcej zamyślony jak zawsze.

Zaś naprzeciwko kasztelana zabrał miejsce imé pan Gałecki, starosta bydgoski, dość blizki sąsiad i jeden z najbliższych przyjaciół kasztelańskiego domu.

Aby już wszystkie osoby wymienić odrazu, które się znajdowały teraz w tej starożytnej komnacie, powiemy jeszcze, że przy owych schodach kręconych a pod samym żelaznym krużgankiem, przy stoliczku, na którym srebrny gąsiorek i dwa kubki nie próżne, siedziało dwóch szlachty podeszłej. Jednym z nich był pan wojski sieradzki, dawny marszałek dworu i *alter ego* kasztelana, a i dziś jeszcze, lubo już na swojej wiosce osiadły i szczyjący się pełną szacunku przyjaźnią dawnego swojego pana, sprawujący czasem ten urząd przy wielkich fetach. Drugim zaś był imé pan Oskierko, mostowniczy wileński, szlachcic na Litwie osiadły, bardzo miernej fortunki ale wielkiej zaćności, który, zawezwany przez kasztelana, tymi dniami przyjechał, aby po śmierci rządcy objąć rządy nad jego litewskimi dobrami. Ci obadwa, korzystając z odległości, w jakiej się znajdowali od gospodarstwa i gości, prowadzili sobie gawędkę osobną, a kiedy pan Oskierko opowiadał wojskiemu o bitwach księcia Karola Radziwiłła z wojskami Familii i o jego tatarskim na klucz Terespolski zajeździe, — wojski za to objaśniał mu co ważniejsze stosunki kasztelańskiego domu, spuszczać się przed nim pod wpływem lipcowego kordyału nawet i z niektórych sekretów.

W głębi komnaty jeszcze, przy owych niskich drzwiach, prowadzących do mieszkań służby i przy samej kotarze, zakrywającej z tej strony łoże kasztelana, siedział na stolku stary Jawnuta i ręce założywszy na piersi, drzemał sobie

cokolwiek. Była to wyłącznie dla niego pozwolona swoboda, którą sobie w zacnem sercu swojego pana wysłużył długoletnią wiernością. Przy nim stało jeszcze dwóch chłopców służebnych, z których jeden z kozacka ubrany służył dzisiaj z kolei kasztelanowi, drugi zaś ubrany niby z hiszpańska, nosił ogon roby kasztelanowej. Te chłopięta pokazując sobie palcami to tę, to ową osobę, udzielały sobie zapewne także jakichś sekretów.

Wszakże u wielkiego ołtarza daleko ważniejsza się toczyła rozmowa.

Pan Gałecki bowiem opowiadał ów sławny a tak niebezpieczny zjazd szlachty u siebie na św. Michał, i jako imé pan Bierzyński ogień tak już blizki wybuchu jedną mową ugasił. Wszyscy go słuchali z natężoną uwagą, z największą jednak Annuncyata, która do swojej powagi łączyła jeszcze i nadwyzyczajną wszystkich poważnych wiadomości ciekawość i o każdej z nich lubiła być zainformowaną gruntownie. Kiedy więc wszyscy słuchali w milczeniu, ona jedna jeszcze dawała niektóre pytania staroście, tak o napastowanych, jak też i napastnikach, — poczem nareszcie opowiadający zakonkludował mniej więcej w ten sens:

— I tak przecie się umitygowali nakoniec w tym niepotrzebnym ferworze i porozjeżdżali spokojnie do domów. Ale jeśli się na tem skończyło, raz jeszcze to przyznać muszę, że nikomu innemu za to się dank nie należy, je-no przytomnemu tu panu Bierzyńskiemu...

— Mości dobrodzieju! — odezwał się na to szlachetną skromnością wiedziony młodzieniec — wmpan mi oddajesz pochwały, na które, jak waszmość pana szczerze szanuję, zgola nie zasłużyłem.

A na to starosta:

— Ale pozwólno mi, panie Józefie, bo jak cię kocham szczerze jak syna, tak nie tu nie mówię takiego, coby istną nie było prawdą. Owo więc za to — ciągnął dalej starosta — dank się należy tylko imé panu Bierzyńskiemu, który samą wymową, bo nie miał od nikogo żadnej pomocy, taką władzę sobie nad zgromadzeniem pozyskał, że

ich już brzękających szablami, już spisywać się chcących, jako kłosa ku ziemi pochylił i do spokojnego rozejścia się zmusił. Tedy tak mówię, że nam pan kasztelan dzielnego wychował młodzieńca, który z czasem i doświadczeniem stanie się kiedyś piękną naszego województwa a może też i całej ojezyny ozdobą.

— Bardzo ciekawą nam pan starosta powiedziałeś historię — odezwała się na to imię panna ksieni, rzucając okiem pobieżnym na Bierzyńskiego, potem na Annuncyate, a nakoniec spuszczać oczy ku ziemi — ale przecie mnie to zadziwia, że na tyle mężów rozumnych i doświadczonych ani jeden nie znalazł się taki, któryby się poczuł w tym obowiązku. Wždy o wymowę u naszych panów nie jest tak trudno, a na odwadze także nie brakowało nikomu...

Na to zaś z osobliwą naiwnością i jakby z jakimś tajemnym tryumfem rzekła Annuncyata do ciotki:

— Ciotunia powiada, że się żaden nie znalazł taki: a toż przecie się znalazł pan Józef.

Przy tych słowach twarz zamyślnego młodzieńca rozjaśniła się tak nagle, jakby ją promień słońca oświecił, — wszyscy inni milczeli, — ale kasztelan, który mówiącej córce przypatrywał się z wielką uwagą, osłabione swe oczy zakrywając ręką od światła, rzekł na to:

— Chodźno tu do mnie, moja ty panno statystko. Chodźno tu do mnie i siadaj przy mnie, będziemy razem oponować ciotuni i odpowiadać starości. Trzeba ci bowiem wiedzieć, panie starosto — mówił dalej do Galeckiego — że moja córka jest to wielka statystka. Na przekór matce i pannie ksieni nie chce ani wiedzieć o igle i krosnach, jeno siedzi wciąż w mojej gazecie pisanej, którą mi przysyłają z Warszawy, a nawet i w drukowanych. Nie nowina też dla niej wziąć na czas i dyaryusz sejmowy do ręki, a że cokolwiek zachwyciła łaciny, nuż tedy politykować, jak minister lub poseł.

— Prawda to, tatku — rzekła na to Annuncyata, siadając na małym stoleczku przy ojcu — że czasem czytuję w tych pismach. Ale to tylko przez ciekawość, żeby

wiedzieć co się dzieje w kraju i rozumieć rozmowę starszych; bo przez to nie przywłaszczam sobie nigdy prawa do żadnych politycznych dekretów, a nie zaniedbuję też igły i krosien, jako przystoi niewieście.

— No! toż to ja sobie tylko żartuję ze starostą! — rzekł na to kasztelan, patrząc z uśmiechem na córkę — boć to przecie wiesz dobrze, że kobiecie nie rzecz jest mieszać się do spraw publicznych, *nota bene cum voto decisivo*, choć wiedzieć o wszystkim i jej się godzi, i nawet trzeba.

Na to zaś odezwał się z powagą do kasztelanki starosta:

— Lubo nie wątpię o tem, że wmpanna potrafiłabyś jak potrzeba a może i lepiej odemnie odpowiedzieć naszej świątobliwej imię pannie ksieni na uczynioną przez nią objekcyę, pozwól mnie wmpanna, ażebym ja odpowiedział, bo też ta objekcyja prawie mnie tyczy.

— Owo więc — mówił dalej starosta, obracając się do ksieni — lubo w tem zgromadzeniu na wymowie nie jednemu nie brakowało, dlatego jednak krom pana Józefa nikt nie wystąpił z perorą, że oprócz niego brakowało na odwadze podobno wszystkim. Takiej bowiem odwagi, która ma wystąpić przeciwko sprawie, przez wszystkich przyjętej i z ferworem popartej, u nas mało nie każdy unika, jeżeli nie z troskliwości o swoją głowę, to z obawy o popularność, którą w takich terminach traci się w oka mgnieniu i najczęściej na długo.

Kwestya o odwagę cywilną i popularność była, jak wiemy, kwestyą życia starosty, dla tego też teraz najprawdziwszą prawdę powiedział; na co też zaraz sam kasztelan głos zabrał i tak mówił:

— Otóż to jest, kochany starosto, co, jak widzę, zaczyna być wadą terażniejszego wieku i coraz bardziej się między nami rozszerza. Dawnymi czasy nie brakowało nigdy ojezynie na mężach, którzy w każdej sprawie mieli swe własne sumienie i wypowiadali prawdę otwarcie, nie oglądając się nigdy, jakie stąd dla nich samych wynikną skutki. Ci ludzie mieli też za nie swe własne osoby, a do-

bro publiczne za wszystko; tak jak być powinno; to też i dobrze było z tem ojezynie. Dziś, jako widzę, nikt nie chce mieć w niczem własnego swego sumienia, a choć je ma który, to występuje ze swoim zdaniem li tylko wtenczas, kiedy ono licuje z głosem większości. — Drugi też kłamie sam sobie i daje kreskę za taką sprawę, przeciwko której jego własne serce się burzy. Jakiegokolwiek przewadze nikt się nie chce sprzeciwić, a choćby ta przewaga miała i największe absurdum, albo też i niepoczeiwość na celu, najlepsi mileżą, — co bardzo źle jest i z czego wnoszę, że już tu zaczyna prywata przeważać nad dobrem powszechnem. Miałoby tak isé i dalej, to ani przewidzieć, do czego byśmy i kraj i siebie doprowadzili nakoniec, tracąc jedną z cnót kardynalnych, która w takiej świetności i chwale utrzymywała Rzeczpospolitą przez tyle wieków. — Tedy i ja to chwałę imé panu Bierzyńskiemu — mówił dalej staruszek — że przeciwko opinii całego zgromadzenia otwarcie wystąpił, zwłaszcza też że miał prawdę za sobą. Bo czy to rzecz jest godziwa takie sądy doraźne? Może być winien Chodakowski, może też i Kossowski, ale czy to im sędzić te sprawy? A gdyby było i co dalszego z tego wynikło, to i to nie wiem na co. Bo i co to się teraz porywać? Właśnie też, jakby z motyką na słońce. I jak tu jedno odpowiada drugiemu? To kiedy pan hetman, i książę Radziwiłł, i Potocecy, i inni, byliśmy zgromadzeni z takimi siłami w Warszawie, że jeno nam było dobrze pocisnąć, aby zgnieśli Familię na miazgę: to oni po swoich dworkach siedzieli i patrzeli, co z tego będzie. A kiedy tamtych w części rozbito i rozprószone, inni zaś chcąc czy nie chcąc musieli z placu ustąpić: to oni się rwą i rzucają do szabel i nie mają pomiędzy sobą nikogo, któryby im powiedział, że już nie pora po temu. — Więc jeszcze raz to Bierzyńskiemu pochwalam, że miał odwagę za innych. — Ale co waszmość powiadasz, że tak zasługując się braci, stanie się kiedyś województwa albo też i ojezyny ozdobą; na to się z waszmością nie zgadzam. Nie chcę przez to powiedzieć, że dobra wymowa jest la-dajaką zaletą, ani też że odwaga cywilna nie wielką jest

cnotą, boć sam w wielkiem poszanowaniu miałem zawsze obiedwie, — ale tak to rozumiem, że do zasług rzetelnych w ojezynie i do znakomitych zaszczytów nie najlepsza to droga. Jeżeli bowiem niegdyś tak zasłynęła Polska pomiędzy narody, że jej tej sławy wystarcza do dzisiaj, boć prawdę mówiąc, tośmy od wyprawy Wiedeńskiej nie przyrobili jej wcale; owo więc nie zarobiono tej sławy ani obrotnością rozumu, ani sprawnością wymowy, jeno się to stało czynami. Tedy i młodzież także, która chce tę sławę utrzymać i jej cząstkę uzyskać dla siebie, powinna się nie do wymowy sposobić, jeno przedewszystkiem do czynów. Bo tylko tem, czem naród sam stoi, stać może człek pojedynczy w narodzie — a któremi drogami naród chodzi od wieków, temi też także i ten chodzić powinien, który chce służyć z pożytkiem dla niego a dla siebie ze sławą. Taka była prawda za moich czasów, a kto ją wyznawał, dobrze na niej wychodził; sądzę zatem, że kiedy się czasy jeszcze nie zmieniły tak bardzo, to i dziś jeszcze z tych samych przyczyn takie same wynikać powinny skutki.

To powiedziawszy głosem dosyć dobitnym, jak gdyby chciał, aby go dobrze zrozumieli przytomni, obrócił się zaraz do córki i ujmując za rękę, rzekł do niej z uśmiechem:

— I cóż moja panno statystko? powiedzże mi, czy mam rację, czyli też nie mam?

Na te słowa wszakże kasztelanka pochyliła główkę ku ziemi i odpowiedziała z pokorą:

— Ja nie nie wiem, mój ojeze; nie mam zdania w takich rzeczach...

Po tych słowach Bierzyński, który z natężoną uwagą wpatrywał się przez ten czas w twarz mówiącego starca, wstał z miejsca i przystąpił powolnym krokiem ku oknu, gdzie oparłszy głowę o szybę, patrzył tęskniami oczyma w te kraje, które się rozciągały szeroko za Wartą i ni-knęły w powietrzu; starosta zaś widząc, że kasztelan nie miał wcale ochoty do dalszej rozmowy i wyłącznie zajął się córką, przystąpił do kasztelanowej i ksieni, bawiąc ich

dalszemi pochwałami Bierzyńskiego wymowy i cywilnej odwagi.

Tymczasem szlachta pod żelaznym krużgankiem, pod wpływem lipcowego kordyału, gwarzyła sobie coraz serdeczniej; a pan Oskierko tak mówił:

— Otóż to jest, mosanie co mnie bardzo zadziwia. Bo że gładka i zgoła tak piękna, że aż ómi blaskiem urody, toż to rzecz przyrodzona. Na naszej Litwie są jeszcze urodziwsze panienki! Ale że się urodziła w tak późnym wieku rodziców i jeszcze do tego jej urodzenie było *praedictum* przez ducha, to mnie mocno zadziwia. I urodziła się, mówisz waszmość...

— I urodziła się w ten sam dzień punktualnie — rzekł na to wojski sieradzki z przyciskiem — jako ów mnich przepowiedział. Ale czekajże waszmość, to waszmości to opowiem tak regularnie, jako właśnie się stało. Wchodzisz waszmość teraz w skład dworu naszego, toż nie zaszkodzi ci wiedzieć i jego arkana. Ale *verbum* panie bracie, że nikomu nie powiesz, bo to nie dla publiki wiadomości!

— Bądź waszmość o to spokojny — odpowiedział Oskierko — wie się też innych sekretów nie mało, toż gęba z dawna do posłuszeństwa nawykła.

— Owo więc dnia jednego wieczorem — zaczął mówić pan wojski — a działo się to *circa annum* 1746, prawie jakoś po sianokosach i po imieninach kasztelana, które wtedy z wielkimi festyny trwały dwa tygodnie z okładem, a co kosztowały, to za to i wioskęby kupił bez mała, owóż tedy, kiedy się to wszystko skończyło i tylko sami domowi zostali, dnia jednego wieczorem wziął mnie na bok kasztelan i rzekł mi: że przeszłej nocy słyszał w bibliotece jakieś straszne rumory i tak rozumie, że to nie może być nie innego, jeno ów mnich zaklęty, który tu pokutuje i od śmierci nieboszczyka dziada czasem się jawi na żelaznym krużganku.

— Tu owo nad nami? — zapytał pan Oskierko, podnosząc głowę do góry i poglądając na żelazną galeryę, pod którą siedział.

— A tu właśnie nad nami — rzekł wojski z uśmiechem — ale się waszmość nie bój, bo on się jawi li tylko w nocy.

— Powiedzże waść, co to za mnich jest?

— Bóg ci to wiedzieć raczy, co on za jeden, ale że jest, to więcej jak pewno, bo go na własne oczy widziałem. Czyli zaś pokutuje, czy jeno groźbą jest w ręku Boga, albo też Panie odpuść! tumanem, różne o tem są wieści.

— Ale przecie, cóż powiadają?

— Powiadają to różnie, a najwięcej tak mówią, że to jest pradziadek tego oto Bierzyńskiego, którego waszmość tu widzisz. Dziad kasztelana miał niby kiedyś go sproce-sować i zabrać mu cztery wioski zajazdem, czem do ostatniej doprowadzony rozpaczy, wstąpić miał do klasztoru i tam życie zakonkludował. Ale *post mortem* lubo jak mówiwała była świątobliwa, zaczął się jawić po różnych miejscach. Więc najpierwej przy granicznej kaplicy. A trzeba waszmości wiedzieć, że na granicy dóbr kasztelańskich i terazniejszej fortuny Bierzyńskich, syn owego pradziadka, a jużto dziad imię pana Józefa, wyrobiwszy sobie *in foris* restytucyę procesu, zanim sprawę rozpoczął, wymurował słuszną kaplicę, która i dziś jeszcze tam stoi. Owo więc nieboszczyk pradziadek, ekspirowawszy mnichem w klasztorze, zaczął się najpierwej jawić przy tej kaplicy. Tam sobie klękał przed figurą św. Wincentego a Paulo i modlił się, a potem wstawał, oglądał się po okolicy, patrzył długo na zamek, i *tandem* znikał. Działo się to zwykle o samym zachodzie słońca, jako to wieść jest o tem pomiędzy ludem, których ojcowie go tam widywali, ba i dziś jeszcze sami czasem widują. Ale nie dosyć było mu na tem, wprędce bowiem *transmigravit* na zamek i tu się zjawił, a tu już w nocy. A stało się to takim sposobem. Dziad kasztelana, który był zawołanym legistą i najwięcej mieszkał w kodeksach, siedział sobie jednego wieczora owo w tej bibliotece i jako zwykle, coś tam czytał przy stole. Zasiedział się był wtedy do późna w noc. Kiedy to nagle uderzył go ktoś po ramieniu; obejrzy się: mnich przed

nim stoi mówiąc coś srogim głosem do niego. Padł tedy zaraz jegomość, przyniesiono go na rękach do gabinetu, ale już też i nie wstał, bo do trzeciego dnia umarł. Taka być miała jak mówią pierwsza *apparitio* tego mnicha, który też odtąd, że to nikt po nocy nie chodził do biblioteki, zaczął już jawić się owo na tym krużganku, niby to domagając się u potomnych naprawienia krzywd wyrządzonych przez ojców. I że się jawi, to pewna — ale żeby to miał być Bierzyński, ja temu nie wierzę. Wprawdzie te cztery wioski należały niegdyś do imienia Bierzyńskich, jak się sam o tem przekonałem z papierów; ale żeby były na nich wyprocesowane, o tem już niema i śladu. A już ani mówić o tem nie można, żeby były niesprawiedliwie wydarte, bo dziad kasztelana, jako i wszyscy następcy, byli to ludzie nieskażonej zacności, jako mam tego niezliczone dowody. Przysparzali fortuny, ale nigdy z uszczerbkiem drugim, fundując się przedewszystkiem w dobrej sławie i miłości powszechnej, której też zawsze używali i używają do dziś dnia. Tedy ja wiary dać nie mogę tej wersyi.

— Panie bracie — przerwał w tem miejscu Oskierko — niema się co tak bardzo przy tem upierać, boć to różnie bywało i bywa dotychczas pomiędzy ludźmi. Dzieje się coś czasami prawnie a przecie niesłusznie; ci tak sądzą, inni zasie inaczej, a jeno jeden Bóg widzi, po której stronie jest prawda. Ale wracaj waszmość do mnicha...

— Owo tedy natenczas, tak mówiąc do mnie kasztelan, mówi mi dalej: — Jać tam chwała Bogu mam czyste sumienie i za moje uczynki kary Boskiej się pewno nie boję; aleć to z dopuszczenia Bożego odpowiada się czasem za innych...

— O! widzisz waszmość! — zawołał na to Oskierko — już tu i kasztelan sam coś przeczuwał...

— Pozwólże waszmość, tedy mi mówi kasztelan: — „Wielką mi mój Jacusiu wyrządzisz grzeszność, jeżeli tej nocy będziesz spał przy mnie. Wojowało się to z różnymi duchami za młodu, ale na starość ręka już nie po temu, zwłaszcza też jeszcze gdy sama. A tak samowtór może też

jeszcze chociaż mnicha odeprę“. — Nie bardzo mi się podobał ten rozkaz, bo powiem waeści, iż mam tę naturę, że z duchami w żadne zapasy nie chodzę. Nieprzyjacielowi, który uderza na ciało, można też także dobrać się do ciała; ale przeciw duchowi to już snać tylko pacierzem, a kiedy pacierz nie poskutkuje co począć wtedy? — Ale żeby to nie pokazać się tchórzem, głównie zaś ludzi nie alarmować na zamku, przyszedłem wieczór do kasztelana. Leżał on już rozebrany na łożu i przy świecy jarzącej czytał książkę nabożną. Ja się wcale nie rozbierałem i usiadłem przy nim w krzesło poręczowem, w którym zwykły był siadać, ba i dziś jeszcze siada, kiedy chce drzemać cokolwiek. Ot! widzisz waszmość, owo tam pod kolumnami stoi to łoże, a i krzesło to samo tuż przy niem. Tedy kasztelan książkę odłożył na bok i zaczął ze mną rozmawiać. Mówimy o tem i owem, jedną godzinę i drugą, świeca już była zgaszona, jeno lampa nocna się paliła u stropu; na dworze cicho i cicho w całym zamku dookoła, najmniejszy szelest byłby nam się dał słyszeć, — ale nie nigdzie nie było. Tedy i między nami zwolna ucichła rozmowa. Kasztelan oczy przymrużył, a jam też zasnął w tem krzesle prawie lepiej jak w łóżku. Spałem tak może z godzinę albo i więcej, już mi się różne rzeczy marzyły, jak to bywa zwyczajnie, kiedy człowiek śpi niewygodnie, — już ani pamięci przy mnie nie było, gdzie jestem, — kiedy nagle słyszę głos jakiś, rozlegający się jak grom po komnacie, a w tejsze chwili coś mnie silnie chwyciło za rękę. Zerwę się prędko, słyszę jeszcze te słowa: — „*In Februario, die tertia* po nowiu...“ „Zglądzić grzechy twych ojców...“ „Pomnij na to coś winien...“ a tu mnie kasztelan ciśnie mocno za rękę, mówiąc trzęsącymi ustami: — Widzisz, widzisz, na ganku! — Rzucę okiem na ganek, w samej rzeczy, mnich stoi w ciemnym habicie, siwa broda spływa mu aż do pasa i rękę miał podniesioną do góry. Porwałem prędko jedną ręką za szkaplerz a drugą zrobiłem krzyż święty na piersiach, — w tym momencie kasztelan, jak pierwej siedział, tak teraz nazad wpadł w poduszki, — a kiedy okiem rzuciwszy na niego,

znowu prędko spojrziałem na ganek, już tam mnicha nie było. — Odetchnąwszy cokolwiek, lecz nie mając dość siły, aby się utrzymać na nogach, usiadłem napowrót w krzesło. — Kasztelan leżał jakby bez duszy, — zagadywałem go potem po kilka razy, ale mi nic nie odpowiadał. Kiedy szarzyć zaczęło, zasnął, — a ja się na palcach wyniosłem do siebie, skąd równo ze dniem udałem się do kaplicy i dobrą godzinę spędziłem tam na modlitwach. — Przez dni kilka następnych kasztelan był jak zwarzony, a lubo mu się sam natrącałem, ani słowa o tem ze mną nie mówił. Aż dnia jednego przyjechała panna ksieni na zamek, którą i wtenczas już księżną tytułowano, chociaż nią jeszcze nie była, tylko interimalnie. Przez parę godzin tedy byli z nią państwo zamknięci oboje w tej oto komnacie i naradzali się coś sekretnie ze sobą. Co uradzili, nie wiem, ale to pomnę, że przed samym wieczorem zawezwano tam jeszcze księdza kapelana i znów parę godzin trwała narada, — a nazajutrz rano zapowiedziano nabożeństwo solenne w parafialnym kościele. Kiedyśmy dojeżdżali do kościoła, a ja z kasztelanem jechałem sam na sam w kolebce, rzecze on do mnie: — „Pamiętajże waś, panie Jacenty, pomodlić się Panu Bogu o sprawdzenie przepowiedni mnichowskiej“. — A ja na to: — Albo cóż on jw. panu przepowiedział? — „Jako? alboż to nie słyszałeś? — rzecze na to kasztelan — „wszakże mi przepowiedział, że moja żona córkę powije *in Februario, die tertia* po nowiu“. — Tedy ja na to, prawie już nie myśląc, co mówię: „luboby to cud był prawdziwy, jednak życzę go jw. panu z całego serca...“ „Jako cud? — zawołał w ten moment staruszek, patrząc mnie bystro w oczy i kręcąc węża do góry, — „jako? cud mówisz? a za kogoż to mnie masz, panie bracie? — Więc już na to umilkłem i on już więcej nie mówił, chociaż mi się to w głowie zmieścić nie mogło, bo kasztelan natenczas miał już lat blisko siedmdziesiąciu, a kasztelanowa, Bóg wiedzieć raczy, ale ot jaka babka z niej teraz. A cóż waszność powiesz na to? *In Februario, die tertia* po nowiu, jak'em to sam obserwował, kasztelanowa powiła córkę, która wycho-

wała się zdrowo i żyje do dziś dnia, jako waś widzisz swemi własnymi oczyma. Dano jej Annuncyata na imię, że to niby była zapowiedziana...

— No, toż to doprawdy ciekawe są rzeczy — rzekł pan Oskierko — a nadewszystko, że tak osobliwe. Żeby też tylko osobliwości w jej życiu nie było, bo osobliwość u niewiast to prawie zawsze nieszczęście.

— Otóż o to obawiano się zrazu — odpowiedział pan wojski — dlatego też kasztelaństwo radzili się w tem jako najrozumniejszych ludzi a *ante omnia* księcia biskupa, który też sam chrzczył z ceremonii to dziecię. Książę biskup jakoś to temu nie chciał dać wiary, ile że, jako mówił, w żadne *spectra* ani *apparitiones animarum* nie wierzy; jakkolwiekbądź *tandem* rekomendował kasztelanowi ofiarowanie tej dziewczki osobliwej opiece Boskiej i żeby też po staremu przynajmniej *ad septimum annum vitae* chodziło w jakiej zakonnej sukience. Panna ksieni radziła zaś jeszcze lepiej, bo taki po prostu, żeby dziecię ubrać w sukienkę zakonną na zawsze, poświęcając je służbie Bożej, a jej fortunę, albo też jaką porcyę przynajmniej, na klasztor. Debato- wano też także i nad tem, boć i to racya, zwłaszcza jeżeli już tak jest zapisano, że tylko tym sposobem mogłoby się utrzymać przy życiu. Jakoż było to jeszcze *in dubio* aż do dziewiątego roku jej życia. A natenczas coś się tu stało. Co, nie wiem, bom nie dotarł do treści, ano tak to rozumiem, że panna ksieni zaczęła nacierać, aby kasztelanka uczyniła profesyę, czemu też kasztelan się oparł, a jako to jest zawsze prędki w swoich determinacyach, choć stary, kazał dziecku zrzucić habit *eo instante*. Nie obawiał się też już wtedy niczego kasztelan, bo i dziecko było zdrowe jak orzech, i do owego czasu, powiadam waści, co nie naodprawiano nabożeństw, co się nie nawożono po miejscach świętych, a co też nie naczyniono rozmaitych ofiar pobożnych, to temu do dnia dzisiejszego jeszcze nie doszedł rachuby pan rotmistrz. Oprócz tego nie mało też świadczył kasztelan i świeckim ubogim, czego najlepszym dowodem sam imię pan Bierzyński, którego zaraz jakoś po urodzeniu się Annuncyaty wziął był do siebie

i elował na zamku jak syna własnego, potem na dwór podczaszego, aż nareszcie i na dwór królewski go wkręcił, a wszystko to sumptem takim, że trudno opisać. Nie można też powiedzieć inaczej, jak tylko że się to wypłaciło sownie, bo pan Bierzyński wykierował się na człowieka, już dziś znaczy coś w swoim powiecie i kto wie jeszcze, gdzie się oprze za czasem?

— Powiedźże mi waś — rzecze na to Oskierko ciekawie — jakież Bierzyński miał tytuły do takiej łaski kasztelana?

— Nibyto właściwie nie było tytułów żadnych... ale przecie coś było. Była to bowiem dawna znajomość z jego ś. p. ojeem, było też koleżeństwo, a potem i służby po trosze; ale już to głównie dlatego wziął kasztelan tego sierotkę do siebie, że to dom dawniej zamożny a teraz podupadł...

— Widzi mi się panie bracie, że w tem coś więcej być musi... chyba też i w tem nie było ani krzty prawdy, co tu mówią na zamku?

— Albo co mówią takiego?

— Ot mówią po prostu, że ten pan Bierzyński idzie w konkur o pannę.

Nad tem zastanowił się trochę wojski, a po chwili powiedział:

— Zaczny to jest młodzieniec, nie ma co mówić, ale przecie to nie dla niego... Żalby mi go nawet było, gdyby sobie tem głowę nabijał, jakoż i nie supponuję tego na niego, boć przecie ma rozum. Mogę też waści zaręczyć, że się tu nie śni o tem nikomu.

— Tak więc ma się ta sprawa... — powtórzył sobie Oskierko pod nosem — no! aleć też to jeszcze czas na to.

A kiedy tych słów domawiał szlachcic litewski, bardzo prawego serca, ale nie dowierzający wszystkiemu, co mu powiadali koroniarze, po staremu miani przez niego „za ludzi bardzo sztucznych albo też frantów“, — wbiegł właśnie dworzanin, zastępujący z kolei gospodarza za zamku, i zapowiedział kasztelanowi: że książę Marcin Lubomirski

właśnie w dziedziniec zajeżdża, — przybiega tedy zapytać, do których komnat ma gościa prowadzić?

Na tę wiadomość wszyscy się poruszyli, tylko kasztelan pozostał w dawnej pozycy i odpowiedział spokojnie:

— Książę Marcin gość bardzo miły, a proszę go tu przyprowadzić, bo tak rozumiem, że przyjechał mnie widzieć samego a nie moje komnaty.

Wkrótce potem wszedł książę, a zostawiwszy swoich dworzan w pierwszej sali pomiędzy kasztelańskimi dworzany, wszedł sam do komnaty, zbliżając się wolnym krokiem do kasztelana. Kasztelan usiłował powstać na jego przybycie, ale książę to widząc, przyspieszył kroku i pobiegłszy ku niemu, usadowił go napowrót, mówiąc prawie te słowa:

— Siedzże sobie, panie Janie, jeżeli mnie kochasz. Nie głodnym respektu, jeno twego affektu, a ten można wyrzucić nie wstając. Jakże się tedy jegomość mie-wasz? Jako widzę i czerstwo i zdrowo, co mnie szczerze raduje.

— Ja się miewam, mój książę — rzekł na to staruszek — ot! jak to stary nad grobem. Kiedy jeszcze przy życiu, to i to musi być dobrze, bo i to darowizna.

Na to książę pocieszał starca, obiecując mu najmniej dziesięć krzyżyków, a potem mówił zwykłe komplementy matronom, następnie i szumne, bez czego się nie umiano obejść owego czasu, najsumienniejsze zaś z nich dostały się kasztelance, która przy nich jak róża splonęła. Kłaniał się potem z kolei staroście, dworując sobie z niego, że był w takich opałach na św. Michał, a nakoniec i Bierzyńskiemu rzucił wzrok łaskawy i rzekł głośno do niego:

— Witam waszmość, mości panie Bierzyński, i winszuję ci szczerze tak pięknego sukcesu u pana starosty. Znalazłeś się bardzo rozsądnie i bardzo zresztą szczęśliwie; wszakże zawsze nie mogę tego zamileżeć, że młodego człowieka chętniej widzę, gdy naprzód popędza, niż kiedy zawraca.

— Mości książę! — rzekł na to prawie dumnie Bierzyński — lepiej dzisiaj nawrócić z honorem, niżeli jutro być nawróconym ze wstydem. Co zaś do tego, że mło-

demu raczej przystoi z przodu niż z tyłu, toż to jeno cierpliwości nam braknie. Kiedy surma się ozwie na polu, snadno będzie obaczyć, gdzie który będzie.

A na to ksiązę:

— Gdzie ta surma się ozwie przy Boskiej pomocy, i ja też tam będę, a jeśli łaska, to pójdziemy sobie o lepszą. Daj jeno Boże! żeby się to mogło stać jak najprędzej.

— Czego i ja sobie życzę z całego serca — odpowiedział na to Bierzyński — i to do tego stopnia, że gdyby to było tak w mojej mocy, jako jest w mocy panów, pewnoby nie długo czekano.

— I na nas też czekać nie będą, kiedy pora przyjdzie do tego; ale na teraz trza jeszcze cierpliwości koniecznie.

— Cieszy mnie to niezmiernie — zakończył Bierzyński z mimowolnym uśmiechem — że i wasza książęca mość jesteście także nakoniec za cierpliwością, tak jak ja byłem za nią na św. Michała.

Na te słowa ksiązę się zastanowił cokolwiek, a potem rzekł prędko:

— Otóż masz, jak mnie w matnię zapędził! A! winszuję, winszuję, i już tylko to dodam, żeby tak także z szabelką.

— Będę sobie w tem brał przykład z waszej książęcej mości — odpowiedział z ukłonem Bierzyński.

Bardzo się ta odpowiedź podobała księciu, który się miał za wielkiego żołnierza, czego jawne złożył dowody czasu konfederacyi. Jakoż zaraz w najlepszym humorze siadł koło kasztelana i zaczął opowiadać co najświeższe nowiny, tak polityczne, jak i światowe, przeplatając je ciągle komplementami dla kasztelanki. Bierzyński zaś wtędy, domyślając się snadnie, albo może już wiedząc, z czem ksiązę przyjechał, zaczął rozmawiać z starostą i śród rozmowy wyprowadził go zrzęcznie do dalszych komnat, aż przyszedł z nim do tej, w której dworzanie kasztelańscy przyjmowali i gościli książęcych. Za nimi także, zostawwszy na stolicku dzban próżny, pociągnęli Oskierko z woj-

skim sieradzkim, dając tym sposobem swojemu państwu swobodne pole rozmawiania z gościem bez świadków.

To też było bardzo potrzebne księciu; jak tylko bowiem powychodzili goście, rzekł zaraz do kasztelana.

— Zaczny mój kasztelanie! Luboby mi było bardzo miło powiedzieć, żem przyjechał tylko wmpaństwa po staremu nawiedzić i o zdrowie popytać, nie mogę jednak tego zataić, że przywożę ze sobą i sprawę, którą mam obowiązek ich łaskawej decyzji przedłożyć.

Na to zaś odpowiedział spokojnie i prawie zimno staruszek:

— Życzymy sobie, aby nasza decyzja zgodziła się z wolą księcia, a tymczasem będziemy słuchać z uwagą.

Tędy zaczął się ksiązę zaraz rozwodzić nad zaszczytami rodu, parentelą i osobistymi przymiotami pana Michała Dzierżanowskiego. Mówił bardzo wymownie, umiejętnie i zrzęcznie — wszyscy go słuchali z natężoną uwagą — a lubo tam zaraz z pierwszych słów mowy każdy się domyślił, o co rzecz idzie, i zresztą postanowienie w tej sprawie było już dawno zrobione, nikt jednak nie przerwał, nikt się nie zniecierpliwił, stosując się w tem do obyczaju, nakazującego poszanowanie dla mówcy. Ksiązę tedy jak najswobodniej do deklaracyi przystąpił, przyczem znów pochwał dla kasztelana, a osobliwie dla jego córki nie szczędził — aż kiedy wypowiedziawszy wszystko, mowę swoją zakończył w te słowa:

— Raczeie tedy wmpaństwo łaskawie rozkazać, czy mam posłać po niego, ażeby do nóg wam upadł, czy mam mu donieść tę smutną wiadomość, że jego intencye odrzucone zostały.

Odpowiedział na to kasztelan:

— Daj mu ksiązę wiadomość, że nie odrzucone, lecz nie przyjęte.

Na te słowa ksiązę zerwał się z miejsca jak oparzony i zawołał głosem pełnym zdziwienia:

— Jakże! więc rekuzujesz?

Ale na to zawsze jednym i zawsze spokojnym tonem odpowiedział kasztelan:

— Ufny w łaskę księcia na mnie starego, który już zapomniałem krasomówczych terminów, uwalniam się od perory i odpowiadam po prostu, że nie przyjmuję.

— A! panie Janie! takiego efektu rzeczy wcalem się nie spodziewałem! — rzekł na to książę i zaczął się wielkimi krokami przechadzać po komnacie.

W tej chwili obiedwie matrony i kasztelanica wyniosły się milczkiem, idąc po owych wschodach do zwierciadlanej sali.

Książę zaś, przeszedłszy się kilka razy, przystąpił znowu do kasztelana i z twarzą zarumienioną zapytał:

— Jakże? więc nawet żadnej nie zostawiasz nadziei?

— Dla pana Dzierżanowskiego żadnej — odpowiedział stanowczo staruszek. Książę patrzył na niego przez chwilę, poczem znowu się przeszedł, sapiąc mocno i poprawiając to pasa, to karabeli, a nareszcie znowu się zbliżył do niego i rzekł więcej z niechęcią niż żalem:

— Nie dziwię się wmpanu, iż się tak drożysz z swem dzieckiem. Córka to senatorska, jedynaczka, znamienitej urody, pięknych przymiotów umysłu i sercu, a do tego dziedziczka niepospolitej fortuny. Wolna zresztą wola każdemu, jak ma sobie począć z swem dzieckiem. Ale żebyś sobie jegomość tak nisko cenił pana Dzierżanowskiego, tegom nigdy nie myślał.

Kasztelan się na to uśmiechnął i przypatrzwszy się księciu, rzekł do niego łagodnie:

— Proszę księcia, jeżeli łaska siąść przy mnie.

A kiedy usiadł:

— Mówmy z sobą otwarcie — mówił dalej staruszek — wsakżeśmy dawni znajomi. Powiedz mi tedy mój książę, czy znasz dobrze Dzierżanowskiego?

— Jużćie go przecie znać muszę, kiedy do tego przyszło, że mu aż dziewostębie.

— A to powiedźże mi z swej łaski, czyli będąc na mojem miejscu, dałbyś córkę Dzierżanowskiemu?

— Jużćie kiedy o nią proszę, to dałbym! — odpowiedział książę porywczo.

— Ale ja nie dam! — rzekł jeszcze prędzej staruszek

i zachmurzywszy się, wsunął się jakby z gniewem w głąb krzesła.

Książę siedział przez chwilę w milezeniu i patrzył z pod oka na starca; nareszcie wstał i biorąc czapkę ze stołu, rzekł z nietajoną goryczą:

— No! więc nie mamy dalej co mówić. — Odjeżdżam od wmpana z harbuzem, któren o tyle mi jeszcze przykrzejszy, że tak dziwnie stanowczy.

To mówiąc, kłaniał się kasztelanowi, ale to wzruszyło staruszkę, jakoż rzekł na to:

— Mości książę! nie czynźe mi tej przykrości i nie odjeżdżaj z niechęcią odemnie. Nie godzi się tak rozstać ze starcem, który już może dziś albo jutro odjedzie na zawsze, a odjeżdżałby smutny, zostawując kogoś sfrasowanego na siebie. Daj mi więc rękę książę! i pożegnaj się z mną jak z przyjacielem, w którego sercu zawsze tylko miłość mieszka dla ciebie.

Na te słowa zmiękł książę Marcin, prawie łyzy mu stanęły w oczach, całował w ramię starca i mówił z czułością:

— Ale mój panie Janie! nie myśl też proszę o żadnej niechęci! Cóżbym też miał za serce, gdybym nie chował nieskażonej miłości dla tego, który tyle przyjaźni miał zawsze dla mego domu, który mnie dzieckiem nosił na swoich rękach, którego czczył już mój ojciec, którego dziad mój jeszcze kochał jak syna... Kocham cię tedy i szanuję niezmiernie, ale mi to przykro, żeś mi tak srodo odmówił i tego utaić nie mogę.

— Mości książę! — rzekł na to kasztelan — są rzeczy w tem życiu tak ważne i święte, że z nich się dla nikogo nie czyni ofiary; a jak sobie to w domu rozmyślisz, ręczę za to, że mnie usprawiedliwisz.

— Zapewne, są takie rzeczy... Ale przecie... powiedźże mi jegomość przynajmniej, co masz przeciwko niemu?

— Choćbym nic nie miał przeciwko niemu, to i tego byłoby dosyć, że nie mam nic za nim. Toż kiedy o cokolwiek się starać chcemy, choćby tylko o urząd, o jakie poselstwo, albo też nawet o przyjaźń chwilową, trzeba

nam do tego koniecznie, ażeby coś mówiło za nami: a kobieta, mój książę! panna słusznego domu, nie bez zalet osobistych i nie bez posagu, czyż nie warta nawet i tyle jak wszystkie poselstwa i wszystkie urzędy? Nie ma prawa zapytać: Jakie masz waćpan zasługi?

— Zasługi... zasługi... — powtarzał książę — toż to nie jest rzecz tak łatwo nabyta. Trzeba do tego sposobności, trza szczęścia i Bóg nie wie co jeszcze, a i przy tem wszystkim nawet nie wiem, który to młody ich tak zaraz dostąpi? — Dlatego ja jestem zdania, że jeśli młody ma tylko kwalifikacye i dał ich dowody, to już dosyć dla niego. A proszę wmpana, który to z naszych młodych z takimi się kwalifikacyami wykaże, jak jmei pan Dzierżanowski? Toż to jeszcze i trzydziestu lat nie ukończył, a gdzie już nie był? Służył w wojsku cesarskiem i w dwudziestym piątym roku swojego życia dobił się rangi majora; służył w wojsku francuskim, tam jeszcze wyżej postąpił i ozdobiony jest krzyżem św. Ludwika; ledwie się w Polsce pokazał, ledwie się przedstawił nowemu królowi, już ma ofiarowane szambelaństwo u niego: czyż to nie dosyć dla młodzieńca w tym wieku? Jakoż mogą wmpanu zaręczyć, że ani się spostrzeżemy, kiedy przejdzie do stopni bardzo wysokich, a jeśli wojna, kto wie, czy i po buławę nie sięgnie?

— Bodajby się tylko przy niej utrzymał — rzekł na to kasztelan — chociaż wcale temu nie wierzę, bo też nie widzę, aby był na tej drodze. Nie dla wichrów to nasze buławy i krzesła, ani też dla szambelanów litewskiego stolnika!

— Trudno nam spierać się o to — rzekł na to książę — co jeszcze leży w niewiadomej przyszłości; ale kiedyśmy się o tem tak rozgadali, jako jestem starodawnym i ze serca życzliwym przyjacielem twojego domu, pozwólże mi jegomość jeszcze jedno pytanie. Oto jest wieść nieodmienna w sąsiedztwie, że jme pan Bierzyński... ale na co nam tego? Powiedz mi tylko krótko, czy Bierzyński go znasz lepszym od mojego klienta?

Na to pytanie kasztelan poprawił się w krzesle, wi-

dać było po nim, że nie na rękę mu był taki obrót rozmowy; jednakże bez namysłu tak odpowiedział:

— Przedewszystkiem innem muszę księciu powiedzieć, że to, co książę zdajesz się o Bierzyńskim rozumieć, chociaż tego nie mówisz, tak nie jest: a jeżeli tam po dworach tak mówią, toż to są tylko plotki, jako po dworach zwyczajnie. Jeśli Bierzyński przyjaznem okiem patrzy na moją córkę, to go trudno bić za to; a jeśli w swojej nieregularnej fantazy śni sobie z tego co więcej, toż i za to bić go nie można, bo młody: ale że o tych nieдорzecznych snach swoich, jeśli są jakie, ani mnie, ani nikomu nie powie, za to ci ręczę. Owóż jest jedno. — A jeśli mnie pytasz, czy go znam lepszym od Dzierżanowskiego? to powiadam ci prosto, że lepszym. Bierzyński jest zaenym chłopcem, ma zdolności rzetelne, ciężką pracą i aplikacją, ale nie wichrowaniem nabyte; Bierzyński nie udaje paniątka, do magnatów się nie pnie, żyje wedle stanniku i jeszcze dzisiaj nad sobą pracuje, nie na to aby urząd wysoki lub co błyszczącego uchwycił, lecz aby w czasie służył rzetelnie pospolitemu dobru. Brakuje mu jeszcze i tego i owego, jako zwykle młodemu, lecz jeśli pójdzie tą drogą, jaka mu teraz przystoi, a jaka mu się też czasem wskazuje, jestem pewny, że nie ominie go słusna i przystojna nagroda: a choćby też ta nagroda, jaką otrzyma, nie była bardzo błyszcząca, będzie przynajmniej wobec Boga i ludzi zasłużoną rzetelnie. O konkurencyi nie masz tu ani myśli, ani też myśl taka być może, bo się tak ludzie nie żeniają — lecz gdyby w czasie, bo i to powiem otwarcie, moja córka nie miała innego wyboru, a miała serce po temu, to pewno jemu pobłogosławiłbym prędeż, choćby był tylko chorążym, niżeli Dzierżanowskiemu, choćby był już hetmanem. Anoż masz, mości książę, i moją własną opinię, kiedy jej chciałeś koniecznie!

Po wysłuchaniu tej odpowiedzi, wstał książę powoli z krzesła i rzekł, cedząc przez zęby:

— Różni ludzie jesteśmy, różne też mamy widzenia. I chciał zaraz odjeżdżać. Kasztelan go jeszcze zatrzy-

mał, kazał przynieść wina i różnych specyaliów, zwanych powszechnie marcepanami; powróciły do tej komnaty i damy, i pochodzili się także co znakomitsi obustronni dworzanie wraz z różną szlachtą, która była w gościnie na zamku. Była więc dobra sposobność do zabawy i weselości, z której też każdy usiłował korzystać. Jednakże książę jakoś już nie miał serca do tego — był ciągle kwaśny, zimno kasztelana pożegnał, innym ledwie się skłonił i opuścił komnatę.

Uważał to zimne pożegnanie kasztelana i musiał bardzo wziąć je sobie do serca, bo patrzył stojąc na środku komnaty za odchodzącym, a kiedy tamten zniknął na schodach, on podniósł rękę do góry i głośno jakby za nim zawołał:

— Gniewaj ty się, albo nie gniewaj, to mi prawie na jedno! Nigdy nie dbał o łaskę magnatów i nie miałem stąd żadnej straty — i waszmościom to mówię, abyście na to nigdy nie dawali!

To rzekłszy, nalał sobie pełną szklanicę i przepił do Galeckiego, poczem dodał już w oburzeniu:

— Chowają jakieś awanturniki i rozmaite dyabły przy sobie, od których sobie każą wyświadczać Bóg wie jakie przysługi, a potem za te przysługi chcą je płacić z cudzego worka! Anoż nikt tak nie głupi!

I był wesół staruszek z tej alteracyi. Kazał też zaraz przynieść antał wina z piwnicy, zwołać zamkową kapelę i sprowadzić kasztelanowej fraucymer, którym kazał tańcować, zachęcając do picia, sam pijąc i będąc dobrej woli dla wszystkich.

Bawiono też się ochoczo przez cały wieczór.

Lecz kiedy zegar ścienny ogłosił godzinę w pół do dziesiątej, co już i tak o pół godziny przносиło zwykłą porę spoczynku mnogimi laty obarczonych staruszków, kasztelan sam klasnął w dłonie i położył koniec zabawy. Zaraz też wszyscy domownicy i goście opuścili komnatę, jedni udając się do pokojów gościnnych, drudzy zaś odjeżdżając do siebie.

V.

Jednym z gości zamkowych, którzy mając blisko do siebie nie nocowali nigdy na zamku, był przed wszystkimi innymi Bierzyński. Jakakolwiek była godzina, jakakolwiek pogoda na dworze, opuściwszy komnaty, siadał on zawsze na konia i do domu powracał. Tak też samo i dzisiaj, pożegnawszy po skończonej zabawie domowników i gości, wyszedł on na zamkową wystawę i posławszy pacholę służebne po swoje konie, sam się oparł plecyma o kamienną kolumnę, patrząc w noc ciemną, rozpostartą w dziedzińcu, i myśląc.

Jednakże myśli jego musiały być bardzo smutne i ciężkie w tej chwili, zwiesiwszy bowiem głowę ku ziemi i wpatrzywszy się niewidomemi oczyma przed siebie, wyglądał tak, jakby nietylko miał serce ściśnione smutkiem, ale nawet jak gdyby wdychał pod ciężarem jakiejś nowej i niestrawionej jeszcze boleści. Tak też było istotnie. Nigdy on jeszcze z tak ciężkim bólem nie wyjeżdżał ze zamku — nigdy może jeszcze takiego bólu nie doznał w życiu!

Lubo już z poprzednich zdarzeń prawdziwego powodu tego ciężkiego bólu nie trudno się każdemu domyśleć, trzeba nam jednak, dla rzucenia światła na wypadki następne, przypatrzeć się całkiem z bliska tej sprawie, a zarazem wejść w bliższe szczegóły życia tego młodzieńca.

Owo więc młody Bierzyński, jak to już wiemy, chował się od dzieciństwa na zamku kasztelana. Dom ten, pełen cnót najpiękniejszych pod każdym względem i niecierpiący w sobie ani cienia jakiegokolwiek zepsucia, był oczywiście najlepszą szkołą dla młodego chłopięcia. Wyniknęły też stąd dla niego jak najpiękniejsze skutki. Obdarzony z natury wrażliwym sercem i dosyć bystrem pojęciem, wykształcił on tutaj w sobie najczystsze i najszlachetniejsze uczucia, a kiedy wyrabiające się w nim wyobrażenia nie mogły się przy takich wzorach na czem in-

nem gruntować, jak tylko na odwiecznych prawdach religijnych i narodowych, będących duszą tego zacnego domu, formujący się tutaj charakter chłopięcia, będąc czystym jak iza i nabierając starożytnego hartu i siły, nie pozostawiał nic do życzenia. Jednakże na tej drodze nie pozostał Bierzyński do końca. Mając bowiem lat zaledwie piętnaście, przeniósł się na dwór podczaszego litewskiego, a nareszcie na dwór królewski. A pomiędzy wychowaniem na dworze szlachecka, który długoletnią zasługą i pracą wzbił się do wyższej w kraju godności, jakim był dwór Mączyńskiego — a wychowaniem na dworze wielkiego pana albo zgola królewskim — zachodziła wielka i nawet niezmierna różnica.

O tem wychowaniu, które niegdyś dla młodzieży szlacheckiej było niby dopełnieniem studyów szkolnych albo akademickich, a częstokroć nawet wszystkie studia zastępowało, wiele już u nas mówiono i najczęściej z pochwałą. My sami nawet, mówiąc przez usta którego z tamtowiekowej szlachty, unosiliśmy się z miłością nad temi patryarchalnymi akademiami młodzieży, wyliczając wszystkie niezliczone ich cnoty i ani myśląc o wadach. Była to jednak tylko połowa prawdy, która mogła wystarczyć gdzieindziej, lecz nie wystarcza tam, gdzie koniecznie idzie o całą. Jakoż chcąc nie chcąc, trza to tutaj powiedzieć, że owe praktyczne akademie na wielkich dworach, przy wielkich cnotach, miały jednak i wielkie wady. Wiedzano o tem już nawet i wtedy, kiedy mawiano powszechnie: Cnota i pokora rzadko bywa u dwora — tak było w istocie. Cnota jeszcze jak cnota, nie można o niej przynajmniej nie stanowczego powiedzieć, bo wyrabianie się jej u młodzieży zależało tak od naczelnej głowy dworu, jak i od wrodzonych przymiotów samejże młodzieży — ale że młodzież dworska na żadnym wielkim dworze nie wyrabiała w sobie pokory, jest to więcej jak pewna. Byli ci dworacy bardzo pokorni przed panem, składali się jak książka i oczy spuszczaali ku ziemi przed panią: ale trzeba ich było widzieć w marszałkowskiej sali, kiedy pana nie było, na prywatnych kompaniach pomiędzy sobą, albo

w odwiedzinach sąsiedzkich po dworach! Nikt tam wtedy tak nosa nie zadzierał wysoko, nikt tak decydująco nie rezonował o najmniejszych sprawach, nikt tak urzędami, wojсковymi stopniami, starostwami nie pomiatał, jak oni. A kiedy się znaleźli na jakiejś fecie sąsiedzkiej, gdzie były tańce, hulanka albo i jakie rozruchy, o które w owym czasie tak było łatwo, to wojewodzińscy, kasztelańscy, książe — jak się zwykle nazywali przy innych — szli zawsze górą! bez względu na to o ile zacna i stateczna szlachta inna się tam znajdowała, która też zawsze, przez wzgląd na wojewodę, kasztelana lub księcia, nie stawiała im żadnego oporu. Jakoż taka buta spiętrzona, nazywana jak wiadomo tylko fantazyą, nie hamowana nigdy a jeszcze częstokroć sownie nagradzana przez ich własnego pana, była jedną z najwybitniejszych cech charakteru młodzieży chowającej się na wielkich dworach, i była zarazem wielką wadą, tak tych akademii dworskich, jak i samej młodzieży.

Stąd bowiem wyradzała się w tych ludziach już bardzo wczesnie tak wygórowana ambicja, poządlliwość wyższego znaczenia, a przytem i zarozumiałość, że jej potem nie łatwo było zadość uczynić — co wszystko razem, mniej może szkodliwie dla rzeczywiście zdolnych i zacnych, było jednak niezmiernie szkodliwym dla wszystkich innych. — Oprócz tego wszakże, że pominiemy już inne mniej znaczące i względne, wychowanie na takich dworach miało jeszcze i wadę drugą, bardzo ważną i zupełnie bezwzględną — a tą była sama tak zwana *dworszczyzna*. Jest to wyraz może już dzisiaj niejednakowo rozumiany przez wszystkich, bo zlewany częstokroć w jedno z *dworactwem* i *dworskością*. Mała była i naówczas pomiędzy tymi wyrazami różnica, jednakże była. I tak człowiekiem *dworskim* nazywano tego, który umiał więcej niż przywoicie, to jest z pewnem odznaczeniem od innych, znachodzić się w jakiegobądź towarzystwach, głównie zaś na pańskich pokojach. Było to tedy prawie to samo, co człowiek światowy, co zresztą dziś rozumiemy, mówiąc o kimś, że jest salonowym; chociaż przytem także i pod wyrazem *dwor-*

ski rozumiano czasem po prostu służę z dworu. *Dworak*, *dworactwo*, znaczyło już coś odmiennego. *Dworak* bowiem był to już człowiek, umiejący ze swoich dworskich przymiotów materyalnie korzystać; a jeżeli mówiono o kim, że dworakuje komuś, to rozumiało się samo przez się, że dworakuje dla czegoś. Dlatego też mówiono naówczas: to dworak kuty na cztery nogi — i dlatego od dworaka do franta było bardzo już nie daleko. Pod wyrazem zaś *dworszczyzna* rozumiano ogólne obudwóch wyrazów pojęcie, ich abstrakcyę, a więc i umiejętność dworskości i dworactwo i całą treść dworskiego zawodu. Owo więc ta *dworszczyzna* już sama przez się była ogromną wadą wychowania na dworach. Ona to bowiem, jak to z natury rzeczy wypływa, musiała koniecznie do pewnego stopnia ochwiewać samodzielność młodzieży, ona rozszerzała sumienia, rodziła charaktery połowiczne, stwarzała dwoiste twarze, nauczała oglądania się ciągłego na względy, a nareszcie, i co najważniejsza, nauczała rachuby. Nie mogło też być inaczej, były to bowiem wszystko główne podstawy *dworszczyzny*, na jednym dworze ściślej, na drugim przestrzegane mniej ściślej, jednakże mniej albo więcej wszędzie jednostajne i wszędzie te same. Nie wynika stąd wprawdzie jeszcze, ażeby ludzie, którzy młodość swoją spędzili na wielkich dworach, mieli być wszyscy charakterów niepewnych, serc dwoistych i niezdolni żadnych uczynków bez oglądania się na rachuby i względy, bo to niekoniecznie od wpływów zewnętrznych, ale od samejże zależało młodzieży; jednakże rzeczą jest pewną, iż młodzież tak się wychowująca mogła być daleko skłonniejszą do połowiczności w uczynkach, do łakomstwa za blyszczącym znaczeniem i do zachwiania się na drodze twardych obowiązków obywatelskich albo prób ciężkich, niżeli ta, która wychowując się w skromności pod strzechą rodzicielskiego domu, żywiła w sercach tradycyjną dumę równego wszystkim obywatela-żołnierza, nie znając pychy łąkającego bogactw i rozgłosu magnata.

To nadmienwszy o wychowaniu młodzieży na wielkich dworach za Sasów, które się także i Bierzyńskiemu

dostało w udziale, przejdźmy teraz do stosunków, jakie go z domem kasztelana wiązały.

Wiemy tedy już dawniej, że jeszcze dzieckiem był wzięty przez kasztelana na zamek i pod jego okiem był wychowany starannie. Co spowodowało tego zacnego starca do tego dla sieroty, różnie o tem mówiono, ale nikt nie pewnego nie wiedział. Że pomiędzy Mączyńskimi i Bierzyńskimi były kiedyś jakieś procesy, z których pierwsi wyszli zwycięsko, a drudzy parę wsi utracili, było rzeczą pewną: ale nie było ani nawet prawdopodobną, żeby z tego względu kasztelan sam miał coś na swoim sumieniu. Nieskazitelné życie jego było na to aż nadto dostatecznym dowodem. Pomimo to jednak położenie rzeczy było takie, że istotnie miejsce mieć mogły domysły, jakoby kasztelan przeciw się do jakichś obowiązków względem Bierzyńskich poczuwał i wskutek tego wziął podstolica do siebie. Czyli w tych domysłach było coś prawdy i ile, mógł to wiedzieć tylko sam kasztelan, a wreszcie może i pani Bierzyńska; ale jak pierwszy nigdy nie o tem nie wspominał nikomu, tak druga przeciwnie nawet, o ile tylko mogła, wystawiała to wszystko, co dla jej syna kasztelan świadczył, tylko za dobrodziejstwo, nie mając żadnego innego powodu, oprócz zacności serca staruszka. Tak też od najdawniejszych czasów wystawiała tę sprawę i swojemu synowi, wdzięczność i przywiązanie do tego domu zalecając mu za obowiązek najświętszy. Nie było jednak potrzeba i tego, ażeby młodego i pocziwego chłopca do domu kasztelana przywiązać.

Samo obchodzenie się z nim tak kasztelana jak i kasztelanowej, odebrane tutaj pierwsze obszerniejszego świata wrażenia i pierwsze o rzeczach pojęcia, a nareszcie spędzane tutaj wszystkie lata dziecięce, wyrobiły taką w nim miłość głęboką i tkliwą dla tej całej rodziny i tego starożytnego zamku, że rodzinę tę prawie więcej ukochał niż swoją własną, zamek ten więcej niż dom macierzyński. Przy takim usposobieniu serca musiało się też w niem wyrobić równie tkliwie przywiązanie i tej małej naówczas dziewczynki, z którą się od lat niemowlęcych dzielił ka-

żdem uczuciem, którą ukochał jak siostrę i która go także ukochała jak brata. Jakoż kiedy z czasem przyszło do tego, że postanowili starsi puścić go na naukę w świat większy, wiadomość ta już natenczas napęliła go krwawą boleścią i z początku nawet wątpiono, czyli ten rozdział nie przyniesie dla jego zdrowia jakich niepożądanych skutków. Młody podstolic jednak, żyjący naówczas pod wyłącznym wpływem żelazną wolą obdarzonego starca, miał tyle siły nad sobą, że zagryzł w sobie tę boleść, przemógł ją i ze łzami tylko odjechał. Dalsze jego losy i służby u podczaszego i króla trzymały go na takiej uwięzi, że przez lat blisko ośm ani razu nie był w województwie sandomierskiem i nie widział przyjaciółki swego dziecięctwa. Wszakże przez tych całych lat ośm wspomnienie zamku nad Wartą, wspomnienie jego opiekunów starszaków i owego aniołka w habicie zakonnym, którego twarzyczka cudowna, dla wszystkich melancholijna i prawie smutna, dla niego tylko miała uśmiech braterski, chowało się w jego sercu tak żywo, jak gdyby zapomnienie tu było niemożliwem zupełnie. I czy to jeździł z Potockim, zwiedzać fortece graniczne od Turcyi, które naówczas pod jego zostawały komenda, — czy czuwając później przez całe noce na służbie w przedpokojach królewskich, — czy zwiedzając oddalone od Polski tak zajmujące krainy Niemiec i Francyi, — zgoła kiedykolwiek tylko i w jakim bądź położeniu, przypomniał sobie swoją ojczyznę, — pierwsza myśl jego zawsze najpierwej zalatywała do zamku nad Wartę, a pierwsze jego uczucie obejmowało z miłością tą anielską dziewczynkę, która niegdyś była mu siostrą. Wyrosłszy wreszcie z lat pacholących w młodzińca i wykształciwszy się już prawie na męża, kiedy nieraz się trzeźwo zastanowił nad rzeczywistą istotą tego pół dzieciniego a przecież niezatartego wspomnienia, uśmiechał się nad tem jakby nad snem po zbudzeniu albo niedorzecznem marzeniem: ale pomimo to, co żyło istotnie w sercu, nie dało się nigdy zniszczyć obojętnym uśmiechem i powracało nazad z całym swoim urokiem.

Po ośmiu latach król August umarł — a w kilka

miesiący po jego śmierci Bierzyński wrócił do Polski. Zabawiwszy dzień jeden u matki, udał się on bez zwłoki na zamek. I tu dopiero wyjaśniła mu się zagadka tego osobliwszego uroku, którem otoczone lat dziecięcych wspomnienie, towarzyszyło mu przez tyle lat nieodstępnie. Kiedy dziś Annuncyate obaczył, zaledwie wierzył swym oczom. Opętany dawnem wspomnieniem, które mu ją przedstawiało małą dziewczynką w habicie, nie mógł się pojąć ze sobą, kiedy ją ujrzał dorosłą panną, w całym blasku najświetniejszej urody i wdzięków. Jakoż jeżeli dotąd jakiś urok otaczał jego dziecięce wspomnienie: to dziś rzeczywistość objęła go czarem tak wszechwładnym i odurzającym, że na czas długi stracił wszelką przytomność i samodzielność umysłu.

Chwile te jednak pierwszego, odurzającego wrażenia, w których trętwią wszystkie władze rozumu i tylko serce, przepelnione uczuciem, przelewa w sobie pół anielskie sny i marzenia, minęły z czasem — a po nich nastąpiła w umyśle doba taka, którą można porównać z chłodnym porankiem, następującą po księżycowej nocy śród lata. Pierwsza chwila otrzeźwienia się z takich upojeń miłości przynosi zwykle ze sobą myśl zbliżenia się do ukochanej istoty i przyprowadzenia nieświadomych dotychczas uczuć do świadomości wzajemnej. Taka myśl przyszła także i Bierzyńskiemu. Jakoż bywając dosyć często na zamku, nie opuścił on ani jednej sposobności, w której mógł z kasztelaną rozmawiać. I sposobności tych było dostatkiem, bo mu nikt ich nie bronił. Siedząc w jednej z rodzicami komnacie albo w zamkowym ogródku, rozmawiał z nią nieraz całą godzinę, czasem cały wieczór letni przeszedł mu na tej upragnionej rozmowie. Ale pomimo to wszystko, pomimo to nawet, że oboje młodzi zbliżyli się całkiem do siebie umysłem, zbliżenie się sercem nie przychodziło wcale. Rozmiłowany młodzieniec czuł to z głębokiem smutkiem, jak był dziś od niej daleko! Dawna miłość dziecięca, siostrzana, była już dzisiaj nie wspomnianem nigdy wspomnieniem — a zawiązkom miłości innej zdawały się stać na drodze niezgłębione przepaście! Myśląc nad tem i do-

myślając się w części, jakiej natury są te przepaście, które się rozstały pomiędzy nim a tem dzieckiem malutkiem, zamienionem w dziewicę, wzdychał nieraz z głębi rozbolełego serca, mówiąc sobie ze żalem: — O! czemuż mi się teraz nie powrócą moje lata dziecięce!

Wszakże około tego czasu zaczął bywać na zamku, a potem konkurować wyraźnie Dzierżanowski. Dzierżanowski był to jeden z tych ludzi, którzy na samym wstępie wpajają albo żywą sympatyę ku sobie, albo obudzają odrazę. Jest to przymiot nieodłączny od charakterów silnych, zdecydowanych i zdradzających otwarcie swoje cechy wybitne. Dzierżanowski przez swoją szaloną odwagę, sławną już wtedy awanturniczość a nareszcie niepospolitą śmiałość we wszystkim i do wszystkiego, która częstokroć nawet już nie była śmiałością tylko po prostu zuchwalstwem, obudzał dla siebie sympatyę prawie u wszystkiej młodzieży, — młodzież koeha całym sercem Rolandów, — ale dla tychże samych przymiotów, osądzonych rozsądnie i względnie, nie obudzał on sympatyi dla siebie u starszych, a częstokroć wzniecał w ich sercach odrazę. Jednakże Bierzyński nie trzymał w tem ani ze starszymi, ani też z młodzieżą. Odwaga Dzierżanowskiego nie imponowała mu wcale, bo był tego rozumienia, że co tamten zrobił, to i on zrobić potrafi; nie miał zaś żadnej odrazy ku niemu, bo nie widział słusznych do tego powodów. W samej rzeczy naówczas Dzierżanowski, krom owego zajazdu na wieś swoją dziedziczną, który bardzo różnie był oceniany przez różnych, nie miał żadnej plamy na sobie — a że istotnie posiadał przymioty takie, którymi w danym razie mógł lepiej posłużyć krajowi niż wielu innych, więc raczej zasługiwał na wyjątkowe cokolwiek uwzględnienie, niżeli na sąd bezwzględnie surowy. Oprócz tego Bierzyński czuł się wyższym moralnie od niego, czuł to w swem sercu, że kiedy tamten mógłby się jakimś jednym rozgłośnym odznaczyć czynem, onby był w stanie całe życie swoje pleść same czyny pożyteczne krajowi, a przy szczęściu i świetnie; przypatrzwszy się zresztą bliżej przymiotom Dzierżanowskiego, czuł i to także, że w jakiejkol-

wiek walce z tym osławionym rycerzem odniósłby nad nim niezawodne zwycięstwo i w razie danym mógłby nawet stałe nad nim przewodzić. Wszystkie te uczucia i myśli były może tylko złudzeniami, mającemi swe źródło częścią w śmiałości a częścią w zarozumiałości młodzieńczej, ale Bierzyński w nie wierzył a wiara usprawiedliwia wiele, jeśli nie wszystko. Na takiej tedy wierze oparty, niepotrzebował on go ani kochać, ani też nienawidzić, — jakoż traktując go tylko cokolwiek górnio, był zresztą wcale obojętny dla niego.

Taki był skutek pierwszego poznania się tych dwóch ludzi ze sobą, z których jeden już był mężem skończonym, a drugi nim być zaczynał. Jednakże wkrótce okazało się jawnie, że Dzierżanowski zaczyna się starać o kasztelanę. Dostrzegłszy tego Bierzyński, był przedewszystkiem niezmiernie ciekawy zachowania się kasztelana w tej sprawie. Ciekawość ta wszakże została zaspokojoną prędko, będąc bowiem od tak dawna blizkim temu domowi, a przy tem i dosyć zręcznym w dworszczyźnie, przekonał się niebawem, że Dzierżanowski, prędzej lub później, dostanie jednak niezawodną odprawę. To zmieniło jego dotychczasowy stosunek do niego o tyle, że odtąd jeszcze zaczął patrzeć nawet z lekceważeniem na niego. Jakkolwiek tedy Dzierżanowski był przekonany najgłębiej, że Bierzyński usiłuje potajemnie mu szkodzić na zamku, nie było w tem ani cienia prawdy; Bierzyński zresztą mimo całej dworszczyzny swojej, nie był nawet zdolnym do tego...

Bierzyński tedy z powodu tej konkurencji nie miał żadnej do Dzierżanowskiego niechęci, przeciwnie nawet, był on mu wdzięczny za nią cokolwiek. Zdarzenie to bowiem, że kasztelan Dzierżanowskiego do otwartej konkurencji dopuścił, dało mu miarę ojcowskich względem córki ambicyi, na czem się opierając, przyszedł do przekonania, że kiedy Dzierżanowskiemu nie wzbroniono tytułu konkurenta o kasztelanę, dla czegożby i on, jemu zupełnie równy, nie mógł także w tej roli wystąpić? — Jakoż tę myśl zaczął on odtąd urzeczywistniać. Mniej porywczy i ostrożniejszy od Dzierżanowskiego, a zresztą znający lepiej dom kaszte-

lana, przystępował on do tego bardzo pomału i inną drogą. Nie zajeżdżał szumnymi ekwipażami na zamek, nie otaczał się błyszczącą liberyą, nie szukał zresztą protekcyi u ksiąząt; lecz siedząc cicho na wsi, zajmując się gospodarstwem, starał on się o zachowanie i znaczenie w obywatelstwie a przytem jeździł jak zwykle na koniku na zamek, ujmując sobie wszystkich jego mieszkańców uprzejmością, skromnością i wszystkimi swojemi cnotami.

Nie można też mu nie przyznać, że ze wszystkich dróg, jakie mu do tego celu stały otworem, była to droga najlepsza i mogąca najpewniej pożądanę przynieść owoce: pomimo to jednak całe lato minęło a Bierzyński nie tylko ani o jeden krok w żadnym kierunku ku swojemu zamiarowi nie postąpił, ale nawet ku końcu lata zaczęło mu się zdawać, jakby stał u wszystkich daleko gorzej, niż przedtem. Domysł ten nawet był prawdą. — Kiedy bowiem kasztelan, który po powrocie z Drezna przyjął go u siebie jak swego syna, teraz się stawał prawie codzień chłodniejszym dla niego, kasztelanowa okazywała mu obojętność zupełną, a panna ksieni, która prowadziła przeważny głos w gyniecum, nie tylko że się nie kryła z wyraźną dla niego niechęcią, ale nawet zapytywała go kilkakrotnie z osobliwszym wyrazem ironii, co myśli począć ze sobą? czy będzie się starał o jaką szlacheiankę z sąsiedztwa i konkurował o jakie chorążtvo lub miecznikowstwo w powiecie? czy o pisarstwo jakie w grodzie lub ziemstwie? czy może o towarzystwo w jakiej chorągwi? Tytułując go zresztą dobitnie waścią lub asindziejem, dodawała czasem wyraźnie, że taka a taka panienska jest na wydaniu, taki a taki urząd najniższy na tegorocznym wakansie. Były to wprowadzić tylko maleńkie szpilki, ale jak dla Bierzyńskiego bolesne, łatwo to pojąć.

Postępowanie z nim kasztelancki było zupełnie inne. Nie zmieniło się ono ani o jeden cień od tego momentu, jak z za granicy powrócił. Rozmawiała o wszystkim szczerze, prawdomównie, otwarcie, słuchała go z uwagą a nawet i widoczną przyjemnością, widać to było nawet, ile zawsze szczerzej miała przyjaźni i prawie przywiązania do

niego; — lecz kiedy głos jego zaczął przybierać dźwięk wyższego niż przyjaźni uczucia, kiedy w oczach zabłysnął zapal, albo kiedy mu się z rozczulonego serca zaczęły wydobywać smutek, żal lub tęsknota, rozmowa nagle się urywała i ustawała zupełnie. Bierzyński to oczywiście uważał i śledził pilnie w takich momentach niezrozumiałą dla siebie dziewczynę. Jakoż zdawało mu się nieraz, że ona urywając rozmowę, wyraźny gwałt sobie czyni, — czasem twarz jej przybierała ten wyraz, jaki widzimy u niemych, kiedy widocznie jakieś silne uczucie nimi zawładnie, a nie są w stanie go wypowiedzieć, — czasem nawet przelotna łezka zakręciła się w jej oczach i upadała na ziemię... W tych znakach zdawało mu się widzieć konieczne uczucie, — widząc je, zdradzające się mimowolnie, chciał je koniecznie na jaw wydobyć i uczynić świadomą obustronnie własnością, — ale pomimo najusilniejszych starań i nawet biegłej zręczności, nigdy mu się to nie udało. Kiedy bowiem rozmowa doszła przypadkiem do niebezpiecznego już punktu, albo kiedy Bierzyński już powiedział coś takiego, co miało jasne i niewątpliwe znaczenie, Annuncyata natenczas zwykle tylko spojrzała na niego, lecz wzrokiem tak dziwnie czystym, tak wspaniale promiennym i prawie świętym, że rozśmieszony młodzieniec wiał cały jakby lilia w jesieni i kruszył się sercem, jak pielgrzym na widok grobu Chrystusa. Byłby kłął wtedy przed nią i na klęczkach modlił o przebaczenie swej winy... I potem długo nie miał odwagi, nawet jej w oczy popatrzeć. Taką władzę wszechmocną nad nim miała ta młodziutka dziewczyna.

W takim położeniu rzeczy nie można się dziwić zresztą Bierzyńskiemu, że przez czas długi nie rozumiał właściwie ani jej, ani nawet siebie samego. Miłość, jakakolwiek ona jest, ma zawsze moc osłepiania i przytłumiania rozsądku, — a cóż dopiero powiedzieć o takiej, która młodzieńcowi otwiera oczy na świat nowy i zupełnie nieznan? Nie mogąc tedy zrozumieć swego właściwego stosunku do Annuncyaty, znajdował on się natenczas w położeniu ledwie nie rozpaczliwym. Położenie takie może nawet isto-

tnie przywieść do rozpacy. Trzyma ono bowiem człowieka w najopłakańszem rozdarciu ze samym sobą. Gdzieindziej ciągnie go serce, gdzieindziej rozum. Serce, opierając się na przecuciu, co moment nowe otwiera widoki, codziennie świeże odbudowuje nadzieje; rozum co chwila się trzeźwi i najpiękniejsze nadzieje druzgoce w miazgę. W takiej walce ze sobą samym, usuwa się ziemia z pod nóg człowieka, znika świat cały z przed jego oczu, a kiedy każdy dzień staje się tylko nowym cierniem w wieńcu cierpień nieznośnych, a przy tem przecież ponętnych, mijają tak dnie, miesiące i lata, bez śladu. Niektórzy ludzie strawili na takich cierpieniach miłosnych całe swe życie. W czasach, kiedy romantyzm żył jeszcze w sercach, nie w głowach, kiedy popełniano szaleństwa z potrzeby serca, a nie z przesytu i nudów, widziano niejednokrotnie starców, noszących do grobu barwę swej damy okrutnej i umierających z starości, a przecież z jej imieniem na ustach. Byli to tacy, którzy oślepieni miłością, nie zrozumieli właściwego stosunku do swojej damy i mając wieczną nadzieję, czekali na jej ziszczenie do grobu. Czekając, nie robili nic więcej. Ci ludzie, kiedy staną na sądzie, zapytani: Czem wypełnili swe życie? — odpowiedzą: Miłością. Nie będzie dla nich kary, ale też i nie będzie nagrody. A kiedy ci, którzy oprócz miłością jeszcze i czynami wypełniali swe życie, zmieniają się w promieniste anioły, oni zmieniają się w kwiaty stepowe i leśne, ażeby w barwie swej damy okrutnej kwitnąć na wieki wieków... Toż i Bierzyński wówczas, w najlepszym razie, miał tylko przyszłość takiego kwiatu przed sobą. Ale on wiedział o tem, i drżał przed taką przyszłością. Jakoż już wtedy i sam ze siebie przechodził na myśl, że lepiej jest nareszcie dotrzeć do końca, dostać okrutną odprawę i z krwawą rozpaczą w sercu, z młodością we krwi i zdolnością do czynów, rzucić się w świat trudów i pracy...

Jednakże nim to postanowienie, którego nawet i myśl już była zaszczytną dla niego, mogło w nim dojrzeć zupełnie, przyszła dzisiejsza niedziela, w której książę Lubomirski odebrał dla Dzierżanowskiego rekuze. O tej rekuzie

wiedział on naprzód, — ale nie wiedział o tem, że jednocześnie dostanie się i jemu rekuza. Ta rekuza wszakże dostała mu się istotnie, bo zdanie kasztelana o nim, powiedziane w jego obecności bydgoskiemu staroście, nie było w samej rzeczy czem innym. Zrozumiał też je Bierzyński i więcej nie potrzebował do zrozumienia swego istotnego stosunku do kasztelańskiej rodziny.

Dzisiejszy dzień tedy, tak stanowczy dla Dzierżanowskiego, stał się mimochodem i dla niego stanowczym, oświecając go ostatecznie o stanie jego najważniejszej dotychczasowej sprawy i zniewalając go razem do jakiegoś innego postanowienia na przyszłość.

Teraz, jakżeśmy to już powiedzieli powyżej, stał on oparty o kamienną kolumnę i posławszy służebne pacholę po swoje konie, patrzył w noc ciemną, rozpostartą w dziedzińcu, i myślał.

Wkrótce wszakże przyprowadził konie jego wierny Pawełek.

Pawełek był to ten sam kozaczek, któregośmy już przed ośmią laty widzieli w jego usługach. Urodzony w jednym roku ze swoim panem, wrócił on także dzisiaj w młodość. Przez cały czas ten nie porzucał on go ani na jedną chwilę. Był z nim u podczaszego, był i w służbie królewskiej i nawet kiedy Bierzyński jeździł do Niemiec i Francji, brał go także ze sobą. Z takich długoletnich, nieprzerywanych i u kolebki już prawie związanych stosunków, wyrobił się pomiędzy nimi oczywiście związek tak ścisły, że był cokolwiek więcej, niżeli prostym stosunkiem służbowym. — Dotychczas jednak Pawełek prawie nie wart był tego. Był to bowiem hultaj na wielką skalę. Rozpuszczony i rozleniwiony za młodu, nie był on zdolny do żadnej pracy. Kto inny za niego chodził około koni, kto inny robił porządki w komnatach, on niby to wszystko doglądał, ale sam się nie tknął niczego. Miał też do tego i inne, za lenistwem idące, przymioty. Jakoż gra w karty i kości, miłość dla kobiet bez cześci, a do tego kufel, muzyka, tańce, owoż jego najulubieńsze rozrywki. Nad to wszystko wszakże prznosił bijatki i burdy.

Rzadko mu się do tego zdarzyła sposobność, aby z niej nie korzystał. I ktokolwiekby mu się do tego nawinał, i miał też za co czy nie miał, kiedy tylko można było bić albo bić się, wszystko mu jedno, bił się albo też był wybitym. Z tego powodu Bierzyński miewał nawet niejednokrotnie nieprzyjemności tak w Warszawie jak w Dreźnie. — W Warszawie bowiem Pawełek trzymał nierozrwaną przyjaźń z gwardyą pieszą koronną, złożoną z samych takich hultajów i awanturników, których największą przyjemnością było kieraszować Sasów królewskich, — w Dreźnie zaś, w braku gwardyaków a nawet i w braku tych samych Sasów, bijał na własną rękę Sasy inne, gdziekolwiek się zdarzyła do tego sposobność. Miał tedy też młody pan jego niejednokrotne nieprzyjemności, miał i w tem nieprzyjemność, że za drogie pieniądze utrzymywał sługę, z którego żadnej nie miał usługi; wszystko to jednak znosił Bierzyński, a lubo po kilkadziesiąt razy już był sobie przedsiębrał, wypędzić hultaja na cztery wiatry, nigdy tego nie zrobił. Przyczyna zaś tego leżała najpierw w tem, że Bierzyński miał to w swojej naturze, iż do czegoś łatwiej się przyzwyczajał. Był on jeszcze prócz tego i cokolwiek przesądny i nie lubił nawet najdrobniejszych zmian koło siebie, sądząc zapewne, że za zmianą jedną pójdą same z siebie i inne. Przesąd ten, drobny w sobie i nie nieznaczący, spotyka się u ludzi daleko rozumniejszych i wyższych moralnie, niżelibyśmy myśleli; tak jak i to może się zdawać nienaturalnem, chociaż jest najpewniejszym, że im niepospolitszy i jeniálny umysł człowieka, tem łatwiejszy przystęp mają do niego wszystkie przesady.

Ten przymiot mają także umysły całkiem poziome i ciemne, — ale też to tylko szkolne, pospolite, z wszelkiego ideału obrane rozumy wolne są od przesądów w tem życiu, tak pełnem wielkich i małych a żadnym rozumem nierozwiązanych tajemnic.

Drugą jednak i daleko ważniejszą przyczyną, dla której Bierzyński nie odpędzał Pawelka, było to, że ten hultaj wierutny, pomimo całego hultajstwa swego, był duszą i ciałem przywiązany do niego. Tej niezachwianej, ślepej

a w konieczności nawet i posłusznej miłości ku niemu, dał on już kilka uderzających dowodów, a te dowody były nawet tego rodzaju, że nie można się było nimi nie wzruszyć, niepodobna ich było zapomnieć. Krótko mówiąc, Pawełek był to cień jego, którego nie mógł odstąpić — i więcej nawet, bo cień opuszcza człowieka z zniknięciem słońca, a Bierzyński był pewnym, że jego sługa go nie odstąpi nawet i w nocy ciemnej i wśród najniebezpieczniejszych wypadków.

Kiedy więc wierny Pawełek przyprowadził konie przed ganek, Bierzyński wsiadł na swego bachmata i puścił się stępą ku bramie. — Gdyby był chciał nawet, toby był nie mógł pospieszać prędzej, noc bowiem była tak ciemna, jak to mówią choć oko wykol. Na niebie nie było ani jednej gwiazdeczki, na ziemi ani jednego światełka, drzewa nawet stojące tu i owdzie przy drodze, tak się zlewały z nieprzedartą ciemnością, że je dopiero przy zbliżeniu się o parę kroków było widać jakby jakieś cienie olbrzymów. Nie pozostawało tutaj nie podróżnemu, jak puścić koniowi cugle i zdać się na jego instykt zwierzęcy. Tak też zrobił Bierzyński, i aby go wśród tej ciemnicy nie napastowały jakieś myśli niespokojne, do których dzisiaj był więcej usposobiony, niż kiedyindziej, zrobił krzyż święty na pierśiach i zaczął odmawiać zwykłe wieczorne modlitwy.

Wszakże nim jeszcze pierwszy Pater Noster odmówił, Pawełek podjechał bliżej ku niemu i rzekł mu:

- Cośbym panu powiedział.
- Jeśli nie jakie błazeństwo, to mów, jeno prędko.
- Otóż naszemu Barnabie spaliła się chata.
- Jako? kiedyż się spaliła ta chata?
- Dziś przed wieczorem.
- A inne budynki także zgorzały?
- Nie, jeno sama chata, a i ta nie do szczytu, bo ją wyratował pan Dzierżanowski.
- Dzierżanowski? cóż to znowu za kłamstwa wierutne?
- Nie panie, jako Pan Bóg na niebie, tak prawda. Pan Dzierżanowski jechał z księciem razem aż do kaplicy

książę stamtąd ruszył na zamek, a on się tam pod laskiem brzozowym rozłożył i czekał, pewno na dobrą wiadomość od księcia...

— I to tak, pewnie?

— Jużci tak, bo na cóżby czekał innego?

— Anoż to człowiek prawie już głupi — zawołał na to Bierzyński — żeby też naprzd nie wiedzieć, że harbuza dostanie.

— A już to tak; aleć w końcu nie ma się temu co dziwić, bo to człowiek zawsze widzi lepiej cudze, niż swoje, a kobiety czasem dziwnie bywają sztuczne. Jużby człowiek za nią przysięgał, a ona przecie wywiódła w pole.

Zastanowił się trochę Bierzyński nad tą praktyczną sentencją, a potem spytał:

— Więc kiedy Dzierżanowski tam czekał, u Barnaby wybuechnął ogień?

— Jużci tak panie. A on wtedy wpadł z swymi ludźmi, skoczył na strzechę i rozdarł ją jakby czapkę starą w kawałki. Przejeżdżał tamtędy stary Maciej ze zamku i Barnaba mu to opowiadał, a obadwa się temu dziwili, boć to była prawie nieludzka robota.

— Nie wielka rzecz ugasić chałupę, jeszcze też taką, jaka ta była. Ale i to dobrze, bo bez tego ratunku byłby Barnaba pewno całe swe mienie utracił, a żałby mi go było serdecznie.

— Jużci i mnieby go żal było, ale przecie niebardzo...

— A to dlaczego?

— Bo on sobie jeno na jedną stronę prawo poczyna, a na drugą nie całkiem. Mały bywa przed panem, ale srodcze rośnie przy innych. A już dla swego chłopca taki całkiem jest srogą. A to setny jest chłopak ten Wojtek. Zmyslny jak kot, dobrej fantazyi, a już na żołnierza, to i niema lepszego. A Barnaba go zmusił do szkół i niewoli na księdza, ba już i dziś tak wygląda, jako bakalarz lub organista. Płacze nieborak rzewnymi łzami, aleć to nie u Barnaby można co choćby łzami wypłakać. Otóż ja tak powiadam, że wielkąby pan chłopczyszkowi uczynił łaskę, gdyby go pan wziął do siebie na służbę. Co bądź byłoby

z niego, bo i na książce już umie i kiedy pisze, to mu ręka tak lata, że i trudno ją dojrzeć, a jak potrzeba, to i z łacińska co powie. Już co bądź byłoby z niego, byle jeno nie ksiądz, bo by tego i nie zniósł.

— Wiem ja o tym chłopczynie — rzekł na to Bierzyński — a co mam zrobić, nie potrzebujesz mi gadać.

A kiedy to mówił, patrząc w nieprzedartą ciemnię przed siebie, zdawało mu się, jakby o kilka kroków przed nim jakiś cień mignął się na drodze. Wpatrzył się lepiej, cień był jakiś istotnie niedaleko od drzewa, a wtem dało się słyszeć ciche chrząknięcie.

— Czy tu jest kto? — spytał Bierzyński.

— Cicho! — odpowiedział głos szepczący od drzewa — cicho! to ja! Marta cyganka, tylko cicho!

Bierzyński powstrzymał konia i wpatrzywszy się jeszcze lepiej w to miejsce, z którego głos dawał się słyszeć, spytał z zadziwieniem:

— Cóż to znowu Marto? dlaczego ty błąkasz się po nocy?

— Cicho, panie, na miłość Boga — mówiła Marta, zbliżywszy się do jego strzemiesia — cicho, bo tu być może niebezpieczeństwo dla pana. Naprzeciwno kaplicy, pod owym laskiem brzozowym, stoją jacyś jezdni i zbrojni. Pięciu ich jest podobno. Nie wiem kto to jest taki, ale już to pewno jakaś zasadzka. A może to być i on Dzierżanowski, bo on tu stał popołudniu, kiedym szła do Gozdawki; teraz wracam, stoją jacyś jezdni. Nie mogłam dojrzeć na pewno, ktoby to był, ale kiedym się pod nich podkradła, słyszałam wyraźnie, jako szepotali pomiędzy sobą o jakimś schwytniu kogoś. Jakoż jeden z nich mówił prawie te słowa: — Proszę waściów, tylko gromko a raźnie. Niechaj też widzę co umiecie. Oskoczycie zaraz i zabrać żywcem, bo hym się też chciał sam z nim rozmówić. — Anoż tak mówił, a tak mi się zdało, jakby to był głos samego Dzierżanowskiego.

Tak przestrzeżony młodzieniec zastanowił się trochę, ale odpowiedział po chwili:

— Wierzę bardzo, że to być może zasadzka, lecz ani

na mnie, ani też Dzierżanowski. Jam, moja Marto, nie nikomu nie winien, któżby się też na mnie zasadzał? A gdyby też Dzierżanowski sobie co do mnie upatrzył, toż przecie szlachcic, rycerz waleczny, kawaler orderu św. Ludwika, nie będzie uderzał milczkiem i w nocy. Toż to tylko łotrów być może rzemiosło.

— Panie! — mówiła Marta — niech pan temu nie wierzy, bo to różni ludzie są na tym świecie. Zdarzy się łotr między nami, zdarzy się także i między wami. Anoż tak panu radzę, nie dowierzać sobie po nocy, a nawrócić się póki czas jeszcze.

— Nawrócić się! — rzekł na to głośniejsz Bierzyński — anożby ta piękna była odemnie! — Dziękuję ci za przestrożę i bywaj zdrowa.

— Panie! — zaczęła znowu cyganka.

— Dobranoc — odpowiedział Bierzyński i ruszył z miejsca.

Jednakże ujechawszy kilkanaście kroków, zatrzymał się i zawołał:

— Pawełek!

— Jestem panie.

— Słuchajże hultaju — mówił dalej Bierzyński — masz tedy porę, pokazać co umiesz.

— A pokażę się, panie.

— Tak się spodziewam. Jakże tedy rozumiesz, azaj my dwaj nie warci więcej jak tamtych pięciu?

— Ot! szkoda mówić! przecie każdy z nas wart choć dziesięciu.

— Anoż tak wierz, bo tak jest. Tedy konia w kupę a szablę zaraz na temblak. Kiedy nas tamci obskoczą, ja z pistoletu wypalę, aby też widzieć, co jest. Tuż, gdzie najslabiej, uderzę a ty za mną. Raz szablikiem na lewo a zasie w prawo, i w pole. Niema potrzeby bić się, boć nie my napadamy. Anoż kiedy ja się wyprę na pole, pilnujże się a dobrze, żebyś w matni nie został, bo się wracać po ciebie nie będę.

— Choćbym też i został — rzekł na to Pawełek —

przecieżby mi tam głowy nie urwali, bo tu nie o mnie snać idzie, jeno o pana.

— O kogo idzie, to idzie, przecie tego nie wiemy. A więc Pana Boga na pomoc i naprzód.

To rzekłszy, ruszył naprzód — i tak jechali z tysiąc kroków lub więcej, nie nie widząc, ni słysząc.

Wkrótce jednak Pawełek pierwszy coś dojrzał i rzekł szeptem do swego pana:

— Panie! niechno pan wstrzyma cokolwiek konia.

— A cóż takiego?

— Zdaje mi się, że tam w dali na drodze, widzę jakby mur wyciągnięty na poprzek. A tam na prawo już i kaplica bieleje. A więc to oni pewnie nam tak zastąpili, aby nas łatwiej obskoczyć.

— No! toż to wszystko jedno! czy tak czy owak, zawsze przejechać trzeba.

— A gdybyśmy, panie — rzekł na to Pawełek — taki stąd zaraz rzucili się z kopyta? Nim tam dojedziem, konie się rozpędzą jak trzeba i żeby też mur był nawet, to pryśnie.

— Nie — rzekł na to Bierzyński, postępując dalej stępą — w nocy tak uderzać nie można, bo nie wiemy, co też tam jest? Nuż będą wozy albo i kopie? Łatwiej się będzie wyrąbać, kiedy nas obskoczą. Jeno więc szablę miej w ręku i wiedz, że to nie przelewki.

Wszakże ledwie tych słów domówił, kiedy tuż niedaleko przed nimi dał się słyszeć powolny tentent kilku postępujących koni, który się niby rozszerzał w ten sposób, jakby zastęp jakiś nie wielki chciał jakiś mniejszy od siebie przedmiot okrążyć. W takim też samym kierunku zaczęły się migać coraz wyrazistsze cienie koni i jeźdźców.

Obaczywszy to wyteżonem okiem Bierzyński, zapytał głośno:

— A kto tu?

— A tuś mi podstolieu paniezu! — krzyknął na to głos jakiś silny i w tej też chwili uderzyły obadwa skrzydła rozstąpionego zastępu na niego. W tej wszakże chwili Bierzyński z pistoletu wypalił, — przy nagłym błysku

wystrzału pokazała się przed nim jakaś dziwna figura na koniu: człowiek wyniosły w jasnym kaftanie i w kapeluszu okrągłym z piórami, — w tego więc zaraz z całą siłą uderzył i zarazem spał konia, rzucając się z nim naprzód na oślep. Obadwa te ruchy udały mu się wybornie, kiedy bowiem za uderzeniem szabłą w owego człowieka, koń się wspiął w górę, nie znalazł już przed sobą żadnej zapory — a lubo ręka jakaś pochwyciła go była w tej chwili za ramię, zsunęła się jednak tylko po rękawie i waleczny młodzieniec wywarł się bez przeszkody na czyste pole. — Trochę ciasniej musiało być Pawełkowi, bo przez kilka sekund było słyhać gęste cięcia pałaszów; jednak i on wypruł się szczęśliwie z pomiędzy napastników i przez lukę gotową na czyste pole wyskoczył. Jakoż w mgnieniu oka już potem było słyhać tentent cwałujących dwóch koni w kierunku ku kopcom granicznym, za kopcami i dalej.

A kiedy to wszystko działo się na gościńcu, poczciwa Marta, przywiedziona ciekawością, czy też Bierzyński będzie napadnięty przezowych jeźdźnych, czy nie? stała opodal od tego miejsca. Dla nieprzodartej ciemności nie mogła ona nic widzieć, słuchała jednak tem pilniej, aby po głosach ludzkich i szcękaniu oręża mogła się prawdy choćby tylko domyśleć. Jakoż słyszała ona to wszystko, cośmy opisali powyżej, — ale słyszała jeszcze i więcej. Kiedy bowiem Bierzyński po wystrzale na pierwszego z napastników uderzył, uderzony wykrzyknął: Jezus! Marya! i zwałił się z konia na ziemię. Było to słyhać wyraźnie. Wtedy Pawełek, obsaczony dokoła, lubo rąbał tak gęsto, że i trudno było policzyć, byłby się jednak tak łatwo nie wypruł, gdyby nie ów krzyk: Jezus! Marya! i runięcie człowieka na ziemię. To powstrzymało gwałtowny nacisk napadających, z czego Pawełek korzystał — a kiedy już i tego nie stało, zrobiła się cisza na chwilkę i wtedy głos jeden zapytał:

— A co się dzieje?

— Jużeśmy sami podobno — odpowiedział głos drugi.

— Ale ktoś runął?

— A jużci runął.

— A gdzie nasz dobrodziej?

— Policzmy się.

— Dobrodzieju! panie pułkowniku! — wołali inni.

Ale dobrodziej jakoś nie odpowiadał.

— Masz tobie dyable! — zawołał jeden — miałe wziąć Bierzyńskiego, a ono sam Bierzyński wziął jego.

— A owo lepiej! — zawołał drugi.

Pozsiadali tedy z koni i pochylali się nad leżącym.

— Chryste Panie! toż to nieżywy!

— Ot! pleciesz waś!... panie pułkowniku!

— Ale tak! wołaj, wołaj, jak chceś, czy to nie widzisz? cała twarz przerażona na dwoje.

— Bodaj go zabito! Otóż to cięcie!

— Otóż się dograł nakoniec!

— I cóż tu począć?

— A co poczynać? Niechaj powóz zajędzie zabrać trupa, złożyć go w jakiej chacie, a jutro zawołać księdza, niech go zagrzebie.

— Ale on przecie może jeszcze co żyje, boć i ciepły jest jeszcze.

— Tedy to obaczmy przy świetle.

Takie głosy było słyhać na miejscu pobojowiska.

Wkrótce też jakiś powóz zajechał, włożono doń poległego i cała ta czereda pomału zniknęła z drogi.

Jeszcze przez jakąś chwilę potem było słyhać głośną w oddali rozmowę. Z urywanych słów, które wiatr przynosił, można się było domyślać, że towarzysze naradzali się między sobą, dokąd mają wieźć swego brata, — jednakże i to wkrótce ucichło.

A kiedy taka sama cisza zaległa napowrót to miejsce, jaka tu zwykła była panować o takiej porze, uspokojona Marta, dziękując najpierwej Bogu za tak szczęśliwe wyratowanie z niebezpieczeństwa ulubionego przez siebie młodzieńca, powróciła w głębokim zamyśleniu do siebie.

VI.

Wieś Gozdawka, należąca dziś do rodziny Bierzyńskich, leżała nie dalej jak o pół mili od zamku. Była ona od lat niepamiętnych dziedziczną własnością tej starodawnej rodziny, z jej zubożeniem przeszła w ręce Wesslów, ale zaraz w pokoleniu następnem, przez ożenienie się podstoligo Nowogrodzkiego z Wesslówną, powróciła nazad w ręce Bierzyńskich. Z dzisiejszych stosunków młodego Bierzyńskiego z domem kasztelana, a mianowicie z dobrodziejstw, jakie ten młody człowiek od kolebki odbierał od niego, możnaby wnosić, że jego wioska dziedziczna była niewielką i niedostatnią. Tak jednak nie było. Była to bowiem wieś, należąca do najlepszych i jako wieś jedna, do najintranśniejszych w powiecie. Właściciel jej, rządzący się tylko miernie, mógł się śmiało liczyć, wprawdzie nie do bogatych, ale do dostatnich, a przy dobrem gospodarstwie, nawet i do zamożnych. Była to okoliczność, która się także cokolwiek przyczyniała do podniecenia ciekawości bliższych sąsiadów, dlaczego podstolina, niepotrzebując tego koniecznie, tak skwapliwie korzystała z dobroczynnych chęci kasztelana dla swego jedynaka? Jakoż różnie o tem mówiono swojego czasu. Jedni więc byli zdania, że podstolina miała długi natenczas, a stąd brak funduszów na wychowanie chłopca. Drudzy ją posądzali o samolubstwo, mówiąc, że była młoda i jeszcze sama chciała wyjść za mąż. Inni się domyślali, że głównym sprawcą tej protekeyi u kasztelana był Wessel, podskarbi koronny, człowiek górnych ambicyi, a blizki krewny samejże podstoliny. Wszystko to jednak były tylko domysły, a prawda tajemnicą dla wszystkich...

Prawdą wszakże stwierdzoną było to zawsze, że podstolina na dziedzietwie Gozdawki istotnie miała się dobrze. Jej dwór był dosyć ludny i opatrzony starannie, jej komory i szpichrze pełne zapasów, jej dom mieszkalny pełen dostatków. W jej domu nawet panował pewien ton trochę wyższy, niżeli zwykły szlachecki, co się przebijają

nietylko w jej ekwipażach, w wystawniejszej barwie służących, w wykwintniejszym umeblowaniu komnat, ale i w całym wzięciu się samej pani, która, jakeśmy o tem wspominali na wstępie, nosiła się prawie dumnie, ubierała się w jedwabie i aksamity i zgoła w niczem nie zapomniała o tem, że była z domu Wesslówna. Dom Wesslów, jak to powszechnie wiadomo, należał do znakomitszych w kraju i piastował po kilkakrotnie tak wojewódzkie jak i koronne urzędy. — Jakkolwiek bądź wszakże, było li w tym tonie więcej ambicyi tylko, niż rzeczywistego uczucia godności, czy przeciwnie, pewną rzeczą jest jednak, że panowała w tym domu najsumienniejsza sprawiedliwość dla domowników, uprzedzająca uprzejmość dla gości, staropolska surowa moralność i równie staropolska, prawie świętobliwa powaga.

Jakoż i wieczór dzisiejszy spędzano tutaj także z taką powagą. W komnacie gościnnej byli zgromadzeni wszyscy nieliczni domownicy i goście. Była to komnata obszerna, pełna sprzętów staroświeckich, ale dosyć kosztownych. Ciemnego koloru na tych sprzętach materye, ciemne na ścianach obicia, w ciemne ramy poujmowane staroświeckie zwierciadła, a wreszcie dosyć mocna woń piżma, rozlegająca się po powietrzu, dawały tej komnacie jakiś dziwnie staroświecki koloryt. Przystępując jej progi, zdawało się wchodzić jakby do pomieszkania jakiegoś świątobliwego opata, a lubo się doznawało tego przyjemnego wrażenia, jakie na nas zwykł czynić widok poważnego spokoju, atmosfera tutejsza zdawała się być przeciwieństwem ciężką cokolwiek i niby przytłumiającą. A wrażenie to jeszcze o tyle głębiej dawało się uczuć w tej chwili, ile że ta obszerna komnata była oświetlona jednym tylko kagańcem, który nieprzejrzystym daszkiem nakryty, rzucił swe światło płomiennie tylko na księgę, rozłożoną tuż przy nim, zostawiając resztę przedmiotów w czerwonawym półcieniu.

Pani podstolina siedziała teraz w wysokim poręczowym krześle, mając nogi złożone na obszernym podnóżku, na którym oprócz nóg jej spoczywał także i kot czarny jak gałka, z czerwoną wstążką na szyi.

Obok niej na krześle zwyczajnem siedziała młoda jeszcze i nawet dosyć przystojna panienka. Jasna blondynka o oczach błękitnych, pulchna jak pączek i płci nadzwyczaj delikatnej z odwiecznego przywileju jasnych blondynek, mogłaby ona była nawet uchodzić za piękność, zwłaszcza przy ładajakim kagańcu, gdyby jednakże nie to, że była trochę przesadnie pulchna i ciężka. Miała wszakże i ona swych wielbicieli, bo i któraż ich nie ma? ona zaś jeszcze tem więcej, ile że oprócz znamienitej swej wagi, była urodzona w znacnym i szlachebnym domu Leliwitów Karsznickich, matkę miała Wesslównę, nosiła piękne imię Jukundy i lubo sierota, miała jednak widok na kilkakroć stotysięcy posagu, które po wygasłem dożywociu podkomorzego ziemi wieluńskiej, nie mogły ją żadną miarą ominąć.

Nie była też ona i tutaj bez wielbiciela. Tuż przy niej bowiem a właściwie za nią cokolwiek siedział dość młody jeszcze, ale dziwnie barczysty mężczyzna. Patrząc na jego plecy olbrzymiej szerokości i pierś wypukłą jak tarcza, zdawało się widzieć istotnie nie człowieka ze krwi i ciała, ale jednego z tych kamiennych posągów, które zamurwane w zewnętrzną ścianę staroświeckich pałaców, dźwigają na swych barkach z ciosowego kamienia zbudowane galerye. Do tego jeszcze był on ubrany z żołnierska. Miał więc buty palone ogromne o dziwnie zamaszystych ostrogach, spodni ubiór z łosiowej skóry, suknię wierzchnią krótką z zawiniętymi połami czerwoną, pas srebrny powyżej bioder i cienką szpadę u boku. Był to więc żołnierz nawet całą gębą, z jego mundurku bowiem nie trudno było rozpoznać, że należał do gwardyi konnej cudzoziemskiego autoramentu, a do regimentu buławy wielkiej koronnej, nazywanego czasem i dragonami, — z galonków zaś u kołnierza i haftów przy dziurkach u sukien pokazywało się, że lubo młody, był już kapitanem, a więc tytułowany przez grzeczność rotmistrzem, chociaż tej rangi w cudzoziemskim autoramencie właśnie wcale nie było. Pan rotmistrz jednak przyjmował go z dobrą wiarą, a nawet dbał dosyć o niego, bo go kupił za gotowe pieniądze, co się nazywało naówczas „kupić sobie kompanię“; należał on

zresztą do znakomitego rodu Wściekliców, którzy z ojca na syna zawsze służywali wojskowo i zawsze należeli do najwaleczniejszych żołnierzy, nigdy nie sięgali po urzędy ziemskie, wojewódzkie, koronne, ale też za to bez rang wojskowych nie umieli się zgola obchodzić. To też w tym rodzie, pochodzącym pierwotnie z Sandomierskiego, a rozrodzonym różnymi czasami po województwach krakowskim, sieradzkim i innych bliższych, nie pamiętano od najdawniejszych czasów ani jednego potomka, któryby nie był żołnierzem, któryby się nie ozdobił jakąś rangą znaczącą i na którego pogrzebie nie byłoby parady wojskowej. Była to ich rodowa i tradycjonalna ambicja. Nie był jej próżnym także i rotmistrz, i mając lat zaledwie piętnaście, wstąpił zaraz do wojska. — Będąc ubogim, zaciągnął się do cudzoziemskiego autoramentu, ale przez pilność i nadzwyczajną sumiennność w służbie, którą miał jakby we krwi od pradziadów, dosłużył się wkrótce chorągwa i oficerstwa. Po śmierci rodziców dostała mu się mała wiosieczka, granicząca z Gozdawką, na którą też natychmiast dług zaciągnął i kupił sobie kompanię. Miał już tedy nieobojętną pozycję i w wojsku i w obywatelstwie; ale nie tutaj był kres jego widoków. W rozrodzonej bowiem rodzinie Wściekliców znajdowała się pani stolnikowa gostyńska, jego rodzona ciotka, która miała parę wsi znacznych i zagospodarowanych od dawna, a te wsi były już od lat kilku przeznaczone dla niego. Miał więc pan rotmistrz pod względem fortuny takie same widoki jak imię panna Jukunda, i czy ta wspólność w widokach, czy rzeczywista „wokacya serca“ była tego powodem, to niewiadomo, pewną rzeczą jest jednak, że pan rotmistrz już od lat trzech smał do panny Jukundy swoje dragońskie cholewki, od lat trzech za urlopami dosyć często w swojej wiosce przebywał i od lat trzech, jak na sztyldwach w zamek królewski, regularnie do Gozdawki zajeżdżał. Kochający go całym sercem sąsiedzi, przesładowali go nieraz: „że jest w pannie Jukundzie rozmiłowany na umór“ — ale on odpowiadał na to otwarcie:

— Niech mnie jasny piorun zastrzeli, że tak setnej

dziewuchy niemasz w całej Warszawie. Kiedy siedzę koło niej, to mi się воск topi na butach, a wąsy rozmarzają jak wiechcie, chociaż są wyfiksowane żywicą. Skoro ciotka mi umrze, jakem rotmistrz Wścieklica, ani dnia nie wytrzymam, ano zaraz się żenię.

Po takiej odpowiedzi ustawały oczywiście dalsze przesładowania, na które zresztą pan rotmistrz nie wiele zwał, mówiąc jak zwykle:

— Furda to wszystko!

Oprócz tej czulej pary siedziała jeszcze na małej kanapie pod ścianą jakaś krewna staruszka — a przy stole, na którym kaganiec, panna respektowa pani Bierzyńskiej, która mając przed sobą otwartą księgę Żywotów św., czytała je w głos dla zbudowania słuchaczy. Było to zwykłe wieczorne zajęcie, w każdą niedzielę i święto, w tym domu. Wszyscy też z przykładną powagą słuchali, a kiedy pani podstolina czasem czytanie przerwała, aby słuchaczom dać jakieś objaśnienie nie dla wszystkich i nie zawsze zrozumiałego tekstu, to jeszcze solenniejsza natenczas cisza osiadała w komnacie, bo pani Bierzyńska była wielką wersatką we wszystkich rzeczach dotyczących wiary, bardzo piękną miała wymowę i najzawilsze kwestye rozwiązywała z zajmującą łatwością.

Ale pan rotmistrz przy tem wszystkim się nudził. Był on także religijnym jak inni, ale pacierz jego był krótkim. Raz, dwa, trzy, Amen i koniec. W kwestye zaś religijne jako żyw nigdy nie wchodził, nie wchodził nawet i w kwestye inne, bo u niego każda kwestya, której nie można było rozciąć pałaszem, nie była nawet i kwestyą. Szabla była podług niego sędzią najwyższym i jedynym trybunałem na świecie, któremu warto było służyć; gdzie jeszcze szabli nie było potrzeba, to były podług niego tylko plotki sąsiedzkie, sprawy babskie, nie godne nawet uwagi. Pan rotmistrz tedy się nudził. Wyciągnął nogi przed siebie, to znów je kureczył, poprawiał to pasa, to pudrowanej, krótko strzyżonej czupryny, a czasem nawet i ziewał. Często jednak przytem i na pannę Jukundę spoglądał, a wtedy zawsze węża poprawiał. Nie mogąc wreszcie już

dłużej wytrzymać, przypatrzywszy się pilnie swojej oblu-bienicy, pochylił się ku niej i rzekł półgłosem:

— Waszmość panna jesteś tak cudna, że mógłby się w niej rozmłować nawet i sam areybiskup, o którym coś tam czytają.

— Ale co też pan rotmistrz czasem ma za koncepty! — odpowiedziała na to panna Jukunda z pełnym zadowolenia uśmiechem.

Słyszac tę nieprzystojną rozmowę, pani podstolina odezwała się na to:

— Ale że też pan rotmistrz nie może ani jednej godziny wysiedzieć spokojnie.

— Mościa dobrodziejko! — powiedział rotmistrz nie godzinę, ale dzień cały, nie na stołku, lecz na kulbace, potrafię dotwać na jednym miejscu spokojnie, choćby też i najgęstsze kule koło mnie latały: ale już przy czytaniu, to trudno. Kiedy mi kto czyta pod nosem, zaraz mnie sen mroczy, anoż tak myślę, że lepiej wtedy co pięknego powiedzieć, niżeli chrapnąć paskudnie.

— Jedno tu równe drugiemu — zauważyła podstolina — ale właśnie dlatego należałoby waszmości słuchać uważnie tej księgi, z której się można dowiedzieć, jaką to świętą cierpliwość miewali święci.

— Piękna to prawda jest, moja jejmość pani, którą też i chowam jak inni. Tylko więc o tem rozprawiać nie lubię, bo się mnie to nie tknie, ani też nikogo ze świeckich, jeno też chyba mnichów a księży. Nie lubię też rozprawiać i w rzeczach innych, w których więc z góry są gotowe przepisy. Jako też było i *interregnum*. Umarł król stary, przyjdzie do mnie szlachcie z sąsiedztwa i rzecze mi: Umarł nam król jegomość, nie mamy pana, a siła na to jest pretendentów. Powiedzże mi jegomość za którym tu trzymać, bom to ja sobie po staremu domator, a jegomość światowy, więc *in publicis* wersat. A ja mu na to: — Kiedy waś nie wiesz, to bardzo źle, boć to dawno jest zapisano w woluminach i konstytucyach. Gdzie tedy król umrze, tam tedy władza przechodzi na czas na prymasa, nastawże waś uszu, a słuchaj dobrze, co pry-

mas każe, a to rób, bo to jest twoje prawo. A kiedy obiorą nowego króla, idź, pokłoń mu się i słuchaj go tak jak starego; owóż i cała rzecz. — Poszedł szlachcie i już tam nie wiem, jako sobie poczynął; ano kiedy ogłoszono elekta, przyjdzie coś do mnie a rzecze mi: — Powiedziałeś mi jegomość, żeby wedle elekcyi słuchać prymasa, jam ci go słuchał, ale on jakoś tak te rzeczy nakręcił, że obrano Poniatowskiego. — Dalejże więc w rozprawę, że lepszyby był który inny. Jać sam powiadam, żebym był wolał takiego, któryby też był i żołnierzem, jako bywali królów dawni, jako więc po nich Batory a Jan Sobieski. Bo w wojennym narodzie żołnierz powinien być królem. Ale już to nie rzecz, rozprawiać o tem; jeno słuchać jak trawa rośnie, a robić to, co z starszą bracią uradzi król, jakkolwiek on jest. A żeby cię też w kawalki cięto, trzymajże z nim, bo to jest władca i pan na cały kraj, jako więc rotmistrz w swojej kompanii, albo pułkownik w swym regimentcie. Anóż i dlatego jeszcze dobrzeby było, żeby król był żołnierzem, a tęgim, jako więc Wielopolski albo też Szybicki, co to ani mruknąć nie dadzą nikomu, a każdego regiment taki jest składny, jako jeden człowiek: takiego by też trzeba postawić i nad naszą szlachtą, bo się już rozpasala za bardzo, a nie ma, ktoby ją nazad wziął w śruby, co też się już i uszyma przelewa. I owóż rzecz.

Na to zaś rzekła pani Bierzyńska z przekąsem:

— Nie wiedziałam o tem, że waszmość jesteś takim przyjacielem pana Poniatowskiego. I skądże się to wzięła ta nagła miłość?

— Wzięła się moja mością pani, zaraz po elekcyi — odpowiedział dobitnie Wścieklica, skoro tylko obrany, ten czyli ów, to mi już jedno, już to mój pan. Jakoż tak mówię, że nie masz we mnie ani jednej kropelki krwi, którejby nie dał za niego — a chciałbym widzieć takiego, ktoby mi to zgańił, żeby jeno nie miał na sobie sutanny albo też podwiki, bo już z tem to i trudno!

Te słowa ostatnie powiedział tak dobitnie pan rotmistrz, że podstolina uznała za słuszną umilknąć. Widząc to rotmistrz, patrzył na nią przez chwilę i zapewne, żal

mu się zrobiło, że ją obraził, bo przysiadł się do niej i rzekł tonem o tyle łagodnym i słodkim, o ile stać było na to dragona:

— Tuszę przecież, że moja dobrodziejka się za to na mnie nie gniewa... Jeśliby zaś moja dobrodziejka chciała mi koniecznie gniewem zapłacić za moją wierność, tedy proszę o to, ażeby ta sprawa była dana do sądu, a sędzią niechaj będzie jejmość panna Jukunda.

Uśmiechnęła się na to podstolina i kiedy Wścieklica składał na jej rękę solenne pocałowanie, odpowiedziała:

— Bardzo dobrego sędzię sobie wybierasz pan rotmistrzu!

A wtem otworzyły się drzwi i wszedł do komnaty młody Bierzyński.

Lubo dopiero co przeszedł przez niebezpieczeństwo śmiertelne, był on jednak spokojny i cichy jak zwykle, tylko na czole jego siedziało zasepienie pochmurne, a na twarzy wyraz prawie bolesny. Wszedłszy do komnaty, witał on najpierw matkę, potem kłaniał się damom, a nareszcie chciał rękę do rotmistrza wyciągnąć; ale rotmistrz, pochylony przy solennem pocałowaniu ręki, nie widziawszy go wehodzącego, a ujrzawszy nagle przed sobą, zerwał się prędko ku niemu i objął go w swoje rozpostarte jak brama ramiona.

— Józiu, Józiu, Józiczku! — wołał on jednocześnie — przecieżem się ciebie doczekał. Anóż mi wyrósł a zmężniał, już też prawie jak ja!

Wścieklica zajęty służbą przez czas bezkrólewia nie widział podstolica przeszło półtora roku, dziwił się więc teraz jego odmianie, jak to zwykle młodzież zmienia się szybko w tym wieku. Lubo zaś podstolicie odpowiedział tylko obojętnym uśmiechem, on na to wcale nie zważał, jeno tak mówił dalej:

— Przypatruję się tobie i przypatruję, a nie mogę się dosyć napatrzeć. Bo to kiedyś cię widział ostatnim razem w Warszawie, smyczek jeszcze był z ciebie, a nieledwie pachole; anóż już teraz młodzieniec i prawie mąż. Bodajże was... jakto prędko rośniecie. Powiedzże mi teraz,

cóż myślisz począć ze sobą? Stary jegomość umarł, służba się przy nim skończyła. Czy zatrzymałeś choć rangę twoją w saskiem wojsku?

— Nie, porzuciłem ją na zawsze.

— A patent?

— Patent mam w torbie.

— No, toż to i dobrze, boć to zawsze coś znaczy. Cóż tedy myślisz?

— Dotychczas nic jeszcze — odpowiedział z niechęcią Bierzyński — ale zapewne niebawem pomyślę.

— Rozumiem tak, że jak pomyślisz, to i dobrze pomyślisz, bo masz *caput* po temu, wyszlifowany u dworu. Ale przeciebym ci poradził, taki nie porzucać już wojska. Niechaj sobie kto mówi co chce, taki dla szlachcica nie masz służby jak pod chorągwią. A możnaby to teraz przy nowym królu co niezłego uchwycić, boć mu ludzi potrzeba. Tobieby to było nawet daleko łatwiej, niż któremu innemu, boć jest gładki i sprawny, i byłeś już w służbie królewskiej. Zaważy też coś i podskarbi: a i twoja własna zasługa już tam pewno nakarbowana, boć tam wiedzą o wszystkim.

— A to jaka zasługa? — spytał ze zdziwieniem podstolic.

— A ów zjazd u starosty na św. Michała? perora? a uspokojenie tego tam rozgardjaszu? to nic? A ja tobie powiadam, że to wielka jest rzecz i stoję za to honorem, że jak tylko się w Warszawie pokażesz, to ci to cudnie posłuży...

Bierzyński patrzył na niego zdziwionemi, lecz mało, bo prawie wystraszonemi oczyma. Była to dla niego jakaś całkiem niespodziewana nowina. Jakoż dziwnie mu się w tej chwili twarz cała mieniła. W tych różnych zmianach wymalował się wreszcie na niej gniew tak gorący i niecierpliwy, iż zdawało się, jakby nim chciał wezbrać do najwyższego stopnia i siebie samego rozsądzić. Wszakże stłumił w końcu to gwałtowne wzburzenie, zgrzytnął tylko zębami — i odszedł w drugą stronę komnaty.

Uważał to trochę rotmistrz, a lubo nie rozumiał zupełnie, rzekł jednak do niego:

— Anoż to dziwny jakiś efekt uczyniła na tobie ta prosta wiadomość. Powiedzże mi, cóż w tem rozumiesz?

Wtedy Bierzyński przystąpił do niego i rzekł głosem gwałtownym, chociaż prawie łzami stłumionym.

— Ja tak rozumiem, że mnie sam dyabeł zaniósł tam do tego starosty!

To rzekłszy, odwrócił się i wyszedł całkiem z komnaty.

Nie potrzebujemy już tutaj dodawać, że ta scena nie pomalą zniepokoiła samą panią Bierzyńską, że rozmowa dalej już nie szła, że rotmistrz wypadł już całkiem z konceptu, że mu nawet panna Jukunda pomódz już nie mogła, bo to wszystko samo z siebie wynika. — Jakoż istotnie w krótkiej chwili jme pan Wścieklica już cwałował na swoim fryzie olbrzymim na noc do siebie, panna Jukunda kładła się do snu, drugie matrony odmawiały po swoich izdebkach swe modlitwy wieczorne i tylko jedna podstolina siedziała w komnacie, pograżając się w myślach i oczekując z niecierpliwością syna, którego kazała prosić do siebie.

Niebawem też przyszedł podstolic i stanąwszy na progu, a rozejrzawszy się po komnacie, rzekł z swobodniejszym cokolwiek oddechem:

— A! już też przecie niema nikogo!

— Moje dziecko kochane — rzekła na to pani Bierzyńska — chodźże tu do mnie, chodź, siadaj przy mnie i opowiedz mi wszystko, co cię tak mocno dolega. Widzę, że jesteś przygnieciony wielkim ciężarem, ale nie gryźże się nim, jeśli mnie kochasz. Sumienie twoje jest czyste, jestem tego aż nadto pewną — a jeśli serce ciężkie, toż nie trudno zrzucić ten ciężar. Chodź, siadaj przy mnie, ja ci go ulęę pewnie, ja może całkiem go zdejmę...

A kiedy to mówiła kochająca go matka, nie wiedząc już sama, jakich słów ma dobrać, aby go do serdecznego wylania się przed nią zniewolić, rozdrażniony wypadkami dnia dzisiejszego do najwyższego stopnia młodzieniec, siadł

naprzeciw niej w krzesło i patrzył na nią tak dziwnymi oczyma, jakich jeszcze nigdy nie widziała u niego. Taki też wyraz dziwny miała i twarz jego w tej chwili. Zdało się bowiem, jakby się jednocześnie kilka wyrazów malowało w tej twarzy; jakby w jego wzburzonym sercu kilka uczuć zarówno silnych walczyło z sobą, zdobywając sobie po kolei pierwszeństwo. Nadewszystko wszakże widać było w tej twarzy rezygnację stanowczą, z pod której czasem jakiś głęboki żal się dobywał, sprzecząc się w najdziwniejszy sposób z ironią, która przelotnymi błyskami przebiegała się w oczach i okrężała usta gorzkim nieraz uśmiechem. Z tak odmienioną i mieniającą się twarzą, przerwał on matce, ścisnął ją za rękę i rzekł:

— Nie, moja matko kochana! Wiem o tem dobrze, że gdyby tego była potrzeba, poświęciłabyś dla mnie nawet i życie, ale toby mi nigdy nie przyniosło zbawienia. Ciężar mojego serca, złożony na ciebie, takżeby mi żadnej nie przyniósł ulgi. A zresztą nie mam ja w tej chwili żadnego na sobie ciężaru! Przeciwnie nawet, jestem lżejszy teraz niż byłem dotąd. Jestem lżejszy o wiele, o cały świat!... o cały świat miłości i szczęścia, którym sobie wyśnił, wypracował, wyłocił i wybudował w mem sercu. Ach! tyle miałem około niego roboty!... Ale to nic. Zwyczajna rzecz. Byłem na teatrze, grano przedemną komedję; jam siedział i patrzył i takem się wmyślił w tę złudę, że mi się zdało, jakoby to była istotna rzecz! Na czas odzywałem się nawet i sam, jakbym też także należał do gry! Nie wiem, co sobie wtedy myślano o mnie; może się śmiano? może mnie wskazywano palcami i urągano? Już tego nie wiem. Ale to wiem, że się ta złuda skończyła dziś i skończyła się całe zwyczajnie. Kurtyna spadła, pogaszono światła i koniec. Widziałem dopiero cudną krainę przy ogniach greckich i barwistych kagańcach; teraz jest ciemnia przedemną, nie widzę nic i muszę macać przed sobą. Ale nie bój się matko! ja się wymacam z tej ciemni i wyjdę znowu na światło. Mam też już przewodnika dla siebie, który czeka już na mnie: nie ten — to mówiąc, wskazał na serce, a wskazując na głowę, do-

dał: — ale ten! ten mnie odtąd prowadzić będzie, i ten nigdy nie zmyli. Już kiedy grać będą przedemną dyalog, nigdy mi się zdawać nie będzie, że to jest prawda, o! nie! Już się też nie odezwę! Już będę takim, jakim każdy z publiki. Zdało mi się, że był cokolwiek inny!... Ale też był śmiertelnie głupi natenczas! Bo i skąd mi ta myśl? — Ale już ona nigdy nie wróci, nigdy i nigdy. — Cha, cha, cha! co też to młodym ludziom nie śni się czasem po głowach!...

To powiedziawszy głosem powolnym i zmienionym, wstał, założył ręce za siebie i zaczął się wielkimi krokami przechodzić po izbie. Widać było po nim, że był jeszcze za nadto wzruszonym. Najrozmaitsze uczucia i myśli mieszały się w nim bez ładu. Był jak harfa eolska, w którą uderzają wichry i burze. Widziała to także i matka i patrząc na niego żalosnymi oczyma, przez długą chwilę milczała. Zdało się, jakby się przez ten czas zdobywała sama na odwagę i rezygnację. — Po chwili nareszcie spytała:

— Ale powiedzże mi, moje dziecko, cóż się stało? Czy Dzierżanowski został przyjęty na zamku?

— Dzierżanowski? — powtórzył młodzieniec, patrząc w zamyśleniu na matkę — och! nie! do czegoż znowu? Dzierżanowski dziś właśnie dostał odkosza.

— Czy został przyjęty kto inny? — pytała coraz śmieiej pani Bierzyńska.

— Inny? Nie nie wiem o tem!

— A więc czegoż się smucić! — zawołała wreszcie podstolina — czegoż rozpaczać?

Na te słowa młodzieniec stanął na środku komnaty i patrzył jakby zdziwionymi oczyma na matkę. Ale matka już go przeczuła, już go zrozumiała zupełnie i miała już całą odwagę. Jakoż rzekła natychmiast:

— Chodźno tu, siadaj przy mnie. Sądzę przecież, że mnie zechcesz wysłuchać..

Młodzieniec przystąpił znowu do swego krzesła, siadł w milczeniu i słuchał. Matka zaś tak mówiła do niego:

— Luboś mi nie powiedział o tem, co cię tak

mocno dolega, ja cię przecież zgaduję. Dzierżanowski dostał odkosza, a przy nim i tobie dano do zrozumienia, że jeszcze dzisiaj nie widzą cię lepszym od niego. Tyś sobie te rzeczy wyobrażał inaczej, i to cię tak głęboko dojęło. Ależ tu niema jeszcze nad czem rozpaczać. Jest to bardzo zwyczajny wypadek. Nie jeden człowiek czuje sam wyższą swą wartość nad innych, chociaż jeszcze nie dał tego dowodów; ale żaden nie może wymagać, aby to także czuli i inni. Ufność taka nie miewa miejsca na świecie, i mieć go nigdy nie może. Nie byłaby to bowiem ufność, tylko po prostu zapłata z góry za towar, do którego dopiero niei się przędą. Byłoby to pomieszanie czynu z skutkami, chęci z czynami i zgoła całe pomieszczenie rozumu. A kiedyby tym sposobem wszyscy już z góry byli sławni, zaszczytni i zasłużeni, któżby chciał czynu sprawować, kto podejmować trudy i pracę, kto poświęceniem dobijać się zasług i sławy? Czy zgadłam, co cię tak głęboko dojęło?

— Nie, moja matko — odpowiedział trochę spokojniej młodzieniec — wiedziałem o tem od dawna, że zaszczyt i sława przychodzą dopiero po czynach.

— A więc o cóż tu chodzi? — zabrała znowu głos podstolina — możesz więc za złe mieć to kasztelanowi, że cię nie trzyma za znamienitego człowieka i nie nagradza z góry zasługi, których masz się dopiero dorobić?

Tu Bierzyński się obrócił do matki i spytał patrząc jej w oczy:

— A kasztelan nie jest nam winien? nie zgoła?...

— Dziecko moje! — zawołała na to matka — tyłkoż na miłość Boga tem się nie balać! Bo kasztelan nigdy i nigdy nie był nam nie winien, nigdy i nigdy nie miał żadnych względem nas obowiązków! Wszystko co zrobił, była to łaska tylko, tylko li dobrodziejstwo. A czy ty miałaś to przekonanie?

— Och! nie!... tak!... coś mi się takiego marzyło. Od dzieciństwa nawykłem do tej myśli, jakbym z prawa i z serca należał do zamku. Dziś przekonałem się o tem; że ani takiego prawa nie masz w nieczyjem sumieniu, ani

takiego uczucia w nieczyjem sercu. Chodziło tu tylko o zrozumienie mego właściwego stosunku do tych ludzi. Zrozumiałem go — i już teraz o nic więcej nie chodzi. Już teraz wiem, na czem stoję — i wiem także jaką drogą mi iść w dalszą przyszłość moją. A że tej drogi nie zmyślę, to jest więcej jak pewno. Dobranoc ci, matko moja kochana; jutro pomówimy o tem obszerniej.

To rzekłszy, wstał, pocałował matkę z uszanowaniem w rękę i wyszedł, ale pani Bierzyńska długo jeszcze siedziała samotnie w komnacie, pogrążona w myślach i gorących modlitwach.

VI.

Wrómy na chwilę do starego Barnaby.

Kiedy więc tak nagle nawiedzony nieszczęściem i równie nagle wyratowany z niego starzec resztki ognia dogasił i swoje sługi za nieostrożność wygromił: zasiadł on napowrót pod swoim dębem kochanym i zaczął dalszą z synem rozmowę. Pilno mu było dzisiaj się z nim nagać do syta, bo po dniu dzisiejszym następowało sześć dni roboczych, a w takich dniach nie miał on nigdy nawet i kilku godzin swobodnych. Zasiadłszy więc na ławie, myślał przez chwilę, jak to było u niego zwyczajem, a potem tak zaczął:

— Owo więc przypatrz się teraz, co to jest kmieć! Pracuje niebożatko jak mrówka, nie doje, nie dośpi, nie zabawi się, a nawet ledwie odpocznie, jeno zbiera a zbiera, ażeby się też zmógł na chacinę, na konika, na krówkę: przyjdzie iskra, zaświeci, wiatr dmuchnie: jeszcze więc i pacierza nie zmówił, a już po wszystkim! Owóż to kmieć! A już to nie tak jest księdzu. Możeć i jemu zgorzeć, i stodoła, i stajnia, i dom, ale zgorzeje dziś, już go jutro budują na nowo. Da mu pan drzewa, da kamieni, da wapna, zbiegnie się cała gromada jako zwykle owieczki do swojego pasterza, i oddadzą mu w lot, co porwało nieszczęście. Bierze sobie to wszystko do głowy,

a dobrze myśl, ażaż to ja nie chcę dobra twojego, kiedy cię każę uczyć na księdza.

— Już mi też i myśleć nad tem nie trzeba — rzekł na to chłopiec — bo ja to widzę, że mi jeno dobrze uczynić chcecie, tatuniu. Ale przecie tak jest, żebym o wiele radniejszy był, żeby mi nie iść na księdza. Już co bądź byście mi kazali, tobym robił, choćby mi też od pogania-
nia zaczynać, żeby jeno nie przywdziewać sutanny. Kiedy już nie będzie można inaczej, to i w tem was posłucham, boć i trudno nie słuhać; ale bardzo was proszę, abyście jeszcze popróbowali co z panem. Bardzoż to zacne panisko, kiedy się patrzę na niego, nic a nic się nie boję, a powiedziałbym mu wszystko bez trwogi, coby mi tylko szepotało serce: anoż tak myślę, że on to przecie dla was uczyni. Bo i co to jemu zaszkodzi ta szczypteczka swobody? Pan zawsze panem, i bogaty, i uczony, i pan. A jeszcze mu też co i pomoże. Boć to zawsze, jak mówi ksiądz rektor, dobre za nadobne. Chłop niby nic, ale kiedy będzie miał wdzięczne serce dla pana, toż i to może się przydać. Anoż tak myślę, że kiedybyście pogadali na rozum z panem, a kiedyby was jeszcze poparła gromada, jako to zawsze was kocha jak ojca, to jużby to chyba był kamień nie pan, żeby wam w tem nie wygodził.

To rzekłszy, chociaż już ciemno było na dworze, patrzył wyteżonemi oczyma w twarz ojca, jakby chciał w niej wyczytać odpowiedź. Stary bowiem jak zwykle myślał długo i bardzo głęboko, a namyśliwszy się, tak odpowiedział:

— Już to niema co mówić o tem, boć ja to przecie i u gromady coś znaczę. Chociaż służę we dworze, wiedzą to wszyscy, że sumienia mojego nikomu nie sprzedał. Pilnuję pańskiej chudoby jak swojej, pana ukrzywdzić nie dam, ale też i nie ciągnę za panem z krzywdą gromady. Pamiętam ja zawsze o tem, że pan jest panem, a chłop chudźina jak zawsze. Nim tłusty schudnie, to chudy zdechnie. Anoż tak to ważąc w mojem sumieniu, częściej jeszcze za chłopem pociągnę, niżeli za panem. Widzi to pani i nie mówi, bo już zna moje sumienie. Widzi to także gro-

mada, a już też i szanuje to we mnie. Jest mi też wdzięczną, boć prawdę mówiąc, ma za co. Nimem ja objął władztwo we dworze, byłoż ci widzieć wtedy naszą gromadę! Sto dwadzieścia osady, a ledwie po czterdzieści pługów wyjeżdżało na pole, a w niejednej chacie i krowy nie było, a na drugiej roli i chaty nie było. Popatrzże teraz: sto dwadzieścia pługów wyjeżdża jak jeden, sto dwadzieścia chat stoi okrytych, a kiedy głodny człek znajdzie się we wsi, to już pewnie zawłoka. A jest to wszystko moja prawie robota. Miałem ja z tem z początku nie mało kłopotu, nimem nauczył panią: że im chłop jest bogatszy, to i pan na nim bogatszy — aleć zrozumiała mnie przecie. — Nuż więc dawać gromadzie, temu krowinę, tamtemu żrebię, drugiemu byki; nuż dawać drzewa, nuż budować, nuż i z pańskimi pługami wyjeżdżać na chłopskie pola, gdzie już nie można było inaczej. Długo to trwało, to prawda, bo bieda jest uparta, jak kozioł, a i we dworze nie było bardzo czem szumieć; aleć się przecie tę biedę przeparało, a teraz to już dawno jej niema. Więc mi też to gromada pamięta i przypomina. Trudno mi się i w karczmie pokazać, boby mnie już chyba zapoili na śmierć. Jakoż to pewna, że niemasz rzeczy, którejby dla mnie nie uczynili. Nie uczynią dla wójta, a dla mnie uczynią, jako więc nieraz bywało, bo wójt wójtem, a Barnaba Barnabą. Ale choć to tak jest, jeszcze to zawsze nie idzie za tem, żebym ja miał gromadą się popierać u pana. Już to się jakoś nie składa, boćby to i nie wiele pomogło. Już mi więc snąć to robić tylko samemu... ale i to jeszcze do lepszego namysłu, jako więc w każdej statecznej sprawie. Bo to nie rzecz jest skusić się o co, a nie otrzymać. Lada smyk to potrafi. Ale się skusić i otrzymać, to więc jest rzecz. Trzebaby to więc jakąś dobrą porę do tego upatrzeć, a już natenczas choćby i klęknąć, co też obaczmy za czasem...

Wszakże kiedy to mówił Barnaba, mówiąc bardzo powoli i długo się namyślając w przestankach, była już późna godzina. Było już może koło dziesiątej lub więcej.

Jakoż w tej chwili powstał on nagle z miejsca, wycężył oczy i uszy w ciemnicę i spytał syna:

— Chłopcze! a nie słyszysz ty czego?

— Słyszę i dobrze słyszę, tatuniu.

— A co to?

— Zda się, jakoby jezdni uderzali na siebie... ot! gdzieś tu blisko... pędzą znowu... tu pod bramę...

— Ale już przejechali — dodał starzec po chwili.

— Ale przecie tam słyhać jakieś głosy za lasem — zauważył chłopczyzna.

— Hej, pobiegnij jeno do chaty i zaświeć latarkę. Trzebamy też obaczyć zbliska. Może to napaść jaka na kogo, jak to w tych czasach nie trudno. A jeno spiesz się...

Pobiegł tedy chłopiec do chaty, ale nie prędko powrócił, bo w owe czasy nie tak łatwo było o płomień. Wszakże przybiegł nareszcie z latarnią i zabrawszy się z ojcem, a świecąc mu naprzód, prowadził go przez ów lasek brzozowy ku drodze. Przystanąwszy koło słupów granicznych, słuchali znowu, ale już natenczas nic nie było słyhać na drodze. — Stary chciał się już wracać, mówiąc:

— Wichry to jakieś polowe! a może też, Panie odpuść i jakie inne tumany, boć tu koło tej kaplicy, jak powiadają ludzie, cuda czasem się dzieją, osobliwie po nocy... Świeć mi chłopcze do domu.

Ale chłopiec swoim bystrzejszem uszkiem przecie coś jeszcze zachwyił, jakoż rzekł na to:

— A ja przecież coś słyszę, owo tutaj na polu, na drożynie pod lasem, która wiedzie do jmc pana rotmistrza. Taki idą i jadą i w głos rozmawiają. Chodźmy tam ojeze.

— Kiedy co słyszysz, to chodźmy, anoz żeby co nie oberwać.

— Ej! a co nam tam będzie!

To mówiąc postępowali dalej, spuszczać się pochyloną ku zachodowi doliną i słuchając pilnie przed sobą. Ale nie uszli dalej jak jedno stajanie, kiedy nagle głos jakiś mocny zawołał ku nim:

— Hej! a kto tam z latarką?

— Swój — powiedział Barnaba — gospodarz z tej oto chaty nad lasem.

— Ej! toż to ten pewno, cośmy mu pożar zgasilili? — odezwał się drugi.

— A to panowie? — spytał Barnaba zbliżając się ku nim z pośpiechem — a cóż dobrodzieje tu robia?

— Ot! co robimy! — odpowiedział z nich jeden — zabito nam pana na środku gościńca.

— Święty Boże! — zawołał starzec ze zgrozą — mego zacnego paniska! a gdzież on jest? niechże go widzę.

— Możecie się mu przypatrzeć, owo leży w powozie.

Tedy Barnaba wstąpił na stopień powozu i przyświecając sobie latarnią, patrzył ciekawie na zabitego. A w powozie leżał Dzierżanowski zgięty we dwoje, nie dając żadnego znaku życia po sobie. Miał on głowę zranioną powyżej skroni i całą twarz krwią zalaną do niepoznania.

— Chryste Panie! — zawołał na to stary wódarz ze zgrozą — otóż go przystroili! A i któż to był taki?

— Ot! kto?... — odpowiedział jeden z towarzyszy i zastanowił się, a drugi dodał:

— Kaci go wiedzą, bo i któż tam zna zbójców po drogach!

Jednakże tymczasem Barnaba, obmącawszy Dzierżanowskiego, zawołał do nich:

— Mości panowie! widzi mi się, że pan wasz żyje! boć i dycha jeszcze po trosze.

— Żyje ci, żyje! — odpowiedział towarzysz, już to tam jeno ostatki!

— No! to już jak bądź — rzekł na to wódarz — trza go przecie ratować. Weźcie jeno dobrodzieje lejce do ręki, a zajeżdżajcie do mnie, ja wam poświecę. Popatrzmy przy chacie, może mu jeszcze co pomożemy. Poszłę też zaraz po babę, która leczy kalectwa. A ty chłopcze leć naprzód, niechaj tam ognia naniecą, niechaj wody zagrzeją, a niechaj parobek po Maruchnę pobiegnie, aby w lot przychodziła z maściami.

— A to chyba tak zrobmy — rzekł na to Biesiekiński — bo i cóż pocniem innego po nocy?

To mówiąc, nawrócili natychmiast i pociągnęli pomalutko do Barnabowej zagrody. Wjechawszy w dziedziniec, zastali tam już kilku ludzi z latarniami, którzy czekali na przyjęcie niespodziewanych gości. Wziąwszy tedy latarni od nich, towarzysze Dzierżanowskiego zaczęli się krzątać około niego, aby go wyjąć z powozu i złożyć na jakimś miejscu wygodnym.

Wszakże kiedy się to działo w dziedzińcu zagrody, wracający z gościny od pani podstolnej z Gozdawki, nadjechał właśnie w to miejsce jęć pan rotmistrz Wścieklicia. Jechał on na fryzie ogromnym, a za nim na takichże samych koniach dwóch służbowych dragonów, bo pan rotmistrz, jako żołnierz duszą i ciałem, nie ruszał się ani krokiem bez roty. Nadjechałszy w to miejsce i obaczywszy w dziedzińcu zagrody kilka latarni i przy nich nie mała ludzi i koni, że to było o tak późnej godzinie, zatrzymał się i rzekł do swoich dragonów:

— A to co być może takiego?

— A co wiedzieć, panie rotmistrzu — odpowiedział z nich jeden — gmach tam ludzi i koni.

— Anożby to obaczyć zbliska. Może znowu jaka se-dycya.

— Trzech nas tylko, panie rotmistrzu, żeby to po łbie nie dostać?

— A od czegoż to łeb nasz na karku, hę? — odpowiedział rotmistrz i kazawszy dobyć im szabel, sam zaś wzięwszy pistolet do ręki, wjechał na czele swej roty w dziedziniec.

Zadziwili się niesłychanie i nawet trochę polekli Dzierżanowskiego dworzanie, obaczywszy jezdnych i zbrojnych wjeżdżających w dziedziniec, a jeden z nich zawołał:

— A kto tu?

— Służba królewska! — odpowiedział rotmistrz — ale waszmość co zacz? co tu świecicie po nocy?

— Panie bracie! — rzekł na to pokornie tamten — jesteśmy szlachta podróżni, napadnięto nas na gościńcu,

zabito, albo też skaleczono nam pana, anoż nie wiemy co począć?

— A co za pan?

— Jęć pan Dzierżanowski.

— A który? boć to ich dwóch. Pewnoż to Michał?

— A tak.

A rotmistrz na to:

— Juźby też chyba świat się do góry nogami wyrócił, żeby kto jego napadał! Raczej to wyście najechali na kogoś. Bardzoż go poraniono?

— Juź to pono i koniec z nim będzie, bo ani głosu ze siebie jeszcze nie wydał.

— Niech go tedy obaczę — rzekł rotmistrz i zsiadłszy z kona, zbliżył się do rannego.

Dzierżanowski już wtedy leżał wyciągnięty na ziemi, a stary Barnaba obmywał mu ciepłą wodą ranę na głowie. Zbliżył się tedy rotmistrz do niego, pochylił się nad nim, obmacał go i rzekł do jego towarzyszy:

— Anoż to nie wiecie co jemu robić? ej! toż to po łbiey za to! Bo do szabli jesteście, zwijacie się po sejmikach i waszych tam zjazdach jak cygi, kreskujecie się ledwie nie codzień, a kiedy rana, to już nie wiecie, co zrobić! Anoż kto umie ranę zadać, ten ją powinien umieć i zaszyć, bo tak było od wieków. Masz chłopie gorzałkę?

— Znajdzie się panie.

— Dawajże w lot.

To mówiąc, zrzucił z rąk rękawice łosiowe z karwaszami długimi do pół łokcia, jakie cała nosiła gwardya, i ukląkł przy rannym, a kiedy Barnaba z flaszką powrócił, nalał najpierwej rannemu gorzałki w nos. Był to zwykły sposób trzeźwienia pod owe czasy. Jakoż natychmiast się Dzierżanowski otrzeźwił i rozwarłszy jedno oko, bo drugie było trochę przecięte i krwią zalane, zapytał przytomnych:

— Biesiekiński! a co to?

— Nic to, dobrodzieju, jegomość ranny cokolwiek.

— A gdzież ja jestem?

— Jesteś jegomość u tego chłopca, cośmy go wyratowali z pożaru.

— Jakto! — zawołał Dzierżanowski, zrywając się do połowy — na gruncie Bierzyńskich? Biercież mnie prędko...

— Bądźno jegomość spokojny — rzekł na to Barnaba, nie się tu jegomości nie stanie.

A rotmistrz dodał:

— Leżże waszeć spokojnie, jeżeli chcesz, abym cię jak potrzeba opatrzył.

Dzierżanowski spojrział mu się w oczy i uspokoił się.

Rotmistrz tedy wziął się do opatrywania i uskutečnił to w jednym momencie. Obmył mu ranę i przekonał się, że była to rana wcale nie głęboko, tylko zadana w słabe miejsce, bo zaraz powyżej skroni. Nie było tedy niebezpieczeństwa, jakoż zasmarował ją, zalepił, a obwiązawszy głowę chustką, uderzył chorego po ramieniu, mówiąc:

— Nie bój się nic, będziesz zdrow. A na drugi raz wiedz, że najpierwej trza mózgownicę zastawiać, choćby też była twarda i doświadczona — a do towarzyszy dodał: Anoż mi to dziwno, że się to jemu dostało; ma to być rębacz zawołany. I któż go tak naznaczył?

— Już to nie wiedzieć, jw. rotmistrzu — odpowiedział Biesiekierski, bo nas napadnięto po nocy.

— Dziwna rzecz — rzekł na to rotmistrz — że tu jeszcze tak niespokojno. Wiem też ja dobrze, czemu wożę za sobą dragonów. Bywajcie zdrowi!

— Niech Pan Bóg prowadzi! — odpowiedzieli szlachta. A Wścieklica wsiadłszy na konia, ruszył dalej w swą drogę.

Jeżeli Bierzyński wyszedł tak szczęśliwie z tej awantury ponocnej, to i mniej szczęśliwy wróg jego nie mógł się także skarżyć na zbytne nieszczęście, znalazłszy zaraz tak dobre schronienie i opatrzenie. Jednakże Dzierżanowski nie chciał z niego całkowicie korzystać, obawiając się zawsze, ażeby Bierzyński o jego schronieniu się nie dowiedział i nie mścił się nad nim, czy to sądownie, czy to to w sposób jakibądź inny. Jakoż dopóki miał jeszcze

spirytusem wróconą przytomność, zaklinał swoich towarzyszy na wszystko, aby go zabrali i zawieźli gdzie niebądź indziej — a kiedy zaczęła przychodzić nieodbita po odebranej ranie gorączka, upominał się o to jeszcze tembardziej i Bóg nie wie, czego nie wygadywał. Wszakże wywiezienie go, w nocy i w takim stanie, nie było wcale podobnem; jakoż chcąc nie chcąc, musiał tam przenocować i dopiero nazajutrz rano jego przyjaciele, nie powiadając wcale Barnabie, dokąd zamysłają się udać, zabrali się z całym taborem i opuścili zagrodę.

Od tego czasu minęło dwa dni i przez te dwa dni nikt o niezem nie wiedział. Wszyscy bowiem, którzy, czy to pośrednio, czy bezpośrednio, do tej ponocnej sprawy przyłożyli swą rękę, nie widzieli potrzeby rozgłaszania. Bierzyński, mówiący zawsze tylko tyle, ile konieczna wymagała potrzeba, nie chciał tem zdarzeniem niepokoić swoich przyjaciół i krewnych. Towarzysze Dzierżanowskiego sami zacierali tę sprawę, jak mogli. Stary Barnaba czy to domyślając się prawdy, czy właśnie dlatego, że jej nie mógł odgadnąć, i sam milezał i swoim ludziom najsurowiej nakazał milczenie. A lubo Wścieklica nie był interesowany ani za milczeniem, ani za rozgłaszaniem, był on jednak z tych ludzi, którzy z zasady nie lubią powtarzać żadnych powiatowych wydarzeń, uważając je zawsze za plotki. Tak więc o tym wypadku tylko głucha wieść się rozeszła po okolicy, która przechodząc z ust do ust, tak się wreszcie zmieniła, że nie pozostał na niej ani cień prawdy!

Jednakże, kiedy ze wszystkich, podających tę wieść pod różnemi formami z ust do ust, nikt się o prawdę rzetelną nie troszczył, było przecież w tej okolicy dwoje ludzi tak gruntownie ciekawych, którzy nawet najmniejszej nie darowali plotce, aby jej wszelkimi możliwymi sposobami nie sprawdzić. A tymi ludźmi był Bierzyńskiego Pawełek i Marta kowalka.

Jakoż we dwa dni potem Pawełek się już dokładnie dowiedział, że Dzierżanowski zawieziony był do Barnaby, że go tam trzeźwiono, opatrywano i zgola to wszystko,

cośmy opowiedzieli powyżej. A że wierny sługa z wszystkiego, co gdzieś się dowiedział, zawsze zdawał raporty swojemu panu, więc oczywiście i o tem mu doniósł. Bierzyński przyjął tę wiadomość jeszcze daleko chmurniej, niż wszystkie inne, które mu jego sługa przynosił, i nawet zgniewał się przytem na niego; pomimo to jednak o kilka szczegółów, dotyczących tej gościny w Barnabowej zagrodzie, dosyć ciekawie go wypytywał. Co o tem wszystkim rzeczywiście rozumiał, trudno się było Pawłkowi domyśleć, jak też i niczego się nie mógł naprzód domyśleć, co jego pan miał w głowie lub w sercu; zdawało mu się jednak, że ta wiadomość była panu nie miłą.

Tymczasem przez te dni parę zaczęły niejaki zmiany zachodzić we dworze pani podstoliny. Nikt nie wiedział o nich, ale widać było z wszystkiego, że podstolicę się w jakąś dalszą podróż wybiera. Czyszczono bowiem ciągle broń i rynsztunki, sprzęgano cztery konie, jakie być mogły najlepsze, urządzano do podróży pakowny karabon, kuto konie wierzchowe, ubierano je w rzędy, a przy tem powydobywano nawet niektóre starożytne sprzęty ojcowskie, jako rząd bardzo piękny turecki i pancierz nieboszczykowski, nabijany srebrem i złotem. Wielkie miał przy tem wszystkim zajęcia Pawełek, i on też zapewne najwięcej wiedział; ale, lubo wypytywany ciągle przez starego Barnabę, czasem rzucił jakieś słówko domyślne, nie jednak dokładnego nie wydał. W parę dni wszakże rozniosła się wieść już wcale pewna po dworze, że pan podstolicę się do Warszawy wybiera, gdzie zapewne napowróć wstąpi w służbę królewską.

Wiadomość ta była dla starego włodarza niezmiernie ważną. Jak bowiem wiemy, nosił on się ciągle z tą myślą, aby choć przynajmniej przed śmiercią swobodę dla siebie uzyskać. Udawać się o to do podstoliny, już to była rzecz próżna; ostatnia jego nadzieja była w jej synie, któremu tylko woli brakowało do tego. Barnaba był nawet nieledwie pewnym, lubo się nie wydawał z tem przed swoim chłopcyną, że prędzej później, przeciw to na młodym panie wymoże, który niewątpliwie najlepsze

miał serce i tak zawsze był skłonnym do uczynków szlachetnych. Ale gdyby wyjechał, i to jeszcze na nową służbę... trudnoby już było wtedy i myśleć o ziszczeniu tej upragnionej nadziei. Barnaba tedy, rozmyślawszy to sobie statecznie, postanowił ten wyjazd uprzędzić i udać się jeszcze raz z tą prośbą do pana. Przedsięwziął sobie nawet, użyć wszystkich możliwych środków do tego celu i ważyć wszystko: była to bowiem najważniejsza sprawa jego całego życia, jego nadzieja ostatnia... Z tem przedsięwzięciem tedy, wyrozumowanym gruntownie i ogrzanem wszystkimi uczuciami ożywionego najpiękniejszą nadzieją serca, czekał on już tylko wieczora, kiedy i on swobodny i pan swobodny najlepiej będą usposobieni do tej ważnej rozmowy.

Tymczasem wieczorem, kiedy się już wszystko uspokoiło we dworze, podstolicę sam go do siebie zawołał. Wszedłszy do jego komnaty i stanąwszy przy progu, patrzył on z ciekawością w twarz jego, jakby chciał wszystkie myśli jego naprzód odgadnąć; lecz zdało mu się i to nie bez pewnej trwogi wewnętrznej, jakby tam widział chmurę bardzo posępną i nieledwie gniewliwą. Tak też było w istocie. Bierzyński bowiem zaraz przystąpił do niego i surowo zapytał:

— Mój kochany! a kogo to gościsz w twym domu?

— Panie mój! — odpowiedział na to Barnaba — żywej duszy obcej niemasz w mojej zagrodzie.

— Jakto? i nie było nikogo? — spytał jeszcze surowiej młodzieniec.

— Oprócz tego paniska — odpowiedział Barnaba, dosyć niemile tem pytaniem dotknięty — oprócz tego paniska, którego w niedzielę w nocy przywieziono rannego do mnie, nie wiem o nikim.

— Więc mówisz, że go przywieziono do ciebie? a nie sam to za nim chodziłeś na pole?

— Tak panie... wyszedłem sam, kiedyś słyszałem, że się bito około gościńca.

— Więc sam wyszedłeś! A wiesz ty, kogo to gościłeś w twym domu?

To mówiąc, Bierzyński patrzył na niego tak ostro, jakby go chciał przesyć swym wzrokiem. Pod przemocą tego spojrzenia Barnaba, chociaż może sam nie wiedział dlaczego, uczuł mocne bicie serca, spuścił oczy ku ziemi i zamyslił się.

— Wiesz ty, kto to był taki? — powtórzył Bierzyński pytanie.

— Nie wiem panie — odpowiedział po namyśle Barnaba — ale widziałem, że to był człowiek biedny i nie-szczęśliwy, który łaknął pomocy.

Ta odpowiedź zastanowiła cokolwiek młodzieńca. A tymczasem Barnaba ośmielił się spojrzeć mu w oczy i spytał:

— Aż nie dosyć jest być człowiekiem i być w nie-szczęściu, aby wzruszyć serce bliźniego?

Na te słowa Bierzyński odstąpił od niego o parę kroków, przypatrzył mu się, a potem odwrócił się i zaczął się przechodzić powolnym krokiem po izbie. Widząc to Barnaba, namyslił się chwilę a potem spytał:

— Pan'o mój? czy źle to zrobiłem, że poratowałem tego człowieka? Był on ciężko raniony i prawie już konający, i byłby pewnie skonał, bo był otoczony ludźmi, którzy nie dbali o niego; zabrawszy go do siebie, powróciłem mu życie. Czy źle to zrobiłem?

Tu Bierzyński przystąpił już z wypogodzoną twarzą do niego i położywszy rękę na jego ramieniu, rzekł mu:

— Nie, mój kochany. Zrobiłeś dobrze, jak zawsze.

— Anoż to tak rozumiałem.

— Jenó w tem nie dobrze zrobiłeś — dodał podstolic — żeś nie dał znać o tem do dworu. Wiesz bowiem dobrze o tem, że nie wolno jest gospodarzowi na wsi gościć nikogo u siebie, nie zawiadomiwszy o tem swojego pana. Aż ty wiesz, komu dajesz przytułek u siebie?

— Tak panie — odpowiedział na to starzec z głębo-kim westchnieniem — tego chłopu nie wolno!

Trwała chwila milczenia.

Bierzyński chodził po izbie wielkimi krokami i myślał. Barnaba stał u drzwi, patrząc pilnie na niego.

— No, siadaj sobie Barnabo — rzekł nareszcie mło-

dzieniec — nachodziłeś się przez dzień cały i pewnie nogi ci mdleją.

— Jeszcze mi nogi statkują — odpowiedział starzec — jeno serce już mi coraz bardziej omdlewa.

— Cóż to takiego? czy masz jaką zgryzotę?

— Jedną tylko, ale taką, że stanie za kilka — rzekł stary smutno — ale co to i mówić! Spytam pierwej pana, czy prawda to, że pan na długo odjeżdża?

— Na długo, mój kochany, na bardzo długo! nie wiem sam nawet, żali kiedy powrócę!

Barnaba myślał, a pomyślawszy, rzekł:

— Nie źle pan robi. Młodemu w świat, jako więc zawsze bywało u naszych panów. — Odsłużywszy się królowi i Rzeczypospolitej za swobody, jakich w niej używają z ojców i dziadów, dopiero powracali na swoją skibę, aby też pożyć trochę dla siebie. Chłopska to rzecz nie ruszać się krokiem z swej chaty przez całe życie, jak też także bywa od wieków, chociaż czasem, kiedy śmierć przyjdzie, to i ciężko umierać. Będę też i ja miał śmierć nie lekką zapewne, jako to dzisiaj już czuję, chociaż Bogiem a prawdą, nie mam grzechu na mojem sumieniu.

— Nie rozumiem, doprawdy — rzekł na to podstolic — dlaczegobys ty miał mieć nie lekką śmierć? Czy tak lekkie było ci życie, że ci go żal będzie porzucać?

— O! mój panie! — odpowiedział Barnaba — jest to całę przeciwnie. Bo człowiek wtedy jeno umiera lekko, kiedy, konając, może z całej piersi odetchnąć; a kto miał pierś ściśnioną przez całe życie, czyż ten potrafi duszę wyzionąć bez bólu?

— Mówisz rzeczy takie, których ja nie rozumiem. Aż ty ja mocen jestem, dać tobie swobodniejszy oddech, niżeli go masz z natury?

— Z natury? — powtórzył starzec, zamyślając się nad tem — tak, panie! jest to wada z natury. Aleć są wady, które chociaż są przyrodzone, przecież ustępują z woli lekarzy.

Na to zaś odpowiedział podstolic:

— Nie widziałem jeszcze na życiu, ażeby ten, który

się ciemnym urodził, przejrzał za czasem, albo głuchy usłyszał, albo niemy przemówił. Działy się takie rzeczy, kiedy Chrystus, Syn Boży, chodził po ziemi, ale to Boga potrzeba było na to, aby je sprawił.

Argument ten zbił całkiem z toru starego Barnabę. Zamyślił się nad tem i nie widział, coby mógł przeciw temu powiedzieć. Nieoświecony wieśniak słabym był bardzo w teoryach. Jednakże szczęściem wpadł on niebawem na drogę doświadczenia, na której nie był tak słabym. I tu mu się natychmiast ów argument pokazał niezem, ja-koż rzekł po chwili namysłu:

— Boga potrzeba było na to, aby uzdrowić niemych, głuchych i ślepych; ale niewolę leczą przy Boskiej pomocy i ludzie. W wiosce pana rotmistrza był kmieć, który długo był chłopem jak inni; objął rotmistrz wioskę w dziedzictwo, przyszedł ów kmieć do niego, położył dwa tysiące tynfów na stole, a noż i zdrów jest od tego czasu jak ryba. Dziewięćdziesiąty rok teraz kończy, chodzi bez kija jak młody...

— Mój kochany! — rzekł na to niecierpliwie podstolic — już mi też znowu brzękasz tą starą piosnkę nad uchem! Powiedziałem już tyle razy i teraz powtarzam: Co chcesz, zrobię dla ciebie, ale tego nie zrobię. Już też za tych saskich czasów pobogaciliście się i potłuszcili, i Bóg nie wie, co się wam nie roi po głowach! I do czegoż też to podobne? — Mamże sam chodzić za pługiem i sam się wziąć do czyszczenia moich sukien i butów? Bo jużciż na temby się wreszcie skończyło. A potem, nie dziwowałbym się komu innemu, ale cóż też tobie na tem zależy? Nie dajesz danin, nie placisz czynszu, żadnej nie robisz pańszczyzny, jedynego syna pozwoliliśmy ci dać do szkół, więc z twojej roli i tak już nigdy mieć nie będziem pożytku: i o cóż też ci to chodzi?

— Chciałbym panie — rzekł na to smutno Barnaba — choćby raz tylko odetchnąć swobodnie przed grobem.

— Ale dajże mi pokój z temi głupstwami! Fantazyje

jakieś osobliwsze ci się roją po głowie. Już też niewiem doprawdy, co dalej będzie!

Na te słowa Barnaba zbladł jakby ściana, czoło jego grubemi się obciągnęło chmurami, oczy opadły nieruchomie ku ziemi. Jakoż już bardzo zmienionym głosem rzekł:

— Grzeszę ja, panie mój, ciężko, że mam tę fantazyję, ktorejem mieć nie powinien. Ale tak to rozumiał, że jeszcze za to nie zasłużył na bicie, bo ta fantazyja nie przyniosłaby szkody i panu. I tak już mówię, że kiedy mi pan tego uczynić nie chce, to już to tylko jest upór.

— Niechże sobie będzie i upór — zawołał na to z gniewem młodzieniec — ale jest, i na tem koniec!

Tedy Barnaba już się tylko pokłonił i rzekł:

— Dobranoc panu.

— Cóż to? cóż to? — zawołał na to Bierzyński — czy nie myślisz tylko i twoich obowiązków porzucać dlatego, że nie skłonny ku twoim kaprysom?

— Nie, panie — odpowiedział Barnaba — obowiązki moje pełnić będę, bo muszę.

— A więc cóż?

— Nie panie.

— A więc dlaczegoż w taki sposób odchodzisz? cóż to znaczy? przecież nie będziesz miał i tej jeszcze fantazyi, żeby się gniewać!

— Nie panie. Nic... tak!... ale nic.

— No więc cóż? co masz, to mów.

— Nie panie. Jenom tak to rozumiał, że dotychczas nie jedno zrobił dla dworu, co niekoniecznie było obowiązkiem.

— Mój kochany — rzekł na to podstolic — nad obowiązki twoje nikt nie wymaga od ciebie i wymagać nie będzie. Rób tylko to, czegoś się podjął a będzie dosyć i dla ciebie i dla mnie.

— Tak, panie... Dobranoc panu.

— Bywaj zdrów — odpowiedział znudzony młodzieniec i wyszedł do przyległej komnaty.

VIII.

W parę dni potem, o samej południowej godzinie, młodziutka córka kasztelana znajdowała się w swoim małym ogródku, na zwykłej przedobiednej przechadzce. Była z nią także i panna ksieni, jej ciotka, która od niejakiego czasu coraz żywszą dla niej zdradzała miłość i jak tylko bawiła na zamku, co się bardzo często zdarzało, nie odstępowała jej ani krokiem, dzieląc z nią wszystkie swoje uczucia i myśli. Lubo rozmowa z uczoną przelożoną klasztoru była bezzawodnie pełna nauki i pobożności, nie wiedzieć jednak, o ile ona była przyjemną młodej i pełnej życia dziewczynie, której usposobienie serca, chociaż także stateczne i niemniej pobożne, już dla samego wieku jednak, musiało być jeszcze bardzo dalekie od powagi klasztornej...

Teraz, ukończywszy przechadzkę, siedziały obiedwie te damy na darniowej kanapie, pod ścianą zamku północną.

Annuncyata była w bieli ubraną, pochyliła się naprzód cokolwiek i trzymając w ręku pręcik zielony, kreśliła nim jakieś fantastyczne figury na piasku. Widać jednakże było, iż odbywała tę robotę li machinalnie, myśląc zupełnie o czemś innym...

Panna ksieni trzymała w tej chwili w jednej ręce otworzoną tabakierkę, a drugą z niej nabierała tabaki, lecz nie zażywała jej jeszcze, tylko wążąc ją w palcach, z pod oka wprawdzie, ale niezmiernie badawczym wzrokiem, przypatrywała się swej siostrzenicy. Zdawało się, jakby przed chwilą dopiero powiedziała jej jakąś rzecz arcy-ważną i teraz uważała ciekawie, jakie to na niej sprawiło wrażenie...

Wszakże niebawem kasztelanka przestała rysować swoje kapryśne figury, wyprostowała się cokolwiek i głosem pełnym melancholijnego rozdźwięku, pełnym jakby jakiegoś smętnego żalu, tak mówiła zaczęła:

— Jest to bez wątpienia pytanie niezmiernie ważne... może nawet najważniejsze ze wszystkich. Ja nad tem już

bardzo wiele myślałam, chociaż rzeczy takie poważne przechodzą wiek mój i siły. Ale jak tu nie myśleć nad znaczeniem człowieka, nad jego dołą i niedołą w tem życiu, kiedy się także do tej gromadki należy?... Dziwna też, jakie przy tem myśleniu nasuwają mi się nieraz mniemania, jakie wtedy w mem sercu się obudzają uczucia! O! gdybyż je wypowiedzieć! gdyby roztrząsać, ile w nich prawdy a ile pustego marzenia?... Ale i nacóżby się to zdało? czyby się przez to zmienił choć jeden cień życia ludzkiego na ziemi? czy umniejszyłaby się ludzka niedola choć o jedno cierpienie?...

A na to odezwała się mniszka:

— Myśleć nad losem i kolejami ludzkiego życia na ziemi, jeżeli tylko te myśli snują się takim torem, jaki dla nich przepisuje religia, jest to zawsze rzecz zacna i pożyteczna. Ja takie myśli zawsze pochwalam, bo lubo nie koniecznie muszą pociągnąć za sobą skutek zbawienny dla innych ludzi, jednak dla myślącego są zawsze z pożytkiem, nie dopuszczając mu się zamyślać o rzeczach pustych i niepotrzebnych. Dlatego cokolwiek bądź snuje się w twojej głowie o tej materji — dodała ksieni z przymileniem — mów moje dziecko, będę cię słuchać z uwagą.

— Ciotunia mnie zawsze słucha cierpliwie — odpowiedziała Annuncyata, okraszając twarz swoją uśmiechem — a ja też plotę moje androny. A cóż mamy robić lepszego?... Powiem więc najpierw, iż myśląc nad tem, tak mi się zdaje, że tym rozmaitym widokom naszego ziemskiego życia najwięcej my winniśmy sami. Powkładaliśmy bowiem sami mnóstwo na siebie ciężarów, powiązaliśmy się tysiącami warunków i względów, własną ręką pozakuwaliśmy się w najrozmaitsze kajdany: a teraz nam ciężko, teraz to czasem nieznośnie! Jakoż tak mi się zdaje, że czyniąc to, małośmy nad tem myśleli. Bo i na cóż było to robić? Czyż nie lepiej było nam zostać w takich samych do siebie stosunkach, w jakich Pan Bóg nas stworzył!?... O! do prawdy! pomyśleć sobie, jakiemiśmy wyszli z ręki naszego Stwórcy i widzieć dzisiaj, jakiemiśmy się porobili za czasem, zaledwie można wyjść z zadziwienia! — Jest to może

pięknie dla oka, widzieć naród, jako jest rozmaitym w swym składzie: jako w nim są u góry króle w koronach, książęta w mitrach i pany w aksamitach i złocie; koło nich duchowieństwo w infułach i fioletach, koło nich wojsko w lśniących pancierzach i hełmach; poniżej szlachta w karmaznach i lamach, przy roli lud prosty w siermięgach i płóciennicach, a pomiędzy tem wszystkiem kramarze, kupcy, mieszczanie, rzemieślnicy, żebracy: różnaitość ta może być bardzo piękną dla oka, ale czy nią jest także dla serca, jest to wielkie pytanie. Śmiałym nawet powiedzieć prosto, że nie jest. Serce ludzkie płacze nad tym widokiem. Serce ludzkie, czując to, ile ta różnaitość kosztuje łez, ile bólów, ile nieraz najsroźszego ucisku, zalewa się na to krwawymi łzami. Jakoż patrząc na ten tłum ludzi, jako się w tej maskaradzie kłębi podemną, jako ci ludzie, ocierając się o siebie tak blisko, jednakże sercem tak są nieraz od siebie daleko, — pierś moja się wzdyma od wewnętrznej boleści i mówię sobie: O Boże! jakżeż oni mało mieć muszą miłości! Gdyby miłość pomiędzy nich weszła, jakże prędkoby się porównali ze sobą, jakżeby tu wszystko było zaraz inaczej!

Panna ksieni patrzyła z wielką uwagą na tak mówiącą dziewczynę, która odetchnawszy z głębi piersi, mówiła dalej:

— Ale świat idzie swoim torem i lubo krwawo nieraz w tym pochodzie boleje, jednak ani się pyta o to, jakie być mogą tej boleści przyczyny. On nawet zdaje się nie mieć czasu na to, bo on w ciągłym jest ruchu, on pracuje, on bieży... nie pozwalając sobie spoczynku ani na chwilę. I tak czyniąc, dobrze czyni dla siebie, bo wśród ustawicznego zajęcia zapomina o swoich boleściach. Ale kiedy się znajdzie serce ciche, samotne, odosobnione od niego, do wspólnych gwarów nie należące, to tam w niem bólu dosyć, bo i za siebie i za świat cały! Takie też serca są, zdaje mi się, najniezszczęśliwsze ze wszystkich. Ale świat nie chce wiedzieć nawet i o nich, chociaż tak wiele nad nim boleją. Możeby nawet, gdyby się o nich dowiedział, ukamienował je za to i porozbijał na krzy-

żach! Wszakże tak uczyniono z Bogiem samym, kiedy zstąpił pomiędzy ludzi, aby ich porównać i rozmyślać pomiędzy sobą!... Ci, co rozbili na krzyżu Boga, to byli żydzi. To prawda. My jesteśmy chrześcijanie, my już może nie ukrzyżujemy nikogo. — Ale czyż nie biczym się ciągle nawzajem, ile siły nam stanie? czy nie mordujemy się cieleśnie i dusznie do śmierci?... Czy ciotunia słucha mnie jeszcze? — zapytała Annuncyata z bladym jak księżyc uśmiechem, budząc się z swego marzenia.

— Słucham cię, moje dziecko — odpowiedziała mniszka — i słucham z wielką uwagą. Cieszę się nawet tem niepomału, iż, jako widzę, tak poważne zajmują cię myśli. Ale ci muszę powiedzieć, że nie wszystkie te myśli są całkowicie prawdziwe. Bo że nam wszystkim, że każdemu czulszemu sercu, daje się ciągle boleść uczuć, to prawda: ale czy wiesz ty, czem jest w gruncie rzeczy ta boleść, wiesz ty, skąd ona powstaje? Otóż ja tobie to powiem. Ta boleść nie jest zgoła czem innym, jak tylko tęsknotą za utraconym rajem, tęsknotą za tem, co jeszcze nasi pierwsi rodzice stracili, tęsknotą za łaską Bożą, która na nas niegdyś bezpośrednio spływała. Pierwszego człowieka, gdy Pan Bóg stworzył, uczynił go jakby aniołem na ziemi. Sam go oprowadził po raju, sam go obznajomił ze wszystkimi bogactwami, sam go nauczył, jako ma czego używać, a oprócz tego, natchnął duszę jego tak wielomocnym sumieniem, że sam mógł wiedzieć wszystko i używać wszystkiego, nie potrzebując mieć się pracy, ani czynić doświadczeń. Był człowiek wtedy w wielkiej łasce u Boga, był w bezpośrednim stosunku ze swoim Stwórcą. Ale ten marny człowiek nie umiał tego dobra szanować i mając wiele, zapragnął więcej. Poduszczony przez złego ducha, dał się mu skusić i zbutniał. Nie dość mu było na tem, że udzieloną mu mocą od Boga mógł wszystko poznawać, zapragnął więc czynić to samo mocą swą własną. Ale jak sama myśl o tem już była grzechem, tak już pierwszy czyn na tej drodze sporządził jego całkowity upadek. Zjadłszy owoc zakazanego drzewa, w tej chwili z czystego anioła stał się grzesznym człowiekiem, stracił

udzielone mu od Boga natchnienie, stracił łaskę Jego na zawsze. Wypędzony natychmiast z raju, stał się ciemnym i grubym, niewiadomym niezego i mającym przed sobą już tylko drogę własnego doświadczenia i pracy. W drogę tę znużoną, daleką i bez nadziei przed grobem, poniósł on z sobą pamięć swojego grzechu, ale poniósł także i pamięć utraconego raju. Te dwa wspomnienia przekazał on jakby puścizną całemu potomstwu swemu, które też żyją w naszych sercach do dziś dnia i żyć będą po wieki wieków. Pierwsze z nich, to jest pamięć pierworodnego grzechu; rodzi w nas pokorę, uznanie naszej nicości i chęć zmazania z siebie tego przekleństwa cnota, zasługą i pracą; drugie, to jest pamięć utraconego raju, pamięć łaski Bożej i bezpośrednich stosunków ze Stwórcą, rodzi w nas tęsknotę za takim samem szczęściem, tęsknotę tak głęboką i krwawą, że się nam daje uczuwać boleścią. Otóż jest i odpowiedź na twoje pytanie. Ale powróćmy do pierwszych ludzi. Owóż od tego czasu, kiedy wypędzeni zostali z raju, ta tęsknota za bezpośrednią łaską Bożą, za widzeniem Pańskiego oblicza, towarzyszyła im wszędzie i bezustannie. Tej tęsknocie usiłowali oni zadość uczynić po wszystkie czasy; ale nigdy im się to nie udało! Najlitościwszy Ojciec przez swoje proroki wskazywał im czasem drogi ku temu; ale ci ludzie źli byli i niestateczni, i na żadnej z wskazanych dróg nie wytrwali do końca.

Przeciwnie nawet, bo niezdolni już Bożego natchnienia a coraz więcej ufni w swój własny rozum, obierali niejednokrotnie przez siebie samych powymyślane drogi, któremi idąc, pograżali się jeszcze głębiej w swoim upadku. Jakoż jedną z dróg takich była także i wieża Babel, którą poczęli budować dlatego, ażeby z jej szczytu Pańskie oblicze obaczyć. Przedsięwzięcie tej ogromnej budowy, nad którą miliony ludzi pracowało, dowodzi nam bardzo jasno, jak głęboka była natenczas tęsknota za utraconem szczęściem pierwotnem, ale dowodzi nam także, jak niskim był już wtedy upadek ludzi i jakie wielkie skażenie. Ukarzał też Pan Bóg ten nowy grzech, pychę, i rozprószył rodzaj ludzki po wszystkiej ziemi. Odtąd życie ludzkie stało się

już tylko błędną wędrówką po manowcach całego świata, w której często już i sami nie wiedzieli, czego szukali. Jedni więc byli jak opętani, którzy zgiełkiem i wrzawą wojenną chcieli zagłuszyć w sobie wewnętrzny niepokój duszy, — drudzy pouciekali w najodleglejsze zakątki świata, wlokąc za sobą, jako ryba ością przebita, nieuleczoną truciznę grzechu, i tam podziczeli, — trzeci byli jak ciemni, którym światło dzienne zagasto, i pozostawszy w dolinach, zgłębili w zepsuciu i bezczynności. Uliwował się wreszcie Pan Bóg nad tak nieszczęśliwym rodzajem ludzkim i oblókłszy ciało na siebie, zstąpił na ziemię. Baranek Boży zgładził grzechy świata, przynosząc ze sobą miłość i przebaczenie. Chrystus Pan zdjął z nas klątwę pierworodnego grzechu i odkupił nas od tego złego, które nas w swych objęciach trzymało: ale Chrystus Pan nie powrócił nam straconego przez naszych pierwszych rodziców raju. Nie powiedział On nam: Oto jesteście zbawieni na wieki wieków i żadne zło nie ma mocy nad wami! — ale powiedział: Jesteście wybawieni ode złego waszych rodziców, a oto jest droga, którą macie iść do wiekuistej światłości! — Jakoż droga ta jest jasną przed nami, ale zaprawdę powiadam tobie, nie jest ona ani łatwą, ani krótką, ani nawet łatwo dostępną. Świadczą nam o tem najlepiej dzieje naszego kościoła. Wieleby mi potrzeba mówić, gdybym chciała całe te dzieje przejść choćby krótko, gdybym chciała wyliczyć wszystkich Błogosławionych i Świętych i wymienić te środki, za pomocą których oni zdołali się utrzymywać na drodze wskazanej im przez Chrystusa Pana do śmierci. Dlatego nie powtarzajmy tego wszystkiego, a spojrzymy najpierw na pierwsze wieki krzewienia się Chrystusowej nauki. W tych tedy wiekach widzisz ty moje dziecko tych świętych ludzi, jakich oni imali się środków, aby się od pokusy ochronić i wytrwać w czystej i nieskalanej wierze do końca? Widzisz ty katakumby? I cóż to były te katakumby?..

Takie pytanie postawiwszy, panna ksieni mocno wpa-trzyła się w Annuncyatę, która wytrzymałszy chwilę

w milczeniu, zaczęła odpowiadać jakby na szkolnym popisie.

— Katakumby to były stare kamieniołomy i kopalnie w okolicach Rzymu, w których pierwsi chrześcijanie zgromadzali się na nabożeństwa i religijne ćwiczenia... Tam były pierwsze kościoły, tam grobowce ich świętych i męczenników...

— Tam... i cóż jeszcze? — spytała miszka.

— Tam w tych podziemiach i przy tych grobach — odpowiedziała kasztelanka — przepędzali niektórzy całe swe życie...

— Otóż to jest! — rzekła ksieni z przyciskiem — tam przepędzali swe życie! A wiesz ty, dlaczego oni się tam chowali? czy dlatego, że się obawiali prześladowania? czy ze zgrozy przed umęczeniem? Nie, moje dziecko. Tego się oni nie obawiali, boć przecie dawali dostateczne dowody tego, że prześladowania umieli znosić cierpliwie, że szli na męki jak na ołtarz zbawienia. Ale dlatego się tam chowali, iż to mieli od swego mistrza, Chrystusa Pana, że wiernym Jego pozostać uczniem, że od dusznej boleści być wolnym, że łaski Bożej bezpośrednio dostąpić, można tylko w odosobnionem schronieniu, w samotności od ludzi. Uważ więc, moje dziecko, jak się ta rzecz ma w istocie. Chrystus Pan, umierając za nas na krzyżu, oświecił nam zostawioną przez siebie nauką tą drogę, na której mamy postępować ku odzyskaniu łaski Bożej i wiekiustemu zbawieniu — a jego pierwsi uczniowie wskazali nam ją swoim własnym przykładem. Ustały potem owe srogie prześladowania, katakumby zostały czasu wojen w części zniszczone, ojcowie święci, jako Paweł I i Paschalis, pobudowali tam wspaniałe świątynie, niektóre święte relikwie poprzenosili do kościołów nadziemnych, zgromadzenia w katakumbach ustały, — ale pomimo to, przykład dany ludziom przez owych pierwszych uczniów Chrystusowej nauki nie ustał i pozakładano katakumby na ziemi. A temi katakumbami na ziemi są zakony, Panu Bogu poświęcone, odosobnione od świata, murami obwiedzione, klasztory. Jakoż wierz mi to moje dziecko, że ta wiara święta, którą Syn Boży zo-

stał światu, chowa się dzisiaj tylko li w klasztorach, bo tylko one odebrały ją żywo z katakumb, tylko one odziedziczyły w całości tą przenajświętszą puściznę i tylko im jest dane przez łaskę Bożą, przechowywać tę puściznę w jej pierwotnej czystości od wieka do wieka i do wieków końca!

To powiedziawszy dobitnie, mniszka wpatrzyła się znowu tak ciekawie w twarz kasztelanki, jak gdyby chciała każdy najdrobniejszy jej wyraz wyczytać i wyrozumieć. Ale Annuncyata była tylko smutną i zamyśloną i w tem zamyśleniu spytała:

— Tak to być musi, kiedy ciotunia tak mówi. Ale czy pobożnym i zacnym nie można być za murami klasztoru?

Na to pytanie ksieni odsunęła się od niej cokolwiek, przypatrzyła jej się raz jeszcze i tak potem mówiła:

— Pobożnym i zacnym za murami klasztoru... można być także. Nie przeczę temu. Nie ujmuję cnota ludziom światowym. Ale moje dziecko! enoty tych ludzi a enoty te, których można dostąpić w samotnem oderwaniu się od świata, w poświęceniu się wyłącznie służbie około wiary świętej, są niezmiernie różne od siebie. Pomędzy fortuną wieczną i pomiędzy środkami dorobienia się tej fortuny u ludzi świeckich a poświęconych Bogu w zakonie, jest niemal taka sama różnica, jak pomiędzy fortuną doczesną prostego wieśniaka a pana. I ten zasiewa i ów zasiewa; ale cóż wieśniak zbiera? Kilka kóp zboża, kilka worów jarzyny, którą ledwie się może wyżywić przez ciężką zimę. O wiosnie u każdego ciężki przednówek, — a czasem głód, czasem nędza i najnędzniejsze żebractwo! Do kogóż się wieśniak udaje, przyciśniony głodem żołądka? Do pana. A do kogo pan się udaje, uciśniony głodem swej wynędzniałej duszy i zachwianego sumienia? Do kościoła, do klasztoru, do służb Bożych w zakonie. I jako wieśniak znajdzie zawsze zasiłek w bogatej komorze pana: tak i każdy grzesznik znajdzie pokarm i zasiłek dla duszy w zakonie. A skądżeby też zakony brały tyle tego zasiłku, gdyby im z łaski Bożej nie było łatwiej o niego jak

wszystkim, gdyby nad ich zbiorami nie spoczywało błogosławieństwo Boże, gdyby im w wielkiej części nie był wrócony ów raj utracony? Tak też jest w samej rzeczy. Chrystus Pan nie powrócił bezpośredniej łaski odkupionej ludzkości, nie przywrócił dawnego przymierza pomiędzy Bogiem a jego ludźmi dla wszystkich: ale przywrócił je dla wybranych, przywrócił je dla tych, którzy porzuciwszy marne rozkosze świata, całe życie swoje poświęcili wyłącznie Jego świętej usługę. Taka bowiem była ta tajemna puścizna Chrystusa Pana, którą jakoby ciepłą ręką oddał swym uczniom, która od uczniów przeszła na tych, co wielbili Jego imię w katakumbach i która wreszcie z katakumb przeszła na dzisiejsze zakony. — Tak, moje dziecko. Wiedz tedy o tem, że wy, ludzie światowi, lubo pielęgnujecie także wiarę Chrystusową i wypełniacie jej przepisy, nie posiadacie tej wiary jak jeno w części i nie wypełniacie jej przepisów także jak tylko w części! A jak jest trudne na takiej drodze i przy tak słabych środkach zbawienie, nie chcę już nawet powiadać!... Niemasz zresztą tego potrzeby, boć podobno sami najlepiej to wiecie. Świadczy mi o tem dowodnie ta ustawiczna niepewność waszego sumienia, ta bezustanna trwożliwość waszego serca. Bo i skądże się biorą te wasze tajemnicze boleści, skąd te niepokoje serdeczne, skąd te trwogi dusz waszych, w których do nas się uciekacie po radę? Dlaczegoż często zatrzymujecie się wśród waszej wędrówki, spoglądacie błędnymi oczyma dokoła siebie i potem z wzrokiem wlepionym w niebo, stoicie w miejscu jako marmurowe posągi, nie umiając ani kroku uczynić? Dlaczegoż kiedyindziej, drżąc z przerażenia i trwogi, zbiegacie się pędem w gromadę, jako owieczki wśród piorunów i burzy, chociaż na niebie najpiękniejsza pogoda? Dlaczegoż nieraz wśród najweselszej biesiady, krew w waszych żyłach się ścina, serce w biciu ustaje, a w bladej twarzy maluje się najokropniejszy przestrah i zgroza? — U nas, moje dziecko kochane, w naszych cichych, Bogu poświęconych przybytkach, niemasz tego wszystkiego. My nie znamy żadnej trwogi ni przerażenia; jesteśmy cisi i spokojni jak głębia wody, której

nie nie zamąci. Z okiem wpatrzonem w niebo, z jasną pochodnią wiary w spokojnem sercu, postępujemy pewnym i niewzruszonym krokiem po naszej drodze. Nie zatrzymujemy się nigdy, nie zbiegamy się strwożeni w gromady, bo nasz cel jasny jest dla nas i wiemy to pewnie, kędy iść mamy ku niemu. Łaska Pańska nam przewodnikiem, widome dla nas oblicze Boga ostatnim celem, który się nigdy przed nami nie chowa. A tak przechodzą burze ponad dachy naszego domu, światowe wichry uderzają o nasze mury, a domy stoją niewzruszone w swoich posadach, a mury nie drgną nawet w swych fundamentach. Śród burz najsroźszych i wicherów, które szaleją po świecie, w naszym domostwie cisza, jakby nie należało do ziemi.

I wśród tych burz i wicherów najsroźszych, kiedy niebo dla wszystkich grubemi obciążnione chmurami, kiedy deszcz leje strugami, straszne szaleją tumany, chaty się drą i padają, ludzie drżą z przerażenia, ptastwo zlatuje z pola, zwierz dziki nawet ucieka z pastwisk i kryje się w nieodbyte ostępy, — ja stoję cicha u mego okna i jestem tak spokojna, jak ten powój zielony, który się pnie po mej kracie. — Ja wtedy stoję u mego okna i patrzę w niebo. I widzę zrazu czarne, ciężarne chmury, widzę burzę szalejącą w powietrzu i słyszę jęki zwierających się z sobą orkanów: ale pomału, przed mojem okiem, rozstępują się chmury, ciemność ich znika, straszna ich postać bieleje, czynią się przezroczyste, znikają całkiem... a wtedy, na jasnym błękitie przezroczystego nieba, wśród jasności promieni słońca, widzę własnymi oczyma lśniąca postać Chrystusa Pana, który stoi wspaniale, trzymając krzyż swój o prawe ramię oparty, a około Niego w powietrzu chmury jasnych aniołów, którzy mu śpiewają hymny niebieskie. Widzę to wszystko mem własnem okiem i słyszę cudne pienia aniołów... i wtedy skłaniam głowę ku ziemi, ciało moje się chyli na klęczki a dusza... oh! nikt z was ziemian nie uczuł nigdy tych niebieskich rozkoszy, w jakich natenczas rozplywa się dusza!

Wymówiwszy te ostatnie słowa z porywającym zapamiętem, panna ksieni oparła się jakby bezwładnie o darniową

poręcz kanapki i zapadła w głęboką zadumę. Annuncyata także w zamyśleniu głębokiem patrzała niememi oczyma przed siebie. I tak trwała chwilka milczenia.

Po chwili wszakże ksieni obróciła głowę ku kasztelance, spojrzęła na nią i spytała głosem łagodnym:

— Ty, moje dziecko, nie czujesz żadnego powołania do szczęśliwości zakonnej?

Na to pytanie Annuncyata zbudziła się i zerwała się tak nagle, jak gdyby ze snu. W tem energiczmem rzuceniu się wyglądała niewymownie pięknie; jej postać w tej chwili była pełna tego cudownego uroku, jakim może zabłysnąć tylko naiwność żywej młodości i wiosny życia. Jakoż z tą naiwnością i nawet nie bez pewnego dziecięcego junactwa, uderzyła ona swoim pręcikiem w darniową kanapkę i odpowiedziała stanowczo:

— Nie, moja ciotko, żadnego.

Panna ksieni westchnęła z głębi piersi i opuściła oczy ku ziemi. Zdawało się, jakby tą śmiałą odpowiedzią była zmieszana cokolwiek i nie wiedziała, co dalej mówić. Ale czuła to zapewne ta poważna osoba, a czując razem, że to niedobrze jest po długiej dyspacie umilknąć, rzuciła z niechętnia pytanie:

— I dlaczegoż to moje dziecko?

— Dlaczegoż? — powtórzyła naiwnie kasztelanka, namyślając się nad tem pytaniem — alboż ja wiem dlaczego? Czyż to się odpowiada za uczucia swojego serca?

— Ale przecież — zabrała znowu głos mniszka — dlaczegoż ci się ten stan nie podoba?

— Ten stan — odpowiedziała Annuncyata — może mi się i podoba cokolwiek, ale może stan inny więcej mi się podoba.

To mówiąc, wskazała pręcikiem na mury zamku i zapytała:

— Czy widzi ciotka te mury? cóż to są takiego te mury?

— Jest to zamek twojego ojca — odpowiedziała ksieni, patrząc ciekawie na siostrzenicę.

— To jest zamek mojego ojca, mojego dziada, pra-

dziada i wszystkich przodków moich od samego początku. Wystawili go oni dlatego, ażeby w nim pielęgnować dostatki, zacność i poświęcenie na usługi Panu Bogu i swojej wdzięcznej ojczyźnie. I pielęgowali to wszystko po wszystkie wieki i zawsze tak Panu Bogu, jak ludziom, znaczny przynosili pożytek. Dziś rodzice moi są starzy, po nich zostaję ja sama jedna: mamże dopuścić, aby z tych starych enót i dostatków nikt żadnego nie miał pożytku? mamże porzucić wszystko i tą starą, wspaniałą siedzibę pozostawić na mieszkanie puszczyków?

— Jest i to obowiązkiem — zauważała ksieni — ale są obowiązki inne, które przed nim pierwsze trzymają miejsce.

— Polką jestem przed wszystkim, i o tem nie mogę zapomnieć — odpowiedziała na to kasztelanka z energią i wykręciwszy się dziwnie zgrabnie na pięcie, odstąpiła w drugi koniec kanapki.

— Młodą jesteś! — dodała mniszka z przyciskiem — i to cała rzecz!

A kiedy mówiła te słowa, w owych drzwiach pod zamkową galerią, które do ogródka wyprowadzały z podziemiów, a które dawniej już znamy, pokazała się Marta kowalka. — Przyszła ona jak dawniej tylko z tą skromną chęcią, aby swoją złotą panienkę obaczyć i stanąwszy w progu, spojrzęła na nią; lecz obaczywszy przytem i ksieni, cofnęła się zaraz w głąb kurytarza.

Jednakże ksieni swoim wszystko-widzącym okiem dojrzała ją także i przedłużając swoją rozmowę, mówiła dalej do Annuncyaty:

— Młodą jesteś, to jest cała zagadka, ciemna może dla innych, ale dla mnie jasna jak dzień. Bo czyż to mało na to dowodów? czyż to nie młodość...

Tu znowu przemowę ksieni przerwała inna okoliczność. W tej chwili bowiem na zamkowej galerii pokazał się sam kasztelan, który kłaniając się jej obiema rękami, dawał jej znak tym sposobem, że ją zaprasza do siebie. Na wezwanie kasztelana ksieni powstała ale skończyła, co zamierzyla powiedzieć, mówiąc:

— Czy to nie młodość, dopuszczać do siebie wróżkę, czarownicę szkaradną, która ma relacje z dyablami? Jak tam chcesz, ale ja ci powiadam, że takie znajomości mogą mieć bardzo nieszczęśliwe następstwa!

To rzekłszy, już odchodziła; ale kasztelanka zaskoczyła jej drogę i rzekła z pełnym życia uśmiechem:

— Moja ciociu kochana! tej kobiety wszysej państwo nie znacie. To jest najpocześniejsza istota pod słońcem!

— Jak sobie chcesz! — odpowiedziała mruklawie ksieni i odeszła na górę.

Te słowa wszakże dosyć niemiłe wrażenie sprawiły na młodziutkiej dziewczynie, która też zachmurzona cokolwiek powróciła nazad na swoje miejsce i zachmurzona na kanapce usiadła.

Jednak niebawem we drzwiach znowu pokazała się Marta. Obaczywszy ją kasztelanka, dała jej znak ręką, aby się do niej zbliżyła. Ruszyła tedy cyganka z miejsca i postępowala ku niej wązkami ścieżkami ogródka, ale się chwiała po drodze, jakby się obawiała iść dalej. Idąc tak, rzekła nareszcie:

— Przystąpiłabym bliżej, ale dusznie się boję.

— A to czego się boisz? — odpowiedziała jej głosem stanowczym Annuncyata — czyż mi to w moim zamku nie wolno rozmawiać, z kim mi się podoba?

— Ej! panienko moja najdroższa! — rzekła na to Marta, przystępując tuż do niej — tożby to powinno być wolno, ale są ludzie, którzy tego nie lubią. Otóż i panna ksieni znieść mnie nie może, a już doprawdy, że nie wiem za co.

— Czy mówiła ci co panna ksieni?

— Wczoraj mnie spotkała w praczkarni i srodze na mnie wsiadła przy wszystkich. — A już co mnie najsrożej zabolalo na sercu, to to, że mi powiedziała wyraźnie: że bym jeno za te moje praktyki nie skończyła w rękach u mistrza. Boże drogi! cóż też ja robię takiego, żebyż aż mistrzem mnie straszyc?

Na tę wiadomość młodziutkiej kasztelance cała twarz się zmieniła. Zdawało się, jakby się głębokie oburzenie na

niej odbiło; stłumiła je jednak w oka mgnieniu i rzekła spokojnie:

— Proszę cię, tylko takich strachów nie bierz sobie do serca. Póki ja żyję, ani włos ci z głowy nie spadnie, za to ci ręczę.

Marta patrzyła z wyrazem głębokiej wdzięczności na nią i przez chwilę milczała. Westchnęła potem z głębi serca i rzekła:

— Moja złota panienska zawsze dobra jak anioł! Otóż ja pannie powiem za to nowinę.

— I cóż mi powiesz?

— Otóż pamięta panna — mówiła Marta, kiedy to w niedzielę pan podstolie wyjechał był z zamku. Już to była noc późna a a ciemna choć oko wykol. Otóż kiedy wracał do domu, omało że nie miał przypadku na drodze.

— Cóż to było?

— Bo to trza pannie wiedzieć — mówiła dalej Marta — że kiedy tu książę był pojechał na zamek, to pan Dzierżanowski czekał na niego koło kaplicy, a miał ze sobą ludzi konnych i zbrojnych. Otóż kiedy pan podstolie wracał w nocy do domu, to ten zły człowiek napadł konno i zbrojno na niego na środku drogi.

— Napadł na niego! — zawoła Annuncyata, zrywając się z miejsca — i cóż się stało?

— Ani włos z głowy mu nie spadł.

Annuncyata odetchnęła i usiadła napowrót.

— I nie się nikomu nie stało? — zapytała po chwili.

— Ej! gdzie tam! moja złota panienska. Pan podstolie tak serdecznie ciał Dzierżanowskiego po głowie, że go ledwie o północy ocucono w chacie starego Barnaby.

Annuncyata zamyśliła się i milczała.

— Widzisz! widzisz! — rzekła nareszcie do Marty — jacy to źli ludzie są na tym świecie! I zacóż on na niewinnego podstolica najeżdżał?

— Już to trudno odgadnąć, za co; aleć musiał mieć coś koniecznie do niego.

— Może miał, a może i nie miał. Bo i inni ludzie, chociaż wiem pewnie, że nie mieć nie mogą do niego,

przecie mu są niechętni. Ale już na to to podobno nie ma innego ratunku, jeno stanąć tak wysoko nad tymi ludźmi, aby jeno patrzeć mogli, ale nie byli w stanie doścignąć...

— Dobra to, moja panienko, nie masz co mówić; aleć to nie każdemu dopiąć się wysokości.

— Dlaczego? każdemu! — odpowiedziała z energią dziewczynka — bo nikomu nie jest droga zamknięta. Kto chce tego z całego serca, to idzie w górę, a ino taki kiśnie na dole, komu się to podoba.

— Może i tak! Już to panienska pewno wie lepiej, niżeli ja, taka prosta kobieta. Aleć zdaje mi się, że i pan podstolic musi tak myśleć, bo jako słyszę, wybiera się precz...

— Wybiera się? — zapytała kasztelanka ciekawie — dokądże się wybiera?

— Już tego nie wiem, moja złota panienko, bo to tam w tej Gozdawce zawsze wielkie sekrety. Pan podstolic dziwnie skryty w swoich zamiarach: co ma na myśli, z tego się tylko Panu Bogu spowiada.

— Bo tak powinien — rzekła na to kasztelanka — z ludźmi nie ma się co wdawać w wielkie poufałości. Ale przecież, jakże się do tej podróży przygotowuje?

— O! już to całkiem; jakby miał pod chorągiew podjeżdżać, z ludźmi, z końmi, z zbroją...

Tu Annuncyata zamyśliła się chwilę, ale w ten moment powstała z kanapki i rzekła prawie wesoło:

— Przecież się raz namyślił!

— Namyślił się — powtórzyła Marta — ale przecież ja tak rozumiem, że byłoby lepiej, gdyby się było bez tego wszystkiego obeszło...

Na te słowa Annuncyata popatrzyła na nią wzrokiem badawczym, wytrzymała ją potem spojrzaniem przez chwilę, a potem rzekła:

— Moja Marto kochana! jakże ty jesteś znamienicie dziecinna!

Po tych słowach odwróciła się i odeszła na górę.

Kiedy weszła do górnych komnat, zastała już wszy-

stkich zgromadzonych w sali jadalnej. W jednej połowie sali, rozrzućeni po różnych miejscach, stali kasztelańscy dworzanie, rozmawiając to między sobą, to z pannami fraucymeru kasztelanowej. Była to bowiem już obiadowa godzina, a u kasztelana był zwyczaj, że wszyscy dworzanie jadali zwykle z nim razem, a stół marszałkowski w osobnej komnacie nakrywano li tylko wtenczas, kiedy jacyś bardzo znamienici zdarzyli się goście. Po drugiej stronie sali, przy drzwiach na galerię otwartych, przechodził się z panną księżnią kasztelan i układał z nią projekt pielgrzymki na Jasną Górę, którą z całą rodziną swoją zwykł był odprawiać co lata, a z którą tego roku dla ustawicznych słót wstrzymał się był dotychczas. Annuncyata przyłączyła się do nich, słuchając pilnie tej statecznej rozmowy.

A wtem wszedł sługa dyżurny zapowiadając kasztelanowi, że pan podstolic nowogródzki wjechał konno i zbrojno w dziedziniec i prosi, aby się mógł panu kasztelanowi pokłonić.

Na tę zapowiedź, kasztelan się zatrzymał w swojej przechadzce i rzekł z uśmiechem do ksieni:

— Już też ten Bierzyński co dzień to nowe wymyśla koncepty. Mam go sobie za domownika i tak jak za swego, nuż mu się dzisiaj znów po formie meldować!

— Jw. panie — odezwał się na to jme pan wojski sieradzki — widzi mi się, że pan podstolic z pożegnaniem przyjeżdża, dlatego też zachowuje dworski tryb, jako każe obyczaj.

— Z pożegnaniem? mówisz waść, panie Jacenty? — odpowiedział kasztelan — tedy to co innego. Wyjdźże więc z łaski swojej z panami bracią naprzeciw niego, a przyjmij go ucziwie i wymów mnie tam starego, że sam nie wychodzę.

Wtedy wojski wyszedł z dworzany w ganek i zostawił wszystkich w oczekiwaniu.

W niedługiej chwili otworzyły się drzwi na ścieżaj i wszedł do sali Bierzyński.

Był on ubrany po wszelkiej formie, jako towarzysz

chorągwi panczernej. Miał więc drucianą koszulkę na sobie, na piersi pancierz lśniący nabijany srebrem i złotem, na plecach burkę krymską czarną, szklącą jak jedwab, a czerwonym muzulbasem podbitą, u boku kord potężny do boju, na rękach rękawice łosiowe z karwaszami, a w rękę trzymał hełm, albo jak to nazywano misiurkę z piórami i kitą. W tem rycerskiem ubraniu bardzo wyglądał wspa- niale.

Wszedłszy do sali, zbliżył się najpierw do kasztelana, który wyszedł o kilka kroków naprzeciw niego; stanąwszy więc przed nim, tak mówił:

— Jaśnie wielmożny panie! Będąc obowiązkiem oby- watełskim powołany do służby około pospolitej rzeczy, która Bóg wie w jak daleki świat mnie zaniesie i na jak długo z miejsce rodzinnych oddali, mam sobie za najpier- wszą powinność, pokłonię się temu, od którego tyle łask doświadczyłem za młodu i jeszcze doświadczam. Racz tedy, dobrodzieju, wdzięcznie przyjąć niski mój pokłon, a nie odrzucając mojej pokornej prośby, połóż twoją oj- cowską rękę na mojej głowie, abym był pewny, że takie same życzenia twojego najzaśniejszego serca będą mi to- warzyszyć w oddali, jakimi mnie zaszczycać raczyłeś w bliskości.

To mówiąc, przechylił się przed nim, a starzec, obja- wszy jego głowę obydwoma rękami, tak mówił:

— Mości panie Józefie! Żegnam waćpana z głębokim żalem mojego przyjacielskiego serca, błogosławię w imie- niu ojca twojego na drogę i życzę, ażeby Rzeczpospolita tyle miała z ciebie zaszczytu, ile ja mam niesklamane- go affektu dla ciebie.

Tu ręce odjął:

— A jeśli przyszłość — mówił dalej staruszek, kła- niając mu się z powagą — tylko połowę ziści tych ży- czeń, jakie z mojej strony towarzyszyć ci będą zawsze i wszędzie, jestem pewnym, że nam się wzniesiesz wysoko i staniesz taką chlubą twojej rodzinnej ziemi, jaką wszy- stkie serca przyjazne już od dawna ci wróżą.

Tu kłaniali się sobie nawzajem, ale kasztelan rzekł zaraz:

— Ale panie Józefie! Nie spiesze się tak bardzo i jeśli łaska, odpasz szablę od boku i misiurkę zawieś na kołku; niechże się jeszcze ucieszymy z sobą choć chwilę.

Bierzyński kłaniał się jeszcze kasztelanowi i kłaniał damom, a wtem i wagę postawiono na stole.

Kasztelan tedy posadził swego gościa przy sobie i bar- dzo łaskawie z nim bezustannie rozmawiał. A kiedy pie- czeń obnosić zaczęto, staruszek nalał sobie spory puharek wina i obróciwszy się do wojskiego, najpierwej jemu się ręką ukłonił, mówiąc:

— Panie wojski! w ręce wasze.

A potem się do Bierzyńskiego obrócił i tak mówił:

— Panie bracie! już też gdy nam odjeżdżasz, a przy- chodzi ta chwila, w której się mamy pożegnać, godziłoby się po staremu brzęknąć z sobą w kielichy, aby i strapio- nemu sercu przynieść ulgi cokolwiek i ten moment stano- woczy zakarbować w pamięci. Tak to bywało dawniej, a niechaj tam sobie kto chce peroruje! taki dobrze to było! Jam to wprawdzie już sobie stary potężnie, a moja sędziwa głowa wielkiej miary nie zniesie; ale przecie tak ufam sobie, że jeszcze temu puharkowi się nie dam! A więc na zdrowie i szczęśliwy powrót waszmości!

To mówiąc, brał puharek do ręki i wstawał, tak to ówczesni ludzie byli skrupulatni w grzeczności; ale Bie- rzyński się porwał z miejsca i ujawszy sędziwego starca za ramię, nie dał mu powstać, mówiąc prawie ze łzami:

— Ojciec mój święty! jużby też to grzech był śmier- telny z mej strony, gdybym na to zezwolił...

A kasztelan na to wesoło:

— Pocziwy jesteś, panie bracie! jako wszyscy Bie- rzyńscy. Niechże ci Pan Bóg nagrodzi...

I wypił siedząc i podał puhar wojskiemu. Poszło tedy zdrowie koleją, a kiedy pito, kasztelan dalej z Bierzyń- skim rozmawiał, mówiąc:

— Powiedziałem przy winie i po winie powtórzę, że ci z całego serca życzę spełnienia wszystkich nadziei. Ja-

koż jestem jednak pewny jak dnia jutrzejszego, że się pewno nie będziesz uskarżać na nieprzychylnie ci losy. Masz ty, panie bracie, wszystko po temu, co do szczęścia potrzeba. Idzie tylko o to, ażeby umieć użyć tego wszystkiego z pilnością i statkiem. Aleć tak tuszę, że i w to potrafiysz, bośmy cię przecie i niezgorzej chowali. Gdyby zaś kiedy czego więcej było potrzeba, niżeli to, czego sam możesz być sprawcą, pamiętajże na to, żeśmy ci przyjaciółmi i możemy sprawić i to i owo.

Tu Bierzyński dziękował, a starzec mówił dalej:

— Otóż tak, panie bracie. Ale powiedzże mi, jeśliś łaskaw, boć mnie to przecie obchodzi, cóż ze sobą zamyślasz? dokądże Pan Bóg prowadzi? czy do Warszawy?

— Jak najprościej drogą — odpowiedział młodzieniec.

— Otóż to jest! — rzekł starzec — niechaj to będzie regułą na zawsze. Czy w tę stronę, czy w ową, czy daleko, czy blisko, prosta droga niechaj będzie jedyną, bo tylko nią chodzić może człek zacny. A w Warszawie, cóż tedy?

— Jeszcze to dzisiaj powiedzieć trudno, boć to od okoliczności zależy...

— Więc jeszcze nie wiesz... Ale bo, panie bracie, przybrałeś się nam jako widzę z żołnierska i to nawet jako towarzysysz?

— Bo jestem towarzyszem chorągwi jw. marszałka — odpowiedział młodzieniec z uśmiechem.

— A toż co znowu? wszakże nie nie wiedziałem. Kiedyżto dostąpiłeś tego zaszczytu?

— Jeszcze byłem w służbie królewskiej — odpowiedział Bierzyński — kiedy jw. marszałek koronny, pobawwszy w Dreźnie czas jaki, kiedy stamtąd odjeżdżał, zem to mu z królewskiego rozkazu służył i w miejscu i w podróży na dwór króla pruskiego, obdarzył mnie był tym zaszczytem. Nie myślałem wprowadzić natenczas, żeby mi taka ranga była kiedyś potrzebną, lecz przez grzeczność przyjąłem ją wdzięcznie, i owo teraz z niej będę korzystał.

— Bardzo ci chwale tąką przezorność, bo się też

i przydała, chociażo tobie o towarzystwo w chorągwi nie powinno być trudno... Może też i o co lepszego nie było trudno, bo to masz tam w Warszawie jmé pana Wessla, który przecie ci wujem A jakże z Wesslem? czy się udasz do niego?

— U pana podskarbiego będę w każdym wypadku.

— Być u niego wypada, a nawet trzeba. Trzeba też i jego rady wysłuchać; ale niekoniecznie iść za nią... Pan podskarbi człek zacny, niema co mówić, ale jak dla mnie, trochę mi za kunsztowny... Jest on wierny saski przyjaciel, podczas *interregnum* forytował zrazu całemi siłami księcia Karola, ale wnet uciekł i już też potem i ust nie otworzył. Nie wiemże, co tam rozumie teraz...

Tak mówił kasztelan — a wtem skończył się obiad i wstano od stołu.

Po obiedzie kasztelan wyszedł w galeryę i zasiadł w krzesle, gdzie mu podano lulkę, którą zwykł był w tej porze wypalać dla wspomnienia strawności.

Bierzyński zaś rozmawiał z damami, z kasztelanową i ksienią, które obiedwie winszowały mu ozdobnymi wyrazy jaknajwiększych sukcesów na wielkim świecie. W tej chwili także przyjechała i pani podstolina, ażeby syna jeszcze tutaj pożegnać. Jej przytomność podniosła i ożywiła jeszcze więcej tę pełną grzeczności rozmowę. Wszystko to jednak nie zajmowało wcale młodzieńca. Klaniał się sztywnie, odpowiadał niezręcznie, był roztargniony i ustawicznie się czegoś oglądał. — Wkrótce też wymknął się damom i wyszedł także w galeryę.

A w tej wielkiej galeryi, która wisząc wysoko nad szumiącymi brzegami Warty, przez całe skrzydło się rozciągała, w samym rogu stała kasztelananka samotnie i oparłszy się o żelazne poręcze, patrzyła w dalekie, nieprzejrzane krainy za Wartą. Czy śledziła już naprzód błędnymi oczyma tę drogę, którą zegnający się dzisiaj młodzieniec miał w świat daleki odjechać? czy uciekła tutaj od ludzi, aby ukryć tży swoje i żalosalne westchnienia? czy zbierała swe siły, aby przetrwać zwycięsko ostatnie, pożegna-

wcze spojrzenie? — Może to wszystko razem, — ale któż to odgadnie!

Tymczasem jednak młodzieniec, przemówiwszy kilka słów obojętnych do kasztelana, zbliżył się do niej. Kiedy szedł wzdłuż galerii dziwnie był pomieszany. Jego serce biło tak mocno i odbijało swe echo od stalowego pancerza tak głośno, że zdawało się, jak gdyby drugi rycerz w żelaznych butach postępował z nim razem po kamiennej posadzce. Jego oczy były takie nieśmiałe, że jak kwiaty zwiędłe pochyliły się ku ziemi, i czekały słońca, aby je swymi promieniami podniosło!

Ale Annuncyata obróciła się śmiało ku niemu i wiele-dwie wesoło. I spojrzała na niego wzrokiem tak jasnym, tak lubym, tak pełnym ożywczego natchnienia, że młodzieniec ożył natychmiast i pełen najpiękniejszej nadziei, chociaż z wyrazem głębokiej żałoby, jednak śmiało do niej przemówił.

Nie było czasu do stracenia, więc mówił krótko:

— Pożegnałem już wszystkich i każdy był tyle łaskaw na mnie, że mnie w tę drogę daleką jakąś nauką albo błogosławieństwem zapomógł; pani...

Ale Annuncyata nie dała mu skończyć, odpowiadając w ten moment:

— Inni pana Józefa żegnali słowem a ja pożegnam pamiątką...

To mówiąc, podała mu krzyżyk złoty maleńki, zawieszony na zielonej tasiemce. Młodzieniec wyciągnął z zapałem rękę po ten dar dla siebie najdroższy i nim się zdobył na podziękowanie, patrzył przez chwilę w oczy chwiałej się przed nim dziewczynie. Lecz w tym momencie kasztelan, siedzący na nieszczęście jakby na straży u drzwi galerii, przyłożywszy rękę do czoła i przypatrzwszy im się z uwagą, zawołał:

— Mościa panno statystko! a co to asińdzka masz za prelekeye? he?

Zbladł młodzieniec jak ściana i dziewczyna się trochę zmieszala, ale odpowiedziała przytomnie:

— Dałam panu Józefowi poświęcany krzyżyczek, aby

go bronił od złych przygód na wojnach i kiedyś szczęśliwie do domu powrócił.

Ale starszek tylko uśmiechnął się na to i rzekł:

— A chodźże tu do mnie!

A kiedy się zbliżyła do niego, pocałował ją w czoło i ujawnszy za rękę, powiedział głosem uprzejmym:

— Tak, moje dziecko, to należy kobietom. Błogosławieństwem waszem i modlitwami winnyście nas zawsze wspomagać: skuteczniejsze to czasem, niż nasza wszystka waleczność!...

Słyszac te słowa, wystraszony młodzieniec z głębi piersi odetchnął, ale patrzył na kasztelana tak dziwnymi oczyma, jakby na Sfinksa... bo też istotnie Sfinksem wydał mu się w tej chwili ten starzec.

Ale kasztelan mówił dalej do córki bez przerwy:

— Ale że też zawsze, czy chcąc, czy nie chcąc, musisz mi dać jakąś naukę... za którą teraz nawet sam ci dziękuję, bo bez tego byłbym pewno zapomniał, że i mnie też się godzi dać Bierzyńskiemu coś na pamiątkę, aby mu to zawsze stawiało przed oczy jego starych przyjaciół, a przy Boskiej pomocy i szczęście przyniosło.

Więc kazał zaraz córce przywołać marszałka i koniuszy żeby także się stawił, — co słyszac Bierzyński, zaraz przystąpił do kasztelana i rzekł:

— Jw. panie! Widzę, że się na jakieś dary dla mnie zanosz. Nie dlatego, ażebym sobie nie cenił wysoko łaski mojego dobrodzieja, albo żebym, chowaj mnie Boże! miał się jej zrzekać, ale że ja jej już tyle doświadczył i jeszcze nigdy nie był jej godnym, poważylbym się od niej przynajmniej do tego czasu wypraszać, póki choć na tej drodze nie będę, na której będę mógł na nią zasłużyć.

— Dajno waść pokój z ceregielami — odpowiedział na to kasztelan — z tego co miliony kosztuje, podarunków nie robię, a to, co waść przyjąć raczysz odemnie, ani mię nie zuboży, ani waści zbogaci. A choćby też i wszystko, co do rycerskiego zawodu należy, a u mnie się najduje, darował, to i na tem jeszcze żadnej nie poniosłbym szkody, boć już ja sam tego nie użyję, a nie

mam, ktoby taki zostawał po mnie, żeby mu się to zdało. A co do zasług koło mnie, o te wcale się nie troszcz: służ jeno dobrze pospolitej rzeczy, a jakie u niej położysz zasługi, te będą najlepsze i u mnie.

Tedy Bierzyński z głębokiem wzruszeniem ścisnął za kolana staruszka — a ten go ścisnął za głowę.

Potem dawał mu szabłą do stroju, bardzo bogato oprawną, i rząd na konia turecki, kamieniami sadzony, i bardzo piękny kobierzec. A potem rzekł mu:

— A przed gankiem stoją dla waści nagotowane dwa podjezdki mojego chowu; nie araby, nie turki krwi nie mieszanej, ale polskie źrebce prawdziwe, na nogach żelaznych, z pierśią jak brama i o polskiej fantazyi. Przyjmijże to wdzięcznem sercem odemnie, a niech ci to przypomina, że oprócz matki masz też jeszcze i przyjaciół nad Wartą.

Młodzieniec sam już nie wiedział, jak ma za tyle wodów przyjaźni dziękować; więc też zaraz ukląkł przed starcem i już prosił o ostatnie błogosławieństwo, kasztelan mu błogosławił, a podniósłszy go z ziemi, rzekł jeszcze do niego te słowa:

— Służże Panu Bogu, pospolitemu dobru a prawdzie — a pomnij na to, że jedne prawdy są doczesne a drugie wieczne. Bywają więc chwile, gdzie dla drugich trza pierwsze porzucić, albo też i w pole przeciw nim ciągnąć. Starajże się tedy, ażebyś co do tych rzeczy mógł zachować swobodę dla siebie i nie przyjmował takowej służby, w której się zaprzedaje swoje własne sumienie. Bo potem źle z tem, zwłaszcza kiedyby się podzieliły opinie, jako to już bywało i jeszcze być może. A zresztą niech już Pan Bóg prowadzi!

A potem znów go wszyscy żegnali koleją, a każdy jeszcze coś powiadał na drogę, — i tak słońce już dobrane się pochyliło, kiedy nareszcie wsiadł na koń i z dziedzińca wyjechał.

W niedługą chwilę potem przeprawiał się przez Wartę pod zamkiem. A lubo przeprawiwszy się, dostał się w kraj równy, którym mógł bez przeszkody pośpieszać, przecie

jeszcze nie spieszył, jeno postępując powolnym krokiem, ciągle się na zamek oglądał. Miał się też czego oglądać. Na zamkowej galeryi bowiem długo jeszcze, jak gwiazda wieczorna, świeciła jego drogom postać kobiety, w lśniącą bieliznę ubranej...

Długo jeszcze świeciła ta gwiazdka, do zachodu słońca, do zmroku...

Ale tymczasem koń, lubo postępował powoli, przecie się ciągle oddalał, a i czas, choć leniwy, nie stał także na miejscu. A z oddaleniem i czasem, i owa gwiazdka bladła coraz więcej, i zbladła całkiem; zamigotała raz jeszcze jakby błędnym promykiem — i zgasła. A na jej miejsce spadła noc ciemna, wlokąc za sobą długą, fałdzistą szatę, pełną nieodgadnionych tajemnic. A czy ta noc ciemna w tajemniczych swych zwojach, oprócz marzeń powolnych, kryła pamięć dozgonną — czy zapomnienie? czy pochylone ku sobie serca miały wyjść z niej z wieńcami mirtu na skroniach? czy rozejść się tak daleko, aby się już nigdy nie widzieć? — wszystko to kryła przyszłość w swoich ustach, milezących, przyszłość pewna i nie miniona, lecz w każdym razie nie prędką.

KSIĘGA WTÓRA.

I.

Była to izba duża w domu drewnianym — izba prosta i niewykwintna, jak pomieszkanie żołnierza.

Ściany od siekiery, ziemia ubita zamiast posadzki, proste łoże polowe, a nad niem krzyżyk z słoniowej kości, pancierz, misurka i kilka sztuk różnej broni na ścianach, kilka wołoków i skrzynia z surowca na ziemi, stół dębowy, dwie ławy duże, parę stołków drewnianych, a wreszcie komin wielki, wymurowany z kamienia — i owóz wszystko, co się znajdowało w tej izbie.

Na dworze szumiała burza, miecąc śnieżną zamiecią i jęcząc czyscowymi głosami po szybach — w izbie zmrok zapadał coraz ciemniejszy — na kominie tłała wielka głównia, igrając gasnącymi płomykami i dymem — a przy kominie na ziemi drzemał kozak służebny, z głową opuszczoną na piersiach i rękami założonemi przed sobą. Czasem chrapanął mocniej, obudził się, powiódł zaspanemi oczyma po izbie, lecz nic nie widząc, ni słysząc, znowu zdrzemał w najlepsze.

A wtem otworzyły się drzwi z łoskotem i weszło dwóch mężczyzn do izby.

— Hej! kozacze! a jesteś? — zawołał z nich jeden, nie mogąc nic widzieć w izbie, ciemnym zmrokiem okrytej.

— Jest, panie! — zawołał kozak, zrywając się na równe nogi ze ziemi.

— A to spis, wraży synu! a w izbie zimno jak w psiarni? A palże prędko!

— Nie spał, jasny panie, noc całą, taj zdrzemał się teraz! — odpowiedział sługa z westchnieniem i uklęknął czempędzej na brzegu komina, aby łuczywa podłożył pod głównię.

— Świećże duchem w kominie i kaganiec też zapal! A dalej wina nаноś we dzbany i zajrzyj do kuchni, czy się tam nie najdzie co ciepłego dla gościa. Albo skocz do kucharza pana porucznika i każ mu co zważyć naprędce, a powiedz tak, że mam gościa, który zgłodniał a zziął na tej burzy dzisiejszej. — Anoż to burza! jak żyw nie pamiętam takiej zawieruchy w miesiącu marcu, boć to już marzec na niebie! Przejechałem tylko przez wieś, aby zrobić objażdżkę, a prawie krew mi zamarzła w żyłach, jako woda na rzece. A waszmość-że jedziesz zdaleka?

— Ja, panie towarzyszu? — odpowiedział podróżny, zrzucając tułub i wasy otrzepując ze śniegu — oj! ja zdaleka! aż to od Berdyczowa.

— Kijże kat pędzi waszmości po takich drogach aż na granicę turecką? — spytał gospodarz, zacierając ręce i tupiąc nogami, aby się zagrzać — czy handle jakie? czy inne sprawy? czy może masz jakiego krewniaka w której z naszych chorągwi?

— Służba mnie pędzi, panie towarzyszu, służba pańska, jako zwykle nieodkładana, chociaż czasem w rzeczy i niekoniecznie pilna. Jakoż i teraz, mniemałby kto, że już gore, a ono po bakalje się jedzie do Turków.

— Po bakalje? — powtórzył gospodarz, patrząc pilniej na swego gościa — pilnoż to musi być komuś tych tureckich słodyczy, kiedy waszmości wyprawiono pod taką porę! — Anoż to pewnie służysz waszmość jakiejś magnifice?

— Jest i magnifika na naszym dworze, ale ja służę jej mężowi, jw. Potockiemu, podczaszemu litewskiemu.

— Jakże tedy mam honor? — zapytał gospodarz — a to mówiąc, przypatrywał się z ciekawością swojemu gościowi.

Było już teraz jasno w komnacie i obadwa rozmawiający mogli się obejrzeć dokładnie. Toż i my także możemy im się przypatrzeć.

Jeden więc z nich, a mianowicie gospodarz tej izby, był to młodzieniec słuszny wzrostem i dosyć pięknej urody. Włosy miał ciemne i wąsik ciemny, twarz pociągłą, cokolwiek bladą, oczy duże piwnego koloru, lecz lubo twarz jego była chropowatą cokolwiek, jakby po szczęśliwie odbytej ospie i nawet zeszpecona kilkoma nie dobrze zagojonemi kreskami, była ona pomimo to piękna i miała w sobie wyraz dziwnie łagodny i pociągający. Cała postawa zresztą tego młodzieńca, którą tutaj opisujemy wiernie podług źródeł piśmiennych z owego czasu, była tak szlachetną i piękną, iż obudzając odrazu przychylnie dla siebie uczucia, jednała sobie przyjaźń i zaufanie nawet u ludzi takich, którzy go po raz pierwszy widzieli.

Wszakże całkiem inaczej wyglądał gość jego. Ten, był to mąż już podżyły, szpakowate miał włosy, krótko ostrzyżone i podgolone dokoła głowy, szpakowate, długie, obwisłe wąsy, twarz opaloną, wywiędłą, nadzwyczajnie spokojną; lecz pomimo to, przecież w jego oczach niebieskich było nietylko dosyć żywego blasku, ale przebijała się nawet pewna badawcza ciekawość, z którą też, niby z niechęciami, jednakże dosyć pilnie przypatrywał się stojącemu przed sobą młodzieńcowi. Ubiór jego był także niezupełnie zwyczajny szlachecki, lubo bowiem miał kontusz na sobie z szaraczkowego sukna, jednak zamiast żupana miał kurtkę kozacką, a zamiast pasa trzos szeroki skórzany, do którego u przodu była przszyta torba również skórzana, w kształcie pugilaresu dużego i na kłódceczkę zamknięta. W takie pasy zaopatrywali panowie tych kozaków, których wysyłał z listami lub depezymi; używali ich także kupcy i szlachta tamtych okolic, odbywając zwiaszcza podróże tak dalekie, do których potrzeba było przepustek lub innych wierzytelności; ale u tego szlachcica była za tym trzosem zatknięta jeszcze i para pistoletów tureckich i kindżał z rękojeścią stalową. Był tedy jak widać, uzbrojony we wszystko, co do dalekich podróży potrzebne. Ale nie

dziwiło to gospodarza zupełnie, bo w tamtych czasach i okolicach nikt nie podróżował inaczej.

Kiedy go więc zapytał o jego imię, odpowiedział mu tamten:

— Jestem Jędrzej Gostomski, pierwszy dworzanin jw. podczaszego, a i sam też szlachcie osiadły — a waszmość? jeśli zapytaé wolno.

— Ja jestem Albin Lenartowicz — odpowiedział gospodarz — także osiadły, w Sieradzkiem, ale że, mówiąc Bogiem a prawdą, niewielkie to tam dziedzictwo, a i fantazyja nie bardzo rolna, więc się służy Rzeczypospolitej wojskowo. Jestem więc towarzyszem w chorągwi jw. marszałka, a z woli panów braci i namiestnikiem.

— Panie Boże święty! — zawołał na to jme pan Gostomski, wyciągając rękę ku niemu — toż to znałem Lenartowiczów, kiedym bywał po tamtych krajach, służąc jeszcze pod komendą jw. generała Wielko-polskiego. Zacni, zacni to ludzie; różnij w kawalki a do rany przykładaj. U jednego z nich nawet gościłem kilka tygodni, kiedy to mnie tam byli nakreskowali Kaszuby! A jak gościł! jak pielęgnował! hej! hej! Panie Boże! gdzież to te czasy!

— Panie bracie! — rzekł na to namiestnik — rozrodzony to ten nasz ród w łasce Bożej i nie mało nas jest tego nazwiska. Ale przeciebym rad wiedzieć, jak temu było na imię, który miał szczęście gościć waszmość w swym domu. Nie pamiętaszże jego imienia?

— Choćbyś mnie zabił! i wsi już nawet nie pamiętam! Aleć bo i nie dziwno! boć to temu już będzie pewno lat z jakie trzydzieści albo i więcej. A człek ma nie mało do pamiętania! Jak Polska szeroka i długa przekrzyżowało się ją nie raz i nie dwa, a wszędzie się coś zdarzyło, wszędzie się znalazło przyjaciół i zewsząd się uniosło jakieś wdzięczne pamiątki. Niektóre z nich odzyskują się jeszcze w całości w sercu, ale po drugiej pozostały ledwie nagie nazwiska! Ale i to chwala Bogu! Ot, jak mi to miło teraz znaleźć gościnę u kogoś, który nie tylko że mnie sam gości z całego serca, ale jeszcze i drugie takie pocziwe serce mi przypomina.

— Panie bracie! — rzekł na to młodzieniec z westchnieniem — anoż mi żal teraz w dwójnasób, że nie mam czem godnie przyjąć waszmości.

— Ale dajże waść pokój, jeżeli Pana Boga kochasz! — zawołał Gostomski, obejmując go w swoje ramiona — a co to? czy to ja jakie paniątko? czy mi wiele potrzeba? Przysypała czuprynę siwizna, to prawda, i garbi się już człowiek po trosze, i to prawda: aleć to jeno przez to zrobił się jeszcze twardszy. Jest wino, napiję się wina, jest piwo, to i piwem nie wzgardzę, a wreszcie i siwucha na pokrzepienie wystarczy; a kiedyby i bez siwuchy, to myślisz waść, panie bracie, żebym już zginął? he? a nieprawda, bo taki nie mi nie będzie

— Ej! tak znów źle nie jest — rzekł na to namiestnik — bo choć to nieosobliwe to leże na tej granicy, jednak wszystko to mówim, że nie głód nas tu męczy, nie pragnienie, nie niewizody, jeno jedna bezczynność. Panie bracie! sześć chorągwi się nas tu wyciągnęło wzdłuż tej granicy, leżymy już od początku zimy, a żeby któren z nas choć raz był prochu powąchał, to nie! Skarzyliśmy się, kiedyśmy konsystowali na Kresach, że to zacnym ryerczom przychodziło tam grać o lepszą z łotrami; ale dziś, żeby nas tylko powrócono na Kresy!

— Hm! — pomruknął na to Gostomski, przypatrując się pilnie młodzieńcowi — niemasz co przeciw temu powiedzieć, owszem nawet, chyba jeno pochwalić. Bo dla żołnierza nie nie masz gorszego nad spokój. Byłem ci ja kiedyś żołnierzem, i wiem to. Ale, panie bracie nie masz na to innego ratunku, jeno jedna cierpliwość. Jakoż tak sądzę, że teraz i cierpliwości już nie wiele potrzeba, bo od niejakiego czasu coś srodze głucho na świecie, a kiedy tak głucho, więc potem za to bywa znów głośno...

— Dajże Panie Boże! tego głosu jak najprędzej. Ale siadajno waszmość za stołem. Ot! jest i wino, jest i jakaś przekąska. Więc się posil co prędzej, a potem zasiądź sobie przy kominie, toż mi waszmość przecież coś powiesz, co tam słyhać na świecie. Bo my tu na tych granicach prawie jak na dnie wieży. Jeśli co nie przyleci

z góry, to ziemią nie, kromie baśni a plotek. A pogawędzimy sobie serdecznie, bo tu dziś u mnie wszyscy bliżsi towarzysze na wieczornicy. Czwartek, to moja kolej! Ot! i co robić! schadzamy się co wieczór do kogoś, kurzymy lulki tureckie i pijemy jakieś pomyje tureckie, które tu nazywają winem; ale i to lepsze jak nie, boć i przytem lepsza gawędka, niżeli całkiem na sucho.

— Tedy mi to dwa razy milej — mówił na to Gostomski, siedząc przy wieczerzy za stołem — bo przy tej okazji poznam też towarzyszy tej wspaniałej chorągwi, o której już nie mało slyszalem. Główna to jest podobno i najpiękniejsza dzisiaj chorągiew, a jaka młodzież tu służy! Tak mówią... ale że wszyscy, więc i ja też za nimi.

A kiedy tak mówił gość namiestnika, zaczęli istotnie schodzić się towarzysze. Już co moment drzwi się otwierały i wchodziło ich po dwóch, po trzech i po więcej, a niebawem cała napełniła się izba. Lenartowicz jako gospodarz, przedstawiał swego gościa wszystkim, którzy też bardzo ciekawie mu się przypatrywali, bo istotnie gość na tych odległych leżach był nie małą osobliwością. Mówili tedy jedni:

— A to Pan Bóg tu przyniósł waszmości! dowiemy się też raz przecie dokładnie, co tam się dzieje w tej naszej Polsce.

Drudzy znów się dziwili jego podróży, mówiąc:

— Anoż to pański kaprys prawdziwy, żeby topić czleka po takich śniegach dla tureckich bakalii!

Zdarzyli się wszakże między nimi i tacy, którzy tym bakaljom nie mogli uwierzyć, a ci szeptali sobie do ucha:

— Coś to tam musi siedzieć innego w tym kozackim szlacheicu; bodajby jeno nie jakie lichu!

Ale tymczasem, pijąc ze sobą i przepijając do niego, wypytywali go niecierpliwie, co tam słyhać na świecie?

— Ot! coby słyhać! — odpowiedział podróżny, pijąc wino i dymiąc lulkę a rozpatrując się po przytomnej młodzieży — coby też było słyhać takiego, czegobyście ichmość nie wiedzieli na czasie! Bo to się jeno tak zdaje, że nie nie wiecie, anoż co było, a wiedzieć warto, to pewno

wiecie. Skonfederowano się w Radomiu zeszłego roku, to wiecie. Konfederacya się na nie nikomu nie zdała i to wiecie. A co z tego wynika, czy to się tak trudno domyśleć? Czy to będzie dla was nowina, jeżeli powiem, że jako wyście tu nie kontenci na leżach, tak i jedna dusza nie jest zadowolona dzisiaj w całej Rzeczypospolitej? A i to nie nowina, że przy takich rządach nikt być kontent nie może. Babę sobie wybrali na króla, babski też mają regiment!

— Śmiało to waszmość powiadasz — rzekł na to jeden z towarzyszy — ale bodaj czy nie sprawiedliwie. Bo co prawda, to prawda. Pod tym królem wszystko jakoś się krzywi a kiśnie; żeby się jeno nie skrzywiło a nie skisiło do reszty. A już komu najgorzej, to żołnierzowi. Mielśmy trochę zabawki z hajdamakami, a noż teraz i tego już niema. Jak nas tu przytroczyli do tej granicy, Panu Bogu się oddaj! bo ani myślą odtroczyć i już chyba sam się człowiek odpruje.

— A gdyby się i odpruł — rzekł na to drugi — to co zrobi? Pójdzie orać skibę do domu, jeśli który ma skibę, bo co innego, to nie wiem. Chyba żeby się przemycić do Turek a zbisurmanić się, to możeby sobie jakie pole otworzył.

— Pięknażby to była zmiana — rzekł na to namiestnik — otworzyć sobie pole doczesne a wieczne zamknąć na wieki.

— No, toż to się jeno tak mówi. A i niema czemu się dziwić, bo od tej bezczynności to człowieka czasem i rozpacz porywa.

— Tak, tak, panowie bracia — odezwał się na to szlachcic podróżny — nie ma tu czemu się dziwić, bo żołnierz nie powinien siedzieć bezczynnie. Więc mu to przykro, a jeszcze przykrzej o tyle, o ile więcej jest ich na jednym miejscu. Widzą się razem, czują się w sile, wiedzą to dobrze, że mogliby czego dokazać: a tu siedź kamieniem na miejscu. Otóż to boli! A waszmościów tu także dosyć piękna jest porcyca. Sześć chorągwi, jak waszmość mówisz, panie namiestniku, a dalekoż od siebie.

— O! juźci nie bardzo blisko — odpowiedział namiestnik — boby to i wyżywić się trudno. Zimą zresztą, to i niema czego się kupić. Więc to tak jesteśmy tu rozdzieleni, że co wieś, to ćwierć chorągwi w niej leży a indziej pół, a już tu przy głównej komendzie, to cała.

— Ale przecież — zapytał podczaszego dworzanin — dalekoż te wsie położone od siebie? Tak, naprzykład... żebyście ściągnąć wszystkie do kupy, dużoby na to potrzeba czasu?

— A! potrzebaby może dni kilka... a przy tych śniegach dzisiejszych, to zapewne i więcej.

— I więcej! — powtórzył szlachcic — to daleko jesteście od siebie!... Proszę tedy waszmościów, bo to zdaje mi się, że nad temi tu chorągwiemi ma komendę pan Dzieduszycki, cześnik koronny, a regimentarz podolski. Pan Dzieduszycki jako słyszę, siedzi w Warszawie podobno, któż tedy zastępuje tu jego miejsce?

— A nasz porucznik.

— A tym porucznikiem jest...

— Jmć pan Józef Bierzyński.

— Jmć pan Józef Bierzyński — powtórzył szlachcic podróżny — panie bracie! a czy nie będzie to ten sam Bierzyński, który był niegdyś w służbie u nieboszczyka króla?

— A juźci ten.

— Proszę, proszę! Toż to człek jeszcze młody a już takich dostępuje zaszczytów! Takie porucznikowstwo toż to waży więcej niż generalstwo w cudzoziemskim autoramencie. — Jakże więc? dobry żołnierz się zrobił z dworaka?

— Panie bracie! — rzekł na to Lenartowicz — pono nie wiele takich żołnierzy macie tam dzisiaj w całej Rzeczypospolitej!

— O! już to co żołnierz, to żołnierz! — odezwało się kilka głosów razem — żeby jeno miał w co udeźać!

— I najzawziętszy wróg tego mu nie odejmie — mówili drudzy.

— Dobry żołnierz i zna się na swem rzemiośle — uważali ostatni — aleć to żołnierz u nas to nie nowina. Nie masz w tem nic osobliwego.

— Ale co tam waść słuchasz! — zabrał głos na to młody namiestnik z zapalem i usiadłszy naprzeciw gościu, tak mówił:

— Nie masz nic w tem osobliwego! a ja powiadam waszmości, że wszystko w nim osobliwe. Mnie się to trzeba o to zapytać, boć służę z nim już z górą trzy lata. Na jednym dniu, przed samą koronacją dzisiejszego naszego pana, podjeżdżałem z nim pod chorągiew w Warszawie; było to w jesieni anno 1764, mamy teraz początek 1768; anoż od tego czasu nie byliśmy i jednego tygodnia bez siebie. A więc go znam do gruntu i z każdej strony, i tak mówię, że nie codziennie tacy wyrastają żołnierze, i nie codzień takowi ludzie. Bo to siła rzeczy zdaleka się zdaje, ale przecie tak nie jest. Uderzę ja z fantazją, uderzy drugi jeszcze ogniściej; ale tak jak on, już to żaden podobno, bo to o skutek też idzie. A u niego skutek dobry, jak słońce, nigdy nie chybi. — Namyśli się zawsze, to prawda, rachuje długo, czasem wróci: ale kiedy się namyśli, a wytnie, to już jak orzech zgryzł. Natłukłem się też nie mało pod jego komendą, ale jakom żyw, nie zdarzyło mi się jeszcze ni razu, żeby nas potłuczono. Gdzie Bierzyński uderza, panie bracie! to jeno grób kopać dla nieprzyjaciela, a zdobyć ładować na wozy. Otóż to jest w nim osobliwa. Cierpliwość, jak u kamienia, zimna krew, jak u ryby, a kiedy ogień, to piekło! a on w tym ogniu jak szatan: to jest żołnierz, to wódz. Ganią mu to niektórzy, że się długo namyśla, a nie często się biją: no nie często, to prawda, ale za to ze skutkiem. Ma też oko i ucho do podziwienia: jakoż nietylko, że go jeszcze ani razu nie potłuczono, ale też go jeszcze i nikt tak nie zeszedł, żeby nie był przygotowany. Nuż dopiero te różne pastki, które umie na nieprzyjaciół zastawiać, nuż jego marsze bałamutne, a podejścia, zasadzki, napady, jużby też tego i nikt nie wymyślił. A że to w tylu okazjach jeszcze sam ani kreski nie dostał, już też u niektórych

i charakternik! Aleć patrzę ja na to zblizka i tak mówię: olej w głowie a szczęście, to jest jego charakternictwo. A że i przy jego oleju w drugiej mózgowicy jest ciemno, już to nie jego wina. — Ale panie bracie! przecie to nie może być, żebyście wy jego nie znali! Służycie panu podczaszemu, a i on przecież był na tym dworze: czy go nie pamiętacie?

— Mało nie wiele przypominam go sobie — odpowiedział jme pan Gostomski — aleć to dawne czasy! Był on wtedy ledwie wyrostkiem i zawsze przy pańskim boku. A że to pan podczaszy, to jako komendant fortec granicznych, to znów z własnej fantazyi, siła się włóczył po świecie, a ja też także, mając natenczas funkcyę wizytatora, tylko gościną bywałem w domu, więc też to lada-jaka była znajomość. Ja go pamiętam, ba nawet i dobrze, ale on mnie bodaj i nie zapomniał zupełnie! — Jednakże kiedy mi go tak serdecznie chwalicie, a jako widzę, podobno słusznie: tedy coraz mnie lepsza zbiera ochota, przypomniać mu się przy tej okazji. A czy możnaby go nawiedzić?

— A czemu nie! Jest on sobie samotnik a na czas i dziwaczy, ale gościom rad zawsze.

— Samotnik jest, mówisz waszmość? i dziwaczy czasami? a toż czasem? Przecież to młody, dopiero w świat mu, szczęśliwie zaczął, widoków dość: chyba że inny jaki robak go gryzie?

— O! jużci tam bez robaka nie jest — rzekł ktoś z towarzyszy — bo i skądżeby w takim wieku przyszedł do takiej księżej powagi? skąd nieraz takie chmury na czole? skąd taka gorycz na ustach?..

— Gorycz? powiadasz waść, panie bracie! — odezwał się na to znowu pan Albin — a to już powiem, że albo go wszyscy nie znacie, albo taki z umysłu szukacie dziury na całym. Bo powiedzcież mi, proszę, czy znaliście kiedy starszego człowieka od niego. Są tu pomiędzy nami tacy, którzy już po kilkanaście lat służą, niechże ci mówią. Pamiętacież Mokronowskiego, który wodził nas przed nim? *Dziesięć kroć sto tysięcy bizunów!* kiedy huknął nad

którym, nie zadrżała to skóra na każdym, chociaż wiedział, że jest towarzyszem? A Pisarski: *Drzyj dyable, mosanie!* A Golejowski generał, którego przysłowia nawet i nie powtórzę — to byli słodcy! — a Bierzyński to gorzki! — Anoż tego już nie rozumiem, bo tak mi się widzi, że mu to właśnie za pierwszą sztukę należy mieć, że nawet i nie złaje nikogo, a taki rygor u niego, że jeno każdy słucha jak trawa rośnie. Nie plecie wiele, nie wdaje się w rozhowory, bractwu to czasem nie miło; ale to w tem ma właśnie rozum najlepszy, bo za to, kiedy się odezwie, już tam się nikt nie ogląda, ano duch czuje w sobie, jak trzeba. Że się tak względem nas zachowuje, może sam nad tem wzdycha, jako też wiem o tem cokolwiek; lecz kiedy tak, toż to jeszcze większa w tem jego zasługa, bo widać, że pierwsze u niego jest dobro popo^olite, niżeli własne. — Otóż to tak jest, mości panie Gostomski — mówił dalej namiestnik zwracając się do gościa — ale już to i z natury jest on trochę samotnik. Pomiędzy czterema ścianami, ze samym sobą a z Panem Bogiem, już mu pono najmilej. Ale i tam nie próżnuje. Czyta książki, których też ma całą skrzynię, kreśli sobie na mapach, a i pisze coś czasem. I bardzo dobrze to czyni, bo i tem służy popo^olitemu dobru. Jakoż przeszłej zimy wyrobił planik, jakoby mogła być z mniejszą siłą, a z lepszym skutkiem oganiana granica od hajdamaków. A jest to rzecz bardzo dowcipna, bo tam jest wyłożone jak na dłoni, że przez mądre rozpołożenie wojska snadno się to osiągnie. Jest też i mapa do tego, przez niego samego zrobiona, gdzie każda stacja i każda leża jest naznaczona. Toż znów tej zimy napisał modłę, jako ma być urządzona artylerya polska, jaki kształt i szyk armat, jacy puszkarze, jaka każdego służba? a już to tam wszystko jest rozważone i policzone aż do nabojów. Toż oba dwa te pisma podał do Warszawy, a na dwie ręce każde: jedno dla króla, drugie więc dla hetmana. Więc to kto takie rzeczy waży w swej głowie, ażażto dziwno, że woli być sam, niż w kompanii?

— O! kiedy tak, to i niema co mówić — rzekł na to

jmé pan Gostomski, zacierając ręce jakby z uciechy — ale powiedziałeś waszmość, że też czasem dziwaczy, jakież to tedy dziwactwa?

— Ot! tak sobie, jako to każdy ma coś właściwego. A już u niego to jest właściwość, że jak na młodego i prawie w szczęściu, jest zana^oto smutny czasami. Już to smutek podobno, to u niego regułą, żeby jeno nie istota chorobą, bo prawdę mówiąc, to i na chorobę to czasem wygląda. Jak już wspomniałem, od lat trzech ciągle jesteśmy z sobą, a teraz i pod jednym mieszkamy dachem; toż tom się dosyć tego napatrzył i nadziwował z początku, aż pókim się z tem nie oswoił, albo i nie nauczył smucić z nim pospołu. Bo powiadam to waści, że są takie rzeczy na świecie, które każdy ma w swoim sercu, ale ich nie uczuje aż wtedy, kiedy je drugi potrafi. Anoż to wtenczas, to i o lzy czasem nie trudno nad rzeczą taką, której człek przed tem i nie uważał. Tak mi się to nieraz zdarzyło z moim kochanym Józefem! — Ale wieleby to o tem powiadać!... — dodał z westchnieniem pan Albin, a może i próżno, bo nie wiem pewno, ażaliby też każdy zrozumiał. Bo pomiędzy ludźmi już to tak jest oddawna, że kiedy im się co mówi z głowy, to wysłuchają i ukontentują się, jeśli warto: ale co się ma w sercu, już to najlepiej zatrzymać dla siebie a zmilczeć. Pieści się nieraz w sercu co najdroższego, człek to chowa jako skarb swój najznakomitszy — da się raz skusić i podzielić z ludźmi tym skarbem — czyniąc to, mniema, iż ich po królewsku uraczył — a ono jeden wzruszył ramionami na ciebie, a drugi się i rozśmiał szydersko! — Anoż lepiej to zmilczyć. Ale co do pana Józefa, to ja przecie powiem otwarcie — że niechaj on sobie będzie jak chce samotny, niechaj wzdycha ciężko czasami jakby już ginął, niechaj się z niewiadomej przyczyny krwawemi zalewa łzami, niechaj tym smutkom swoim nawet moją przyjaźń poświęci — ja przecież zawsze z nim służyć będę i nie chcę nawet służyć pod nikiem innym, jak pod nim. Bo to, panie bra-

cie, jest żołnierz przedni, a w żołnierzu człowiek jeszcze przedniejszy: a to jest rzecz!

— Pięknie to waszmość mówisz — rzekł na to szlachcic podróżny, słuchający z uwagą — a prawie cudnie. Bo już snać nic nie może być cudniejszego na świecie, jak dobra przyjaźń. Ja przynajmniej, kiedy ją widzę, to aż łżejszy się czuję, a zdaję mi się, jakbym na ziemi niebieskiego zachwyił powietrza. A już dobrych przyjaciół, to i sam zaraz jestem przyjacielem od serca. Jakoż z tego, com od waszmości usłyszał, jużem i ja pana Bierzyńskiego pokochał i uszanował. Jużbym też o nim chciał wiedzieć wszystko! Powiedzże mi waśe jeszcze, kochany mój namiestniku, jakież jego *in coeteris* są sentymenty? Wierny królowi? he?

Na to pytanie namiestnik spojrział ciekawie na mówiącego, pomyślał chwilę, a potem oczy spuściwszy ku ziemi, odpowiedział:

— Wierny królowi, jak panu, którego naród sam wybrał i postawił nad sobą.

Tu znów Gostomski spojrział na namiestnika i uśmiechnąwszy się nieznacznie, rzekł, biorąc szklanę do ręki:

— I to jest cnota, i niepoślednia. Poważni autorowie gęsto piszą o tem!

Namiestnik milczał.

A tymczasem Gostomski, wychyliwszy szklanicę, wstał, trzosa poprawił na sobie i rzekł do niego:

— Ale jakkolwiekbyś, radbym się też panu porucznikowi pokłonić. Jeśli więc łaska, to racz mnie panie bracie zaprowadzić do niego, albo też wskazać drzwi, które wiodą do jego komnaty.

Ale na to namiestnik dobył z kieszeni zegarka, spojrział na godzinę i rzekł:

— Z chęcią to dla waszmości uczynię i jestem pewny, że porucznik rad będzie. Aleó to jeszcze mamy czasu dosyć. Pan Bierzyński zimą długie przepędza wieczory. Pogawędźmy tedy jeszcze sobie z panami bracią na chwilę, ja tymczasem się dowiem, ażali pan porucznik nas przyjmie — a potem sobie pójdziemy.

Zaczęła się tedy rozgłośniejsza cokolwiek gawęda. Kaczy z towarzyszy chciał gościa o coś zapytać, drugi się niecierpliwił, aby coś dodać do tego, co namiestnik powiedział, ci mieli takie zdanie, drudzy inne: — lecz kiedy stąd powstał gwar i zamieszanie małe w komnacie, gospodarz się milczkiem do drzwi przysunął i wyszedł niezauważnie z pomiędzy gości.

Tymczasem, kiedy się tak rozgwarnie bawiono z gościem u namiestnika, w komnacie Bierzyńskiego była cisza solenna.

Jeszcze było się widać, światło dzienne dopiero zaczynało się chylić ku nadchodzącemu zmrokowi, możemy się jeszcze i komnacie przypatrzeć.

Komnata więc ta, lubo się znajdowała pod jednym dachem z izbą namiestnikowską, była jednak całę różną od tamtej. Porucznik regimentarza inaczej dbał o swoje wygody, inaczej też swoje pomieszkowanie urządził. Widzimy tedy tutaj najpierwej podłogę podniesioną o kilka schodów nad poziom, a na podłodze rozbite sukno wzorzyste przez całą przestrzeń. Straciła przez to komnata na wysokości, ale jej atmosfera zyskała na cieple. Tak samo i ściany były zaopatrzone i obite kilimkiem do koła. Na ścianach broń rozmaita i zbroje: lśniący pancerz i polerowane koszulki, hełm z pióropuszem i kija, koncerze, czakany, szable bogate oprawne i kilka sztuk broni palnej w rozmaitym gatunku. W kącie łoże, żelazne wprawdzie, ale za to pięknym zasłane kobiercem, na nim skóry łosiowe, i miękkie chociaż także w skórę pozaszywane poduszki. Nad łożem ładny obrazek Matki Najświętszej, a obok stolik, na którym pełno błyszczących i paradnych gracików. — Nie brakło też na sprzętach cokolwiek lepszych, była więc niska sofa turecka i kilka krzesel poręczowych z oparciem — lecz przy tem wszystkim stał także i stół duży pod oknem, a na nim mapy porozwijane, zapisane papiery i stosy książek, pomiędzy któremi *Commentarii de bello gallico* i *De bello civili* Cezara, *Strategematicón* Frontyna, *Strategetikos* Onozandra w przekładzie niemieckim, a wreszcie Starowski, Siemienowicz, Tarno-

wski, Andrzej Max. Fredro, pierwsze trzymali miejsce. Widać było tedy, że chociaż właściciel tej komnaty umiał się zaopatrzyć w wygody ciała, dbał jednak także o wygodę w dostatku broni, a co największa, nie zapomniał o wygodzie moralnej.

Przy tym stole, pochylony nad książką, położoną na mapach, siedział Bierzyński.

Półczwarta roku już minęło od tego czasu, jak opuścił województwo sieradzkie, ale przez ten czas mało co się odmienił. Ta sama postać i twarz i młodość prawie ta sama — tylko, jak delikatna dawniej cera na twarzy ogorziała na słońcu i wietrze, jak jej wyraz, młodzieńczy jeszcze naówczas, zmęźniał teraz i jeszcze więcej spowaźniał, tak i cała postać jego shartowała się, spotęźniała o wiele. Takie same zmiany powinny były zajść w umyśle, takie same i w sercu — szkoła ta dzielna na kresach tureckich i ukraińskich nieraz woskowe lalki zamieniała w męże żelazne — w tej szkole wychowali się prawie wszyscy znamienitsi żołnierze ostatnich czasów — ale zmian w umyśle i sercu któż dojrzy okiem?

Teraz dopóki dzień był, siedział on nad książką i czytał pilnie — a czytając, często do mapy zaglądał, czasem nawet coś na boku notował — widać więc było, że musiał czytać z pożytkiem i jeszcze ciągle się kształcił. Lecz kiedy zmrok już zapadł w komnacie, wstał, zawołał swego nieodstępnego Pawelka, kazał ognia na kominie nanieść i usiadł w krześle przy ogniu. Wpatrzywszy się w żywo buchające płomienie, głowę opuścił na piersi i myślał.

I dzisiaj miał on zaprawdę już nad czem pomyśleć.

Od czasu jak porzucił swoje marzenia młodzieńcze, rzucił się w świat szeroki i całe nową począł karierę, minęło półczwarta roku. Półczwarta roku w życiu młodzieńca — to bardzo wiele. I cóż on przez ten czas uczynił? co uczynił dla pospolitego dobra? co zdobył dla siebie?... Czy położył już jakie rzeczywiste zasługi? czy sam się ulepszył i podniósł? czy obrał do tego drogę najlepszą? czy mógł obrać inną i jeszcze lepszą? — były to

wszystko pytania, nad którymi się zastanawiał, ważąc je w swoim sumieniu.

Wszakże odpowiedź na nie nie była tak jasną.

Nie było tu wprawdzie w tem wątpliwości, czyli i o ile był wysłużonym pospolitemu dobru; na tej drodze bowiem wypełnił on sumiennie to wszystko, co nakazywał mu obowiązek i do czego starezyły siły. Wszystko to, co młody namiestnik o nim powiedział, było prawdą rzetelną. W innym razie zresztą, nie byłby w tak młodym wieku dostał tak znacznego dowództwa. I o to także, czy siebie samego ulepszył i podniósł w tej służbie, nie obudzała się w nim żadna wątpliwość. — Pracował on bowiem i na tej drodze tak wiele, jak wiele środków do tego przynosiły mu jego położenie i towarzyszące jemu okoliczności. Jakoż istotnie, a mianowicie w zawodzie wojskowym, nie mało on tu skorzystał. Jeżeli bowiem na drodze teoretycznej tak dalece się usposobił, że potrafił wyrobić dwa bardzo ważne naówczas i tak umiejętnie wypracowane projekty, że nimi, jak mu o tem donoszono z Warszawy, zwrócił na siebie najznamienitszych osób rządowych uwagę; to na drodze praktycznej złożył tak dobitne swoich zdolności dowody, że niektórym z swych towarzyszy, zwłaszcza tym, którzy znali gruntownie całą trudność podjazdowej wojny, nawet nimi zaimponował. Zdolności te mogły nawet imponować istotnie, bo były osobliwe w swoim sposobie. W czemże tedy leżała ta osobliwość? Czy w rycerskiej dzielności? czy w szalonej odwadze? czy w gwałtowności napadów? pogardzie śmierci? rezygnacyi? niepowściągliwej żądzy niebezpieczeństw i śmiertelnych zapasów? Nie, weale. Wszystko to wprawdzie znachodziło się w potrzebie i w Bierzyńskim, ale znachodziło się to także i w innych, i tem trudno było zaimponować na Kresach. Ale Bierzyński posiadał właśnie to, czego nie widziano w żadnym z poprzedzających go wodzów, czego nie posiadał nikt z jego kolegów. A tymi przymiotami były krew właśnie zimna, wyrachowany rozum, i tak osobliwa przezorność, tak dowcipna zaradność, taka wreszcie bogata w zawsze skuteczne pomysły twórczość, że po każdym

ważniejszym marszu, po każdej bitwie, po każdym na nieprzyjaciół napadzie, żołnierze jego nie mogli wyjść z podziwienia. Bierzyński, zawiódłszy się na marzeniach i uczuciach swojego serca, powiedział był matce, że odtąd już tylko rozumu trzymać się będzie, i trzymał go się, i rozumem wojował. Rozumowi też miał on do zawdzięczenia wszystko, czego dotychczas dokazał, — rozumowi także miał do zawdzięczenia swoją wziętość i sławę, jaką w chorągwiach posiadał.

Jaka to była wziętość, zaledwie potrzebujemy nadmienić. Była ona jednak także osobliwą w swoim sposobie. Bo wziętość wodza u wojska, jak z rozmaitych wypływa źródeł, tak i sama jest rozmaita. Najpiękniejszą bez wątpienia jest taka, kiedy żołnierze uniesieni poletnym, zuchwałym a szczęśliwym geniuszem swego dowódcy, z ślepą do niego przywiązują się wiarą i ślepą przylgną miłością. Tym tajemniczym węzłem serdecznego natchnienia z nim powiązani, idą oni natenczas za nim wszędzie, gdziekolwiek bądź ich prowadzi, powierzają mu ślepo życie swoje i swoje własne sumienie, giną za niego z rozkoszą w bitwie i gotowi są zginąć w spokoju. Bierzyński nie miał ani tak ślepej wiary, ani tak gorącej miłości u swych towarzyszy, — może się nawet o to nie starał; — ale ugruntował w nich przekonanie, że jest wodzem zdolniejszym od wielu innych, że rzadko bije, ale zawsze zwycięża, że ma rozum, zręczność i szczęście, że dba o życie, zdrowie i wygodę żołnierza, — i na tem przekonaniu ugruntował swoje znaczenie. Taki zimny, roztropny, wyrachowany dowódca nie porywa zapalem, — pod jego komendą niemasz widoków wielkiej, świetnej, rozgłosnej sławy, bo na mierzonej drodze rzadko do innej jak do miernej dojść można nagrody; dlatego też jego żołnierze nie palali sercem ku niemu, nie unosili się nad nim z zapalem; — ale szanowali go wszyscy, czcili jego niezaprzeczone a w każdym razie pożyteczne dla siebie zdolności i dali mu za to wziętość pomiędzy sobą i sławę.

Czy taka wziętość i sława była już najwyższym szczytem moralnym, do jakiego się mógł ten szczęśliwy do-

wódca podnieść w swoich chorągwiach? czy nie piękniejszą byłaby taka wziętość, któraby niosła na swojej skroni jeszcze i wieniec koleżeńskiej miłości? czy nie wspanialszą byłaby ta sława, gdyby prócz świetnych blasków otaczała ją jeszcze i cudowna woń serdecznego uczucia? — jest to pytanie, nad którym warto było także się zastanowić.

Ale porucznik regimentarz nie zastanawiał się nigdy nad niem.

On wiedział o tem, że ma należyte znaczenie u swych żołnierzy i musi go mieć, bo na nie zasługuje rzetelnie, — wiedział dalej, że ma posłuch w chorągwiach i ma ufność u nich, bo rozumnie nimi zarządza, — wiedział wreszcie, że wyrobił w sobie pewne i niezawodne zdolności wojskowe i w potrzebie potrafi dać radę i daleko większej komendzie, — on wiedział o tem wszystkim i czuł to, i na tem było mu dosyć.

Jakoż nad tem nie zastanawiał się wcale. Myśląc dzisiaj nad swoim stanowiskiem, całe inne mu się nasuwało pytanie. Przez czas swojej służby w chorągwi, zrobił on wprawdzie wszystko, co było można i czego może nawet nikt inny nie byłby zrobił: ale cóż to było to wszystko? — Doprowadził do rangi porucznika, to bardzo ładnie, — dostał komendę główną w miejsce regimentarza, to jeszcze ładniej, — zarobił sobie na powszechną wziętość i sławę, to już nawet zaszczytnie; — ale czy odznaczył się jakimś tak świetnym czynem, jakiego pragnął? czy położył tak znamienite zasługi, żeby go te rzeczywiście do jakiegoś wyższego znaczenia podniosły? gdyby się dziś w Warszawie pokazał, czy odróżnionoby go jakimś wyraźnem odznaczeniem od innych? gdyby na wieś powrócił, czy nie byłby prawie takim samym podstolicem nowogrodzkiem, jakim był dawniej? Gdzież te wspaniałe czyny? te rozgłosne zasługi? te wyniosłe zaszczyty? którymi miał zadowolić pragnienie serca, wznieść się nad tłumy i rzucić do nóg tej, która była gwiazdą, oświecającą drogi jego żywota? czyliż jest dzisiaj to wszystko?...

Te pytania nadzwyczajnie żywo go zajmowały, wzruszały całą głębię jego umysłu i serca, napełniały go nie-

pokojem, czasem drżeniem wewnętrznym, czasem — zatrważającą goryczą. Kiedy indziej przy takich myślach nawet rozpaczliwe go obimały uczucia: zapadał wtedy w głęboką zadumę i drętwiał cały, jakby już nie mógł ani czuć, ani myśleć. Obudziwszy się z tego bolesnego letargu, podniósł głowę, patrzył nieruchomemi oczyma przed siebie i wtedy dwie łzy duże pokazywały się w jego oczach i spadały po opalonych policzkach...

Temu wszystkiemu jednak nie należy się dziwić. Od tego czasu bowiem, jak on swoje młodzieńcze marzenia porzucił i w świat poszedł, aby je trudem i pracą w rzeczywistość zamienić, minęło półzwarta roku. Półzwarta roku pracował, trudził się, cierpiał, tęsknił i bolał — a pomimo to wszystko, dzisiaj jeszcze stał nieledwie na tem samym miejscu, z którego wyszedł! — A tymczasem czas, wiek i młodość postępowały dalej. A w tym czasie i ludzie postępowali odwieczną swoich losów koleją, używając młodości i życia, pędząc dnie w spokoju i szczęściu, patrząc z upragnieniem, co im przyniesie dzień jutrzejszy a zapominając na zawsze, co wziął ze sobą wczorajszy! A przed tymi ludźmi leżała ziemia, zawsze młoda i piękna, pełna rozkoszy i wdzięku, ku ucieszeniu wszystkich pospołem. Dla nich też na tej ziemi świeciły jasne promienie słońca, dla nich wonne powietrze otaczało jej skronie, dla nich zielone trawy, cichym nęcące spokojem, dla nich woń kwiatów i uczuć wzajemnych, dla nich słodkie owoce drzew i miłości — lecz nie dla niego! Bo kiedy oni budzą się ze snu o świecie, ażeby ręką w rękę rozejść się po sadach bogatych, i ustroić się w kwiaty i wybrać co najśłodsze owoce: on, przestawszy noc całą w głodzie i chłodzie na czatach, zbiera swe rotty i ostrzy noże, aby je krwią ludzką napoić. A kiedy dla nich zmęczone całodziennym pochodem słońce chowa swe skwarne promienie za góry, otrzeźwiony wieczornym chłodem słowiczek w pieśń uderza w gęstwinie, a z pól dalekich spływają chóry dzwonek pasterskich i fletni: on słowika i fletnię głuszcy szorstkim szczęką oręża, a spragnioną w upałach ziemię zlewa krwią złodziejów i zbójców. Tak całe lato.

A w zimie, jak zwierz drapieżny chowa się do swojej nory i, jak zwierz drapieżny swoją nienasyconą paszczę karmi nagromadzonymi przez lato zasoby, tak i on swoje krwiożercze i łaknące sławy sumienie karmi wspomnieniem tych głów ludzkich, które pozmiatał, i tych dusz ludzkich, które przed Panem Bogiem postawił! — Piękne, zaprawdę, jest zatrudnienie żołnierza na Kresach! — I czyż zawsze tak będzie? Długoż jeszcze ma trwać ta służba, przeciwna sercu, marna zasługą i nie otwierająca żadnych obszerniejszych widoków? Długoż jeszcze te piękne, te wspaniałe chorągwie marnować będą swoją dzielność rycerską na ściganiu łotrujących włóczęgów? Nigdy nie wyruszą na pole wielkiej wojennej sławy, gdzie się ważą sprawy narodów, gdzie każda blizna wieńcem wawrzynu, śmierć najpiękniejszym zaszczytem a zwycięstwo stopniem do najpierwszych godności?...

— Oh! może nigdy! — odpowiedziało mu na to pytanie zbolale tęsknotą serce, i napełniało się niewymowną goryczą. Może nigdy! powtarzało z wątpliwym natchnionem przecuciem, — nieruchoma ta służba jeszcze lata trwać będzie. Po latach, po wielu, kiedy serce wyziębnie, twarz się zmarszczkami okryje i lśniąco włosy zimna opruszy siwizna, wróci rycerz ze służby na swoją skibę rodzinną... Wróci, aby obaczyć dom swój w ruinie, matkę w grobie, a ubóstwioną kochankę... ale któż to może odgadnąć?

Dlatego dzisiaj, o! jakaż krwawa go obejmuje tęsknota. Na tle, złożonem z łupieztw, grabieży i mordów, — pomiędzy łunami pożogi, krwią zakrzepłą na ziemi i trupami poległych, — w ramach, splecionych ze szubienic i palów, na których śmieją się śmiechem piekielnym powykrzywane twarze łotrów granicznych, — zwierciadlana pamięć jego rysuje mu jakby żywe precudownej piękności kraje rodzinne. I wysnuwają się przed nim długie zielone smugi ojczystej ziemi, na nich pyszne, srebrne i złote, łąnow zbożowych kobierce, w dali wzgórze łagodne, oplecione w ciemnych lasów gęstwinie, w białe wichry brzożowych gajów, w przezroczyście i jakby z pajęczyny tkane wikliny... Środkiem tej ziemi, tak uroczej i pięknej, że samo jej

wspomnienie oddech zamyka w piersiach, wije się wstęga niebieska szumiącej Warty — a nad jej brzegiem wisi stare, kasztelańskie zameczysko, — a przy zameczysku wisi stara żelazna galerya — a na galeryi błyszczy gwiazda tak jasna, tak czysta, tak biała, jak skrzydła najbielszych aniołów... Błyszczała niegdyś tak długo, tak do późna, tak wiernie... Czy jeszcze świeci? Czy zgasła? O! Boże!...

Młodzieniec westchnął z głębi piersi i zasunawszy się w krzesło, utonął w najmiłszych swemu sercu wspomnieniach, jak we śnie.

I musiał to być sen silny, głęboki, odejmujący wszelką pamięć i uczucie, — bo już noc ciemna zaległa niską komnatę, już ogień wygasł w kominie, już nawet żar spopieliał do szczytu, — a on jeszcze siedział nieruchomie w swem miejscu i myślał!

I byłby może tak w myślach przesiedział do rana...

Ale wtem drzwi się otworzyły na ścieżaj i wszedł do niego namiestnik jego chorągwi, a jego najlepszy i najbliższy przyjaciel.

— Czy śpisz już kochany Józefie? — rzekł wchodząc pan Albin — tak wcześnie?

— Nie, nie śpię — odpowiedział Bierzyński, budząc się z zamyslenia i poprawiając ogień w kominie.

— Przepraszam cię, że ci przeszkadzam...

— O! wcale nie! owszem, rad jestem, żeś przyszedł, jakoś dziwnie tęskno mi dzisiaj. — Hej! Pawełek! ognia na komin! światła na stolik!

— Kiedy tak — mówił dalej pan Albin — to i ja powiem, że owszem, bo właśnie przychodzę ci powiedzieć, że mamy gościa, który dziś przed wieczorem zawieruszył się we wsi, jest teraz u mnie, ale i tobie chce złożyć attencyę...

— Któż to taki?

— Zwie się Gostomski i ma być dworzaninem podczasgo; jeżeli tak jest, powinienby ci być znanym.

— Gostomski?... nie przypominam sobie.

— Nie przypominasz sobie? to tedy nie dobrze.

— A dlaczego?

— Bo tym sposobem ten szlachcic coraz więcej zaczyna mi być podejrzanym. Wiedz bowiem, że, jak powiada, jedzie po bakalie do Tureyi. Już to samo jest trochę niepodobnem a niepodobniejszym jeszcze dlatego, że tedy nie prowadzi trakt do żadnego ze znamienitych miasteczek. Jednakże jeszcze więcej podejrzanym czyni go to, że się niezmiernie ciekawie wypytuje o nasze chorągwie, ich położenie i nawet o ciebie. Z początku nie zwracałem na to uwagi, lecz kiedy mi wprost postawił pytanie, czy ty jesteś wierny królewski? zastanowiłem się nad tem i urwałem rozmowę.

— Cóż powiedziałeś?

— Zbyłem go niczem, ale mnie to zastanowiło. Dlatego przychodzę do ciebie, aby cię o tem uprzedzić. Ostrożność nie zawadzi, a kto wie, co to za figura?

— Cóż to być może za figura! — zawołał Bierzyński — nie rozumiem przecież, żeby nas chciano szpiegować, czy z tej strony, czy z owej. A w każdym razie przyprowadź go tutaj.

Po tych słowach namiestnik wyszedł. Bierzyński tymczasem chodził po komnacie z założonemi w tyle rękami, a Pawełek, postawiwszy świecę jarzącą na stole, rozdmuchiwał ogień w kominie.

Wkrótce wszakże Lenartowicz powrócił, przyprowadzając szlachcica ze sobą.

Bierzyński stał w tej chwili przy stole i patrzył wzrokiem surowym na przychodzących.

— Jmé pan Gostomski — rzekł namiestnik, wskazując ręką na gościa.

— Bardzo mi miło, widzieć waszmości u siebie — rzekł na to sucho Bierzyński — tem milej jeszcze, że ugościsz zarazem przyjaciela jw. Potockiego, do którego przyjaciół sam też się liczę. Więc waszmości nazwisko Gostomski?

— Jakiegokolwiek jest moje nazwisko — rzekł na to szlachcic z uśmiechem — mniejsza tu o to. Rzeczą jest pewną, że jadę po bakalie do Turek, lecz przytem i dla

pana porucznika przywożę bakalie; jednakże proszę, aże-
bym je mógł oddać na osobności...

To mówiąc, zaczął trzos odpasywać ze siebie. Bierzyński cofnął się nie bez zdziwienia o dwa kroki od niego, lecz zarazem rzekł do namiestnika:

— Proszę cię Albinie, wyjdź też na chwilę.

Namiestnik wyszedł. A tymczasem szlachcic podróżny dobył paczkę papierów z trzosa i wybrawszy z nich jeden, zapisany in folio, oddał go Bierzyńskiemu. Bierzyński przyjął papier od niego i zbliżywszy się do świecy, zaczął czytać, jak następuje:

„Michał hrabia na Krasnym Gutowie i Tuchowiczu Korwin Krasieński, podkomorzy księstwa mazowieckiego, ziemi rożańskiej, opinogórski starosta, rotmistrz pancerny wojska kor. konfederacyi marszałek...”

— Cóż to? — zawołał Bierzyński, przerywając nagle czytanie — cóż to? konfederacya?

— A konfederacya — odpowiedział, poprawiając wąsa Gostomski.

— Przez Pana Boga żywego! — zawołał niecierpliwie Bierzyński — mówże waś prędko, co to jest, gdzie to? w jakich zamiarach?

— Konfederacya zawiązała się w Barze i rozsyła swoje uniwersały, zapraszając wszystkie chorągwie do siebie. W jakich celach, uniwersał też najlepiej pana porucznika nauczy; ja z mojej strony, dodam tylko tyle, iż kto żyje, łączy się z nami. Bar w tej chwili już musi być pełen panów, szlachty i wojska, ja zaś jadę do Turcyi, nie po bakalie, ale także w tej sprawie...

— Dziwne, dziwne doprawdy to rzeczy! — rzekł wzruszony do głębi młodzieniec — ale proszę siadać tymczasem, niechno ja ten papier odczytam.

— Aby się lepiej czytało, dodam jeszcze panu porucznikowi i drugi. Jest to manifest jw. podczaszego z jego własnoręcznym podpisem, który też może lepiej będzie panu znajomy.

To mówiąc, podał mu drugi arkusz, złożony i zapisany podobnie, który też Bierzyński prawie już wyrwał mu

z ręki i zasiadłszy zaraz przy stole, zaczął czytać z uwagą te dokumenty.

Tymczasem kiedy Bierzyński z zażartą ciekawością zatapiał się w tych tajemniczych papierach, Lenartowicz wróciwszy do swojej izby, zastał swoich gości w głośniejszej rozmowie, w nieposkromionym nawet rozgwarze. Zjawienie się tego nieznanego szlachcica o takiej porze na granicy tureckiej, lubo z początku nie zwracało niczyjej uwagi na siebie, teraz zaczęło się stawać powodem do różnych najciekawszych domysłów. Ci tedy tak wróżyli, drudzy inaczej, wszyscy jednak dziwnym sposobem zgadzali się na to, że pod temi bakaliami musi się koniecznie kryć coś innego. Kiedy więc namiestnik wrócił do izby, prawie wszyscy go jednogłośnie opadli, zapytując:

— A co to?

— A cóżby to było? — odpowiedział przezorny namiestnik — gość jest i koniec. Zna porucznika z lat dawnych, więc został się z nim na poufnej gawędce.

— Ej! panie bracie! widzi mi się, że to tam co innego.

— A cóżby?

— A kto to wie? być może to, być może owo, być też może i szpieg, który przyszedł wybadać ducha chorągwi.

Tu zaczęły się na nowo sypać rozmaite domysły, dające jednak w najlepszym razie tylko dowód bujnej wyobraźni i niewyczerpanego dowcipu, którym zawsze słynęli tak nazwani Kresowi. Lenartowicz jednak tego wszystkiego nie słuchał, tylko przechodząc się po pod ścianą podłużnej izby, zdawał się szukać prawdy w swoich własnych domysłach.

Tak minęło pół godzinki, mało co więcej.

Poczem się drzwi otworzyły nagle i z trzaskiem — a w nich się zjawił całe niespodziewanie Bierzyński.

Na jego widok wszyscy z miejsc swych powstali — a on tymczasem, zmierzwszy wszystkich, raczej pełnemi zapału, niż groźnemi oczyma, zawołał głosem silnym, rozkazującym:

— Mości panowie! Proszę natychmiast pierwszą otrąbić pobudkę. Za trzy godziny żeby byli gotowi wszyscy i ze wszystkim! O północy ruszamy w marsz daleki i z granicy na zawsze!

Niespodziewany ten rozkaz wywarł osobliwe na wszystkich wrażenie.

W całym tak głośnem dopiero zgromadzeniu zaległa cisza jak w grobie.

A kiedy Bierzyński stał jeszcze we drzwiach przez oka mgnienie i mierzył przenikliwemi oczyma swoich kolegów, zapewne aby się przekonać, jaki wpływ wywarł na nich ten rozkaz, — jeden z towarzyszy, który najpierwszy ochłonął z wrażenia, odezwał się głosem nieśmiałym:

— Chryste Panie! będziemyż to drogę mieli w tej zawierusze po nocy...

Ale Bierzyński, który zdaje się, jakby umyślnie czekał na pierwszy objaw nieukontentowania, aby go w samym zarodzie utłumić, zawołał na to tak silnie, że martwe ściany zadrżały:

— Przez zawieruchy i burze! przez trzęsienia ziemi! przez potop świata! przez piekło same! — kiedy rozkaz, to naprzód!

To rzekłszy, zniknął.

Za nim, na znak dany przez niego, wyszedł także namiestnik.

A kiedy już nie było ani o co się wypytywać, ani nad czem naradzać: to i towarzysze w ten moment wypróżnili namiestnikowską izbę, rozbiegając się czempędzej po swoich kwaterach.

II.

Kilkanaście dni marszu zwykłego miał Bierzyński z swej legii zimowej do Baru, — ale zapał, energia, a nareszcie żądza, aby innych uprzedzić, zmniejszyły mu tę przestrzeń o wiele...

W tym marszu tak szybkim, grzęznąć w zaspach i to-

piąc się w błotach podolskich, zostawił on w drodze prawie wszystkie swoje tabory, kilkanaście koni a nawet i kilku ludzi utracił: ale za to już dnia piątego wieczorem pokazało mu się w oddali upragnione przez niego miasteczko zamezyste, które niegdyś przez królową Bonę odbudowane i na pamiątkę utraconego przez nią włoskiego księstwa Barem nazwane.

A kiedy noc pogodna, mieszając swoje mieniące się cienie ze srebrnymi blaskami księżyca, zaczęła okrywać ziemię, już cała chorągiew stała pod murami miasteczka, a jej porucznik, oddawszy dozór nad nią swemu namiestnikowi, zsiadał z konia przed Franciszkańskim klasztorem.

Ten klasztor obrała sobie konfederacka starszyna za tymczasową siedzibę, a jego obszerny refektarz na izbę obrad i urzędowych posłuchań.

Zameldowawszy się panom, jako porucznik, przybywający z całą chorągwią pancerną z nad granicy tureckiej, został bez zwłoki przyjęty.

Wkrótce też znalazł się w owym sławnym refektarzu klasztornym, do którego wszedłszy, zatrzymał się przy drzwiach, aby się mógł temu miejscu i zgromadzonemu w niem mężom przypatrzeć.

Ale na pierwszy rzut oka niewiele się dało obaczyć.

Była to bowiem sala duża, podłużna, o ciemnych, starością omszonych ścianach, a u jej stropu chwiał się na potrójnym łańcuszku słaby kościelny kaganiec. Był to kaganiec, który zwyczajnie płonął przed obrazem Matki Boskiej cudownej.

Ale przy blado-czerwonawem świetle tego kagańca, cała ta przestrzeń obszerna, w pół-tajemniczym niknęła zmroku. Jakoż było tylko kilka widać kilkunastu poważnych mężów rozmaitej postaci i stroju, z których jedni przechodzili się wzdłuż po komnacie, drudzy siedzieli w krzesłach, trzeci zaś zgromadzili się w głębokich framugach okien, gwarząc ze sobą i radząc. Ci ostatni nikt nie tak dalece w migocących słabego światła odbłyśkach, że wyglądali tylko jak cienie, zaledwie widne dla oka, dopełniające się

w wyobraźni... Wszakże za to przy końcu wielkiego stołu, który był wyciągnięty przy ścianie podłużnej, paliła się świeca jarząca, a przy niej widać było postać jakiegoś mnicha, który pochyłony nad wielką księgą, cały był zatopiony w czytaniu.

Bierzyński z takim zajęciem wpatrzył się w tego księdza, że przez chwilę także nie wkoło siebie nie widział, — kiedy wtem stanął przed nim jakiś starzec poważny, z białą jak mleko brodą, i jakby znajomym jemu głosem zawołał:

— Bierzyński?! a już ci on, nie kto inny. Cóż u Pana Boga żywego! skądże się dzisiaj tu bierzesz?

Porucznik pancерnej chorągwi, obudzony tym głosem, ocknął się nagle, — ale jakież było jego zdziwienie, kiedy przemawiający do niego nie był kto inny, jak jego dawny opiekun i drugi ojciec, stojący już od lat kilku nad grobem, stary kasztelan sieradzki.

Ale staruszek ten był dzisiaj tak wyprostowany i żwawy, tak się odświeżył i tak we wszystkim odmłodził, że gdyby nie ta biała broda i ten głos tak dobrze jemu znajomy, to byłby go Bierzyński, nawet wcale nie poznał.

Czem też do najwyższego stopnia zdziwiony, zamiast odpowiedzieć na zapytanie, zawołał do niego:

— Jw. panie! za ledwie oczom mym wierzę! Waszmość panaż-to widzę na czele tak niebezpiecznej sprawy w tym wieku?

— Mości panie! — rzekł na to kasztelan — nie dziwuj się temu. Nie muszę być jeszcze tak starym, kiedy mnie tutaj widzisz, a noś mnie miał za takiego. Ale to potem o tem. Powiedzże mi najpierw czy był Jawnuta u ciebie? czyś go gdzie spotkał na drodze? bom go tam z uniwersalem wyprawił do ciebie, przyczem też były i listy.

— Jako żyw, nie widziałem Jawnuty.

— Co się to stało? — rzekł zamyślając się nad tem staruszek, lecz dodał prędko — ale nie pewnie, boć to nawet jeszcze za ledwie na miejsce mógł zajechać. Więc jakżeż tedy? ruszyłeś tak własnym instynktem?

— Nie zupełnie instynktem — odpowiedział Bierzyń-

ski — bo zajechał tam do mnie imć pan Gostomski, który się tamtędy przebierał do turek, a miał też także i parę uniwersalów ze sobą.

— Ach! Gostomski, Gostomski! — zawołał staruszek z uśmiechem — toż to jest wcale kto inny. Wysłaliśmy go do Turceczyny. Ale jakkolwiek bądź, zawsze zrobiłeś najlepiej, że przybyłeś bez zwłoki. Tu niema czasu do długich namysłów, a i pomoc też także nam niepomalu potrzebna. Nie myśl jednak, abyśmy byli sami. Mamy już w samym Barze blisko dziesięć tysięcy, między tymi milicje pana podczaszego litewskiego, coś księcia wojewody braclawskiego, coś od pana pisarza koronnego, sześć chorągwi pancernych całkowicie okrytych, pułk królowej Jadwigi a i szlachty też także niemało. Oprócz tego trzy tysiące tatarów nocuje stąd o dwie mile, owo posel od hana Kerym-Giereja, owo drugi od baszy Bendera, a i turek już do granic się zbliża, jako o tem nieodmienne są wieści.

Spojrzał tedy Bierzyński po sali, jakoż w samej rzeczy w wielkim krześle przy stole siedział znaczny tatarzyn, z którym ks. biskup Kamieniecki rozmawiał z zajęciem; z drugim takim podobnym pan Michał Krasiński przechodził się powolnym krokiem po sali. Wnoszono też coraz więcej świeateł do refektarza, przy których widać było teraz wyraźniej i wszystkie inne tu zgromadzone znakomite osoby, pomiędzy którymi wszakże najwidoczniejszym był znowu pan Jacek Kochanowski, stojący z szlachtą przy stole założonym mapami i żwawą z nimi zajęty dysputą.

— Widzisz tedy — mówił dalej, wskazawszy mu te osoby kasztelan — że to sprawa nie lekka, do czego jeszcze i to ci dodam, że lada dzień spodziewamy się księcia Karola Radziwiłła z całym wojskiem swoim, którego ma mieć na dziewięć tysięcy; przyprowadzi też z sobą swoich przyjaciół. Dlatego i z tobą, chociażbyś się i tutaj nam przydał, myślę jednak inaczej. Powiedzże mi kogóż przyprowadziłeś ze sobą?

— Przeprowadziłem całą moją chorągiew — odpowiedział Bierzyński.

— Aleśto podobno miał tam tymczasową komendę nad drugimi chorągwiami i nad garstką kwarcianych?

To powiedziałwszy kasztelan, milczał przez chwilę z założonemi przed sobą rękami.

Ale potem się ocknął i kładąc rękę na Bierzyńskiego ramieniu, rzekł do niego:

— Idźże teraz na chwilę i rozlokuj twych ludzi. Każ sobie mego wojskiego odszukać, to on ci pomoże. A nie bawiąc, nazad, tutaj powracaj i czekaj u wojskiego, póki cię nie zawezwę. Ja zaś interim się obradzę i jeszcze dzisiaj ci dam rezolucję.

— Panie kasztelanie! — rzekł na to Bierzyński — jakkolwiek otrzymam rozkaz, spełnię go święcie; ale niewolnoż mi się naprzód zapytać, co panowie myślicie ze mną?

— Bądźno cierpliwy — odpowiedział kasztelan — bo ja jeszcze sam nie wiem, jeszcze to pendet. Ale w każdym razie dobrze myślimy z tobą. Do widzenia za maleńką godzinkę.

Po tych słowach Bierzyński wyszedł z konfederackiej komnaty.

Ale zaledwie co drzwi zamknąwszy za sobą, znalazł się w korytarzu, uczuł się pochwyconym przez kogoś w ramiona i przyciśnionym do piersi, czem uściskujący go niewielką musiał sobie sprawić przyjemność, bo porucznik chorągwi pancерnej miał stalowy pancерz na piersi i skórę tygrysią, przewieszoną przez plecy, a na srebrne łapy z ostrymi pazurami zapiętą pod szyją. Wszystko to gniotło zapewne niemilosiernie, ale pomimo to nieznanomy przyjaciel przycisnął go z całą siłą do siebie i nie zastraszony pancерzem i pazurami, trzymając go ciągle przy sobie, wołał do niego:

— Ach! kochany panie Józefie! niechże cię serdecznie uściskam! Bodaj cię Pan Bóg pobłogosławił za to, że cię przecie raz widzę!

Ledwie się wyrwał z tych objęć Bierzyński; ale się

wyrwał na koniec, a odskoczywszy na bok, spojrział i poznał natychmiast... Był to poczciwy, stary, wojski sieradzki.

Imię pan wojski sieradzki, od niepamiętnych czasów domownik i *alter ego* kasztelana, był rzeczywiście serdecznym przyjacielem pana Józefa, chociaż o tem niewiele mówił. My o tem wiemy a przynajmniej powinniśmy wiedzieć z jego rozmowy z Oskierką, której byliśmy świadkami przed czterema laty: ale Bierzyński o tem nie wiedział, a choćby nawet był wiedział, byłby już może o tej niewiele ważnej rzeczy zapomniał. Dlatego teraz tak gwałtownem wylaniem afektu niepomału się zdziwił i zawołał więcej z zdziwieniem niżeli z uczuciem:

— A! pan wojski dobrodzieju!

To mówiąc, podał mu rękę, ale wojski jeszcze tylko z tym większym zapałem ją pochwycił, wołając zawsze od serca:

— Drogi, kochany panie Józefie! wszakże to kopa lat!... jakżeż serdecznie się cieszę, że pana widzę! A jak mi zmęźniał, spotęźniał, ba! i nie darmo! porucznik chorągwi, regimentarz już prawie! Jakżeż to wszyscy twoi przyjaciele się cieszą! Ale sza — dodał półgłosem — jeszcze to wszystko nie przeciwko temu, co teraz dopiero będzie. Umieję panie bracie korzystać, bo w tem sęk... ale sza!

Bierzyński patrzył na niego, sam nie wiedząc, jakimi oczyma. Na jego twarzy malował się to uśmiech dobrodusznego, to wdzięczność dla poczciwego człeka, ale przy tem i zamyślenie cokolwiek. Lotna wyobraźnia młodzieńca, lubo złotym olbrzymich widoków łańcuchem przykuta do obecnej chwili i miejsca, musiała przecież skoczyć w tem okamgnieniu w starożytny zamek nad Wartę... Jakoż w tem zamyśleniu chwilowem zapytał:

— Wszyscy przyjaciele się cieszą?

— Ale wszyscy, wszyscy, a przyjaciółki najbardziej... cha, cha, cha! — zaśmiał się wojski, trzęsąc ręką młodzieńca; ale zaraz brwi zmarszczył i rzekł: — ale sza, proszę ciebie, boć to przecie masz rozum i wiesz, kędy droga. Ale i ja mam rozum, i już więcej ani słowa nie powiem.

Bierzyński słuchał w zamyśleniu, choć niewiele rozumiał. Ale wojski tymczasem zapytał:

— No, a cóż tam kasztelan? czy powiedział już panu porucznikowi, o co mu chodzi?

— Nie, nie nie powiedział. Albo cóż?

— Słuchajże mnie, to powiem na ucho. — Idzie o to, aby wysłać stąd kogoś w Sieradzkie... o! A między nami mówiąc, jeszcze do dziś dnia nie mają kogo...

— Słuchaj waść! — przerwał prędko Bierzyński — tu chodzi o to, aby tam konfederację zawiązać? co? czy już posłano tam manifesty?

— Ale nie jeszcze.

— Nie jeszcze! Tak to sobie myślałem. Ważna to sprawa. Ależ przepraszam waści, bo ja się tu zagaduję a tam moja chorągiew Bóg wie gdzie... Pokażże mi waść prędko, kędy mieszkanie, ja pobiegnię obaczyć moją chorągiew i zaraz wracam do waści...

To mówiąc, porwał wojskiego pod ramię i wybiegł z nim z korytarza.

Ale zaledwie wybiegł przed klasztor, kiedy go znów ktoś w biegu pochwycił, wołając:

— Panie Józefie!

Był to Lenartowicz, który niecierpliwym wiadomości dokładnej o całej sprawie, jak też i o przeznaczeniu chorągwi, przybiegł pod klasztor i tu na Bierzyńskiego czekał.

Poznawszy go Bierzyński, porzucił zaraz wojskiego, a jego porwawszy za rękę, spytał:

— A gdzie chorągiew?

— Wpuszczono nas do miasta i stoimy tymczasem na rynku.

— Słuchaj no mnie! przepraszam waść, panie wojski, zaraz wrócę -- rzekł do obydwóch po kolei Bierzyński i wziął zaraz Lenartowicza ze sobą, odprowadzając go kilkanaście kroków na stronę. Tam stanawszy pod zasłoną klasztornych murów i całkiem już ciemnej nocy, ścisnął go silnie za rękę i rzekł do niego te słowa:

— Słuchaj Albinie! Jesteśmy w chwili tak ważnej,

w jakiej jeszcze żaden z nas nie był. Wielkie rzeczy się poczynają na świecie i wielkie drogi się nam otwierają. Na tych drogach czekają nas krwawe trudy, ciężkie znoje i poświęcenia, za to wszystko wieńce wawrzynu, ale przy wawrzynach można mieć jeszcze coś więcej! Ale cicho! — Proszę cię teraz, biegnij w lot do chorągwi. Tak jak stoi na rynku, niech na rynku popasie. Ani krokiem nie daj się ruszyć nikomu! Rozumiesz mnie? ani krokiem nikomu! Szablę do ręki, przed front i sam pilnuj. Taki jest rozkaz. Nieposłusznemu kulą w łeb na miejscu; ja rozkazuję, ja za to odpowiem. Idź, pilnuj, popasaj w lot i oczekuj mnie lada chwila.

— Biegnę w ten moment — odpowiedział namiestnik, a chwiejąc się jeszcze na miejscu, dodał: — ale zmiłuj się, bo ja doprawdy nie wiem, co myślisz?...

— Proszę cię, tylko mnie to pozostaw. — Czy mi nie ufasz?

— Ufam... całkowicie ci ufam, bo wierzę, że wielka gwiazda świeci na twoich drogach. Oddaję się więc całkiem twoim zamiarom... i już chyba tylko to dodam, *et si eris in coelo, reminiscere mei*.

— Pamiętać będę wszędzie i zawsze. Tylko proszę cię, rozkaz mój spełnić co do joty.

— Ani punkcik nie chybi — zawołał młody namiestnik i pobiegł spieszenie do swojej chorągwi.

Bierzyński powrócił do wojskiego i szedł z nim zaraz do kasztelańskiej kwatery.

Przez drogę wojski ciągle coś gadał, ale jego pancerny towarzysz zaledwie słuchał. Był on w tej chwili tak zajęty swoimi własnymi myślami, że go nie obcego zajmować nie mogło. Nawet wiadomości z miejsc jego rodzinnych, z macierzyńskiego domu, z tak mu drogiego zamku nad Wartą, których mógł teraz się nasłuchać do woli, zdawały mu się całkiem obojętne w tej chwili...

Weszli nareszcie napowrót do klasztoru, gdzie go wojski wprowadził do jednej celi, będącej tymczasowem kasztelana mieszkaniem. Tam na dużym kominie gorzał ogień wesoły, na stole stało wino, wędliny, pieczywa, —

Bierzyński był wygłodzony jak kruk na pustyni, przemrożony do kości i zmęczony pięciodniową podróżą do tego stopnia, że w innym razie byłby się pewnie nie mógł utrzymać na nogach, — ale w tej chwili nie czuł on głodu zupełnie, i tyle ciepła miał w sobie, że twarz jego była rumianą jak w tańcu, i tyle miał jeszcze siły i życia, że przechodząc się po celi, stapał tak raźnie, jakby deflował w paradzie przed królem, a jego krokom żelaznym odpowiadała kamienna posadzka jakby szczękiem oręża.

Tak chodząc, myślał ciągle: a stary wojski gaduła ciągle coś gadał.

— Ależ panie Józefie! — zawrótł nareszcie starzec — czy nie weźmiesz się już nareszcie do jada i wina? czyś na Turka przeszedł na tej bisurmańskiej granicy? Ważne to sprawy, wielkie rzeczy, niema co mówić; jakoż nie dziwię się temu wcale, żeś się o nich tak srodze zamyślił; ależ pamiętaj o tem, że *qui non edit, non bibit, neque vivere potest*, jak to uczono w szkole, a już do sprawy nie wart za hetkę pętelkę. Mojem zdaniem, im ważniejsza jest sprawa, tem ci lepiej trza podejść, a i podpisać nie szkodzi, co też żadnej nie psuje fantazyi, ano jej owszem dodaje. Myślisz o ważnych rzeczach to prawda, aleś: „*Pijali przedtem i filozofowie*“, jako mówi poeta, pijali i najwięksi hetmani, a jeno przez to jeszcze lepszy miewali rozum i jeszcze lepiej bijali. Dlatego w ręce wasze, dziś panie poruczniku, jutro już może regimentarzu, a na czas, któż wie, czy nie hetmanie! Boć i to dla nas! Cha, cha, cha! a co, panie bracie! czy trafiłem, w co trzeba? Bo ja to mówię i mówię z serca, że jeno głowę trzymaj na karku a w prawicy szabliśko, to teraz ci jeno żać. Zasiano już dawno, Pan Bóg zarodził, pszeniczka już dojrzała; jenoż więc zbierać a dobrze, bo w tem cała sztuka. Ale ja się o to nie boję! W ręce wasze!

Bierzyński stał w tej chwili na środku komnaty i patrzył na wojskiego z dobrodusznym uśmiechem. Lecz był to uśmiech tak mimowolny, tak błady i nie mający żadnego związku z pogodą jego duszy i serca w tej chwili,

jak kiedy na dniu pochmurnym zachodzące słońce czasem się uśmiechnie do ziemi, chociaż wlecze za sobą najstraszniejsze burze i gromy. Pocziwy starzec otwierał mu serce swoje, a młodzieniec mu za to dziękował uśmiechem, chociaż jego serce drżało od wewnętrznego wzruszenia, a rozum się silił, aby zachować całą moc i przytomność.

Ocknął się wreszcie i wychylił jednym tchem całą szklanicę; chciał jeść, ale potrawy zamarzały mu w ustach. Rzucił więc nóż i widelec i znowu się zaczął przechadzać w milezeniu po celi...

— Panie wojski! — zawołał wreszcie, stając na środku — czy powiadał waści kasztelan wyraźnie, że mnie chce wysłać w sieradzkie?

— Ciągle tu o tem mówimy i przecież dla tego wysłaliśmy Jawnutę do pana.

— I ma mnie wysłać?...

— Z uniwersałem i manifestami, aby się tam także związała konfederacya...

— I powiadał coś o tem kasztelan, jak to ma być uczyniono?

— I o tem się też mówiło, aleś to jeszcze różnie. Bo tu rzecz główna na tem, kto ma być obwołany marszałkiem? Ja daję kreskę za Gałęckim, ale kasztelan ani sobie da mówić o tem.

— I ma racyę.

— On tedy się chwieje między Błęszczyńskim, Ponińskim i Żaluskowskim, ale podobno tam starszyzna chce kogoś z panów.

— Cha, cha, cha! — zaśmiał się na to Bierzyński, lecz zaraz umilkł.

— A czego się waszmość śmiejesz? — zapytał wojski.

— Nic... tak... jakaś śmieszna myśl przeleciała koło mnie. Ale to nie należy do rzeczy.

To mówiąc, rzucił się w krzesło naprzeciwko wojskiego i mówił dalej:

— Z tej służby kresowej ma się też różne krotokwilne wspomnienia. Ale co tam! Powiedzże mi waś

proszę, co się tam dzieje w naszym kochanem sieradzkim? Moją matkę dawno widziałeś?

— Ot! i niedawno. Tuż przed samym wyjazdem.

— Zdrowa jest? dobrze jej się powodzi? a jak gospodarstwo w Gozdawce?

— Wszystko dobrze jest chwała Bogu. — Pani podstolina zdrowa, dobrze jej się powodzi, a i z gospodarstwem jest nieźle.

— A jakże u was na zamku?

— U nas teraz trochę odmiennie. Pani kasztelanowa umarła...

— O tem wiem. A kasztelanika?

— Kasztelanika, panie Józefie — odpowiedział wojski z wybitnym wyrazem zadowolenia — kasztelanika jak słońce! Ani to równać do tego, co było wtedy, kiedyś od nas odjeżdżał. Był to pierwaj fijołek, teraz... no! ale obaczysz! A panie bracie! a co za rozum! Toż to ona teraz wszystkim rządzi sama jak król, ona i nas wyprawila w tę podróż, ba! lepiej! bo i sama chciała jechać z staruszkami! Były też o to dosyć głośne dysputy. Perswadowaliśmy wszyscy, ale nic z tego. Aż sam kasztelan, jako to zawsze mu nie braknie dowcipu, gdy trzeba, poszedł do arsenału i wyniósł koncerz potężny i podając go jej, rzekł do niej: — Kiedy na wojnę, toż z bronią, bo warkoczem wojować nie można. Weźże więc ten koncerz do ręki, a daj nim młynka, a jeśli go dasz, jak potrzeba, tedy co robić! wezmę już aśkę ze sobą. — Bierze tedy ten koncerz, podniosła go trochę od ziemi, chce wyżej, nie można, aż tu niebawem brzdęk! szablisko na ziemię. W płacz tedy: że ją tak wypieszczono — a my w śmiech! Bo i do czegoż też to podobne, żeby Rzeczpospolita zastawiała się babami!

— I śmieliście się? — zapytał słuchający w zamyśleniu młodzieniec.

— A jużci pewnie! cha, cha, cha! panie bracie! bo i jakżeż się nie śmiać? Właśnie to tak, jakby mąż się ubrał w podwikę i siadł do kądzieli! Cha, cha, cha! anozby to już i puknąć można natenczas!

Bierzyński na to znów się uśmiechnął owym bladym uśmiechem i wstając z miejsca, zawołał:

— Zacińcie ludzie, i poceziwi, i czyści; tylko żebyście nie tak nisko chodzili przy ziemi!

— Ej! panie bracie! — rzekł na to wojski po chwili, więcej seryo, niż żartem — każdy się nosi tak wysoko, jak mu nogi starczą ku temu. Winaż to czyja, że go Pan Bóg ukroił krótko? A kiedy chcesz, to i to powiem, jak umiem: że czasem to i nieźle jest, trzymać się blisko przy matce-ziemi. Bo przy niej to się człowiek jako tako przez to życie prześliznie, cichuteńko, skromniutko, ale czysto, ale cało: a kiedy już głowę znacznie podniosie do góry, to już ją tylko coraz wyżej podnosi, a tam w górze już nie tak! Bo tam można i zmoknąć w chmurach, i osmalić się blisko słońca, i olśnąć od błyskawicy, a i o guza nietrudno, bo tam latają gromy! A nareszcie mój panie młody, czy ty tą idziesz drogą, czy inną, wyjdzie to w końcu na jedno. Boć wszyscy wychodzimy z kolebki, ten idzie pieszo, tamten jedzie karoć, ten się czołga przy ziemi, tamten leci powietrzem — ale czy zajdzie który gdzieindziej, jak do grobu? he?... Anoz tak myślę, że nie o to nam chodzić powinno, *kiedy* kto idzie, jeno *jak* idzie; i to jest rzecz! Reszta jest *vanitas vanitatum*, mów ty sobie co chcesz!

Młodzieniec słuchał z rozstargnieniem tej staro-szlacheckiej filozofii, która zaprawdę godną była głębszego zastanowienia — ale wtem wbiegł kozak do celi, zapraszając Bierzyńskiego do panów.

Zerwał się zaraz młodzieniec i chwytając wojskiego za rękę, zawołał do niego:

— Bądźże mi zdrów, mój stary wojski! Może się obaczmy kiedy, może nie!

— Ej! obaczmy się jeszcze — odpowiedział pospiesnie starzec — daj jeno Boże! aby w zdrowiu i szczęściu. Ale ja się o ciebie nie boję...

— I ja się także nie bardzo boję, a tem mniej teraz! — dodał do tego Bierzyński i przycisnąwszy za-
cienego starca do piersi, wybiegł czempredzej do refektarza.

A kiedy teraz wszedł do sali obszernej, już się z niej byli prawie wszyscy porozchodzili i zostali tylko, prócz kasztelana, ks. biskup kamieniecki, jego brat podkomorzy rożański, starosta warecki i ów ksiądz karmelita siedział po staremu nad księgą.

Tedy zaraz obstąpili go wszyscy, a kasztelan tak zaczął:

— Mój Bierzyński kochany, słuchajże mnie z uwagą, bo w krótkich słowach wielkie ci rzeczy otworzę. Owóż tedy tu stanęło pomiędzy nami, że za moim powodem chcemy ci ważną sprawę powierzyć, ano jeszcze się nad tem zastanawiamy, czy ci możemy tak zaufać, jak tego chcemy...

— Czy *mnie* można zaufać!? — rzekł na to młodzieniec głosem przenikającym, cofając się o krok cały od starca.

Słowa te zrobiły pewne wrażenie, bo i były powiedziane dobitnie, i Bierzyński, wymawiając je, dziwnie surowo wyglądał. Trwała więc chwilka milczenia. Po niej dopiero kasztelan obrócił się do ks. biskupa i rzekł:

— Znałem tego człowieka dzieckiem, niedawno jeszcze pomnę go słabym wyrostkiem, a noż i dziś jeszcze mi się widzi tak samo. — Aleć to podobno jużby czas o tem zapomnieć!

— Panie kasztelanie! — rzekł na to młodzieniec z powagą — zaprawdę powiadam panu, że już dawno był czas o mojem pacholeństwie zapomnieć.

A na to się odezwał ks. biskup.

— Panie bracie! nie miejże, jeśli łaska żalu o to do starca, że mu się mężowie dojrżeli czasem młodzieńcami wydają, a młodzieńcy częstokroć dziećmi. Taż to jest kolej naszego życia. Nie myśl też także, żebyśmy się wiele zastanawiali nad zaufaniem, którem cię mamy obdarzyć. Bo najpierwej, wiemy my dobrze, że nowej sprawie nowych potrzeba ludzi i tacy są nam najmiłsi: a powtóre, toż to przecie się znamy! Kto, jak waś, przyjechawszy do Warszawy natenczas, kiedy dosyć było dwa komplementy nowemu królowi powiedzieć, aby znaczny urząd pochwy-

cić, przecie się w komplementy nie wdawał, jeno siadł na koń, oręż wziął w rękę i poszedł, gdzie najtwardsza czekała go służba: ten zapewne lepiej od wszystkich na zaufanie zasłużył i godzien go jest bez wątpienia. Jakoż jeżeli się teraz zastanawiamy, to zaprawdę nie nad tem czyli cię mamy zaufaniem obdarzyć, jeno raczej dlatego, że cię znamy tylko walecznym żołnierzem, tylko zdolnym dowódcą, a tu trza nietylko subtelnego rozumu, nietylko zręczności, ale także i politycznej wymowy. Bo w województwie sieradzkim, tak jak i wszędzie, zacne są serca, poczciwe chęci, ale ażeby tych chęci zażyć, aby je w czyny zamienić, trzeba je umieć do tego nakłonić...

— Mości księżę biskupie — odpowiedział na to młodzieniec — jakie są moje zdolności, jaka zręczność, jaka wymowa, jeszcze to o tem świat nie wie i ja sam nawet nie wiem, bom też nie miał takiego pola, abym się o tem mógł przekonać: ale co do tej misyi to tak rozumiem, że ją spełnić jak trzeba, a może nawet lepiej niż każdy inny, bom też tam najlepiej znamy.

— Tak też i my rozumiemy — zabrał głos znowu kasztelan — i dlatego padł nasz wybór na ciebie. Słuchajże nas tedy z uwagą. Otóż wysyłamy ciebie w województwo sieradzkie i dajemy niniejszem moc i ordynans zawiązania tam konfederacyi w jednozgodnych z naszemi intencyach. O co chodzi, nie potrzeba ci mówić: czytałeś nasze uniwersały i manifesty. Podług nich więc się sprawuj — a zresztą porucz się Temu, który jest w niebie i przyjąwszy serca nasze w ofierze, i nas i ciebie nie wypuści z swojej przenaświętszej opieki.

A to mówiąc staruszek, podniesioną miał rękę do góry i dziwnie przy tem pięknie i wspaniale wyglądał. Potem mu oddał papiery, mówiąc dalej:

— Tu zaś masz wasze uniwersały, które zabierzesz ze sobą. Są tam i *Credenciales* na twoje imię wydane, dla tem większej wiarogodności. Tedy jak tylko przyjedziesz, zaraz szlachtę zgromadzić, bodajby i u mnie, po mszy świętej natychmiast spisać, manifest zrobić, dać do aktów do grodu, bo to rzecz najważniejsza. Potem zaś na koń

i w pole. Jak to masz zrobić, co do szczegółów, już ci na to nie dajemy recepty; od tego własny dowcip i serce. Ani też naznaczamy, kto ma być marszałkiem, régimentarzem i inną starszyzną. Deliberowaliśmy nad tem, aleśmy tak postanowili nakoniec, żeby nie narzucać nikogo. Niechaj ten będzie, kogo sami wybiorą. Waszmości też zalecamy szczególnie, abyś im w tem jak najswobodniejsze pole zostawił, a osobliwie ażebyś przy zwoływaniu szlachty nikogo nie mijał: mianowicie zaś nie zapomnieć podkomorzego, który tam po śmierci wojewody a po mnie i urzędem i wiekiem najstarszy, toż Gałęckiego, który wielkie ma zachowanie, nie mniej Szembeków, Ponińskich, jakoteż i Biernackich, bo to wszystko pierwsze są głowy i tak mi się zdaje, że tam między nich padnie i marszałkostwo i regimentarstwo. Temu więc, czy owemu z szlachejnych i zacnych, już tam jak możesz pomagaj — żeby tylko żadnej przeszkody nie było i żeby się to stało jak najprędzej. Rób tedy jak możesz najlepiej, nie oszczędzaj ni trudu, ni pracy. Pana Boga na pomoc — a jestem pewny, że jakoś to będzie!

Bierzyński słuchał cierpliwie i milczał. Na to zaś rzekł poważnie starosta warecki:

— A daj też tam waszmość znać także o tem i do ziemi wieluńskiej, bo to jest jakby jedno z sieradzkim i nikogo też tam nie mamy, chyba że ksiązę Marcin, którego jako przyjaciela naszego zalecamy waszmości, od siebie tam kogo wyprawi. Ale na to się spuszczać nie godzi, więc dać wiedzieć mi zaraz. Uniwersały tam posłać, albo i samemu dobiegnąć..

— A kiedyby był jaki spór przy obiorze marszałka w sieradzkim — dodał do tego podkomorzy Rożański — i dwóch pretendentów się do tego znalazło, to drugiego wielunianom podsunąć, jako każe polityka, żeby każdemu uczynić zadość a nie mnożyć niechętnych.

Tu znów zabrał żarliwy głos biskup Kamieniecki, mówiąc dalej:

— Tylko już zresztą przy samem dziele na żadną politykę się waść nie oglądaj, bo tu już kłamka zapadła

i żadnym przezornościom nie pora. Jest to dzieło otwarte, za kilka miesięcy będzie wiadome całemu światu.

Potem już wszyscy Bierzyńskiego żegnali, życząc mu jak najlepszych sukcesów.

Ale kasztelan jeszcze go nie żegnał, tylko wyszedłszy z nim razem, zaprowadził do swojej kwatery. Tam jeszcze pisał kartkę do córki i do Gałęckiego karteczkę, któremu na czas swej niebytności opiekę nad swoim domem zostawił; ale to wszystko uskutecznił w momencie i oddając młodzieńcowi te pisma, tak mówił:

— Maszże tu, mój kochany Józefie, kartkę do mojej córki, do której piszę, ażeby w razie potrzeby przysłała tamtejszej konfederacyi w pomoc ze sukrem pieniędzy. Jest tam w mojej szkatule złota cokolwiek, jest też parę baryłek srebra; wiele będzie potrzeba, ona szczerze udzieli. Przytem także broń zabrać wszystką z mego arsenalik, prochy, kule i działka, konie i ludzi, chociażby wszystkich, o czem piszę do Gałęckiego, a oraz proszę, ażeby z całych dóbr moich wybrał czeladź co lepszą, po jednym z dziesięciu dymów, jako na pospolite ruszenie. Zdarzy się który ochotnik, nie odrzucać; im więcej, tem lepiej. Ale proszę z temi kartkami ostrożnie, żeby się nie dostały komu takiemu w ręce, do którego to nie należy; żeby też za to *in adversis* jakiej pomsty nie było. O mnie tu nie chodzi, ale mam w tym domu dziecko jedyne!..

— Panie kasztelanie! — zawołał na to młodzieniec z zapalem — chyba więc razem z życiem by mi wydarto te kartki!

— No! tak się spodziewam — odpowiedział starszek, kładąc rękę na jego ramieniu, i dlatego jestem spokojny. — No! więc teraz już by się nam jeno pożegnać. Ale nim się pożegnaj, pragnę jeszcze zapytać: cóż myślisz z sobą?

— Z sobą? — odpowiedział Bierzyński — opuszczając oczy ku ziemi — będę służył tej sprawie wedle sił moich.

— Tak!.. — zawtórzył kasztelan — ale to, widzisz mnie, panie bracie.. ja to już niby stary, ale przeto ro-

zumiem ja dobrze, co czuje młody. U młodych a mających krew ciepłą i jaką taką głowę na karku, wielkie bywają ambicje. Większe jeszcze daleko tam, gdzie już mają się na czem opierać. Ty, mój Józefie, jesteś już poręcznikiem chorągwi, zaszczyt to nie mało znaczący, ba! zastępowałeś nawet regimentarza, jeszcze to więcej: a my, wyprawiając ciebie w sieradzkie ku zawiązaniu tak ważnej sprawy, ani wspominaly o tobie. Nie przykroż ci to, kochany Józefie?

— Przykro mi nie jest — odpowiedział Bierzyński — owszem, wdzięczny jeszcze jestem panom za tę naukę, bo mnie to przypomina, że w takich sprawach każdy powinien sam o sobie pamiętać.

— A jak to rozumiesz? — zapytał niespokojnie kasztelan.

— Rozumiem tak — odpowiedział powolnie Bierzyński — że jeśli pragnę zaszczytów, tom się powinien sam ich dosłużyć.

— A! otóż to jest! — zawołał na to uradowany starsuszek — to jest to złote słowo, którego się spodziewałem po tobie. Ale kiedyś istotnie tak skromny, tedy ci powiem otwarcie, że mi to przykro więcej jak tobie, żeś mi ci zaraz tutaj nie dali jakiegoś urzędowego znaczenia, bo tak rozumiem, żeś go już rzeczywiście zasłużył. Ale nie mogło to być. Bo jak się tego łatwo domyśleć możesz, idzie nam przedewszystkiem o to, ażeby na czele tej konfederacji stanęli wszędzie jako być może najstarsi wiekiem, urzędem i znaczeniem. Nie miałbym ci ja nie przeciw temu, żeby regimentarstwo sieradzkie dostało się tobie, bo prawdę mówiąc, nie masz tam żołnierza w sieradzkim. Jeden Załuskowski a drugi Zaremba, ale Załuskowski większy głową niż gębą, a Zaremba to Niemiec. Tybyś tej funkeyi dał może radę, ale co ci to szkodzi cokolwieczek zaczekać? Wszakże tam będziesz przy tym regimentarzu. Pierwsza bitwa nastąpi pewnie nie długo, jeszcze tam zwłaszcza, gdzie taka gęsta konstytucja regarów, a w tej bitwie zaraz się to pokaże, kto wiele waży. Jeśli więc będzie regimentarz ladaco, nietrudno odziedzi-

czyć po nim komendę: jeśli zaś szczęśliwy i tęgi, to nie żał go słuchać. Tak więc o tem jest, panie bracie, a już jakiegokolwiek bądź stanowisko tam zajmiesz, bądźże mi pewny, że przez to ani łaska moja, ani przywiązanie ku tobie nie osłabnie, bom też nie łakomy błyskotek.

Bierzyński słuchał tego wszystkiego cierpliwie — ale podobno inne o tem miał zdanie.

— Więc taki dzisiaj już w drogę? — spytał wreszcie kasztelan, kończąc swoje podanie.

— Dzisiaj, dzisiaj i zaraz...

— Im prędzej, tem lepiej, kogoż więc bierzesz ze sobą?

Tu się Bierzyński zastanowił cokolwiek, ale odpowiedział natychmiast:

— Jeszcze tego nie wiem... ale przed wszystkimi Lenartowicza. Mam też i kilku innych sieradzanów i wielunianów w chorągwi...

— No! już tam bierz, kogo chcesz, tylko nie wielu. Ludzi wam tam nie braknie. Ale nim ruszysz, idźże do oboźnego, który ma w mieście komendę placu, i oddaj mu jak należy twoją chorągiew. Bo porządek przed wszystkim. A teraz już bywaj zdrów i niech Pan Bóg prowadzi!

To mówiąc starsuszek objął młodzieńca w swoje ramiona i ostatecznie pożegnał.

Kiedy Bierzyński wyrwał się nareszcie z klasztoru, pobiegł czempredzej w rynek, aby obaczyć, czy podług jego rozkazu czeka tam jeszcze jego chorągiew.

Był to teraz już wieczór późny, ale niebo było wy pogodzone, a na niem migotały gromady gwiazdek z poza chmur ek bladawych, i słaby księżyc, żeglujący pomiędzy gwiazdki i chmury, blade tylko światło rozlewał po ziemi. Całe tedy miasteczko było w półświatle, w pół-cieniu i nie bardzo dokładnie można było rozróżnić, co się gdzie działo. Nie trudno było jednak obaczyć, że cały rynek był zalany ludźmi i końmi, a przy dokładniejszym rozpatrzeniu się i to widać było, że w środku rynku stali z końmi szeregowi i tak zwani luzacy, a przy południowej po-

łaci, zbici w gęstsza gromadę, lśniący blaskiem pancerczów i falujący piórami u hełmów, stali towarzysze chorągwi. Tam i sam kręciło się innej broni żołnierstwo, mieszczanie, rzemieślnicy i żydzi, przypatrując się nowym konfederackim przybyszom i wypytujac ich o nowiny z nad granicy tureckiej.

Bierzyński stał i patrzył przez chwilę, rozpatrując się dokładnie, gdzie się który z jego żołnierzy znajdował.

Powinno być wiadomo każdemu, jak się składały owoczesne chorągwie; jednakże może nie będzie zbyt cennym i o tem w krótkości nadmienić. Każda więc taka chorągiew pancerna, hussarska lub petyhorska na Litwie, kiedy była zupełna, czyli jak to wówczas mówiono, „całkowicie okryta“, składała się z pięćdziesięciu towarzyszy i około dwóchset pięćdziesięciu pocztowych. — Towarzyszami chorągwi bywała zwykle znakomita i najznakomitsza nawet szlachta osiadła, bo ten stopień wojskowy był jednym ze znakomych zaszczytów. Ale ci panowie, żonaci, ojcowie dzieciom, często na obszernych siedzący fortunach, często inne przytem sprawujący urzędy, rzadko kiedy znajdowali się przy chorągwi, zjeżdżając się do niej tylko na największe parady i raz do roku na „koło“.

Przy chorągwiach tedy, konsystujących wewnątrz kraju, nie znajdowało się nigdy więcej nad trzech lub czterech towarzyszy. Inaczej atoli działo się z chorągwiami, konsystującami na granicach tureckich i ukraińskich. Te bowiem musiały być koniecznie okryte, i były. Ale nie okrywali ich i tu osobiście owi wygodni towarzysze, tylko po największej części ich zastępcy. Zastępstwo to weszło w zwyczaj powszechny za Sasów, kiedy niepoliczona ilość młodzieży szlacheckiej rozmnożyła się w Polsce, i w czasie spokojnym, do żadnych innych zajęć ani zdolna ani też chętna, nie wiedząc sama, co ma począć ze sobą, musiała się garnąć do wojska. Nie mogąc otrzymać miejsca towarzyszy, co nie było tak łatwo, przyjmowali oni chętnie rolę zastępców i zostawiając czezy tytuł właścicielom tych funkcyj, pełnili za nich służbę zawsze pełną widowoków. Takimi też zastępcami była okryta i Bierzyńskiego chorąg-

giew. Jego więc towarzysze byli to po największej części ludzie młodzi, bez posiadłości, bez rzeczywistego stanowiska, nie mający nie do stracenia, a do zyskania wszystko to, co im przyniosła bujna ich wyobraźnia. Straszni są czasem tacy ludzie, którzy nie mają nie do stracenia — ale zawsze, są oni tylko odważni, nie namyślający się wiele nad swoją przyszłością i łatwo do wszystkiego pochopni. Wiedział o tem Bierzyński — i dlatego także się nie długo namyślał.

Kiedy się więc dobrze po rynku rozpatrzył i ujrzał swoich towarzyszy stojących na boku i pod opieką Lenartowicza zgromadzonych w komplecie, co mu też było jak najlepiej na rękę: zaraz się do nich przybliżył, stanął przed nimi i w następujące przemówił słowa:

— Mości panowie i bracia! Najwyższa rada konfederacyi, do której i my mamy zaszczyt należeć, dała mi ni-niejszem moc i ordynans udania się w województwo sieradzkie, w ziemię wieluńską i dalej, gdzieby tego była potrzeba, i zawiązywania tam konfederacyi w zgodnych z tutejszą zamiarach. Panowie bracia! miałem zaszczyt przewodniczyć wam w wojnie na Kresach i dźrzyłem nad wami dowództwo na granicy tureckiej — nie możemy się uskarżać, ażeby nam się w tej służbie nie wiodło — owszem, złożyliśmy najpiękniejsze dowody męstwa, wytrwałości i statku — ale cóż mamy za to? — Biliśmy się ze złodziejami, przelewaliśmy krew w obronie nieznanomych nam granic, a lubośmy dzielnie trwali w tej służbie, ledwie kto o nas wiedział! — Dzisiaj inne pole się otworzyło przede mną. Idę w kraj nasz rodzinny, aby tam przewodniczyć, idę na pole chwały! Mości panowie! tymi darami Bożymi, jako brat wasz i wdzięczny dowódzca, chcę się z wami podzielić. Jeśli pójdziecie ze mną, uczynię was wszystkich rzeczywistymi towarzyszami chorągwi, staraniu o was oddam wszystek mój rozum i całe serce i poprowadzę was na pole sławy tak wyniosłe i wielkie, na jakim nie był żaden z waszych ojców i dziadów, i żaden z synów nie będzie! Mości panowie! czy jest aby

jeden pomiędzy wami, któryby nie przeniósł mego dowództwa, nad każde inne?

— Vivat! vivat! niech żyje! porucznik nasz! regimentarz! marszałek! vivat! — zahuczała zaraz cała chorągiew i zakipiła jak w garnku.

Ale Bierzyński nakazał natychmiast jaknajwiększe milczenie, zakomenderował: na koń! i stanąwszy na czele, w oka mgnieniu zniknął z miasteczka.

III.

Była już wiosna.

Cały ten kraj przecudny, rozlegający się nad brzegami Narwi, Pilicy i Warty, pochylony z nieągła ku słońcu i dlatego bujniejszy roślinnością nad inne, był już pełen bogatej zieleni i kwiecia. W porozwijanych smugach nad brzeźnych lasów i gajów coraz głośniejszym chórem uderzały w swe pieśni ptaszęta: w kwiecistych sadach coraz wonniejsze i świeższe się roznosiło powietrze; pokrajana pod zimę ziemia, osuszona lekkim powiewem wiosennego oddechu, coraz usilniej zapraszała pilnego rolnika do pracy — ale pomimo to, ludzie byli dziś na to wszystko jakby całkiem niezuali, mało kto myślał o wiośnie, nikt o wiosennych zasiewach.

Po tym kraju bowiem już od miesiąca jakieś dziwne porozbiegały się wieści.

Nikt tu jeszcze nie wiedział, co z tego będzie, nikt nie umiał słowami powiedzieć, wojna-li grozi, głód, czy powietrze? — ale pomimo to każdy się zatrzymywał w swoim zwykłym pochodzie, patrząc błędni oczyma na niebo i ziemię — nieświadoma trwoga obejmowała spokojne serca — drżały z niecierpliwości umysły rozbudzonej młodzieży — i trzęsły się zimną febrą lgnące w występkach sumienia! — Niebawem wszakże, owe niepewne wieści, owe nieświadome przeczucia, zaczęły się odzywać zrozumiałymi dla wszystkich głosami — a wkrótce, te głosy, połączone w chór jednozgodny ze sobą, roznio-

śły wszędzie, głuchą jeszcze lecz pewną — zapowiedź wojny!

Od tego czasu, w samej istocie, zadziwiający ruch się rozniósł po tej całej krainie. Po wszystkich gościńcach pełno widziało podróżnych — tutaj więc pędzi ewałem kawalerski karabon — tam go dogania lekki wozik szlachecki — tu ciągną jezdni wlokąc za sobą tumany kurzu — tam się przemyka na koniu barwisty sługa z listami — i ksiądz pleban gdzieś spieszy swoją skrzydlatą telegą — i starego dziadunia czworokonna landara wlecze się także w jakieś sąsiedztwo, chociaż już od lat kilku spoczywała spokojnie w murowanej wozowni, ani myśląc o świecie...

A kiedy stąd niemal po wszystkich znaczniejszych dworach odprawiają się liczne zjazdy i tak zwane *conventicula* powiatowe, kiedy się wszyscy czegoś niespokojnie ruszają i nawet kobiety, nie mogąc usiedzieć w dusznej komnacie, stoją przed bramą, wyczekując niecierpliwie powrotu swoich mężów i synów: — jeden tylko stary Barnaba, idąc powolnie za pługiem na swojej roli, patrzy na ożywiony gościniec, potrząsa głową i mówi sobie:

— Już też szlachcie znowu zawierciało coś w głowie! bodajby jeno krwią nie zalali tej ziemi i ludziom spokojnym nowego nie przynieśli nieszczęścia!

Na zamku kasztelana taki sam dzisiaj panował spokój, jak koło chaty i w sercu Barnaby — ale inne zapewne usposobienia.

Na tym zamku, od tego czasu jakeśmy w nim nie byli, ważne pozachodziły zmiany. Kasztelanowa umarła — stary kasztelan z połową swojego dworu znajdował się w dalekiej podróży — a w starożytnej kasztelańskiej siedzibie została się dziś sama jedna ich córka. Wszakże daleko ważniejsze jeszcze to były zmiany, które czas sprowadził na młodą tego zamku władczynię. Kiedyśmy ją po raz ostatni widzieli, był to skromny dopiero i drobniutki fijołek: dziś rozwinięty kwiat, w całej pełni swojego blasku! Annuncyata przez ten czas nawet jeszcze cokolwiek wyrosła, i z młodzietkiej dziewczyny stała się pię-

kną i wspaniałą dziewicą. Zmężniała nawet, chociaż zachowała całą szczupłość kibici. Jej twarz wypełniła się i okryła pełnym blaskiem dojrzałych wdzięków, jej oko już się rozpatrzyło po świetle i spotykało się z nim jasną, pełną, otwartą źrenicą: krótko mówiąc, już to nie był świt ranny, nie igrający niepewnymi blaskami poranek, ale jasne swem światłem pionowymi promieniami gorejące, południe.

Są, którzy tak w naturze jak sztuce przenoszą objawy niedokończone i zostawiające obszernie pole własnej ich wyobraźni, nad dokończone i pełne. Mijają oni z obojętnością rozkwitłą różę, a zerwawszy nierozwinięty pączek, idą rozmawiać z dziećmi, albowiem... ich jest królestwo niebieskie. Odwracają oczy od wspaniale szumiącej rzeki, na szczyty gór niebotycznych nie patrzą, rzucają tylko przelotnym okiem na kolosalne posągi, a pod wzniosłymi łukami gotyckich Tumów zimny dreszcz ich przejmuje: lecz znalazłszy dla siebie drobnutki, powojami okryty pagórek, a przy nim cicho szemrzący strumyczek, ze łzami w oczach patrzą na drewniany kościółek i otaczające go drobne, nadgrobnie krzyżyki. — A kiedy jeszcze do tego doleci ich zbłąkany odgłos niezrozumiałej piosenki, albo znajdą w kieszeni niedokończony zmarłego wieszca poemat: ich rozrzewnienie natenczas nie zna już granic, ich serce wynosi się do natchnienia.. są w niebie! Ci ludzie woleliby prześnić życie, niż przeżyć. Ale nie uwłaczajmy im za to i nie spotykajmy ich broń nas Boże! ironicznym uśmiechem: są to bowiem najczystsze dusze, jakie nosi ta ziemia, a może nawet zabłąkane anioły! — Powiedzmy wszakże, że takim ludziom nie podobałaby się dziś Annuncyata.

Ale są inni ludzie, i tych jest daleko więcej. Ci mają także serce i część należną dla ideałów, ale zachwycają się nimi dopiero wtenczas, kiedy przybiorą kształty dokończone i pełne. Takowi ludzie nie psują pączków, ale zrywają róże wonne i rozwinięte; nie umieją ocenić marzenia, ale czczą głęboko myśl żywotną i zdrową; omijają drobne pagórki i nadgrobnie krzyżyki, ale z uwielbieniem

się wpatrują w kolosalne posągi, a oddychając pełną pierśią pod sklepieniami olbrzymich tumów, z pokorą w duszy, ale z odwagą w sercu, wznoszą się duchem swoim ku temu, który wszystkie swe dzieła, od najdrobniejszej muszki aż do słonecznych światów, dokończył i wypełnił do szczytu! — Takim jednakże ludziom właśnie dzisiaj podobałaby się Annuncyata dzisiaj daleko więcej, niż zawsze. Widzieliby oni bowiem w niej ideał objawiony w kształtach dokończonych i pełnych, całą myśl Bożą ubraną w formę okrągłą i doskonałą, najwspanialsze zjawisko, jakie być może na ziemi.

Temu wrażeń odpowiadało wszystko. Na jej twarzy odbijał się wyraz, znamionujący myśl jasną i świadomość swego jestestwa, w jej oczach błyszczały tak pogodne promienie, jakimi na świat patrzeć może tylko dusza czysta i nieskalana, a na jej ustach igrał uśmiech tak uprzejmy, tak łagodny i słodki, że zdawało się, jakby nim chciała całą ludzkość przygarnąć do siebie i wszystkie jej bóle ukoić.

Jednakże widać było po niej, że czuła te bole. Dzisiaj nawet może jeszcze czuła i swoje własne. Jej czoło bowiem, zawsze tak białe, tak jasne, było zachmurzone myślami, na jej powiekach lśniły się łzy jeszcze nie zupełnie zaschnięte, a po całej twarzy rozlany był smutek, tak czarny, tak ciężki i jeszcze tak świeży, jak gdyby dopiero co z tajemniczej krainy odwiecznego cierpienia i bólu spadły na nią ciemne anioły i wtoczyły jej wieniec cierniowy na głowę. Anioły znikły — ale wieniec pozostał, i bolał..

Z taką boleścią w sercu i z takim smutkiem na twarzy, siedziała ona teraz w ojcowskiej komnacie. Zapadła w głębokie krzesło, głowę oparła na rękę i patrząc myśląciami oczyma w ziemię, zdawała się szukać lekarstwa na swoją boleść, nie w krainie dalekich marzeń, ale gdzieś blisko, gdzieś tuż koło siebie. Tak leczymy nasze boleści wszyscy, dopókiśmy jeszcze godni tej żywej ofiary, która widzi ideały na niebie, przyswaja je w sercu i wierzy w ich urzeczywistnienie na ziemi.

A po środku komnaty przechadzała się panna ksieni, jej ciotka. Matrona ta zestarzała się dzisiaj już znacznie, jej twarz zzieleniała jak spleśniały pergamin, jej nos jeszcze mocniej wystąpił, jej usta zwinęły się i zapadły. Ale pomimo to nie ustąpiła dawna żywość z jej twarzy. Owszem, w jej oczach jeszcze więcej dziś było ruchu, niż kiedykolwiek, i widać było, że pod tą skórą zieloną, pod tą czaszką wypukłą, niezmordowany duch jej bezustannie pracował. Jakoż i teraz, przechodząc się po komnacie, trzęsąc głową i zażywając co moment tabakę, zdawała się myśleć nad czemś bardzo mozolnie.

Patrząc na te obiedwie kobiety, można było być pewnym, że znowu pomiędzy nimi miała miejsce jakaś długa i bardzo ożywiona rozmowa, że znowu nie zgodziły się z sobą w opiniach — i nareszcie umilkły.

I milezenie to trwało dość długo.

Wszakże pierwsza przerwała je Annuncyata, która powstawszy jakby nagle zbudzona z krzesła, z niezwykłym zapalem tak mówiła do ksieni:

— Nie, moja ciotko! Tak pozostać nie może! Jabym tego nigdy nie zniosła! Jeżeli jeszcze w tym tygodniu nikt się taki nie znajdzie, któryby województwo to zwołał, spisał i przynajmniej akt zaniósł do grodu; ja, słaba niewiasta, marne dziecko przy mężach, na wstyd, na hańbę tym mężom, to zrobię! Nie zdołam może, braknie mi siły, braknie ufności, rozumu, wymowy: ale mi przynajmniej odwagi nie braknie aby zostawić ślady, jeśli nie czynu, to przynajmniej chęci w historii! Niechaj potem sądzą o tym wypadku, jak im się podoba, niechaj powiedzą, że zdarzyło się dziecko w Sieradzkim, które zamierzyło czyn nad swe siły, niechaj nawet zawyrokują statystyci, że lekomyślnie krew przelała niewinną: ale nikt przynajmniej tego nie powie, że ziemia tak ludna, tak rycerska, tak dzielna, spała natenczas w pierzynach, kiedy cała Rzeczpospolita była już dawno na nogach! I takąż hańba miałyby spotkać tę ziemię? województwo to, które od Bolesławów i Kazimierzów na wszystkich wojnach najpiękniejsze zbierało wawrzyny, które najpierwsze z wszystkich

dostało zaszczytu odbijania swego klejnotu na wosku czerwonym, które nareszcie przez cały ciąg dziejów w każdej wojnie, w każdym pospolitem ruszeniu, w każdej konfederacji najpierwsze rozwijało sztandary.

I z temi słowy, wyczerpana na siłach, upadła napowrót w krzesło, dodając coraz więcej słabnącym głosem:

— O! czemuż nie ma tutaj mojego ojca!... czemuż nie ma Józefa!...

Mniszka stanęła przed nią i trzęsąc głową, patrzyła na nią przez chwilę. Potem zaś tak mówiła, a mówiła z początku zimno, rozwlekle, powoli, lecz dalej z coraz większym naciskiem i coraz większym zapalem:

— Wyperswadować ci to, coś sobie sama nabiła w głowę, nie ma, jak widzę, sposobu. Wyczerpałam już wszystek mój rozum, wylałam całe serce, odstłoniłam całe moje sumienie — Bóg widzi, żali nie sprawiedliwe i czyste — ale wszystko to nie nie pomogło!... I nie pomoże! Bo tylko takie zbłąkane można sprowadzić na prostą drogę, u których błąd zagnieździł się w sercu; ale u kogo lęgnie się w głowie, u kogo rozum się zmieszał i wyrzuciło na nie sumienie, próżno temu podawać rękę, próżno rzucić promień czystego światła na głowę: bo oślepienie oczy światła nie ujrzą, zmieszany rozum pozostanie w ciemnicy a zaciśnięte w szaleństwie zęby jeszcze gotowe skąsać tę rękę, która przysła ich zbawić! Tak jest także i z tobą. Bo to, co się ze zwykłej kolei twojego powołania wyrwa i do szaleństwa unosi, to nie jest ciche, niewieście uczucie serca, tylko męska żądza rozumu! to nie jest skromne pobożne życie; to pycha! to nie zapal; to wściekłość!

— Ciotko! — odezwała się Annuncyata.

— Cicho! — zawołała surowo mniszka! — cicho! *ja* mówię? I mówię tobie: idź! i poczynaj sobie, jak chcesz! Ale nim pójdziesz, pomyślno jeszcze raz nad tem: dokąd to idziesz i po co? Idziesz burzyć spokojnych ludzi i miecz im podawać w rękę, aby krew przelewali po ziemi. A czyż to krew mają przelewać? Czy najechali ich domy niewierni Turcy? czy łaknący podbojów Szwedzi? czy krwi checiwi Tatarzy? czy popalono wioski, po-

druzgotano miasta, pouprawdzano niewiasty? czy król z tronu zrzucony, pomordowana starszyna, slychać jęki pobitych stareów i dzieci? — Idź więc! idź, bierz pancierz na piersi i szyszak na głowę, idź i zapalaj straszną wojny domowej pochodnię! Idź i morduj te, które masz za nieprzyjacioły, wycinaj do nogi ich całe obozy, zdobywaj ich najpierwsze warownie i okryj się wreszcie najświetniejszym zwycięstwem! Idź! krzyż na drogę, ja cię nie trzymam. — Lecz kiedy potem, po tych wszystkich zwycięstwach, wspominając sobie swoje rycerskie czyny, spotka cię twoje własne sumienie: kiedy to sumienie zajrzy ci w oczy i spyta: Dziecko moje! a jakie to plamy czerwone widać na twoich szatach? jaka to krew jest, którą twym mieczem przelałaś i która do dziś dnia jeszcze nie zakrzepła na tobie? — zadrzyj wtedy, ale do mnie nie przychodź! zadrzyj, mówię, i proś Pana Boga, aby się ziemia pod tobą zapadła, bo wtedy niema już miejsca dla ciebie na ziemi!

Przy tych ostatnich słowach Annuncyata zerwała się z miejsca i stanęła na nogach. I stanęła wyprostowana, smukła, wysoka jak sosna; zdawało się, jakby w tej chwili o drugie tyle wyrosła i jeszcze rosła, ażeby runąć potem na mniszkę i na proch ją zdruzgotać. Ale zachwiała się wreszcie i tylko patrząc zdziwionemi oczyma na ciotkę:

— Idźcie wy! — zawołała — idźcie wy sobie odmnie! Bo albow ja szalona na prawdę, albo wy nie macie rozumu! A jeśli ja szalona, zaprawdę powiadam wam, żadnej sprawy nie miejcie ze mną, bo szaleni dziwnie się lubią obchodzić z tymi, którzy ich biją rozumem.

Były to słowa, których zaledwie się można było po Annuncyacie spodziewać.

Ale mniszka słuchała ją obojętnie i patrzyła na nią wzrokiem kamiennym. Wysłuchiwała nareszcie, otworzyła swą tabakierkę, wzięła szczyptę tabaki i odeszła krokiem powolnym, jakby nie nigdy nie było.

W tej chwili weszła do komnaty Marta kowalka.

Dawna piastunka swojej złotej panienci odzyskała już

teraz dawną swoją swobodę, i wolno jej było wchodzić na zamek zawsze i o każdej godzinie.

Kiedy Annuncyata ją obaczyła, przybiegła do niej z taką radością, jak gdyby jej Bóg wie odkąd nie widziała i jakby teraz tylko na nią czekała.

Mniszka odsunęła się na bok i założywszy ręce za siebie, patrzyła na tę scenę więcej może z ironią, niż z ciekawością, więcej z zimną pogardą, niż z oburzeniem.

— Ach! moja Marto kochana! — wołała kasztelanka, biegnąc ku niej — przecież nareszcie przychodzisz! No i cóż tam? gdzie byłaś? skąd wracasz? co mi dobrego przynosisz?

— Byłam, moja złota panienko, nieledwie wszędzie, ale nie nie przynoszę.

— Nie? i znowu nie? i jeszcze nie! o! cóż się dziś dzieje na tym świecie!... Jakże więc? nigdzie nie było takiego zjazdu, żeby się na nim znaleźli wszyscy?

— Nigdzie moja panienko. Po kilku, po kilkunastu, zjeżdżają się w każdym dworze, ale nigdzie nie slychać, żeby coś uczyniono.

— O! jest to doprawdy nie do pojęcia! — A cóż starosta bydgoski, opiekun mój, najpopularniejszy człowiek w powiecie? czy byłaś u niego? czy prosiłaś go, aby tu do mnie przyjechał?

— Byłam, dziś rano byłam, prosto od niego powracam. Pan starosta przyrzekł mi święcie, że jeszcze dziś, choćby w nocy, będzie pewnie na zamku.

— O! żebyż tylko dotrzymał!

— Dotrzyma, moja panienko, pewno dotrzyma — odpowiedziała Marta i chciała dalej coś mówić, zapewne opowiadać wiadomości i wieści, które nabierała w swojej wędrowności, kiedy wtem raczej wpadł do komnaty, niżeli wbiegł, starosta bydgoski.

— Ach! pan Gatecki! — zawołała kasztelanka, zwracając się prędko ku niemu — cóż się dzieje, u Pana Boga! że pan starosta tak zapominasz o swojej pupili?

— Nie się nie dzieje, moja mościa pani — odpowiadział na to z uspokajającym uśmiechem starosta, ściskając

i całując ją w rękę — niechno mi moja pani będzie całkiem spokojną. Burzy się to, burzy, ale jeszcze się nie zburzyło.

— Jeszcze się nie zburzyło! — zawołała Annuncyata — proszę pana starosty, niech pan siada i niech mi pan z łaski swojej opowie wszystko, co się dzieje. Jestem niespokojną do najwyższego stopnia.

— Zaraz, zaraz, służby moje powolne... Przewielebnej ksieni mojej i dobrodzieje moje uklony!

— Kłaniam waszmości... — odpowiedziała mniszka — ale proszę sobie nie przerywać, będę także słuchać ciekawie.

Tu siedli wszyscy, a starosta tak zaczął:

— Otóż powiem najpierwej moim kochanym paniom, że jesteśmy teraz w niemałym kłopotcie, a prawdę mówiąc, w prawdziwym barszczu. Bodajby jeno nie wleźć w jakie nieszczęście!

— Ale cóż za nieszczęście? — zawołała kasztelanica porywczo — że konfederacja już zawiązana jest w Barze, inne prowincje idą w też tropy, a cóż tu myśleć? czy to pierwsza konfederacja jest w Polsce? mamże jej wyrachować na palcach?...

— Nie wątpię o tem — odpowiedział na to starosta z uśmiechem — że waszmość panna to doskonale potrafisz, ależ nie o to tu idzie. Bo konfederację zawiązać, nie wielka sztuka; nie chwałac się, gdybym się uwziął, tobym to sam jeszcze dzisiaj potrafił...

— Panie starosto! — zawołała Annuncyata błagalnym głosem.

— Cha, cha, cha! — śmiał się na to starosta, całując powtórnie ją w rękę — waszmość panna masz złote serce, ale *sciendum*, że w takich sprawach nie dość na sercu, bo tu rzecz główna zastanowienie. Konfederacja generalna jest zawiązana, to prawda, ale czy wiemy o tem?

— A jużci wiemy?

— A skąd wiemy?

— Skąd?... toż przecie już od tygodnia i nawet więcej...

— Cóż od tygodnia?

— No cóż! wieść za wieścią przychodzi, czyż to nie dosyć?

— Dosyć może dla wiadomości prywatnej, ale bardzo niedosyć do spisania się i manifestowania w grodzie. Boć manifest to jest akt urzędowy, a taki akt nie sporządza się inaczej, jak tylko także na urzędowej podstawie. A czy mamy my jaki urzędowy akt w rękę od konfederacji generalnej, któryby nas powoływał i upoważniał do tego?

— Och! jeśli panowie zaczniecie wdawać się w akta, to powiadam wam, że taki wstyd naszemu województwu zrobicie, jakiego może w całej próżnoby szukać historyi. Pięknież to będzie! Konfederacye ziem innych może już kilkakrotnem się okryją zwycięstwem w polu: a sieradzanie będą akty spisywać strzeliste!

— Zwycięstwem w polu? — zapytał nie bez zdziwienia starosta — a cóż to waszmość panna rozumiesz? czy to ta konfederacya wiąże się na to, aby *eo instante* wyruszać w pole?

— A na cóż?

— Na co? Ja to rozumiem całkiem inaczej, bośmy też przecie i z panem kasztelanem nie mało o tem mówili, i dzisiaj mówi się o tem z innymi, a wszyscy to rozumieją tak samo?

— Cóż rozumieją?

— Rozumieją, że trza się skonfederować, stanąć *virilim* i wnieść manifesty do grodu; ale nie na to, aby krew zaraz przelewać, tylko aby królowi głośno przypomnieć niedotrzymanie Pactów Conventów. Taka jest myśl nasza od dawna, taka też jest konfederacya.

— Pan Bóg będzie prawdziwie łaskaw na naszą Rzeczpospolitą — rzekła na to Annuncyata — jeżeli taka konfederacya cel zamierzony osiągnie. Ale jakkolwiekbydź, czyż i z tem nie lepiej być pierwszym, niżeli ostatnim?

— Powiedziałem już pierwej — odpowiedział starosta — dlaczego nie jesteśmy pierwszymi; ale dla zaspokojenia mojej kochanej pani dodam, że i ostatnimi nie będziem. Bo oto już i u nas wszystko jest gotowe do tego

aktu i mogę to z pewnością zaręczyć, że chociaż sam zupełnie za tem nie jestem, mimo to najdalej *in triduo* województwo sieradzkie niezawodnie także wystąpi.

— Wystąpi? pewnie wystąpi? no i cóż? gdzie to? kogóż panowie obieracie marszałkiem?

— Różnie to jeszcze teraz się mówi, dlatego trudno ominować z pewnością. Ale już to niby waha się wybór między mną a Załuskowskim. Ma niektóre *vota* za sobą Błeszczyński, ma też swoje Zaremba, ale Błeszczyński się nie utrzyma pewnie, a Zaremba na teraz ani chce wiedzieć o tem. A ponieważ ja dobrowolnie tego zaszczytu się rzekam...

— A toż dlaczego? panie starosto! czy godzi się...

— Godzi się, moja pani, i bardzo. Patrzo pani, włosy mi już zbiały jak śnieg, ręce się trzęsą, kulbaka morduje... jeszczeż żeby to mieć pod ręką jakiego krzepkiego a pewnego regimentarza, to możeby to i poszło: ale tu właśnie w tem najfatalniejszy jest sęk, że oprócz Zaremby nikogo takiego niemasz! Wiem ja jednego sieradzanina, który jest krzepki i dzielny i młody, ale ten nieborak daleko!

Tu starosta westchnął głęboko — a kasztelanka mimowolnem mu zawtórzyła westchnieniem.

Panna ksieni spojrzała na starostę, spojrzała na Annuncyate, i — zażyła tabaki.

A starosta tak mówił dalej:

— I powiem waszmość pannie tak szczerze, jak na spowiedzi, że jeżeli ta nasza konfederacya skończy się na manifestach i na drodze spokojnej naprawienie eksorbitancyi uzyska, to nic, to my tu i sami damy jej radę. Ale jeżeliby przyszło wyruszyć w pole i z oponentami pogonić na ostre, to jak mnie Bóg miły! w wielkim jestem o nasze województwo frasunku. Bo ja, mówiąc pomiędzy nami, w żołnierstwo pana Załuskowskiego nie wierzę; w pana Zarembe wierzę, bo to i dawny żołnierz z saskiego wojska i major z pod komendy naszego dzisiejszego hetmana; ależ znowu on jakoś ani w wojsko szlacheckie, ani w tę sprawę, jak na teraz, nie wierzy. Tak tedy mówię, że jak zbawienie nam

ten pan Bierzyński potrzebny. Inni nie są może mojego zdania, ale ja przez to wierzyć w to nie przestanę, że jest to i dzielniejszy człowiek, i tęższy żołnierz, nawet od samego Zaremby. — Wedle mojego rozumienia, był on już takim i pierwej, a cóż dopiero teraz, kiedy półczwarta roku miał taką piękną praktykę, w krótkim czasie mianowany jest porucznikiem, a nareszcie, jak słyszę, zastępował nawet miejsce regimentarza? Więcej nawet powiem kochanej pani, bo powiadał mi wuj jego, pan Wessel, i to ku wielkiemu memu ukontentowaniu, że nasz pan Józef wypracował tam jakieś dzieło wojskowe na Kresach i podał je do przejrzania królowi. Król jegomość, jak to waszmość pannie wiadomo, nadewszystko w tem sobie podoba, jeżeli kto co gładko napisze. Otóż z powodu tego pisania bardzo łaskawą miał zwrócić uwagę na naszego pana Józefa, a kiedy się jeszcze do tego dowiedział, że to młodzian jest gładki, polerowany nad podziw i posiadający języki, ułożył sobie, wziąć go z granicy tureckiej i umieścić przy sobie. Pan Wessel bardzo skrętnie forytował tę sprawę, jak mi to sam powiadał, i już podobno miało przyjść zaraz do tego; ale co się z tem stało, tego już nie wiem. Waszmość pannie też wiadomo, czy doszło to wezwanie królewskie do Bierzyńskiego, czy nie?

— Ja o tem nie wiem... ale zdaje mi się, że niebawem i o panu Józefie coś będziem wiedzieć. Bo to już przeszło dwa miesiące jest temu, jak mój ojciec wyjechał; przyjechawszy na miejsce, miał natychmiast pana Józefa powołać do siebie — a jak tyłkoby się już coś zrobiło pewnego, miał mi umyślnym posłańcem dać wiedzieć. Dlaczego ja dotychczas nie jeszcze nie wiem? dlaczego do dziś dnia nie mam żadnej wiadomości od ojca? tego doprawdy zacynam już nie rozumieć.

— Bądźno nam waszmość panna spokojną — mówil na to starosta — wszystko przyjdzie o swoim czasie. Ale co o pana Józefa, to ja się nie pomału frasuję. Nie dlatego żebym się obawiał o niego samego, bo tak rozumiem, że chociażby już teraz był w podróży do króla, to na odgłos konfederacyi pewnie się w swojej podróży zatrzyma

i stanie na swoim miejscu. Myślę tak zresztą, że gdyby go konfederacya zastała nawet już przy boku królewskim, to i tam potrafi być pożytecznym krajowi i naszej sprawie.

— O! co to, to przepraszam! — zawołała na to Annuncyata porywczco — bo nie rozumiem wcale takiej pożyteczności. A nareszcie pięknaźby to była, żeby człowiek młody, żołnierz z powołania, służył krajowi w przedpokoju królewskim wtedy, kiedy inni bić się będą przeciwko niemu!

— Koniecznie bić się? — zapytał starosta z uśmiechem.

— Daj Boże! — odpowiedziała kasztelanka — ażeby nie przyszło do tego. Jakoż możesz waszmość być pewnym, że całe dnie i noce modlić się będę o to do Pana Boga. Ale przecież tak myślę, że modlitwa moja tym razem wysłuchaną nie będzie. O czem zresztą nie mamy potrzeby mówić, bo czas to najlepiej pokaże. Proszęż tedy pana starosty kontynuować swoje: więc waszmość się frasujecie a pana Józefa dlatego...

— Dlatego — kończył starosta — że jestem przekonany najgłębiej, iż lubo i tam i gdziekolwiek bądź będzie, potrafi być pożytecznym krajowi, jednakże całkiemby to inne przyniosło skutki tak dla sprawy naszej, jak i dla niego, gdyby teraz był tutaj. Bo i regimentarstwoby go nie minęło, jak Bóg na niebie, i nasby wyrwał z niemałego kłopotu.

— Powiedzże mi waszmość — pytała niecierpliwie Annuncyata — czy już była mowa gdzie o nim?

— Och! wszakżeż ciągle go wspominamy.

— Cóż tedy mówią panowie bracia?

— Panowie bracia?... otóż powiem waszmość pannie, że jest to z tem sprawa cokolwiek dziwna. Panowie bracia?... nie mają właściwie nic przeciw niemu. Bo że tam kto o tem brzdąknie, że był niegdy w służbie królewskiej, a więc do konfederacyi nie może już mieć takiego animuszu, jak trzeba: to *absurdum*. Że mu drudzy pamiętają jego perorę u mnie przed czterema laty i teraz jeszcze o nią go inkułpują: to już jest głupstwo. A że inni

znowu przypominają jego blizkie krewieństwo z podskarbin, którego mają za franta i niepewne subiektem: to już jest niesumiennosc. Jakoż żaden rozsądny o tych obiektych przeciwko niemu ani myśli. Ale przecież tak jest, czego też zaprzeczyć nie można, że jakoś nie ma zbyt uczynnego ferworu dla niego, ani też osobliwszej miłości. A też dlaczego tak jest, suszę sobie głowę i w dzień i w nocy, ale napróżno. Już też nawet wpadłem na domysł, czy mu też drogi tu nie poostrzył jego dawny wróg, a waszmość panny znajomy, imię pan Dzierżanowski?

— Dzierżanowski? — zapytała Annuncyata z zdziwieniem — albo gdzie jest pan Dzierżanowski?

— Gdzie jest w tej chwili, tego nie wiem, ale wiem że tu był w tej okolicy przed kilką dniami i srodze się rzucał pomiędzy szlachtę; chciał zaraz wiązać konfederacyę, spisywać się, manifestować i uderzać na komendę dragonii, która leży tutaj tędy owędy... Szlachta nasza nie byłaby może i od tego, ale pod Dzierżanowskim jakoś jej się nie zdało, chociaż to żołnierz waleczny, a nawet, jak mówi, koronowanym królem był w Indyach...

— Otóż to mnie dziwi najbardziej — rzekła na to Annuncyata — bo przecież wiedzieliśmy wszyscy, że pan Dzierżanowski jest w służbie francuzkiej, słyszeliśmy potem, że się za morza wyprawił, a nakoniec doszły nas kilkakrotnie stwierdzone wieści, że istotnie mianowany jest vice-regem indyjskim. Skądże się tedy bierze dziś w Polsce? czy to na odgłos konfederacyi?

— Nie pani moja — odpowiedział starosta — on już ze trzy miesiące, albo i więcej, bawi w Warszawie. Będąc szambelanem królewskim, bawił sobie przy królu; ale teraz, jak widzę, miłościwego pana opuścił i rzucił się w stronę konfederacyi...

— Widzi pan, widzi pan! — mówiła Annuncyata z zapalem — wszyscy, wszyscy, nawet najbliżsi służy królewsey opuszczają swe służby i garną się do tej sprawy: tylko wolna szlachta sieradzka siedzi za piecem i wojuje plotkami!

— Cierpliwości tylko cokolwiek — rzekł na to nie bez

wyrazu dumy starosta — a i szlachta sieradzka się także pokaże! — Ale wracając do Dzierżanowskiego, jako więc mówię, już i na ten domysł wpadłem, że to on tu przeciwko panu Józefowi co posiał...

— Ej! daj tam waszmość pokój takim demysłom! — zawołała kasztelanica z niechęcią.

— Moja mościu panno! — rzekł na to starosta — różnie to bywa na tym naszym świecie! Są pewne reguły, których nie można zaprzeczyć, ale trzeba pamiętać o tem, że są i wyjątki. Już też niema nic świętszego na naszej ziemi, jak ołtarz w Pańskiej świątyni: a przecież, któż tego nie wie, że i koło ołtarzów czasem kręcą się ludzie, którzy brud noszą w sercu i nieczystość w sumieniu. Jest tu przytomna przewielebna nasza imię panna ksieni, *summus iudex* w tych rzeczach, niechże tedy nam powie.

— Ja... — odezwała się ksieni — ja tego nie przeczę, iż czasem może się zdarzyć wypadek, że do służby około ołtarza wciśnie się człowiek nieczystego sumienia; ale jak tylko pocznie tę świętą służbę, już przez to samo staje się czystym.

— Kiedy tak jest — zaczął mówić z pokorą starosta, ale wtem kasztelanica zawołała z zapałem:

— Widzi pan! tak jest przy ołtarzu w świątyni Pańskiej, tak jest i przy każdym ołtarzu, na którym człowiek poświęca się cały, jak jest!

— O! przy każdym ołtarzu tak nie jest! — zawołała na to panna ksieni z przyciskiem — bo służba około świątyni pańskiej jest sprawą Boską, a każda inna jest ludzką. Nie wiem nawet, jakim sposobem jakąkolwiekbydz sprawę można nazywać ołtarzem.

Na te słowa rozmawiający na chwilkę umilkli.

Po chwili dopiero odezwał się niezapominający nigdy o swojej popularności starosta:

— Zaprawdę powiadam państwu, że nie pomału szczęśliwy jest ten człowiek, który ma świątobliwą osobę w swym rodzie. Bo jak to łatwo o myśli grzeszne w tym naszym, tak już zburzonym dziś, świecie! A taka osoba jest jakby stróżem aniołem dla całej swojej rodziny, która nietylko

jej drogi prostuje w rzeczach głównych, ale jeszcze stoi na straży nawet najdrobniejszych jej uczuć i myśli.

Na to mniszka spojrziała przenikającym wzrokiem na Galeckiego, jak gdyby chciała go zbadać, czy rzetelnie to mówił; poczem Annuncyata rzekła do niego:

— Cóż tedy pan starosta mówisz dalej o panu Józefie? bo jeszcześmy się nie zrozumieli zupełnie. Więc opinia tutejsza nie ocenia jego zdolności i zasług?

— Owszem, owszem... — mówił starosta — nikt mu ani jednych ani drugich nie przeczy: tylko imienia jego nie wymawia nikt z takim uczuciem, jakiegobym pragnął dla niego i na jakie istotnie sobie zasłużył. Sądzę tak nawet, że gdyby poszło *per vota* o postawienie go na jakimś stanowisku poważnem pomiędzy nami, toby negatywek nie brakło.

— No, i cóż w tem dziwnego! — mówiła kasztelanica — człowiek młody, mało tu znany...

— Ale i ja się temu nie dziwię — przerwał starosta — i nawet mówię, że pomimo to wszystko jużby się to jakoś koniecznie musiało zrobić, żeby mu się regimentarstwo dostało. Gdyby o to z nim razem konkurował Zarembe, chociaż sztywny to człowiek i w niemieckiej uczony szkole, jednak już wtedy i jabym dał pierwszeństwo Zarembe; ale kiedy on się usuwa, to już i najskrupulatniejsze sumienie musi dać panu Józefowi pierwsze miejsce w tym względzie.

Na to zaś odezwała się mniszka:

— Asaństwo dobrodziejstwo, jak to wyrozumiewam z waszmości, chcecie podnosić konfederacyę. Nie pytam o co i w jakich celach, bo to sprawa jest świecka, a takie sprawy, z dwóch nawet powodów, nie do mojej należą parafii. Raz, że jest poświęconą służbie Bożej w zakonie — a drugi raz, że kobieta, o czem przy ładajakiej nawet pamięci niepodobna zapomnieć. Wiadomo mi więc tylko tyle, że konfederacya jest to jedna z spraw najważniejszych, jaką naród może przedsięwziąć: najważniejsza i nawet najniebezpieczniejsza ze wszystkich, bo ją podnosi tylko *in extremis* i zawsze z narażeniem swojego sumienia,

wedle którego winien jest posłuszeństwo swojemu panu. Nie znam się zresztą na tem dokładnie, bo w hierarchii kościelnej konfederacye nie mają miejsca, za co niech będzie chwala Panu Bogu na wieki wieków! Ale kiedy u asañstwa są i tak ważne i niebezpieczne, jak powiedzia-
łam pierwej: tedy jeszcze tem ciekawiej pragnę zapytać waszności, czy oprócz najmłodszego z podstoliców w tem województwie, nie macie nikogo pomiędzy sobą, którego-
byście mogli postawić na swoim czele?

Annuncyata na to ścisnęła usta i zasunęła się milcząc w głąb krzesła — a starosta, uśmiechnąwszy się lekko, tak odpowiedział:

— Bardzo to ważną kładziesz mi panna ksieni kwestyę, ale przecież nietrudno odpowiedzieć mi na nią. Trzeba bowiem wiedzieć najpierwej, że regimentarstwo w konfederacyi nie jest to władza naczelna, tylko nią jest marszałkowność. Nie regimentarz, ale marszałek staje na czele województwa czy ziemi, on konfederacyę podnosi, on ją manifestuje, on zbiera siłę zbrojną, on nią dysponuje, on jej każe wyruszać w pole, bić się, albo leżeć spokojnie — a regimentarz, tą siłą zbrojną partykularnie dowodząc, spełnia tylko marszałkowskie rozkazy. Jakoż mogę to waszność pani zaręczyć, że o marszałkowności dla naszego pana Józefa ani tutaj kto myśli, bo marszałkiem obwołamy sobie kogoś z sędziwych i doświadczonych, z ludzi możnych, aby nie chciał uciskać majątków, z umiarkowanych, aby nie zaprowadził nas dalej, niżeli chcemy, z ludzi z resztą skończonych, aby w tej sprawie miał tylko dobro powszechne na celu, a nie szukał wywyższenia dla siebie: tak bywało po wszystkie czasy, tak też i dzisiaj się stanie. Dlatego o marszałkowności dla pana Józefa nikt tu nie myśli, ale regimentarzem może on być dobrym i doskonałym. Znam się na tem i za to ręczę jejmości, a nawet tak jestem pewny tej mojej opinii, że dość powiedzieć: wahać się teraz nad przyjęciem marszałkowności, które mi gwałtem wciskają, a gdybym miał pana Józefa na regimentarza, ani jednej chwilibym się nie wahał. Ale co tu i mó-

wie o tem, kiedy go niemasz i nawet nie można sobie wróżyć, aby teraz przyjechał!

Uśmiechnęła się na to ksieni i rzekła:

— To wielka szkoda! Ale czy nie możnaby pana podstolica kreować regimentarzem zaocznie?...

Jednakże ledwie tych słów domówiła poważna przełożona klasztoru, kiedy wtem wpadło kilka sług naraz do komnaty, zawiadamiając z pełnym trwogi hałasem: że jakieś wojsko spadło nagle na zamek i zaległo cały dziedziniec. Starszyzna pozisała już z koni i idzie prosto do górnych komnat.

Wiadomość ta, całkiem niespodziewana, a w tej chwili istotnie nie mogąca być obojętną, zrobiła na tem małym kółku rozmawiających prawie przerażające wrażenie. Panna ksieni załamała ręce przed sobą i zawołała:

— Chryste Panie! otóż to macie konfederacyę!

Bardzo zacny ale mniej hartowny starosta, zbladł jakby ściana i chwiejąc się na swoich niedługich nogach, toczył się, toczył, aż póki się nie zatoczył pod ścianę.

Annuncyata, najwięcej odwagi mająca i rezygnacyi ze wszystkich, zerwała się z krzesła i stała wprawdzie silnie na nogach, — ale także zbladła cokolwiek i była jakby w oczekiwaniu nieszczęścia.

Nie należy zresztą temu się dziwić, były to bowiem czasy, w których niepodobne dotychczas rzeczy działy się w oczach wszystkich.

Jednakże, nim jeszcze to pierwsze, niepewne, nieświadome przeminęło wrażenie, na owych schodkach, które do tej sprowadzały komnaty, pokazał się rycerz w pancerzu, w helmie, z skórą tygrysią przewieszoną przez plecy, który zatrzymawszy się chwilę na schodkach i rozpatrzywszy się po komnacie, zdjął hełm i puścił się ciężkimi krokami prosto ku temu miejscu, gdzie z oczyma weń wpatrzonemi i całą naprzód wygięta, stała dzisiejsza pani tego zamczyska. Ale nim doszedł do połowy komnaty, już na wszystkich zupełnie inne się odbiło wrażenie, — rycerzem tym bowiem nie był kto inny, jak tak dobrze tu znany, a tak mało dziś spodziewany Bierzyński.

Nagle to jednak zjawienie się jego, sprawiło także na wszystkich, odmienne wprawdzie, ale nie mniej głębokie wrażenie.

I tak panna ksieni, poznawszy go wreszcie, zdawała się własnym nie wierzyć oczom i wygiąwszy się naprzód, prawie się złamawszy we dwoje, patrzyła weń takimi oczyma, jak gdyby się zjawił duch nocny albo wstał przed nią z grobu umarły.

Annuncyata inaczej. Jej twarz bowiem na widok jego tak jasną zabłysnęła radością, na jej ustach zaigrał śmiech tak słodki, a z jej oczu uderzył promień taki słoneczny, że zdawała się być w tej chwili matką, witającą po długich latach wracające swe dziecko, — albo więźniem podziemiów, wypuszczonym niespodziewanie na wolność, — albo mieszkańcem lodowatych, północnych krain, witającym po kilkumiesięcznej nocy długo oczekiwanym wschodem słońca.

W tem nagłym wzruszeniu podniosła nawet ręce do góry i zrobiła tak szybki ruch naprzód, jak gdyby chciała pobiedz ku niemu i rzucić mu się w ramiona, — lecz szczęściem dla niej, ucieszony nad wszelki wyraz starosta, ubiegł ją w tym zapędzie i wołając do niego:

— Ach! kochany nasz Józef! — rzucił się w jego objęcie.

A kiedy tak wszyscy w tej chwili, zajęci sobą, nie mogli zwracać uwagi na drugich, to i Annuncyata zyskała dość czasu, aby z pierwszego wrażenia ochłonąć i okutemu w pęta przyzwoitości obyczajowi dać zwyciężyć unoszące się poza jego granicę uczucie.

Nastąpiła więc bardzo przyzwoita rozmowa, — ale rozmowa szybka, przerywana, ucichająca nagle i równie nagle znowu się zrywająca, — krótko mówiąc, rozmowa taka, jaką zwykle prowadzimy natenczas, kiedy po długim niewidzeniu spotykamy się znowu i chcielibyśmy dzieje lat kilku przebież w jednym momencie.

Rozmowa ta wszakże nie trwała długo, Bierzyński bowiem, nauczywszy się w swoim kilkoletnim zawodzie wojuskowym przedewszystkiem niezbędnej dla dobrego dowódcy

zwięzłości, opowiedział to wszystko, co miał opowiedzieć w kilkunastu minutach. Poczem wstał i podał Gałęckiemu uniwersały i manifesty, które przywiózł ze sobą, — owej karteżki, którą kasztelan napisał był w Barze do niego, nie dał mu, — ale za to mu oddał do przeczytania list wierzitelny, czyli tak zwane *Credentiales*, wystawione na jego imię i upoważniające go do zawiązania konfederacyi w sieradzkim.

To nieoddanie Gałęckiemu owej osobnej kasztelana karteżki, lubo nie znamy dokładnie jej treści, może nas wprawdzie na rozmaite względem dalszych zamiarów Bierzyńskiego naprowadzić domysły; postępek ten jednak był niezawodnie w swoim sposobie rozumny; jak i niemniej rozumne było oddanie mu owych papierów w tej chwili; tym sposobem bowiem zanadto czasem ciekawego starostę do czytania zasadził i uwagę jego od swojej dalszej z kasztelanką rozmowy odwrócił.

Byłoby to może z jego strony jeszcze daleko rozumniej, gdyby był i ksieni uwagę na tę chwilę odwrócił... była to jednak rzecz niepodobna, nie miał bowiem do niej żadnego pisemnego ani nawet ustnego zlecenia.

Powstawszy więc z miejsca i oddawszy Gałęckiemu owe papiery, obrócił się do Annuncyaty i rzekł do niej:

— Mam do pani od pana kasztelana jeszcze osobne zlecenie, ale powinienem je zakomunikować bez świadków.

Na te słowa Annuncyata powstała spiesznie, ale w pierwszej chwili nie wiedziała co robić i niby się trochę zakłopotowała: nie było tu jednak czem się kłopotać, komnata ta bowiem była jak wiemy tak bardzo rozległą, że mogło w niej nawet i kilka kółek jednocześnie rozmawiać i każde z nich byłoby jakby bez świadków.

Przeszli tedy oboje ku oknu — a kiedy stanęli w jego głębokiej framudze, Bierzyński oddał Annuncyacie przedewszystkiem kartkę od ojca, mówiąc:

— Niech pani raczy odczytać.

Annuncyata szybko przebiegła zwięzłe napisaną karteżkę i prawie kończąc jeszcze ostatnie jej słowa, zawołała do niego:

— Ach! mój ojciec daje mi takie zlecenia... przecież to się samo przez się rozumie! Pieniądze, ludzie, broń, konie, bierz pan, bierz wszystko, co się tylko znajduje w tym zamku! chodź pan, wydam panu najpierwej pieniądze!

Ale Bierzyński stał niewzruszony na miejscu i patrząc na nią pełnemi uwielbienia oczyma, odpowiedział na to dziwnie melancholijnym głosem:

— Ach! czemuż nie mogę w tej chwili rzucić się na kolana przed panią! Znam cię od dziecka, dni tyle, lat tyle! ale nigdy jeszcze nie byłaś tak piękną, tak wzniosłą, jak teraz!

Słowa te były tak pełne prawdy, tak pełne czystego, głębokiego i obustronnie zrozumianego uczucia, że im obojgu łzy zakreściły się w oczach — i nastąpiła chwila milczenia.

Chwila ta wszakże była bardzo wymowną, śmiemy nawet powiedzieć bardzo piękną, — rzadko bowiem komu się zdarza pierwsze wyraźne tchnienie swojej miłości drobnej wyjawić pod opiekuńczemi skrzydłami owej miłości wielkiej, która pierwsze zajmuje miejsce na ziemi.

Wszakże nie czas było im teraz oddawać się choćby najpiękniejszym marzeniom — jakoż pierwszy się ocknął Bierzyński i tak mówił:

— Wiem, droga pani, że jesteś gotowa oddać na usługi tej sprawy wszystkie zamkowe zasoby, ale nieledwie z żalem muszę pani powiedzieć, że tego wszystkiego nie trzeba. — Żołnierze mają przemysł i umieją sobie dać radę. Jestem zresztą tego najsluszniejszego jak sądzę, zdania, że nadzwyczajne osób prywatnych ofiary powinny służyć tylko nadzwyczajnym potrzebom. A tych jeszcze niema. — Dlatego nateraz proszę tylko, ażeby tutejsi dworzanie wsiedli natychmiast na koń, a co mają robić, już ja im sam szczerogłowo opowiem.

— Tyle tylko?

— Na teraz tyle — odpowiedział Bierzyński i dodał ciszej — a co do wyboru ludzi ze wsi, zgłoszę się później do pani, i tak rozumiem, że taki pobór potrafisz pani sama zarządzić...

— Ach! i dlaczegóż nie! ale czy nie lepiejby zaraz?

— Nie pani, tego nie trzeba, mam ze sobą prawie całą chorągiew, dwieście dwadzieścia ludzi, zbrojnych od stóp do głowy i moich.

Na tę uwagę Annuncyata zastanowiła się chwilę, ale zaraz spytała:

— Proszę pana, jakże myślisz to zrobić?

— Jak to zrobić, sam nie wiem. Są rzeczy, dla których naprzód żadna się nie da przepisać forma, — są zresztą rzeczy, w których weale o formę nie chodzi. Nie wiem tedy, jak zrobić, ale to wiem z pewnością, że mając z sobą chorągiew, co zechcę to zrobić.

— Nie pytam już o nic więcej — odpowiedziała Annuncyata, oczy spuszczać ku ziemi — bo i na cóż moje pytanie! Kiedy pan tutaj jesteś, jużem ja nie potrzebna. Dostyc dla mnie, jeżeli się będę mogła przypatrywać zdaleka i świętym czynom towarzyszyć modlitwą... Jednakże chciałabym jeszcze wiedzieć od pana, gdzie myślicie zgromadzić szlachtę? Sądzę, że może tu najdogodniej?

— Pan kasztelan i na to zezwolił — odpowiedział Bierzyński — ale jabyim wolał gdzieindziej. Jednak i na to zaraz pani odpowiem.

To rzekłszy, odszedł od okna i wzięwszy Gałęckiego pod rękę, przez długą chwilę bardzo z nim żywo rozmawiał.

Annuncyata przez ten czas czekała na niego przy oknie.

Porozumiawszy się ze starostą, wrócił do niej ku oknu i tak odpowiedział:

— Nie pani. Tutaj szlachty zgromadzać nie będziem. Wszystkie podobne zjazdy odbywały się zawsze dotychczas u starosty, toż i teraz tam się zbierzemy. Szlachta już jest przyzwyczajona do tego, — a nie trza nigdy iść przeciw dawnym zwyczajom, kiedy niema koniecznej potrzeby. Tak nawet lepiej i z innych względów. Ale stąd wynika jeszcze jedna prośba do pani. Ja natychmiast ze starostą wyjeżdżam, — dworzan pani biorę ze sobą, bo wolę przez nich rozsyłać uniwersały, niż przez kogo innego, — ale moją chorągiew zostawię u pani, aż póki jej nie powołam do siebie. Czy pani zechcesz ją przyjąć w gościnę?

— Ach! i dlaczegoż nie!

— A więc już wszystko jest ułatwione — rzekł narzeczone Bierzyński — i nie pozostaje mi nic, jak panią pożegnać; na krótko może, lecz może...

— Już! — zawołała Annuncyata drżącym cokolwiek głosem, ale zaraz dodała z siłą. — A więc jedźcie!... Jedź pan... i niech Bóg błogosławi! — Ja biegnę do moich dworzan.

Z temi słowami wyszła prędko z komnaty.

Bierzyński stał przez chwilę, jakby ośniony.

Annuncyata, tak jak mu się dziś objawiła, przeszła jego najbujniejsze marzenia.

Chował on bowiem w swojej pamięci zawsze tylko tę gwiazdkę piękną, która błyszczała niegdy na zamkowej galerii, żegnając go i błogosławiąc w podróż daleką... I myślał pewnie, że i dzisiaj ta sama gwiazdka go zwita, może cokolwiek większa, może trochę piękniejsza...

A tymczasem na jego nagle wypogodzonym niebie pokazało się słońce, które go oświeciło całą pełnią swoich promieni i tymi samymi promieniami miało oddać przyswiecać wszystkim jego drogim i wszystkim uczynkom!

O! jakżeż proste powinny być te drogi, jak czyste i nieskalane, jak może nawet wielkie uczynki, ażeby były zawsze godnymi — takich jasných promieni — takiego słońca!

Młodzieniec myślał nad tem, — ale niedługo.

On zdawał się być pewnym siebie nawet w najniebezpieczniejszych zapasach.

Dlatego zbudził się zaraz z zamyślenia — i porwawszy starostę bydgoskiego ze sobą, wybiegł z nim czempredzej z komnaty, aby natychmiast wyjechać ze zamku.

A kiedy się działo to wszystko w obszernej kasztelana sypialni, panna ksieni, lubo ani jednym słówkiem nie odzywała się do nikogo, przypatrywała się jednak wszystkim z ciekawością niezmierną. Ciekawość ta była nawet oryginalną w swoim sposobie — a przynajmniej odbijała dosyć dziwnie od ogólnego wyrazu osób, zgromadzonych w komnacie. Gdzie bowiem z niecierpliwości wyrywano sobie

słowa w rozmowie, gdzie wszystkie twarze najżywszem błyszczały zajęciem, gdzie nawet co chwila najgorętszy się zapal podnosił, tam ona, — jak duch ponocny, błakający się pomiędzy kolumnami kościoła, jak posąg kamienny, niewiadomą siłą z swej podstawy ruszony, — przechodziła się między niemi, strasząc ich swoją zieloną twarzą i szklanemi oczyma. Chodząc tak, często się zatrzymywała po różnych punktach komnaty, przypatrując się rozmawiającym ze sobą z stron rozmaitych, i była wtedy jak malarz, który obrany przez siebie przedmiot ogląda pod różnymi promieniami łamiącego się światła i cienia; — czasem, przekrzywiwszy głowę na bok, jednym okiem jakby w sufit utkwiła i wyglądała wtedy jak ptak domowy, który śledzi w powietrzu zawieszzonego jastrzębia; — czasem zaś nagle zatrzymała się w miejscu i wyciągnawszy szyję z habitu, zdała się chwycić jakieś dalekie dźwięki wibrujące w powietrzu, i wtedy była jak zbłąkany myśliwy, który nie umiejąc znaleźć się w nieznanym ostępie, co chwila staje i czeka głosu psów albo ludzi, ażeby za nim dalsze swe kroki skierować. — Wszakże tak chodząc, z rękami założonemi za siebie, w których trzymała chustkę i tabakierkę, z ustami otwierającemi się często na ścieżaj, z oczyma dziwnie się mieniaćmi co chwila, to złamana we dwoje, kiedy się przechodziła, to prostująca się jak tyka, kiedy stawała w miejscu, — spoglądała także często i na Martę kowalkę, która stojąc przez cały czas ten o kolumnę kasztelańskiego łoża oparta, z prostym wyrazem radości na twarzy, przypatrywała się temu wszystkiemu, co się działo w komnacie.

Tak było przez cały przeciąg tej sceny, którąśmy opisali powyżej.

Lecz kiedy nareszcie, ukończywszy swoją naradę, wszyscy inni wybiegli z komnaty i zostały się w niej tylko dwie ostatnie kobiety, ksieni zbliżyła się do Marty i stanęła przed nią. Tak stojąc, głowę wyciągnęła przed siebie i wpoila w nią wzrok swój tak przeszywający, tak przenikliwy, jak gdyby nim chciała czaszkę jej przebić i obejrzeć wszystkie najskrytsze komórki mózgu. Już przy pierw-

szem spotkaniu się z tem przenikliwym spojrzeniem, biedną Martę dreszcz przeszedł, jak gdyby jej śmierć zajrzała w oczy. Lecz kiedy mniszka stała ciągle przed nią, nieruchoma jak posąg i milcząca jak posąg, Marta pod przymocą jej wzroku zaczęła blednąć, i więdnąć, i giąć się, — przerażoną jej duszę zaczęły obejmować jakieś straszliwe boleści, jej serce drżało jakby w największej trwodze, a w jej głowie zaczęło się mącić i ciemnieć, jakby traciła już zmysły. Biedna kobieta sama nie wiedziała, dlaczego się działo to wszystko, — ale pomimo to nie miała siły oprzeć się temu, — zdawało jej się, jakby stała nie wobec poważnej ksieni, ale jakby ją straszliwy mistrz w sukni czerwonej trzymał żelazną ręką za ramię i pro wadził na męki. A któż kiedy się wyrwał z ręki takiego mistrza! — Gdyby tak było potrwało dłużej, słaba kobieta byłaby może zwiędła zupełnie i jak trawa kosą podcięta, runęła na ziemię.

Ale wtem panna ksieni, wpoiwszy w nią jeszcze mocniej swój wzrok przenikliwy, zawołała głosem, do którego może długo przerażające zbierała tony:

— I cóż czarownico!?

Słowo to straszne wstrząsło nerwową kobietą tak silnie, jakby piorun koło niej uderzył. Musiała się całkiem oprzeć o kolumnę, aby nie runąć na ziemię. Mniszka patrzyła na nią dziwnie ciekawie, a potem tak mówiła dalej:

— Cóż? powietrzem, czy ziemią? wihrem stepowym, czy chmurą gradową? poświęcanym nożykiem, czy smaźonemi ziołami? cóż! czemu tu sprowadziłaś twojego panicza?

Marta patrzyła na nią osłupiałemi oczyma.

— Czarownica?... — szepnęła ona, nie wiedząc sama zapewne, co mówi.

— Nie! — zawołała mniszka — toż nikt o tem nie wie? i ja nie wiem? i cały świat nie wie? i Ten nawet nie wie, który widzi na wskrós przez serca i sumienia zbrodniarzy?

Trwała chwilka milczenia, poczem żarliwie dodała mniszka:

— Strzeżże się, aby nie dopełniła się miara twoich uczynków i aby On nie powołał na ciebie tych, którzy w Jego imieniu zasiadają do sądu na ziemi!

A w tej chwili wbiegła kasztelanka na powrót do tej komnaty.

Była ona tak wesoła, radosna, promienna, jak nigdy.

— Ciotko moja! — zawołała ona do mniszki, zapominając w szale radości o wszystkim i rzucając jej się w ramiona — jestem tak szczęśliwa, że słów mi braknie! Takiego dnia jeszcze nigdy nie miałam w życiu!

— Cieszę się tem — odpowiedziała mniszka tonem łagodnym i przycisnęła ją do swych piersi; ale odstępując od niej natychmiast, dodała smutno:

— Cieszę się i tem, moje dziecko, ale cieszyłabym się jeszcze daleko więcej, gdyby twoje szczęście z innego, z czystszeo, z wspanialszego, płynęło źródła.

— Czyż i to jeszcze nie wspaniałe jest źródło? — zapytała Annuncyata ze zdziwieniem.

— Może wspaniałe — odpowiedziała mniszka — ale doczesne.

— Doczesne? — powtórzyła Annuncyata — oh! a czyż możemy my się dobić do źródeł wiecznych na drogach innych, jak na doczesnych?

— Idąc po drogach doczesnych — odpowiedziała mniszka — ale nie do celów doczesnych.

— Rozumiem... tak... prawda... — mówiła Annuncyata myśląc nad tem — ale czy żaden z celów doczesnych nie może mieć czasem zasługi wiecznej?

Mniszka milczała.

— Czy naprzykład — mówiła kasztelanka tem śmieję — gdybyś mnie ciotka nakłoniła do tego, żebym sama do klasztoru wstąpiła i cały mój majątek klasztorowi oddała, nie miałabyś w tem zasługi wiecznej?

— Ja... ja... — odpowiadała na to mniszka, a jej twarz na to dziwnie radosnym się oblała uśmiechem — ja... gdyby przyszło do tego, jabym w tem żadnej dla siebie nie szukała zasługi... ale byłaby to twoja zasługa, twoja! a tak wielka i świetna...

— I wieczna? — spytała prędko Annuncyata.

— Jak świat, jak sama wieczność! — odpowiedziała mniszka z zapalem.

— A widzi ciotka! — zawołała na to kasztelanka — otóż taką samą zasługę można położyć i na innej drodze doczesnej. Niechże ciotka przeczyta nasz uniwersał.

To mówiąc, podawała jej papier duży, we czworo złożony. Ale mniszka się odwróciła zachmurzona od tego papieru i rzekła:

— A na co mnie tego... to nie do mnie należy... ja nie rozumiem tych rzeczy...

— Ale zrozumie ciotka, i z największą łatwością. Niechno ciotka przeczyta...

— Ja nie chcę.

— Jakto? więc i tak drobnej rzeczy ciotka dla mnie nie zrobi?

Tu mniszka się zastanowiła chwileczkę i spojrzała w twarz Annuncyacie, która trzymała rękę wyciągniętą ku niej, a w ręce papier. Jakoż złagodniała zaraz twarz mniszki, poczem wzięła od niej ten papier i rzekła:

— Zrobię. Bo i czegożbym też nie zrobiła dla ciebie?

Rozłożywszy tedy ten papier, siadła w krzesło przy owym małym stoliku naprzeciwko „żelaznego krążanku“, i włożywszy na nos okulary, zaczęła czytać cicho dla siebie.

Annuncyata siedziała przy niej i pilnie na nią patrzyła.

Ale zaledwie ksieni przeczytała kilkanaście wierszy od góry, kiedy nagle odwróciła głowę od papieru, spojrzała wielkimi oczyma na Annuncyatę.

— Niech ciotka czyta dalej — rzekła kasztelanka z uśmiechem.

— Trza to przeczytać — rzekła na to mniszka i czytała dalej.

A kiedy ukończyła czytanie, przysunęła się z krzesłem do siostrzenicy, — i potem długo trwała pomiędzy nimi rozmowa, nadzwyczaj żywa wprawdzie, ale dosyć pogodna i zgodna.

IV.

We dwa dni potem nastąpiła niedziela.

U pani podstoliny nowogrodzkiej w Gozdawce dzisiaj niedziela mijała prawie tak samo jak tamta, którejsmy byli tutaj świadkami przed czterema laty.

Tak samo w półciemnej komnacie gorzała lampa na małym stoliku, a przy niej leżała wielka księga Żywotów Świętych.

Tak samo pani Bierzyńska siedziała w krzesle wysokim, mając na podnóżku oparte nogi, a przy nich kota czarnego z czerwoną na szyi wstążeczką i dzwonkiem.

Tak samo opodal od niej siedziała pulchna panna Jukunda, gotowa zarówno do słuchania i Żywotów Świętych i komplementów.

Tak samo nawet, o pół krzeselka za nią, siedział rotmistrz Wścieklica, zawsze jeszcze czekający na śmierć pani stolnikowej gostyńskiej i podkomorzego ziemi wieluńskiej, i zawsze wierny — najpierw królowi jegomości, bo mu służył w dragonii, — a potem imé pannie Jukundzie, „to zawsze setna była dziewczka“.

Nie było tu tedy prawie żadnej odmiany.

Tylko pani Bierzyńska, niewiadomo dlaczego, nie miała dziś swego zwyczajnego spokoju. Z wnieśieniem światła do komnaty zaczęła wprawdzie jak zwykle czytać Żywoty Świętych, ale zaledwie tytuł wypadającego na dzisiaj z miesiąca maja rozdziału odczytała lektorka, zaraz jej pani podstolina przerwała i wybiegła czegoś do swojej alkowy. Kiedy wróciła i zaczęła czytać na nowo, znowu niebawem przerwała i znowu z komnaty wybiegła. Już to więc teraz po raz trzeci zasiadała na swoim krzesle, mówiąc do panny:

— Prosimy tedy jeśli łaska, z początku.

Tedy panna zaczęła czytać w ten sens:

„Żywot Mojżesza zakonodawcy, z Pisma Świętego, to jest, z ksiąg jego wybrany, który też Philo żyd zacny pisał. Żył po stworzeniu świata około roku 1800. — Po

śmierci Josepha w ziemi Egipskiej, naród Jakóba ojca jego, w kilka set lat tak się rozmnożył, iż ziemię prawie wszystką napelnił: a do boju mogło być z nich samych po sześć kroć sto tysięcy. Tedy królowie egipscy, bojąc się, aby kiedy z ich nieprzyjaciół zmówiwszy się wygubić egipcyan nie chcieli: naprzód podatkami wielkimi, potem robotami nieznośnemi, dręczył je i ścisnąć, i ku nędzy a ubóstwu, i wielkiej niewoli przywozidzić poczęli. I z ich potu budowali królowie pałace a zamki, nie ku potrzebie, ale ku chwale i rozkoszy i podziwieniu świata wszytkiego...“

— O! — zawołała w tem miejscu, przerywając znowu pani Bierzyńska — zdaje mi się, że ktoś zajechał. Moja panno, wybiegnij też asińdzka na ganek i obacz.

Panna wybiegła — a Wścieklica szepnął do panny Jukundy:

— Bodajżeby już przyjechał!

— Któż taki?

— Choćby kto! — odpowiedział rotmistrz, choćby też i ten żyd zacny, który ten żywot pisał.

— A kiedyby nam chciał sam powiadać to, co napisał? — zapytała panna Jukunda.

— O! i to racya! — rzekł na to rotmistrz — ale przeciebym wolał słuhać, co mi kto mówi ze swojej głowy a z serca, niżeli pomrukuje za książką. A wreszcie obaczyłbym też zacnego żyda, któregoś jeszcze nie widział na życiu.

Te ostatnie słowa wymówił rotmistrz cokolwiek głośnieję, a panna Jukunda jeszcze głośniejszym zawtórowała mu śmiechem; na co z powagą się odezwała pani Bierzyńska:

— Po raz setny dziś muszę panu rotmistrzowi zazdrościć jego zawsze dobrej i nigdy się nie zmieniającej fantazyi.

— Mościa dobrodziejko! — rzekł na to rotmistrz — kto ma czyste sumienie, ma też i dobrą fantazyę.

— Nie zawsze to podobno czyste sumienie chodzi w parze z dobrą fantazyą.

— Może i tak! Ale co do mnie, nie pamiętam też jeszcze jak długo żyję, żebym się kiedy frasował! Bo co mi z tego! Albo to człowiek do frasunku stworzony? Nie dałby mu Pan Bóg na zamieszkanie tak pięknej ziemi i tak cudnych stworzeń około niego, gdyby go predestynował do smutku. Więc też kiedy widzę smutnego, to już tak mówię, że chyba to jego własna jest wola. Bo jak jejmość dobrodziejkę szanuję, i stoję honorem za to! że choćby już nie wiedzieć co się działo na świecie, to przecie jeszcze niema czego się smuć.

— Jakże? więc nawet ani w rzeczywistych nieszczęściach?

— A choćby też i w nieszczęściach! Bo z nieszczęściami to tak jest: może im człowiek zaradzić, niechże więc w lot rękawy zakasze a radzi; a kiedy nie, niechże więc plunie im w oczy a czapkę sobie postawi na bakier, bo już to jest najlepsze wtedy dla niego *remedium*. Tak ja zawsze sobie pocynam i zawsze na tem wygrywam: anoż mi też jeszcze i włos z głowy nie upadł, chociaż już nieraz w bardzo ciepłych się bywało terminach.

Pani Bierzyńska chciała coś odpowiedzieć, a wtem panna pokazała się we drzwiach i niemyym znakiem zawezwała ją do siebie.

Pani podstolina wyszła — a kiedy owej matrony staruszki, którąśmy tutaj przed czterema laty widzieli, teraz już wcale w tym domu nie było. — Jmé pan rotmistrz Wścieklica został się w tej chwili, z panną Jukundą sam na sam.

Kilka lat długich konkurował już ten zacny kawaler o równie zacną swą narzeczoną, ale przez ten czas cały, dla nadzwyczaj pilnego, i zresztą bardzo chwalebego, pani podstolinej nadzoru, jeszcze nigdy mu się to nie zdarzyło, żeby choć na jedną chwilę ją widział bez świadków. Kiedy więc teraz się to stało przypadkiem, ciężki swoją olbrzymią figurą i podobno nie lżejszy fantazyą, chociaż zresztą tak dzielny, jmé pan rotmistrz, w pierwszej chwili sam podobno nie wiedział, coby miał począć w takiej osobliwej pozycyi? Ale dowcip żołnierski, cudzo-

ziemskiego zwłaszcza autoramentu, zastępował często i najlotniejszą fantazyę. Toż i on teraz, zrekognoskowawszy w mgnieniu oka, że prócz samego kota niemasz żywej duszy w komnacie, najpierwej brzęknął w ostrogi, potem pokręcił węża, spojrzął na pannę Jukundę, uśmiechnął się bardzo przyjemnie, a nareszcie, a ująwszy ją z lekka za rękę, tak się odezwał:

— Moja mościa panno! kiedy nam się tak osobiwa wydarzyła okazya, pozwólże mi waszmość panna, ażebym na jej bielutkiej rączce taki położył pocałunek, jakiego dawno moje spragnione serce pożąda.

Panna Jukunda na taką niespodzianą przemowę troszeczkę się zmieszała, zdało jej się bowiem, że jakoś to jest nie zupełnie w porządku, zdało jej się nawet, jakby w oczach rotmistrza widziała jakieś zamysły zdradzieckie; — wszystko to wszakże nie przeszkadzało rotmistrzowi nic wcale, żeby do swych ust nie przycisnął jej pulchnej rączki, na której też istotnie złożył pocałunek tak dzielny, że panna Jukunda musiała uczuć nawet troszeczkę bólu, bo stanęła cała w płomieniach.

Ale pan rotmistrz, wyglądający w tej chwili jak smok, który połknął gołąbka, tylko się przyjemniej uśmiechnął i rzekł:

— Jeszczem też nigdy, jak żyję, nie miał tyle miodu w mojej gębie żołnierskiej! Anoż to cały ul już być musi w tej buzi!

To mówiąc, wypuścił jej rączkę z swojej gorącej dłoni — ale natomiast objął ją wpół swoim dzielnym ramieniem, a pokręcając znowu lewą ręką wyfiksowanych wężów, gębę przytem rozziwił tak niezmiernie szeroko, że panna Jukunda, obaczywszy tę straszłą paszczę nad sobą, zbladła teraz nagle jak chusta. Przeleżała się biedna i myślała sobie: zje pewnie! — W tym ogromnym przestrachu zamknęła oczy — a tymczasem rotmistrz, nie uważając wcale nic na to, taki sam pocałunek wypalił na jej prawym policzku, jak dopiero na rękę. Tym sposobem nie widziała przynajmniej, co się stało. Wypadek ten jednak tak ją mocno przeraził, że otwo-

rzyła natychmiast swoje wystraszone oczęta — bała się jeszcze niezmiernie — myślała jednak, że tą mimowolną ofiarą już się wykupiła temu strasznemu smokowi, który wyglądał teraz, jakby już połknął jagnię. Ale ci panowie cudzoziemskiego autoramentu byli to smoki nienasycone. Toż i ich rotmistrz, zamiast już odejść sobie w spokoju po tym pocałunku drapieźnym, teraz jeszcze okropniej rozwarł swoją rozżartą paszczę, a przejąwszy ją z prawego w lewe swe ramię, już się przybliżał z nowem pocałowaniem do samiuteńkich usteczek: kiedy wtem panna Jukunda, najstraszliwszą zgrozą przejęta, wyrzuciła mu się jak ryba z jego dragońskiego objęcia, wołając przytem:

— Dla Boga! ciotka!

W tej chwili istotnie weszła na powrót do komnaty pani Bierzyńska. Ale rotmistrz stał już, jak gdyby nie nigdy nie było, i niby całkiem obojętnie pokręcał węża, jednakże dosyć dziwnymi przytem oczyma patrzył na panią Bierzyńską.

Ta zaś, zabrawszy nazad swe miejsce, rzekła do niego:

— Przepraszam bardzo pana rotmistrza, że go tak la-dajako zabawiam, ale dzisiaj dzień taki, że nie mogę być w nim spokojną.

— Anoż prawdziwie — rzekł na to rotmistrz — ja-koś dziś jejmość pani wcale dziwnie się tryndasz!

Pani podstolina spojrziała znaczącym wzrokiem na niego i rzekła:

— Za to też pan rotmistrz jesteś dziś jako kamień.

— Ja, jako kamień — powiedział rotmistrz.

— Czemu się też, mówiąc otwarcie, i nadziwić nie mogę — zawołała na to pani Bierzyńska — bo nie rozumiem wcale jak w takich czasach można być tak nie-ruchomie spokojnym.

— A cóż to mamy za czasy?

— Jakto? alboż to waszmość nie wiesz? czyż nie mówiliśmy dopiero co o tem?

A na to rotmistrz:

— Że się tam szlachta trochę huczniej przejeżdża po dworach, że hałasuje, że węża sroży, już to stąd inne jak

dotąd mają być czasy? Nie widzę ja wcale, czemu by się tu niepokoić, i tak też radzę jejmości: bo stoję honorem za to, że w skutku tego ani jedna gwiazda z nieba nie spadnie.

— Gwiazda z nieba nie spadnie — odpowiedziała na to pani Bierzyńska — ale może upaść nie jeden człowiek, mogą upadać domy.

Te słowa zastanowiły trochę rotmistrza, jakoż pomyślniejszy cokolwiek, zapytał:

— Powiedźże jejmość pani, ale sumiennie, czy jejmość myślisz, że z tej tam jakiejś konfederacyi, która się gdzieś tam zawiązała na granicach tureckich, może naprawdę co ważnego wyniknąć?

— Waszmość mnie pytasz tak, jak dziecko — odpowiedziała na to, trochę już zniecierpliwiona pani Bierzyńska — czy nie słyszysz, co ludzie mówią? czy nie czytałeś uniwersału? czy nie wiesz wreszcie, że mój syn dla tej sprawy o tyle mil tutaj przyjechał?

— Fi! uniwersał! — zawołał na to rotmistrz — jużci czytałem to osobiście kazanie, aleć to wcale nie jasna rzecz! Frazesów pełno, są też między nimi i piękne, ale stoję za to honorem, że ani sam Cycero z nich się nie dowie, o co to chodzi. Opresye, ukrócenia wolności, eksorbitancye, toż to rzeczy stare jak świat. Od czego by też szlachta żyła na świecie, żeby się o to nie upominała u króla! Upominają się więc przez instrukeye, dawane posłom na sejmikach, upominają się zasie na sejmach: a kiedy im jeszcze nie dosyć, to się konfederują. A czy tu, czyli owdzie, kto co wytarguje dla siebie, ten wygrał. Ale żeby stąd zaraz padały domy, jeszcze też daleko od tego, ba nawet i mowy niema. Dawnożto się skończyła konfederacya radomska, a cóż z niej? otóż to mało niewiele więcej będzie i z Barskiej. Jeżeli więc o to li chodzi, to ja spać będę spokojnie: a kiedyby mnie ten hałas zbudził, to się obrócę na drugi bok i znów spać będę spokojnie. To więc jedna jest rzecz. Zaś co do tego, że dla tej sprawy Józef tutaj przyjechał,

to powiem jejmość pani po prostu, że co mógł najgorszego zrobić, to zrobił. Nie mi tam na tem, to jest właściwie, nie mi do tego; ale kiedy widzę, że kto tyle szczęścia w jednym mrugnieniu oka marnuje, już mi trudno co nie powiedzieć. Bo żeby on tu był od regimentarza przysłany, albo od hetmana, albo li też od króla, nie może to być. A kiedy ruszył ze stancji ze swojej woli, to opuścił swoją chorągiew i uciekł: a tak już jest zapieczętowany na zawsze!

— Mości panie! — zawołała na to pani Bierzyńska — mój syn nie opuścił swojej chorągwi, bo ją przyprowadził ze sobą.

Rotmistrz pomyślał nad tem — a potem rzekł:

— I to racya! niema co mówić. Bo był on tam zastępcą regimentarza i miał główną przy sobie komendę, a więc z chorągwią mógł ruszyć tu albo owdzie, gdzie mu się podobało. Ej! mądryż to ptaszek, jak widzę, ten Józef! Patrząc jejmość, ot! kiedyby go wzięto na kryg-zrecht, chociaż to sądy surowe, przecieżby się może jeszcze i jako wykrcięł, zwłaszcza, że głowa tak dworska i sztuczna.

— Wątpię bardzo — rzekła na to pani Bierzyńska — aby mój Józef o kryg-zrechcie coś myślał, kiedy z granicy wyruszał.

— Może być, że nie myślał, ale mu się to cudnie udało. I wiesz jejmość co, niech tylko oprócz tego nie więcej nie robi, on się jeszcze z tego wykrcię. Jabym jemu sam w tem dopomógł.

— Dajże mi waszmość pokój! co też waszmości się nie roi po głowie!

— Ale moja dobrodziejko! posłuchajże mnie jejmość z swej łaski, bo jak mi Bóg miły, tak mi żal serdeczny Józefa, a stoję honorem za to, że w taki barszcz się zanurzy, z którego go potem już nikt nie wyciągnie. Słuchaj mnie jejmość, bo to te konfederacye to wszystko furda...

— Panie rotmistrzu! — przerwała mu podstolina — mam do waszmości jedną prośbę.

— Cóż tedy?

- Nie mówmy o tem.
- A to dlaczego?
- Waszmość jesteś zacnym człowiekiem...
- No, i ja tak rozumiem.
- O cały świat się różnimy w opiniach.
- No, i to prawda.
- Nie przekonamy się nigdy.
- Jeśli każdy stać będzie przy swoim, to pewno, że nie.
- Mamyż się skłócić ze sobą, uwłaczać sobie nawzajem, a nakoniec się znienawidzić?

Rotmistrz pomyślał nad tem, a potem rzekł:

— Ale, bo jejmość trwasz przy opiniach, które jako świat światem...

— Mogę i waszmości to samo powiedzieć.

— Ale bo widzi jejmość... bo jakże to wymagać odemnie?...

— Ja wiem, że od waszmości nie wymagać nie można i dla tego nie nie wymagam.

— Hm! — mruknął na to jme pan Wścieklica, chciał coś mówić, lecz umilkł i w milczeniu przechodził się po komnacie.

Pani podstolina patrzyła bardzo ciekawemi oczyma na niego, i prawie każdy ruch jego śledziła, bo zdało jej się, jakby ten żołnierz żelazny zachwiał się w sobie w tej chwili i jakby rozważał w swoim sumieniu, co uczynić powinien: czy pozostać wiernym swej służbie? czy uznać słuszność konfederacyi. — Ale pani podstolina się podobno myliła.

Wszakże panna Jukunda przypatrywała się rotmistrzowi w tej chwili jeszcze daleko ciekawiej — a co ważniejsza, myślała oko w oko to samo, co jej opiekunka i ciotka. I więcej jeszcze; kiedy bowiem pani Bierzyńska tylko może sobie tego życzyła, aby Wścieklica się zachwiał i do konfederacyi przystąpił: panna Jukunda pragnęła tego, i nawet, jako rzeczy, nie powiemy koniecznej, ale nadzwyczaj dla siebie milej, wyczekiwała. Z tego, jak nam się panna Jukunda przedstawiła dotychczas, zaledwie mogli-

byśmy jej przyznać zdolność do takich uczuć i myśli. Bo najpierwej inne to były czasy i czasy takie, w których nie jedno uczucie, które dziś, spotykając rzadziej, zwiemy wielkiem, było natenczas zwykłym i zupełnie codziennym. A powtóre, nie należy zapominać nam o tem, iż właśnie wszystkie uczucia wielkie mają to do siebie, że są naturalne i proste, a stąd dla każdego, byle nie spazzonego serca dostępne. Uczy nas zresztą doświadczenie i tego, że chociaż gdzie znajdujemy wykształcenie obszerne, polor wykwintny i gładki, a nawet wszystkie drobnostkowe objawy pewnem uczuciwem oddychające powietrzem: nie koniecznie tam jeszcze znajdujemy zarody uczuć, zdolnych do wzniesienia się i wielkości; przeciwnie nawet, wszystkie te piękne objawy bywają nawet tylko sztucznym przybozem, a niejednokrotnie są jak mozaika, która nam bardzo piękny przedstawia obraz, ale właśnie tym wielobarwnym obrazem zakrywa przed nami niejednolitość płyty i jej sztucznie złożoną naturę. Panna Jukunda tedy, lubo nie miała obszerniejszego wykształcenia, ani gładszego poloru, ani nawet form wykwintniejszych, miała jednak w swem zdrowem ciele serce zdrowe, a w tem sercu równie zdrowe uczucie.

Z tem też uczuciem patrzyła ona teraz na swojego rotmistrza, i dziwnie jej się przytem robiło. Znała go ona już od tak dawna i znała go jaknajdokładniej, i zdało jej się, że już nigdy nie nowego w nim nie obaczy: jednakże teraz coś jej się stało takiego, jak gdyby w swym narzeczonym cały świat nowy odkryła, o którym dotychczas nie miała ani przecucia. I było jej tak, jak się nam czasem zdarza z obrazem, który oglądamy w pracowni malarza. Widzimy ten obraz bez ram i ozdób, postawiony na przeznaczonem dla siebie miejscu i w dostatecznem dla oka świetle, widzieliśmy go już kilka i kilkanaście razy, obejrzeliliśmy jego wszystkie szczegóły i zdaje nam się, że już tam nie ma ani jednego cienia, któregośmy nie znali i nie ocenili — lecz kiedy go ujrzymy w galerji, gdzie w stosowne ramy ujęty i postawiony w pełni odpowiedniego światła, otoczony jest tysiącami obrazów in-

nych: wtedy stajemy przed nim pełni zdziwienia i mówimy do siebie: Ach! jakże to inny jest obraz! jak wcale inne jego znaczenie. Tak nam się zdarza jeszcze daleko częściej z ludźmi, których nieraz przez długie lata i lat dziesiątki znamy w ich codziennej pracowni, ale ujętych w stosowne ramy i postawionych w jasnym niezwykłych wydarzeń światła, nie widzieliśmy nigdy i może nigdy nie obaczymy w tem życiu. Może i nigdy — bo wystawy dla utworów sztuki urządzają ludzie co roku — ale wystawy dla ludzi urządził ten duch niepojęty, który od czasu do czasu wstrząsa społeczeństwami w ich najgłębszych posiadach, ażeby się pozamykały nieprzyskrzyżowane grobowce ojców, a pootwierały nowe gościńce dla synów. Teraz był w Rzeczypospolitej także podobny moment — i dlatego w tak nowym świetle pokazywali się sobie nawzajem ludzie, chociaż już dawno pomiędzy sobą znajomi. Panna Jukunda czuła to w tej chwili najmocniej i myślała nad tem mozolnie. Jej serce nawet było tak pełne wcale nowego uczucia, że już jej przychodziła chętka, wszystko to wypowiedzieć: ale panna Jukunda była od dziecka przyzwyczajona, mówić li wtenczas, kiedy była pytana. Lata dziecięce dawno już przeszły, ale przyzwyczajenie zostało — i dlatego nadobna narzeczona rotmistrza milczała ciągle, chociaż czuła tak wiele.

Pani Bierzyńska także nie miała ochoty mówić — a rotmistrz... rotmistrz byłby miał wiele do powiedzenia w tej chwili. Ale znajdował on się w tem położeniu, jak kiedy ktoś, wniósłszy swe zdanie w szranki dysputy, zostanie pobitym zupełnie, pobitym, ale nie zwyciężonym; czuje on w swoim sercu, że pomimo pobicia przecie ma słuszność, chciałby się bronić na nowo — lecz wiedząc o tem, że już wszystko, co miał na swoją obronę, powiedział przedtem, nie chce tych samych rzeczy powtarzać — i milczy. Rotmistrz więc, Bóg wie sam, nad czem myślał w tej chwili, lecz także milczał.

Jednakże lubo wszyscy milczeli, wszyscy także wiedzieli a raczej czuli, że się znajdują obecnie może w najkrytyczniejszej chwili swoich wzajemnych stosunków. Znali

się oni już od tak dawna, tak długie lata przeżyli z sobą w takiej blizkiej przyjaźni, wiązały ich nawet jeszcze daleko bliższe niż sama przyjaźń widoki: ale pomimo to wszystko jakieś złowieszcze przecucie ich ostrzegало, że teraz, lada wietrzyk kiedyindziej nieznaczący, lada wiadomość jakaś ze świata, lada ktoś czwarty, któryby między nich wstąpił, prawieby musiał ich doprowadzić do tego, że albowy się jeszcze daleko silniejszym węzłem połączyli ze sobą, albo... może i rozstrzelili na zawsze.

Wszakże w tych ożywionych czasach na taką czwartą osobę nie długo trza było czekać.

Jakoż istotnie w niedługiej chwili dziedziniec Gozdawieckiego dworu zatętnił jakby nagle wpadającymi weń końmi, a zarazem dał się słyszeć szczełk bronii i niby pochrzęt stalowych zbroi.

Na ten odgłos wszyscy się poruszyli.

Wścieklica stanął na środku komnaty, jakby się chciał przekonać, czy go słuch nie omylił — panna Jukunda wybiegła do okna — a pani podstolina zerwała się z krzesła i zawołała:

— Ach! to pewnie mój Józio!

W samej rzeczy w ten moment otworzyły się drzwi i wszedł do komnaty Bierzyński.

Rozpatrzywszy się po półciemnej komnacie odedrzwii, pobiegł on czempędzej ku matce i uklękawszy przed nią, zawołał:

— Moja matko kochana!

— Dziecko moje! — wołała na to ze łzami pani Bierzyńska, pochylając się ku niemu i obejmując jego głowę obiema rękami — dziecko moje najdroższe! przecie cię widzę znowu w tem życiu!

To mówiąc, podniosła go prawie siłą ze ziemi, a lubo była do samej głębi wzruszoną, zapytała jednak natychmiast:

— Ale powiedzże mi jaki jest skutek twoich zabiegów, bo od posłańców nie mogłam się wiele dowiedzieć? Konfederacya Sieradzka...

— Już zawiązana — odpowiedział Bierzyński.

— A jej marszałkiem?...

— Ja, moja matko!

— Ty, mój synu najdroższy! — zawołała pani podstolina, rzucając mu się na szyję — oh! czyż się mogłam spodziewać tyle szczęścia przed grobem!

Ta nadzwyczajna uciecha matki tak wzruszyła zacnego młodzieńca, że się nawet i jemu łzy z oczu puściły — i przez chwilę nie było słychać nic tylko szlochanie. Jednak głęboko religijna i w największym szczęściu nawet pokorna podstolina nie dała się zbyt znacznie swojej radości unosić i zawołała zaraz:

— Oh! gdybyż tylko twój wiek młody podolał tak wielkim i wielostronnym ciężarom! gdyby sprawa powszechna miała z ciebie rzeczywisty pożytek! gdybyś przy tak świetnych i prawie jeszcze nie zasłużonych zaszczytach, znalazł nagrodę i w sercach braci i w twem własnym sumieniu!

— O! bądź spokojna o to, moja matko kochana! ufam ja Bogu, że mnie nie zechce opuścić na tej tak ważnej drodze. Nie jestem ja już zresztą tak młody, nie bez doświadczenia w podobnym zawodzie, nie bez pewnej ufności w me własne siły! Bądźmy więc sobie spokojni... ja-koś to będzie! I dobrze będzie — dodał w końcu Bierzyński głosem pogodnym i pewnym — a kto nie wierzy, niech ma tylko cierpliwość, a będzie miał i dowody.

To mówiąc, kłaniał się panie Jukundzie, a potem rękę do Wścieklicy wyciągnął i zawołał wesoło, chociaż głosem dosyć wyniosłym:

— Czołem, panie rotmistrzu! kopa lat, jakem ciebie nie widział.

— Czołem, jaśnie wielmożny marszałku — odpowiedział sucho Wścieklica — i ja też tak dawno nie miałem tego honoru...

— Cóż? — rzekł na to Bierzyński — bo jakoś smutno mnie witasz?

— Smutno? — powtórzył rotmistrz — bom też i nie wesoły.

— Ale cóż to takiego? przecież, o ile sobie mogę

przypomnieć, bywałeś zawsze najweselszym ze wszystkich. Czasem, jak to dobrze pamiętam, miewałeś nawet przeraźliwą wesołość. Cóż cię to odmieniło tak nagle?

— Mamże ci powiedzieć po prostu?

— Jeżeli łaska...

— A to ci powiem! bo mnie już i to srodze zafrasowało, kiedym się dowiedział, żeś opuścił twą stanicę dla szzerzenia konfederacyi; ale kiedy cię widzę tej konfederacyi marszałkiem, już mi się serce rozkroiło na dwoje!

Słowa te były dla Bierzyńskiego tak dziwne, że popatrzył na rotmistrza najciekawszymi oczyma, a potem rzekł:

— Nie rozumiem cię zupełnie.

— Przecież mówię po polsku — odpowiedział Wścieklica.

— To więc jakżeż? a żeby się także zapytać po polsku — rzekł na to przystępując bliżej do niego Bierzyński — czy ty nie myślisz łączyć się z nami?

— Ja? — powtórzył Wścieklica, odstępując o krok cały i patrząc dumnie na niego — nie rozumiem, jak możesz pytać się o to, panie poruczniku chorągwi?

— Ależ panie kapitanie regimentu buławy wielkiej koronnej! to chyba waszmość o tem nie wiesz, że jednym z pierwszych, który się do tej konfederacyi przyłączył, jest sam dzierżyciel tejże buławy, sam pan hetman koronny?

— Hetman koronny? — powtórzył rotmistrz i cofnąwszy się jeszcze o krok jeden, spojrztał takimi oczyma na niego, jakimi się patrzymy na tego, który nam oczywiste powiada kłamstwo.

Ale Bierzyński nie musiał tego spojrzenia uważać, co nawet i trudno było przy słabem świetle w komnacie, bo go zapytał po prostu:

— I cóż ty na to?

Ale rotmistrz tylko ramionami wzruszył i rzekł:

— Dajże mi pokój!

To wszakże zniecierpliwiło młodzieńca, jakoż przystąpił do niego i tak mówił:

— Słuchaj mnie panie bracie! nie ma tu czasu na długie dysputy i nie myślę ich z tobą prowadzić. Ale że cię szanuję zdawna, więc cię pytam krótko i węzłowato: czy pomimo to, że się konfederacja zawiązała ogólna, że na jej czele pierwsze stanęły głowy, że kilkanaście województw już się manifestowało publicznie, że za lada parę tygodni cała Rzeczpospolita stanie w pospolitem ruszeniu pod bronią: czy pomimo to wszystko ty na zawsze myślisz pozostać w twoim regimencie dragonii?

Rotmistrz patrzył na niego przez chwilę, a potem po dragońsku splunął na ziemię.

— Cóż to znaczy? — zapytał surowym i prawie gniewnym głosem Bierzyński.

— Mój kochany Józefie! — zawołał po chwili rotmistrz z otwartą dobroduszością — czyś ty ten rozum, który miałeś tak bystry, już całkiem zagubił na Kresach? bo doprawdy, że już nie umiem co innego pomyśleć. Czyż ty już nie wiesz o tem, że jeszcze żadna konfederacja nie przetrwała ani jednego króla: a niektóry król przetrwał ich nawet i kilka? czyż nie wiesz o tem, że to srożeńie się wasze potrwa jaki miesiąc albo i kwartał, a potem i śladu z niego nie będzie? po jakiegoż ty dyabła porzucił swoje porucznikowstwo, i po jakiego ty dyabła jeszcze mnie pleciesz takie duby smalone? Anożbym tego nigdy się nie spodziewał po tobie!

— Mości panie! — rzekł na to Bierzyński — i waszmość seryo to mówisz?

— Mówię, co myślę.

— W takim razie... — powiedział na to zimnym tonem Bierzyński, ale nie skończył, dając resztę do zrozumienia równie zimnym ukłonem.

Te dwa słówka i ten ukłon zimny zmieszały jednak Wścieklicę. Tak zmieszany, wziął on do ręki kapelusza i rzekł przeciągle:

— W takim razie... — ale także nie skończył, tylko coraz bardziej się mieszał. Rzucił on po kolei oczyma, to na podstolinę, to na pannę Jukundę, a jego twarz dziwnie się w tej chwili mieniła — ale przytem miał tylko

w rękach kapelusza i kręcił się w miejscu, nie umiejąc na nic się zdecydować.

Czuł on teraz, że nie może inaczej postąpić, jak natychmiast wyjechać; ale czuł to z wielką w sercu boleścią, bo wiedział pewnie, że wyjedzie, ale nie przeczuwał nawet, czy wróci?

Jednakże kiedy tak chwiał się w miejscu, rzucając tu i owdzie oczyma, spojrział także mimochodem na Bierzyńskiego...

A Bierzyński stał przed nim jakby posąg kamienny i patrzył na niego kamiennymi, i więcej, bo dziwnie przystem przenikliwymi, i jeszcze więcej, bo nawet wcale pogardliwymi oczyma.

I to go zdecydowało.

Zwrócił się więc do podstoliny i rzekł głosem przeciągłym:

— W takim razie... nie pozostaje mi nic... jak waszmość panią pożegnać.

To mówiąc, chociaż był już zdecydowany, patrzył na nią jednak takimi oczyma, jakby wyczekiwał od niej jakiejś pomocy.

Ale pani Bierzyńska, stosując się w tej chwili zapewne więcej do woli syna, niż swojej własnej, tylko mu się ukłoniła w mileczeniu.

To jeszcze mocniej zabolowało rotmistrza.

Tak serdeczne stosunki lat tylu, tak długi łańcuch wymienianych i wspomaganych wzajemnie uczuć, rozbrzydliwa teraz jedna znikoma chwila! — to go niezmiernie bolało.

Ale miałże dla tego nie dowiedzieć się tego, czego się ma spodziewać na przyszłość?

Nie!

Jakoż, lubo dziwnie zmieniony i chwiejący się cały, zbliżył się zaraz do panny Jukundy i rzekł:

— Moja mościu panno! odjeżdżam w okolicznościach takich, że kto wie, ażali mi da Bóg wyjść z nich w całości i do tego domu powrócić. Lecz jeśli wrócę, mogęż

być pewnym, że w sercu waszmość panny znajdę te same względy, jakich mnie godnym uznawałaś dotychczas?

Wszystkich oczy zwróciły się teraz na narzeczoną rotmistrza, wszyscy też byli ciekawi, co mu też panna Jukunda odpowie? A panna Jukunda tak mu odpowiedziała:

— Mój mości panie! Nie taję tego, że z wiedzą i przyzwoleniem mojej pani ciotki mam przychylnie dla waszmości afekty. Najszcześniejszą będę, jeżeli serce moje będzie mogło w nich wytrwać na zawsze. Lecz jeśli waszmość z swej własnej woli staniesz się ich niegodnym...

— Niegodnym? — powtórzył rotmistrz — a co to znaczy?

— To znaczy — odpowiedziała panna Jukunda — że jeżeli na waszmości obaczę niewinną krew moich braci...

— Krew! — zawołał rotmistrz, przerażony do najwyższego stopnia — a przecież jestem żołnierzem!

To mówiąc, patrzył na nią takimi wystraszonemi oczyma, jakby śmierć własną obaczył.

Ale panna Jukunda milczała.

— Oh! — zawołał rotmistrz głosem najgłębszej rozpacz, chwytając się ręką za skronie — jestem najnieszczęśliwszym z ludzi!

A w tej chwili twarz jego, zawsze nie bardzo ładna, tak się okropnie zmieniła, że litość brała, patrzeć na nią. Cały jej wyraz bowiem wykrzywił się takim bólem, jak u zbrodniarza wziętego na męki, szerokie, wypukłe czoło okryło się potem kroplistym, a oczy, zaokrąglone z przerażenia jak galki, wyglądały jakby dwa szkła nieruchome, w których się odbijały męki piekielne. Nieszczęsny rotmistrz cierpiał w tej chwili okropnie.

Widząc to młody marszałek, ulitował się nad nim.

Jakoż przystąpił w ten moment ku niemu, ujął go z lekka za ramię i rzekł:

— Ale mój kochany rotmistrzu! i dlaczegoż się sam oddajesz w takie straszne tortury? dlaczegoż chcesz być koniecznie cudzej sprawą narzędziem...

Ale w tej chwili rotmistrz się zbudził.

— Narzędziem! — zawołał on, patrząc z dumą na

Bierzyńskiego — ja nie jestem narzędziem! Jestem całym członkiem Rzeczypospolitej, który przyjął na siebie względem niej obowiązki, dał swoje słowo i przy tem słowie stać będzie jako mur, aż do grobu!

A to mówiąc, łzy miał na oczach i głos chociaż silny, także łzami zalany.

Wszakże potem już tylko rzucił błędniemi oczyma na obiedwie kobiety, jeszcze więcej zdławionym głosem zawołał:

— Bywajcie zdrowi! — runął do drzwi jak szatan — i zniknął.

Po jego odejściu trwało przez dłuższą chwilę milczenie.

Zwycięstwo, które w przytomności wszystkich, pomimo tak silnego oporu, odniósł nad sobą Wścieklica, nie mogło przejść bez pewnego wrażenia, któremu też się wszyscy pomimowoli poddali.

Nad czem zapewne myśląc, pani podstolina zawołała nareszcie z westchnieniem:

— Cóż za osobliwszy upór jest w tym nieszczęsnym rotmistrzu!

— Moja matko! — odpowiedział na to Bierzyński — to nie jest upór, to jest charakter. Ale i najsilniejszy charakter na nic się nie przyda, jeżeli brodzi w ciemnościach.

Pani Bierzyńska chciała odpowiadać coś na to, ale młodzieniec jej przerwał, zapowiadając jej przedewszystkiem, że lada moment ma za nim przyjechać cała jego chorągiew razem z niewielką liczbą szlachty, która się zaraz z nią połączyła — trzeba by więc pomyśleć o tem, czemu by ich przyjąć i przyzwoicie ugościć.

Matka zapytała go jeszcze na prędce o dalsze szczegóły tejsze konfederacy i jego własne nadal zamysły, ale nie dowiedziała się więcej w tej chwili, jak tylko tyle: że konfederacya sieradzka zawiązała się rzeczywiście, że on jej marszałkiem, Lenartowicz regimentarzem, że nie wiele szlachty jeszcze się przyłączyło, ale że bardzo wielu przyrzekło zgromadzić się jutro w Gozdawce i oddać się pod

jego komendę. A kiedy jej jeszcze dodawał: że w każdym razie tylko jeden dzień tutaj zabawi, a pojutrze wyrusza w pole — właśnie nowy tętent i hałas dał się słyszeć w dziedzińcu.

Matka więc wybiegła czemprowadz do swoich ludzi — a Bierzyński na ganek, aby powitać swych gości.

V.

Było to już około połowy sierpnia — i był dzień nadzwyczajnie pogodny i cichy.

Słońce się już pochyliło ku zachodowi — a stary Barnaba siedział w cieniu swojego rozłożystego dębu, odpoczywał po pracy i dumiał sobie samotnie.

Stary Barnaba był jeszcze dziś tak czerstwy i silny jak nigdy, a cztery lata minione nie zostawiły na starym sędziwym ani śladu po sobie. Tylko około niego pozachodziły niejaki zmiany, ale i te nie wielkie. Nie był on już teraz włodarzem w służbie swojego dworu, i stąd miał więcej trochę spokoju. Jego syn wyrósł znacznie, był jeszcze wciąż w szkołach i za trzy lata już się miał wyświęcić na księdza — a stąd starszek był już daleko bliższym swej nadziei. Ale też na tem kończyło się wszystko — bo zresztą siedział on sobie spokojnie na swojej zagrodzie, pracował skrzętnie na swoim gruncie i więcej nie chciał wiedzieć o niczem. Dawniej, miał on, jak wiemy, daleko wyższe, daleko obszerniejsze widoki — ale dziś już je całkiem porzucił. — Dziś — zasiać swe grunty i zebrać zbiory, wyżywić swoją nieliczną czeladkę, utrzymać syna w szkołach krakowskich, doczekać się jego święcenia i obaczyć go wydartego opiece dworskiej, a oddanego opiece Boskiej — więcej niczego nie pragnął.

Ludzie, pogodzeni zupełnie ze swoim losem i nie mający już żadnych ambicyi, bywają zwykle bardzo cisi na sercu i spokojni w umyśle. Toż takim samym był i stary Barnaba — i więcej nawet, bo był on już teraz obojętnym na wszystko, co nie dotyczyło wprost jego osoby.

Dawniej, kiedy miał jeszcze jakieś obszerniejsze dla siebie widoki, był on nadzwyczajnie wszystkiego ciekawy. Sprawy wsi, w której mieszkał, znał wszystkie na palcach i wszystkimi się żywo zajmował; nie były mu nieznanymi i sprawy województwa całego, a lubo nie mógł brać w nich czynnego udziału, jednak głośno pochwalał dobre i rozumienie ich rozszerzał w swojej gromadzie; nawet o sprawach krajowych wtedy dowiadywał się z ciekawością, pilnie je w swoim sumieniu rozważał i towarzyszył im szczerem swego serca życzeniem. Ale dziś ani pytał się o to. Było to nawet uderzającym. Dziś bowiem każdy dzień prawie przynosił jakąś ciekawą wiadomość: tu spadły wojska jakieś i zaległy swymi tabory wsi kilka; tam zburzyła się szlachta i poleciała gdzieś w pędzie koni, pod rozwianym sztandarem, z dobytymi szablami w rękach; gdzieindziej nocą luny krwawe rozgorzały na niebie; tu znów o świcie znaleziono stosy ciał martwych i sadzawkę krwi niezakrzepłej; i te wszystkie straszliwe wieści dociskały się i do starego Barnaby — ale on na to wszystko wychodził tylko przed swoją chatę, a przekonawszy się, że jeszcze nie masz trupów na jego gruntach, że krew nie płynie pod jego płotem i nikt pod jego strzechę z płonąca nie podkrada się głownią, wracał nazad do chaty, jakby nic nigdy nie było. Kto znał dawniej Barnabę i znał go teraz, nie mógł mu się nadziwić. Ale ludzie dziwnie zmieniają się z czasem!

Tak też samo i dzisiaj, spokojny całkiem i obojętny, siedział on pod cieniem swojego dębu — i myślał. O czym myślał, Bóg raczy wiedzieć! ale pewnie ani o wojnie, ani też o rozruchach. Jaka cisza bowiem była tej chwili w powietrzu, jaka około niego, taka sama smutna, poważna, niezamącona cisza odbijała się i na jego sędziwej twarzy, i taka sama była także i w sercu.

Ale tuż nie daleko przed jego chatą ciągnął się publiczny gościniec — gościniec ten nie należał już ani do jego zagrody, ani nawet do jego gruntów — i na tym gościńcu wcale już ciszy nie było. Przeciwnie nawet, był tam ruch dosyć żywy i nieledwie co chwilę można było

coś nowego obaczyć. Raz więc przebiegła w cwał jakaś landara pańska, otoczona liczną służbą na koniach — to znowu długim korowodem przeciągały fury ładowne — czasem pokazał się żydek przebiegający jednokonnym wózekkiem — to znowu oddział jakiegoś wojska mignął się przed kaplicą, zaszumiał chrzęstem zbroic i kopyt końskich tententem, zostawiał gruby tuman gęstego kurzu za sobą i zniknął. W takiej samej zaś mierze, jak ten szum zbrojny niktął gdzieś w oddaleniu, tutaj, ten tuman kurzu, to podnosząc się w górę, to opadając na ziemię, rzedniał coraz więcej i stawał się przezroczystym: a na jego tle szaro-błękitnem, przetykanem jak gaza wschodnia złotemi nitkami słońca, z początku rysowała się niewyraźnie, potem coraz widomiej, a nareszcie, jak gdyby z niebieskiego obłoku lub ze snu niewinnego dziecięcia występowała przed oczy piękna graniczna kaplica. Oprócz więc rozmaitego znaczenia, jakie mógł mieć ten ruch ożywiony, zdarzały się czasem piękne widoki nawet i dla samego oka: ale Barnaba zaledwie patrzył na to, a czasem nawet i wcale nie patrzył.

Jednakże na godzinę może przed zachodem słońca, okazało się na tym gościńcu takie widowisko, na które kiedy spojrział staruszek, już mu się przypatrywał, i to nawet dosyć ciekawie. Nie było tam właściwie nic tak bardzo osobliwego, bo widowisko to przedstawiało tylko dość zwykłych w owym czasie podróżnych: ale przecież było to osobliwem, że w tej chwili w tem miejscu zjechały się odrazu dwie gromadki podróżne, które zatrzymawszy się na środku gościńca, rozmawiały ze sobą. I tak od południa nadjechała otwarta poczwórna kolasa, w której siedziało dwóch mężczyzn, o ile się zdawało, dosyć poważnych i nawet już w wieku podeszłych: od północy zaś nadeciągnęło siedmiu ludzi na koniach, którzy, lubo zwyczajnie ubrani, byli jednak uzbrojeni z żołnierską i bardzo coś zakrawali na konfederatów. Barnaba im się przypatrywał dosyć ciekawie; lecz kiedy rozpatrzywszy się pilnie: zdawało mu się, jakby niektórzy z nich byli mu da-

wniej gdzieś znani, wstał z miejsca, zasłonił oczy od słońca i przypatrywał się jeszcze tem lepiej.

Wszystko to wszakże trwało li krótką chwilę, — podróżni ci bowiem, pogadawszy ze sobą słów kilka, zaraz zaczęli zwolna z drogi nawracać, a nakręciwszy ku chacie Barnaby, wszyscy razem, i wozowi i jezdni, zajechali w dziedziniec zagrody. Barnaba stał pod dębem i przypatrywał się temu wszystkimu ze zdziwieniem.

Zdziwienie jego wszakże się zmniejszyło o wiele, kiedy w niektórych z swoich gości niespodziewanych poznał istotnie swoich dawnych znajomych. I tak ci, co siedzieli w kolasie, byli mu obadwa znajomi: jednym z nich bowiem był pan Gałeczki, starosta bydgoski, a drugim znany mu także imię pan stolnik Szadkowski. Z jezdnych zaś poznał na prędce Biesiekierskiego, ale tak mu się zdało, jakby tam między nimi znajdował się jeszcze drugi z tych dawnych towarzyszyw Dzierżanowskiego, którzy niedługo przed czterema laty razem ze swoim przywódcą wyratowali go od pożaru.

— Mój kochany Barnabo! — rzekł do niego starosta, wysiadając z powozu — przyjeżdżamy do ciebie w gościnę, ale się tem nie frasuj, bo zabawimy tylko małą godzinę.

— Jw. panie — odpowiedział Barnaba — miałbym stąd największą uciechę, gdybyście ichność zabawili u mnie jak możecie najdłużej, żebym miał tylko przyjąć czem wdele gośności...

— Dziękujemy ci, mój kochany — zabrał głos znowu starosta — ale nie chcemy cię wcale naszą gościnnością obciążać. Aniśmy też o tem myśleli, żeby ciebie nawidzać dzisiaj, tylkośmy się tu z tymi panami bracią przypadkowo zjechali, a że nam trzeba ze sobą pogadać, więcemy się tu pod twoją opiekę schronili.

To rzekłszy, obrócił się zaraz do swych jezdnych i rzekł:

— Ale waszność może i głodni? jeżeli tak jest, to poprosimy naszego starego przyjaciela, aby was czem posilił, a już ja to jemu za okazyę nagrodzę.

— Chowajże Panie Boże — odezwał się na to Barnaba — abym też się pozwolił za gościwą nagradzać, a jeszcze też takich zacnych i tak dawno znajomych panisków. Boć to przecie i z tymi ichmościami znamy się trochę...

— A cóż? czy poznajecie mnie w rzeczy? — zapytał go Biesiekierski — bo to dawne już lata, kiedyśmy tu bywali.

— Panie mój drogi! — odpowiedział Barnaba — dobre rzeczy nie zapominają się nigdy. Zaraz też panom, czem mogę posłużyć.

I z tem pobiegł do chaty — a Biesiekierski tymczasem rzekł do starosty z westchnieniem:

— Dyable nas tu znają wszędzie, jak widzę!

— Nie róbże sobie waszeć nic z tego — odpowiedział mu na to starosta — bo jak was Kocham, tak wam ani włos z głowy nie spadnie. Kiedyście się aż od Gostynina tutaj szczęśliwie przedarli, to już niema się czego obawiać. Tutaj cała ta nasza kraina jest jeszcze dosyć swobodna. Jeden tylko imé pan Wścieklica, niedawno kapitan regimentu buławy, a teraz już major jak słyżę, pobit tu trochę konfederatów około Warty i kręci się tędy owędy, — ale też tyle wszystkiego.

— A! — rzekł na to stolnik Szadkowski — znajdzie się tu jeszcze co więcej, bo moi ludzie, dopiero parę dni temu, widzieli całą chmurę kawalerji i z armatami, jak się przeprawiła przez Wartę.

— Będzie to podobno zawsze tylko Wścieklica — zauważał starosta — bo to on rzuca się wszędy, jak cyga. Ale choćby też był i kto więcej, to i to jeszcze nie straszno, boć tu stąd jeno krok jeden do ziemi wieluńskiej, a tam stoi na czele konfederacji imé pan Morzkowski, a i do Krakowa nie tak bardzo daleko, a tam tysiącom dowodzi nasz książę Marcin z imé panem Czarnockim.

— Ej, panie starosto! — rzekł na to z westchnieniem Biesiekierski — ufamy my Boskiej opiece i waszmość panów pomocy niemało, aleć trudno tego zataić, że są takie rzeczy, którym i pomódz nie można. Bo to jak dobrze

mówią: *Nec Hercules contra plures!* Nie obawialibyśmy się też tak bardzo, gdyby inne okoliczności. Aleć to nas od samego Gostynina ścigają z osobliwą pilnością, konie nam haniebnie posłały i my też sami przeszło pięć nocy nie śpiemy; głodniemy, osłabieni, a tu jak na to, wytrzymawszy kilka zapasów po drodze, zostaliśmy się już bez ładunków. Już to tam człowiek nie pisałby się na to rzeźmiostło, żeby nie wdział o sobie, że mu jest mocen; wie też co może swemu sercu zaufać; aleć to samem sercem wojować nie można!

— No! bądźno waś dobrej myśli — zawołał na to starosta — już my tu was jakoś przeprawimy koniecznie. Ale siadajcież no ichmość około stołu i my zasiądziemy i posłuchamy was, co nam tam o tej waszej konfederacji powiecie. Bo to Dzierżanowski, jakkolwiek bądź, człek to nie łađa i szablą robi jak mało który: toż się nią dobił nawet i królestwa! anoż mi to dziwno okrutnie, że go tutaj na samym wstępie tak haniebnie rozbito.

W tym momencie powrócił Barnaba ze sługą i zastawiwszy stół kilkoma dżbanuszkami piwa i miodu a do tego wędlinami i chlebem, stanął sobie na stronie. Goście tedy wzięli się do przekąski i napitku, i rozmawiali dalej — a Biesiekierski tak mówił:

— Już to i mnie to dziwno, że pana Dzierżanowskiego a i nas przy nim taka fatalna spotkała konfuzya, aleć i nie dziwię się temu nareszcie, bo to i najlepszych już bito a *belli et juris* zawsze *dubius eventus*. Nie mogą też nie imé panu Dzierżanowskiemu zarzucić, bo sobie we wszystkim poczynał mądrze a nawet i dosyć dzielnie; jeno już to było jego takie nieszczęście.

— Powiedzże mi waś wszystko — przerwał opowiadającemu starosta — i jeżeli łaska, z początku, bo prawdę mówią, to my tu i o tem nie pewnego nie wiemy, jakim to sposobem on się dostał po raz wtóry do Francji? A już, co tam mówią o jego wojnach za morzem i o tej tam koronie Indyjskiej, to prawie całkiem wygląda na bajkę. Jakże więc? był on też w rzeczy wice-regiem hiszpańskim w Indyjach?

— Wice-regem nie był — odpowiedział Biesiekierski — jeno królem prawdziwym, i nie w Indyach, jeno całe gdzieindziej.

— I był królem istotnie?

— Takim samym oko w oko, jak nam dziś panujący imię Poniatowski.

— Powiedźże mi waśe proszę coś o tem pewnego — rzekł na to niecierpliwie starosta — bo to przecie rzeczy ciekawe. A waśe je znasz pewno lepiej niż inni, boś to od dawna wierny jego towarzysz. Czy bywałeś z nim także po tych tam krajach?

— Nie, panie starosto — odpowiedział Dzierżanowskiego towarzysz — tam z nim nie byłem, ale tu jestem mu nieodstępny i wiem o wszystkim prawie tak jak naocznie. Ale wieleby to powiadać, a tu i nie pora po temu, i co innego teraz na myśli. Powiem więc tylko króciutko. Bo to i jegomości będzie pewno wiadomo, że imię Dzierżanowski starał się tu niegdy o kasztelana sieradzkiego dziewczeczkę...

— Tak, — rzekł starosta — coś ja to o tem slyszalem...

— Otóż więc tedy, za imię Bierzyńskiego powodem, w którym nie wiedzieć czemu, osobliwego miał wroga dla siebie...

— A! to o tem już nie wiem.

— Ale tak było. Otóż natenczas sprawa ta mu się nie udała, co go też sfrasowało haniebnie. A zrobił on był mało co pierwiej luczny zjazd na swoją macochę, za co go potwarzano piekielnie, choć, prawdę mówiąc, niestusznie. Może więc do tego wszystkiego jeszcze, i jakie inne się przyłączyły zgryzoty, o których nie wiem: ale dość że go wtedy jakoś tak przygniotło było sumienie i tak mu przytem skruszało serce, iż chociaż go już prawie na rękach noszono w Warszawie, ba i sam król nawet jął obsypywać łaskami, on przecież postanowił był sobie, pójść piechotą do Rzymu i poszukać dla siebie ulgi a zarazem też i pociechy.

— Patrzajże waśe, panie bracie! — zawołał na to sta-

rosta, obracając się do stolnika — taki to przecież poczciwy człowiek ten Dzierżanowski.

— A czy to ja tego nie mówię zawsze? — powiedział stolnik — czy nie mówiłem i wtenczas, kiedy się jeszcze starał o kasztelankę? jeno że mnie rozumieć nie chciano. Ale powiadaj waśe dalej.

— Otóż jak sobie postanowił — powiadał dalej Dzierżanowskiego towarzysz — tak też i zrobił, i ubrawszy się po pielgrzymску, poszedł do Rzymu. Ale już to widać nie była jemu potrzebna taka pokuta. Bo ledwie doszedł do Francyi...

— A cóż on robił we Francyi, kiedy zmierzał do Rzymu? — zapytał na to starosta.

— Tamtędy szedł — odpowiedział Biesiekierski.

— Ależ to od nas do Rzymu przecież nie przez Francję prowadzi droga!

— Panie starosto! — rzekł na to Biesiekierski z uśmiechem, litując się w dobrej wierze nad niewiadomością starosty — już to tam Dzierżanowski wiedział pono najlepiej, kędy jest droga. Otóż idzie sobie przez Francję i nie wie o niczem: kiedy go nagle drabi królewscy chwytają i do więzienia wrzucają. Siedziałże sobie nieborak *in fundo* dobrych kilka tygodni i byłby siedział Bóg wie jak długo; ale przecież jakoś za łaską Bożą dowiedzieli się o tem Polacy przebywający natenczas w Paryżu i wdawszy się o to do króla, uwolnili go z więzy. A że to wiele i cudnych rzeczy naopowiadali o nim francuzkiemu królowi, tedy król go chciał poznać: a poznawszy i zrozumiawszy, że jest, mąż tak dzielny i żołnierz przedni, dał mu okręt i pieniędzy i ludzi, i wyprawił go na zdobycze do Indyów Wschodnich. Ale już to snać było tak zapisano, żeby tam nie dojechał. Bo też i ledwie co na morze wielkie wypłynął, kiedy zerwała się burza sroga, jakie więc gęsto bywała na morzu, i nawę jego potłukła, w którym to niebezpiecznym terminie ledwie on sam z ośmnastą swych ludzi wyratował się pływaniem, dobiwszy się do brzegu, którego nawet świadomi tamtych mórż jego majtkowie nie znali. Rozpatrzywszy się dopiero dokładnie, poznał imię

297

Dzierżanowski, że to jest wyspa wielka, zamieszkała przez dzikie ludzkie i inne rozmaite murzyny, a zowie się Madagaskar. Anoż było to nieźle, bo imię Dzierżanowski znał już dawniej takie dzikie narody, rozumiał ich mowę i wiedział do nich sposoby. Więc też zebrał ich zaraz, jako mógł najprędzej uzbroił, musztry wyuczył, drugie zaś zaprzął do pracy, kazał stawiać wsie, miasta — a tak między nimi zasiadłszy, dał się obrać ich królem. A już był z niego król sprawiedliwy, bo się też manifestował innym panom po swych ziemiach murzyńskich i pisał się regularnie: Michał, z Bożej łaski a z woli narodu, król Madagaskaru.

— No! — rzekł na to starosta — już też na naszej szlacheckiej głowie była i korona murzyńska! Ale powiadaj wasze dalej, bo to podobno nie długo było tego panowania?

— A! — odpowiedział Biesiekierski — przecież też sobie panował przeszło rok cały. Już mu się też zaczęło i nieźle powodzić, bo i wsie już stawały i miasteczka się murowały a i kościoły, bo jako mi to powiadał, chrzeił murzyny porządkiem, czy chciał który czy nie chciał. Anoż tak było. Ale to trzeba wiedzieć, że w tym tam kraju, gdzieś koło brzegu, Francuzi już dawniej byli wyładowali i zbudowali sobie zameczek. Z tytułu więc tej osady wymalowali oni sobie jakoby prawo własności do tego całego kraju na rzecz swego króla. Kiedy więc czytali to z manifestu, że już tu ktoś sięgnął po tę koronę, ba i posiadał ją nawet, upominali się o to. Aleć trafił tu, jako mówią, dyabeł na pogana: ci przy swoim, a ten jeszcze lepiej przy swoim, — nuż w kłótnię, a nareszcie i w czuby! Biłże się Dzierżanowski swoim wojskiem jak mógł tylko najlepiej: ale, jak mówi, nie będzie to żołnierz z murzyna. Przemożono go tedy — a potem już musiał uciekać.

— Anoż i po królestwie! — rzekł na to starosta — ale mów wasze dalej.

— Anoż od tego czasu — powiadał dalej Dzierżanowskiego towarzysz — już mu się rozmaicie darzyło.

297

Miał więc z początku okręciak, którego zabrał ze sobą, i tym okrętem trochę po morzu wojował. Bo trzeba wiedzieć, że na morzach jest takie prawo, że kto kogo napotka a pościguje się w sile, wolno mu się spróbować — a kiedy wygra, tedy już zabiera to wszystko, co znajdzie w czolnie swojego adwersarza.

— Panie bracie — rzekł na to starosta — widzi mi się że nie jest to prawo, jeno bezprawie: a którzy się go dopuszczają, zwą się *breuiter* rozbójnikami, tak na morzu, jak i na lądzie. Jeśli mnie zaś pamięć nie myli, tych na morzu zwą korsarzami.

— Już to tam nie wiem — mówił dalej Biesiekierski — jak ich tam zowią, ano to wiem z pewnością, że taki jest morski obyczaj. Biją się między sobą, a który większy, ten pan. I już go tam nikt o to nie pozywa do sądu. Więc też imię Dzierżanowski, bijąc się mężnie a do tego szczęśliwie, już miał cały okręt wyładowany złotem a rozmaitemi bogactwami i już myślał o tem, jakby się miał przebrać z tem wszystkim na Bałtyk a wysadzić się w Gdańsku: kiedy wtem znowu jakaś zła gwiazda błysnęła nad nim. Wpadł więc niebawem pomiędzy angielskich, którzy więc także pływali po tych tam morzach: a jako to naród jest chytry a za złotem przepada, więc skusiwszy go z sobą na swoją wyspę, którą zwą Świętej Heleny, tam go do naga obdarli.

— Masz tedy! — zawołał na to starosta — niedawno król, z króla rycerz błędny na morzu, a nareszcie i święty turecki!

— No! — mówił dalej Dzierżanowskiego towarzysz — ale też tego im nie przepuścił, tylko zaraz pojechał do Anglii i tam ich pozwał do sądu. Nie czekawszy jednak wyroku, do czego też i nie miał funduszu, położył się z nimi zgodnie i przecie coś tam odebrał. A już potem zaraz się najął Olendrom i popłynął z nimi do Indyów. Ale nie mogąc jakoś trafić z niemcami do ład, porzucił ich na pół drogi i dał się na brzeg wysadzić w Hiszpanii. Tam więc się udał do króla, modląc go o jaki okręciak, a obiecując za to wielkie na morzach zdobycze. I już

to było blisko do tego, bo go tam znano zdolnym do takich rzeczy: Kiedy mu się znów to zdarzyło, że przyszedł do burdy z ministrem Brylem. A stało się to takim sposobem. Brat naszego dawnego ministra Bryla jest saskim ministrem u hiszpańskiego dworu, a jest to człowiek dość sobie lekki, a nienawistny Polakom. Otóż ten Bryl na jednej kompanii w Madrycie, które jest miasto stołeczne w Hiszpanii, zaczął się srodze zdziwiać nad Polakami, ubliżając nam w sposób podły: słysząc to Dzierżanowski, który był temu przytomny, jako więc obowiązkiem jest każdego szlachcica, bronił swego narodu; lecz kiedy zawziętemu Brylowi żadne argumenty nie pomagały, przystąpił do niego i dał mu w gębę. Zrobił się z tego wielki huk i rwetes po całym Madrycie, miano się bić ze sobą i tak i owak, ale jakoś to zagodzono nakoniec, a Dzierżanowski skończył na tem, że dostał od hiszpańskiego króla patent na pułkownika i rozkaz formowania takiego regimentu w Polsce, żeby się z nim mógł śmiało pokazać w Indyach.

— Dzielnym to człowiekiem, ten Dzierżanowski — rzekł na to stolnik Szadkowski — bo i odważny jak mała kotka, a i sprytny nad podziw.

— Nikt też mu tego nie przeczy — odpowiedział z niechęcią starosta i dodał żywiej do Biesiekierskiego — ale mów wasze dalej. Więc owo wtedy wrócił już zaraz do Polski?

— Wrócił już zaraz do Polski — powiadał dalej opowiadający — i prezentował się dzisiejszemu naszemu królowi, którego też był szambelanem... I król go przyjął uprzejmie, dał to i owo, obiecał więcej, regiment formować pozwolił, ale mu dał do zrozumienia, że milejby mu to było, gdyby już więcej się z Polski nie ruszał, ano siedział spokojnie w Warszawie. Nachylił się ku tej woli królewskiej imć Dzierżanowski i zasiadł zaraz w Warszawie a to z różnych powodów. Najpierwej tedy...

— Najpierwej pewnie dlatego — przerwał starosta — że nie miał siedzieć gdzie indziej.

— Jakoż i to — odpowiedział Biesiekierski otwarcie —

a powtóre, że po tylu podróżach potrzebował też kąsek wytchnienia; a nakoniec, że król mu polecił, ażeby zrobił dla niego kawałek złota...

— Jakto? — zawołał na to starosta — alboż to Dzierżanowski umie fabrykować i złoto?

— Umie, panie starosto, bo też sam ten sposób wynalazł. Nad czem przez tyle wieków napróżno myślano, jemu się to udało.

— Jakoż więc? — i robi takie złoto, jak trzeba?

— Takie same, jakie jest w złotym czerwonym, niktbody nawet nie poznał.

— Panie bracie! — rzekł na to starosta — anoż mi teraz jeszcze tem dziwniej, że się tak rozbijał po morzach i że tu nawet potrzebuje łaski królewskiej. Bo kiedy potrafi zrobić złota mała, to potrafi i więcej..

— Ba! — rzekł Biesiekierski — kiedy to przy tej fabryce koszt dziwnie wielki. Widziałem u niego taki kawałek złota, który zaważył trzy dukaty, a ingrediencye zaważyły mała nie dziesięć, nie już nie licząc roboty. Anoż to w tem jest chyba.

— Cha, cha, cha! — śmiał się starosta — lichaż to warta taka inwencya!

— Teraz jeszcze niewiele warta, to prawda, ale za czasem można jej dodać i to jeszcze, żeby się opłacała. Wždy to zawsze król był tego ciekawy, bo król jest także trochę alchemik. Otóż tak był ciekawy, że nawet sam nas sekretnie odwiedzał i przypatrywał się owym smażeniom. I już była nawet wielka przyjaźń pomiędzy nimi. Ale Dzierżanowski, kromia alchemii, bywał też na kompaniach, utrzymywał stosunki z panami i dowiadywał się pilnie, jakie też to skutki okazują się wszędzie po kraju z tego nowego panowania. A jako to oko ma bystre i jest wersat w tych rzeczach, bo też i sam bywał na tronie, tak też wprędce obaczył, że źle jest. Jakoż jeszcze to były zapusty, kiedy im był jednej nocy powiedział te słowa: „Dziwnieżto sobie jak widzę ten nowy król z nami poczyna. Anoż to pono i z nim krótko będzie!“ — A od tego czasu, nie wiem ażali dwa miesiące minęło, kiedy mi

dnia jednego powiedział *sub secreto*, że konfederacya jest pewna i niedługo na nią trza będzie czekać. Prędko już potem konfederacya rzeczywiście wybuchła, już też i wróble na dachach głośno o niej śpiewały, Dzierżanowski nam nie mówił i my nie jemu. Kiedy to jednej nocy wpadł był nagle do domu, zbudził mnie i Bekieszę, bo my obydwaj już zawsze przy nim, pobudził sługi, i kazał nam wszystkim w ten moment jechać; kędy kto może, do Błonia, i tam czekać na niego. Wyjechaliśmy zaraz i przybyliśmy tam jeszcze przed świtem, ale naszego pana już tam nie zastaliśmy. Tedy stamtąd do Gostynina...

— Jakto? — przerwał starosta — zaraz do Gostynina? a nie byliście tu przedtem?

— Tu? jako żywo. Ani noga nasza tutaj nie była.

— A to sam Dzierżanowski był tutaj.

— Ani on tutaj nie był, bo nas przecie nie odstępował ani krokiem.

— A! to już jakieś cudy to były, boć go przecież na własne oczy tutaj widziano.

— Czy jegomość sam go widziałeś?

— Ja nie, ale kto inny.

— Tedy ten kto inny pewno nie znał go osobiście, jeno na ślepo uwierzył. Ale kiedy tak, to i nie źle... jak to się niżej pokaże. — Owo więc stamtąd pojechaliśmy do Gostynina i tam zawiązała się ta konfederacya, która się nam jakoś tak nie udała. No! ale co robić! jeszcze to przecie nie koniec.

— Ale poczekajże wasé — rzekł na to starosta — boć to przecie rzecz najciekawsza. Jakże tedy to było? Powiedzno nam wasze dokładniej...

— Nie masz tu tak dalece co opowiadać... bo to rzecz bardzo krótka.

— Już tam krótka, czy długa, jeśli łaska, prosimy. Więc tedy w Błoniu wieluż was było?

— W Błoniu — mówił dalej Biesiekierski — było nas wszystkich przy panu Dzierżanowskim tylko siedmiu; ale wyszedłszy z Błonia, wstępowaliśmy tu i owdzie po drodze, zbierając ludzi i konie, gdzie było można. Tak

zebrało się nas około trzydzieście szabel, z którymi weszliśmy do Gostynina. — Chociaż to garstka nie wielka do wojny, jednak w tym czasie trudno już było iść nam dalej w tej liczbie bez jakiej bitwy po drodze. Lubo więc Dzierżanowski chciał koniecznie dojechać milczkiem aż tutaj i tu dopiero konfederacyę ogłosić, po drodze jednak jakoś się inaczej namyślił i rzekł mi: „Podobno tak nie zajedziem daleko, bo gdziebądź mogą nas potłuc: a kiedy nas potłuką, to nikt i nie westchnie za nami, nie wiedząc, kto my”. — Anoż na drodze dowiadujemy się, że w Gostyninie właśnie dnia tego kadencya sądów, i szlachty pełno. Tedy już wszystko to w lot się zrobiło. Wjeżdżamy do miasteczka, Dzierżanowski pyta: A gdzie są sądy? — Powiadają: W ratuszu. — Wpadamy więc jakby szturmem na ratusz. Panowie sędziowie siedzą za stołem, szlachty huk, izba sądowa jak nabił. Wpada więc Dzierżanowski, porywa krucyfiks do ręki i wykonywa zaraz przysięgę według roty konfederackiej. My wszyscy za nim. Zrazu popłoch i strach, ci pobledli, drudzy chcą się wynosić, my nie puszczamy. Trwa jeszcze popłoch jedno oka mgnienie, bo nie zrozumiano od razu, o co to chodzi. Lecz kiedy Dzierżanowski zaraz po przysiędze po swojemu przemówił, dobrze już wszystko. Krzyk, hałas srogi, ci przysięgają na nowo, tamci się obimają w ramiona, drudzy płaczą — a tymczasem przy stole pisze się zaraz manifest, aby było co zanieść do grodu. Manifest ten, sam Dzierżanowski dyktował, jakoż bardzo to tam pięknie wyraził: że kiedy król Jan Kazimierz zrozumiał, że nie może podolać obowiązkowi korony, tedy dobrowolnie ją złożył. Ale i cały manifest napisany jest cudnie i już tak prawie, że lepiej nie można; co też sami panowie sądowi przyznali, dziwiąc się, że pan Michał, mąż od szabli a wojny, jest i w piórze tak moeny.

A kiedy się to wszystko zrobiło, już Dzierżanowski nie dał tracić czasu ni jednej chwili. Zaraz więc starsi się porozjeżdżali do domów, aby nam ludzi co prędzej przysłać, a który młodszy, tegośmy nie puścili. Tak zrobiło się nas jeszcze dnia tego blisko sto ludzi, bo i mieszczan

trochę do nas przyłgnęło i sług co lepszych nabierała się chmurka. Spisawszy wszystkich i uzbroiwszy jak było można, mieliśmy parę dni w Gostyninie poleżyć, aby się tamtych ze wsiów doczekać: ale tymczasem jeszcze dnia tego samego dano nam wiedzieć, że od strony Warszawy ciągną wojska tym traktem, jakoby na Gostynin zmierzwały. — Przybiegł też jakiś człek nieznamy, który Dzierżanowskiemu powiedział, że za nim samym jest wysłana pogoń z Warszawy: co też bardzo być mogło, bo jako to wiedziałem już w Błoniu, Dzierżanowski przed samym wyjazdem z Warszawy jakoś się był bardzo naraził. Nie było tedy czego oczekiwać w miasteczku: więc jeszcze dnia tego samego wyruszyliśmy tym kierunkiem, żeby to można jako się przebić ku Krakowu, gdzieśmy o większych siłach konfederacyi wiedzieli. A tu nas gonią i taki nas pewnie, bośmy ludzi zostawiali po drodze, aby nam donosili co się dzieć będzie. Przychodzi tedy wiadomość za wiadomością, że wojska chmura trop w trop idzie za nami. Pędzimy co siły, tracimy konie, tracimy ludzi, — aleśmy się przecie jakoś dobili do Neru, przez któryśmy się też przeprawili szczęśliwie. Ale ledwie co ostatnie konie stanęły na lądzie, kiedy widzimy na własne oczy docierającą do tamtego brzegu całą chmurę dragonii. Widząc to Dzierżanowski, oddzielił zaraz co najlepszych strzelców, dał ich pod komendę Bekieszy i kazał choćby życiem broń przeprawy: nas zaś resztę podzielił na siedm oddziałów, w każdym z nich oddał jednemu dowództwo, każdemu dowódcy kazał się zwać Dzierżanowskim i tak pierzechał od razu na wszystkie strony. Takeśmy uszli jeszcze niby to dosyć szczęśliwie, ale co się dalej stało, tego już nie wiem...

— Tak więc to było!... — rzekł na to starosta — anoż to dosyć dowcipnie sobie pan Michał w tym terminie poradził. Powiedźże mi waś jeszcze, a ten tam Bekiesza zginął pewnie przy tej obronie przeprawy?

— O! jużci pewnie, że go dziś niema na świecie!

— A co się stało z Dzierżanowskim, tego waś nie wiesz?

— Tego nie wiem, ale tak ufam, że musiał się wymknąć szczęśliwie, zwłaszcza że zamydlił tem oczy pogoni, iż tylu Dzierżanowskich rozesłał po świecie...

— Siebie może ocalił — rzekł na to starosta — aleć nie tanio to ocalenie okupił. Bo jeśli podoganiano te rozprószone oddziały, to tam każdego takiego Dzierżanowskiego powieszono jak Bóg na niebie...

— Ha! może i tak! — odpowiedział Biesiekierski z westchnieniem — ale co robić! Choćby zginęło i kilku, to zawsze lepiej, niż żeby on zginął.

— Już tam się z waścią nie będę sprzeczał o to — zabrał głos znowu starosta — jeno powiedźże mi waś jeszcze, jakżeś się sam dostał aż tutaj, że cię i nikt nie zaczepił?

— Łaska to Boska, trudno co innego powiedzieć. Miałem się na baczności, to prawda, miałem miejsca takie, gdzieś co złego przeczuwał, ale zawsze to tylko łaska Boska i nie więcej. Żebyż tylko ta łaska była z nami do końca! Jakże więc jegomość nam radzisz? czy mamy iść do góry Wartą a potem się ku Krakowu wybierać...

— A! chowaj Boże! — zawołał na to starosta — waszmość pociągniecie stąd w ziemię wieluńską. Tu macie do konfederatów najbliżej i od wojska najdalej. Jestem nawet pewny, że byle wam stąd w tym kierunku posunąć się tylko ze dwie lub trzy mile, to już będziecie jak w domu: bo wszędzie tam konfederatów jest pełno a wojska nic. Tedy tak radzę, jak tylko się zmierzchnie, zaraz ruszać prosto ku ziemi wieluńskiej. A wiecież drogę?

— Panie starosto kochany! o to troska najmniejsza. Mało tu wieś która taka, żebyśmy jej nie znał...

A na to się odezwał Barnaba:

— Kiedyby ichmość nie znali drogi, toć to nie wielka rzecz. Wsiadłbym na szkapę i przeprowadził działami, gdziebyście chcieli.

— Dziękujemy wam, kochany Barnabo — rzekł na to konfederat — wypytamy się was tylko, kędą idą te działia, a potem już i sami trafimy. Kiedy jeno wojska tu nie masz, toć nas przecie swoi nie zjedzą. A jakżeż tutaj

w Sieradzkiem? — zapytał Biesiekierski, obracając się do starosty — nie maszże tutaj żadnej konfederacji?

— A jakto niema! — odpowiedział starosta — przecieżeśmy i w tem nie pozostali za braćmi.

— Ot! prawdę mówiąc — odezwał się na to imię pan stolnik Szadkowski — niby to mamy swoją konfederację a przecież jej nie mamy. Bo zawiązała się u nas i wzięła naszego województwa nazwisko, ale jak sobie pociągnęła gdzieś z Panem Bogiem, tak i słych o niej zaginał. Takż to podobno i ta konfederacya!

— Panie bracie! — odezwał się żywo starosta — a czy to źle z tem waszeci? krzywda to obywatelom tej ziemi, że ich wojsko żadne nie gniecie, że się na pojedynczym poborze skończyło, że wojny tu niema, że nawet wioski nie palą, że krwią nie podlewają naszych pomieszkań? Anoż tak mi się widzi, że to właśnie jest dobrze. Jakoż lubośmy Bierzyńskiemu tego nie pochwalali z początku, że się tak samowolnie na marszałka wyrzucił, wyczekawszy jednak i obaczywszy, jak sobie na tej funkcji postąpił, powinniśmy być nie tylko z wdzięcznością, ale nawet z uwielbieniem dla niego. Bo co to waśe myślisz, czy to mała jest rzecz, którą zrobił? konfederację zawiązał w oka mgnieniu, jak orzech zgryzł; dziś zawiązał, dziś się manifestował, dziś zebrał ludzi, nazajutrz wyruszył w pole, a dnia trzeciego wytatarował cały szwagron dragonii imię pana Wścieklicy tak dobrze, że podobno tylko samoszość wymknął mu się z ręki sam imię pan dowódca. Tak dopełniwszy obowiązku swojego województwa i zostawiwszy piękną po sobie pamiątkę, zaraz sobie pociągnął w Krakowskie i Sandomirskie, aby nie być ciężarem swoim sąsiadom. Dopełnił więc za nas służby, przysporzył nam sławy i nawet sobie za to nie kazał zapłacić: czy to źle z tem waszeci?

— Źle mi z tem nie jest teraz — mówił na to stolnik Szadkowski — aleć to jeszcze nie koniec. Imię pan Bierzyński nie gniecie nas teraz furażami i poborami, ale za to pogniół nieźle krakowian i gniecie teraz sandomierzanów, jako o tem pewne mam wieści. A gniecie ich tak

potężnie, że całe spichrze zabiera, wszystkich ludzi ze dworów zabiera, a nawet i srebra domowe tu i owdzie zabiera, gdzie ma okazyję po temu. Chwała go, że w tak krótkim czasie wzrósł z niczego do tysiąca ludzi i ma już nawet armaty; chwała go za to i dziwią się temu; ale ja ani chwałę, ani się dziwię, bo takimi środkami wzrósć w potęgę i siłę, całe niewielka to sztuka. Jeśli zaś który sieradzanin się cieszy, że nie jego kosztem wzmaga się jego konfederacya, to już jest tylko sobkowstwo: bo co mi z tego, że mnie nie rabują, kiedy rabują moich braci o miedzę? A potem, któż mi za to zaręczy, że mnie nie będą rabować jutro, kiedy mego brata rabują dzisiaj? — Anoż tak jest. A już co do owego pobicia Wścieklicy, to o tem nie wiem, bom przytem nie był: ale tak myślę, że niebardzo go musiał pobić imię pan marszałek sieradzki, kiedy Wścieklica po tem pobiciu na majora postąpił i zamiast jednym, dowodzi dziś czterema szwadronami dragonii, jedną kompanią piechoty i ma cztery działa przy sobie. Niech więc się z tego cieszy kto może, ale ja nie, bo widzę to własnymi oczyma, że zamiast Bierzyńskiego mam Wścieklicę na karku, a lada dzień mogą mieć i Wścieklicę i Bierzyńskiego i jeszcze kogo do tego.

— Skończyłeś waszmość? — zapytał na to niecierpliwie starosta.

— Skończyłem.

— No, więc ja teraz będę mówił. A powiem waści najpierwej, że co tam plotą o Bierzyńskiego gnieceniu obywatelstwa, fałsz to wierutny. Znam ja nadto dobrze pana Józefa, abym mógł o nim myśleć, żeby zabierał co więcej, niżeli mu do utrzymania jego wojska potrzeba. Jeśli zaś ludzie zabiera i żywi ich dobrze, to robi tylko to, co powinien. — Trudno mu żyć powietrzem, a zresztą od czegoż to siedzą ci panowie obywatele w domu, którzy nie poszli na wojnę? Jakoż tak mówię, że gdyby dziś do mnie przyszedł i zabrał mi wszystkich ludzi nie tylko ze dworu, ale i ze wsi, i żeby mi cały spichrz zabrał, to jeszcze bym mu sam dodał do tego moje srebra domowe, kiedyby ich potrzebował. Bo kto się sam, czy to dla wieku, czy

z niechęci, nie bije, tedy dawać powinien: a kto nie daje nie, ten to jest sobek prawdziwy: a co dopiero powiedzieć o tym, który i nie bije się, i nie nie daje, i jeszcze nad to się skarży? he?

— Panie starosto! — rzekł na to stolnik, płoniąc się cały — przecież nie sądzę, żeby to do mnie było przepito.

— Już ja tam nie wiem, do kogo to jest przepito, ano to wiem, że do tego, który do konfederacyi nie dał ani jednego konia, ani jednego czelaka i nie dał nawet ani jednego grosza, a gwałtu woła na to, że go rabują.

— Nie dał jeszcze — rzekł stolnik, płoniąc się coraz mocniej — ale dać może.

— Licho tam komu z tych datków, które siedzą w gębie.

— Anoż żebyś waszmość wiedział — zawołał na to stolnik, zrywając się z ławy już czerwony cały jak burak i trzęsący się od wzburzenia — żebyś waszmość wiedział, że w gębie nie siedzą, tedy ot są konfederaci, a tu jest zaraz i datek!

To mówiąc, dobył kieskę z kieszeni i rzucił ją Biesiekierskiemu, mówiąc przy tem:

— Proszę to przyjąć na drogę.

Ale nie dosyć było mu na tem. Zaraz bowiem po zdejmował z palców pierścienie, dobył zegarek z żupana, pas odpasł ze siebie i trzęsąc się cały, nawet kontusz zdjął z siebie, i wszystko to razem rzucił na stół, wołając:

— Macie to! bierzcie! A proszę do mnie, to obaczycie, jakie datki są u mnie gotowe dla tych, którzy się biją rzetelnie a cierpią! — A waść mi w oczy nie ćwikaj, żem sobek, bo się to na mnie jeszcze nie pokazało! Kiedy mam za jaką sprawą konwikę, to duszę oddam, jako są tego dowody: a waść się strzeż myśleć inaczej, bo na takich mam szablę przy boku i starosta czy wojewoda, to mi jest jedno! zetnę i tego i owego, a choćby też i dzieściu!

A kiedy stolnik jeszcze wciąż fukał, kręcąc wąsa i bu-

rząc czuprynę, starosta patrzył na niego spokojnie, a potem rzekł:

— Fukania waszmości nie bardzo się boję, bo chociaż mam włosy już białe, jeszcze i moja szabla nie zarzewiała. I tak sądzę, żebyś mnie nie ściał tak bardzo, bo mam prawdę za sobą.

— A jaką prawdę? a co to jest za prawda? zaczął stolnik wołać do starca, ale starosta mu przerwał mówiąc:

— Prawda jest przy mnie, boś dla konfederacyi nie jeszcze nie zrobił, i prawda przy mnie, bo rzucasz kalumnię na Bierzyńskiego, powtarzając plotki paskudne...

A na to stolnik:

— Jeno mi waszmość z tem nie wyjeżdżaj, żem nie nie dał konfederacyi, bo nie stoi to jeszcze nigdzie zapisano, co jegomość jej dałeś, krom słodkich słówek, które mi wszystkich częstujesz!

— Co ja jej dałem — zawołał na to już także niecierpliwie starosta — o to się waść Bierzyńskiego zapytaj, a żebyś wiedział, że zawsze jej dam więcej, niżeli waszmość... Panie Biesiekierski! oto stoją cztery konie w kolasię, proszę je wyprządz i zabrać...

— Panie starosto dobrodzieju! — rzekł na to Biesiekierski — szkodę to sobie robisz jegomość nie małą, bo jako widzę, konie to dzielne...

— Co waść się pytasz o to! — zawołał na to starosta — kiedy dzielne to tem lepiej dla ciebie...

— Kiedy pan starosta daje — rzekł na to stolnik ze złośliwym uśmiechem — to trzeba brać, niema rady...

A na to zaraz takim samym tonem starosta:

— A nie zapomnij waść zabrać tę kiesę i te klejnoty, które dał ci pan stolnik, a i kontusz weź także, bo to się wam przyda...

Na te słowa stolnik popatrzył na starostę i w głos się roześmiał.

A starosta patrzył na niego i także się musiał uśmiechnąć.

— Chciałbym się gniewać na jegomości — rzekł wreszcie stolnik — ale już to śnać trudno.

— No! to dajże mi rękę — rzekł wesoło starosta.

— Ale powiedzże teraz jegomość — odpowiedział śmiejąc się stolnik — czy nie jestem ja zrabowany?

— Cha, cha, cha! a nie samżeś się obrabował? — zawołał na to starosta. — Otóż tak także rabuje Bierzyński, i ksiązę Marcin, i wszystkie konfederaci. Mieję więc język na smyczy, a nie mów drugi raz tego, co nie do rzeczy.

I tak już odtąd w sposób najlepszy rozmawiali ze sobą, ciesząc się tem, że się zdarzyła okoliczność, która ich zniwoliła do dobrego uczynku; kiedy wtem oparty o drzewo i przypatrujący się temu, odezwał się do nich Barnaba:

— Patrząc na panów, jako każdy coś daje, prawie żal bierze człeka, że żyje w ubóstwie... ale mam ja tu także jakąś kieskę w mojej skrzyni...

Ale na to odezwał się jeden z konfederatów:

— Ot! dalibyście pokój staruszku, a czy nie dosyć to z was, że nas tak uczeiwie gościecie?

— Tedy wam przyniosę choć jeszcze jeden dzban miodu.

— A! jeśli łaska — zawołał na to starosta — to o miód i ja proszę, osobliwie też dla pana stolnika, który pozbywszy się kontusza, boję się, aby nie zmarł na drodze...

A na to rzekł jeden z konfederatów:

— Ej! toż to nam nie konieczny ten kontusz. Nie bardzo tegośmy przyodziani, aleśmy do chłodu zwyczajni, a pan stolnik dobrodziej...

— Ale dajno pokój, panie bracie! — przerwał prędko starosta i nie wspominaj nawet już o tem, bo jeszczeby się stolnik i na ciebie pogniwał.

— Ej! panie starosto! — rzekł na to stolnik z uśmiechem, któremu istotnie jakoś dziwnie nie na rękę było w żupanie — poczekajże, jeszcze ja cię także kiedyś uchwycę!

— Toż ja waszmości także, boć to przecie jeszcze nie tutaj koniec konfederacyi — odpowiedział starosta i na-

lawszy sobie kubek miodu, przepił do stolnika za zdrowie konfederackiej starszyny. Stolnik wypił znowu za zdrowie Dzierżanowskiego i podał kubek Biesiekierskiemu, a ten znowu wniósł zdrowie Bydgoskiego starosty.

Tymczasem zaś wyprzężono konie z kolasy i posiadano je kulbakami konfederatów, a zbiedzone szkapy konfederackie zaprzężono natomiast staroście. A kiedy już to wszystko było gotowe, starosta z stolnikiem pożegnali się z bracią, podziękowali za gościnę Barnabie i odjechali, lżejsi o wiele na swojej podróźnej fortunie, ale lżejsi także na sercu.

Po ich odjeździe wsiedli także natychmiast na koń konfederaci i rozpytawszy się o najbliższą i najmniej uczęszczaną drogę ku ziemi wieluńskiej, pożegnali się z starym włodarzem i opuścili także zagrodę.

Barnaba odprowadził ich aż za bramę, patrzył przez chwilę za nimi, a kiedy mu niebawem zniknęli z oczu, westchnął za ich szczęśliwem przybyciem do celu podróży, i wrócił nazad w dziedziniec.

A w dziedzińcu była cisza jak dawniej.

Słońce już było zaszło i zmrok coraz gęstszy zapadał. Na dalekiem niebie za Wartą zgromadziły się ciemno-szafirowe chmury, które rozwlokłszy się długim, porozrywany pasem, odbijały w sobie noc ciemną, już zapadła na wschodzie; nad niemi widać było długą, szeroką smugę przezroczystego nieba, a nad nią porozwieszały się znowu chmury i chmurki, ale te, oświecone ostatnimi promieniami niewidzialnego dla ziemi słońca, błyszczały jeszcze złoto-różowym blaskiem i na chmurzącą się coraz więcej ziemię rzucały z góry jakby cień jakichś uroczych, migocących, niepewnych światel, w których też równie uroczo i niby niepewnie odbijały się bliższe i widomsze przedmioty.

Barnaba siedział jeszcze w tej chwili pod dębem i patrzył na graniczną kaplicę. Patrzył, ale nie widział, bo myślał sobie teraz o swoich gościach, którzy jakby z nieba spadli w jego zacisze, napletli mu mnóstwo rzezy, zajęli jego spokojny umysł niepokojem bieżących wypadków, rozdra-

znili jego ciekawość nadal i odjechali tak nagle, jakby ich nigdy nie było. Barnaba myślał o tem i myślał sobie:

— Dobrzy to jednak ludziska! Nieźli zaprawdę.

I myślał potem o Dzierżanowskim, którego żal mu było serdecznie, że na samym wstępie w tę sprawę doznał takiego zawodu. Żal mu go było, bo go znał ze strony najlepszej, czuł wdzięczność dla niego i najlepiej mu życzył; westchnął tedy za nim do Boga, aby mu jak najprędzej z tej toni dopomógł. — I myślał potem znów o Bierzyńskim, któremu także źle nie życzył, ale przecież... kiedy wszystko przemyślał i wszystko sobie przypomniął, smutno mu się zrobiło i nie chciał dalej już myśleć. Natomiast mówił sobie:

— Nie o mnie tu chodzi, toż i nie ma co mówić. Kiedy się sam tak wzbił w górę i jeszcze wyżej się wzbija, dopóki zanie, czysto, uczciwie, niechaj Bóg da jak najlepiej! Nie wierzę temu, co mówił stolnik — ale... I umilkł.

Wszakże kiedy tak myślał Barnaba, nagle mignęło mu się coś tuż przed samą kaplicą.

Zmrok był już teraz mocniejszy, owe światło od chmur ozłoconych, jeszcze więcej niepewne, toż nietrudno było osłabionym oczom o jaki majak; przetań więc oczy i spojrzaj! bystrzej. Lecz w rzeczy samej tuż przed kaplicą stał mnich jakiś, w długim ciemnym habicie, z długą do pasa brodą i z kapturem zarzuconym na głowę.

Na widok tej postaci dreszcz przeszedł starca po całym ciele. Przypomnił sobie bowiem w tej chwili, że koło tej kaplicy zjawiał się kiedyś dziad Bierzyńskiego w postaci mniacha. Przeniósł on się potem na zamek kasztelana i zaczął się tam pokazywać na „żelaznym krążanku“ — ale żyli jeszcze do dziś dnia ludzie, którzy go widywali koło tej kaplicy i to właśnie o takiej samej porze, bo po zachodzie słońca. Przeląkł się więc zrazu Barnaba i patrzył na tego mniacha wystraszonemi oczyma.

Mnich zaś tymczasem patrzył przez chwilę na zamek, i zdawał się niby coś myśleć, potem spojrzął na zagrodę

Barnaby i znów myślał — lecz nareszcie cofnął się w głąb kaplicy i tam zniknął.

Barnaba drżał jeszcze przez długą chwilę. Zaledwie mógł dać wiarę temu widzeniu, ależ widział na własne oczy; chciałby był niedowierzać sobie samemu, lecz nie mógł, bo przecież był przytomnym i trzeźwym. Myślał tedy nad tem, chociaż właściwie sam nie wiedział co myśleć...

Jednakże wkrótce ochłonął całkiem z tego przestachu i nietylko ochłonął, ale nabrał nawet tyle odwagi, że postanowił bądź co bądź, przekonać się nareszcie, czy też ten mnich tam jest rzeczywiście, czy było to tylko złudzenie? — Począwszy więc odmawiać krótką za dusze zmarłe modlitwę, wstał z ławy, poszedł do chaty, zapalił latarnię i ze światłem zbliżył się do kaplicy.

W tej kaplicy, jak to już wiemy, stała we środku figura św. Wincentego à Paulo; była to figura dość duża, na postumencie obszernym, lecz tak postawiona, że można ją było obejść do koła, a więc i ukryć się za nią. — Ale kiedy Barnaba stanął na progu kaplicy i oświetlił sobie jej wnętrze, nie widział nic, prócz figury. Wiedząc wszakże, że za figurą jest miejsce próżne, postąpił dalej, nie bez trwogi zapewne, ale też i z dostatkami odwagi. Jednak ledwie zrobił dwa kroki i zaglądnął za tę figurę, stanął jak wryty...

Za tą figurą bowiem, przytulony do niej prawem ramieniem, stał mnich w samej rzeczy.

Mnich ten sam, którego widział dopiero, w długim ciemnym habicie i z kapturem zarzuconym na głowę — tylko teraz, patrząc na niego, mógł dokładnie jeszcze obaczyć i brodę czarną długą do pasa i oczy czarne jak węgle, mierzące go takim przeszywającym wzrokiem, jakby go chciały zabić na miejscu.

Barnaba zadrżał i stał nieruchomie.

— Czego chcesz, chłopie! — zawołał mnich głosem tak silnym, że jego echo po trzy kroć odbiły ściany.

Barnaba wstrząsł się i cofnął się mimowoli pod ścianę, wymawiając drżącemi ustami:

— Nic, panie... nie złego.

— Ktoś ty jest, chłopie? — spytał mnich trochę ła-
godniej, przypatrując mu się z uwagą.

Barnaba odpowiadał:

— Jestem kmięć z tej oto zagrody, która stoi na-
przeciwno kaplicy... człek spokojny i cichy...

Ale to mówiąc, przypatrywał się także mnichowi, a jego
twarz, lubo jakoś dziwnie teraz zmieniona, zdawała mu się
jednak doskonale znajomą.

— No, to kiedyś spokojny i cichy — mówił mnich
na to — idźże sobie w spokoju i mnie zostaw w spokoju.

Ale Barnaba nie mógł poprzestać na tem. Jakaś nie-
świadoma siła, bo trudno przypuścić żeby to była tylko
sama ciekawość — trzymała go jakby przykutego na
miejscu i kazała mu się przypatrywać coraz ciekawiej
temu mnichowi, który mu się zdawał coraz znajomym.

W tej chwili i mnich zdawał się także poznawać w nim
znajomego — ale mnich milczał.

Tymczasem Barnaba, już prawie pewny swego domy-
słu, zdobył się na pytanie.

— Panie mój! — mówił on głosem niepewnym —
jeśli mi się to nie śni, co widzę, to jegomość jesteś mój
największy dobrodziej, którego nigdy nie zapomnę do
śmierci. Lat temu cztery jegomość mi wyratował chatę od
ognia...

A mnich na to:

— Więc to taki ty jesteś...

Ale Barnaba mu przerwał, wołając z niepowściągliwą
radością:

— A jużci ja! och jegomość kochany!...

Ale mnich w ten moment przystąpił do niego i zaga-
sił latarnię, mówiąc zarazem:

— Cicho!...

Zostali tedy obadwa w ciemnicy, a Barnaba mówił już
dalej półgłosem:

— Nie bójże się jegomość, bo ci ani włos z głowy
nie spadnie. Już ja teraz wiem wszystko i wiem o co

chodzi. Niemasz jeszcze i trzech pacierzy, jak odjechał
z mojej zagrody pan Biesiekierski z sześciu jezdnych...

— Biesiekierski był tutaj? — zapytał mnich.

— Był i odjechał szczęśliwie, a opowiedział mnie
wszystko, jako jegomość zawiązałeś konfederację w Go-
styninie i jako jegomości rozbito na przeprawie przez Ner.
Mądrześ to sobie jegomość począł tam u przeprawy i mą-
drze teraz, żeś się przebrał za mnicha; ale ja jegomości
jeszcze mądrzej poradzę. Nie panu Dzierżanowskiemu to
być w kłopotcie, kiedy mu potrzeba pomocy.

— Proszę cię — rzekł mnich na to — nie wyma-
wiał mojego nazwiska, bo wiedz o tem, że jestem oto-
czony nieprzyjaciółmi dokoła. Lada chwila i tu mnie mogą
dośćgnąć, bo już nawet i o tem wiedzą, że się przebrał
za mnicha.

— Anoż to jeszcze bardziej trza jegomości pospieszać
do mnie, a już tam wymyślimy, jakby tam poradzić.

Dzierżanowski zastanowił się chwilę, a potem spytał:

— A nie zdrajca jaki ty jesteś?

— Ja? — zawołał Barnaba — jaby miał zdradzać?
a kogo? a dlaczego? czyż to ja należę do której strony
w tej sprawie?...

— Słuchajże mnie — rzekł na to Dzierżanowski po-
rywezo — bo tu niema czasu na rozmowę. Ufam to-
bie, ale tak mówię: jeżelibyś mnie zdradził, choćbyś wi-
dział na własne oczy, jak mnie wieszają, sroga zemstaby
cię spotkała, bo wiedz o tem, że moich ludzi jest jak
gwiazd na niebie do koła, a oni nie przebaczyliby zdrajcy,
żeby i sami mieli za to poginać.

— Ale bądźno jegomość spokojny, nie Barnaba to
zdradza, a jeszcze do tego swych dobrodziejów.

To mówiąc, wyszli obadwa z kaplicy i przeszedłszy
przez drogę już się zbliżali ku bramie zagrody — kiedy
wtem od strony Gozdawki dał się słyszeć głuchy tentent
na ubitym gościńcu, jak gdyby jazda maszerowała kłusem!
Na ten odgłos Barnaba chwycił Dzierżanowskiego za rękę
i rzekł mu pędko:

— Słyszysz jegomość?

— Słyszę. To kawalerya.

— Lećże jegomość jaknajprędzej za chatę i wskocz tam między fasolę, a z niej słuchaj dobrze, eo się dzieć będzie. Jeżeli usłyszysz mnogie głosy w dziedzińcu, wtedy biegnij w koniec ogrodu, tam jest furtka, tu kluczyk od niej, tedy przez furtkę w las i do potoku, a tam czekaj, póki ja nie przybiegnę.

Dzierżanowski porwał prędko kluczyk z ręki Barnaby i zniknął w dziedzińcu — Barnaba został przy bramie i oparłszy się o słup plecyma, patrzył obojętnie przed siebie, jakby nie nigdy nie było — a tymczasem w niedługiej chwili nadsięgnął istotnie oddział dragonii i zatrzymał się między kaplicą a zagrodą Barnaby. Kilkunastu dragonów posiadało natychmiast z koni i otoczywszy kaplicę, przedsięwzięli, tak w niej, jak koło niej, bardzo pilną rewizję. Ich dowódca, siedzący na ogromnym fryzie i lśniący szlifowanym kirysem do światła dopiero co wschodzącego w pełni księżyca, stał na środku gościńca, dopóki nie zrewidowano kaplicy: a kiedy się rewizya w oka mgnieniu skończyła i nic nie znaleziono, zwrócił konia ku zagrodzie i z kilku dragonów za sobą, zmierzał prosto w dziedzińiec. Obaczywszy jednak Barnabę w bramie, zatrzymał się i rzekł:

— Pochwalony!

— Na wieki wieków! — odpowiedział Barnaba i przypatrzywszy się zblizka dowódcy, poznał w nim odrazu znajomego sobie oddawna Wścieklicę.

— Tyś to jest dawny włodarz z Gozdawki? — pytał dalej Wścieklicca.

— Ja, panie. A czy to jegomość mnie nie poznaje?

— Słuchajno panie włodarzu, czy nie widziałeś tu dziś przed wieczorem jakiego mnicha około tej kaplicy?

— Dziś nie widziałem, aleć go często widuję.

— Jakto często? kogóż to tutaj widujesz?

— A jużci owego mnicha, który się tutaj pojawia.

— Jakto pojawia? alboż to jaki mnich się tutaj pojawia?

— O! alboż to jegomość nie wieczą? przecież to

dziad pana Bierzyńskiego z Gozdawki, który umarł ze zgryzoty w klasztorze i który tę kaplicę wystawił, pokuć tuje tu za swe grzechy i przez pierwsze trzy dni po pełni, regularnie się tutaj o samym zachodzie słońca pojawia. Czy to jegomość o tem nie wiedział?

Na tę wiadomość twarz jmé pana Wścieklicy jakąś osobliwszą przybrała minę — patrzył na Barnabę tak, jakby się w tej chwili wytrzeźwił i sam nie wiedział, gdzieby miał oczy podziąć — ale nareszcie rzekł:

— Jakieś bajki pleciesz mi, chłopie.

— Może i bajki — odpowiedział Barnaba — ale te bajki cała wieś ma od wieku za prawdę, bo je na własne oczy widuje. Dziwno mi też, żebyś jegomość, który tak znasz Gozdawkę jako wieś swoją własną, o tem nie wiedział. Chyba żeś jegomość zapomniał?

Wścieklicca stał jeszcze przed nim przez chwilę, niby coś myślał, a potem rzekł:

— Anoż to głupi jakiś był chłop, który mi o tym mnichu powiedział.

Poczem konia zwrócił, zabrał swoją dragonię i pociągnął gościńcem dalej.

Barnaba odprowadził ich okiem i uchem tak daleko, jak długo jeszcze tentent dochodził do niego, a kiedy już nieprzerwana cisza zaległa ziemię do koła, poszedł do ogrodu, ażeby Dzierżanowskiego odszukać. Odszukał go też z łatwością i zaprowadził do chaty, gdzie zastawiwszy przed nim napoje i jadła, zaczął się z nim naradzać, kiedy, dokąd i w jaki sposób miałby go z tego nie bardzo bezpiecznego schronienia wyprawić? — w dokonaniu tego zamiaru Dzierżanowski, lubo nie rozpaczający nigdy o siebie, widział jednak nie mało trudności: bo nietylko, że teraz był już wszędzie w tych stronach nadzwyczaj pilnie śledzony, ale oprócz mniszego habitu nie miał żadnego innego ubrania, a do tego jeszcze, jak się otwarcie wypowiadał Barnabie, nie posiadał w tej chwili ani złamanego szeląga przy duszy. Położenie, zaprawdę aż nadto pełne niedogodności. Ale poczeiwy zawsze, a dla Dzierżano-

wskiego nad wszelki wyraz ujęty Barnaba, widział te rzeczy wcale inaczej i odpowiedział na to:

— Jeno mi się jegomość tem zgola nie frasuj, bo wszystko to się zrobi najłatwiej. A ja tak mówię. Jegomość się prześpisz u mnie i spocznieś po trudach, a na czas przed wschodem słońca ja jegomości obudzę. Wtedy jegomość zrzucisz ten habit ze siebie, a ubierzesz się w płóciennicę i zgola całkiem po chłopsku. Ja do wozu moje szkapy zaprzęzę, siądę sam z jegomością i tak pojedziemy sobie polowemi drogami w świat, a będziemy jechać aż póty, póki nie znajdziemy konfederacyi takiej, przy którejbyś jegomość był już całkiem bezpieczny. Owo tak się zrobi i dobrze będzie, bo już ja sam powiozę i powiozę takimi drogami, że już tam pewno nie spotkamy chyba drugiego chłopca, albo żydka na jednokonnej teledze. A kiedy jegomość nie masz pieniędzy, to i na to się jakoś poradzi, i nawet nie ja poradzę, jeno jegomość sam sobie poradzisz, jak to się zaraz pokaże.

To mówiąc, poszedł zaraz do skrzyni i dobywszy z niej sakiewkę z pieniędzmi, położył ją przed Dzierżanowskim na stole. A była to sakiewka tkana z czerwonego jedwabiu, w której przez rzadką tkaninę było widać na jednej stronie parę talarów i tyńfów, a na drugiej kilkanaście dukatów.

— Przebóg żywy! — zawołał Dzierżanowski, biorąc tę sakiewkę do ręki — toż to jest ta sama sakiewka, którą ci niegdyś rzuciłem na odbudowanie twej chaty!

— A jużci pewnie, że nie inna — odpowiedział zadowolony Barnaba — schowałem ją, bo mi nie była potrzebna, anoż się teraz przydała.

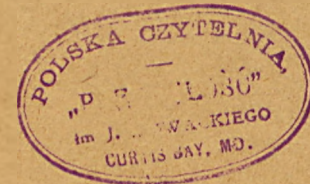
Dzierżanowski był zadziwiony poczciwością Barnaby. Już się nawet zaczął nad nim unosić w pochwałach — ale troskliwy o niego starzec nie dał mu już wiele rozprawiać, tylko zaraz ułożył go do snu na swoim łożu, a sam poszedł się położyć do sieni, aby zawczasu mógł być na nogach na wypadek jakiego nowego najazdu.

Nazajutrz zaś rano, nim jeszcze słońce zeszło, obadwa przyjaciele w jednakowe płóciennice ubrani, wsiedli na

prosty wózek i ruszyli pobocznemi drogami prosto ku ziemi wieluńskiej, gdzie natenczas, drobne wprawdzie, lecz gęste wiązały się ciągle konfederacye i skąd zresztą w złym razie nie daleko było do owoczesnej granicy.

Tym sposobem Dzierżanowski uratował się z niebezpieczeństwa, rzeczywiście już wtedy grożącego mu śmiercią. Naówczas bowiem, zdradziwszy króla, którego zaufanie był zyskał, i naraziwszy się jeszcze daleko dotkliwiej osobym mającym władzę w Warszawie, był on uznany karygodnym do tego stopnia: iż ogłoszono pięć tysięcy czerwonych złotych temu, ktoby go żywym albo nieżywym do Warszawy dostawił. Życie tedy jego natenczas już, jak to mówią, wisiało na włosku. Jednakże, już to nadzwyczajną zręcznością swoją, już nieopuszczającem go prawie nigdy fatalnem szczęściem, już może wreszcie i tem, że chcąc nie chcąc miał nie mało przyjaciół w kraju, wyratował się jeszcze z tej toni. Że zaś jego zbawcą stał się właśnie Barnaba, było to może jednym z tych rządzeń, wszystko zdaleka przewidującej Opatrzności, która najdrobniejszych cnót przyszłych nie zostawia bez odpowiedniej nagrody i częstokroć w samym zarodzie nieszlachetnych uczynków ukrywa niedojrzane przez nas, lecz nigdy nie chybające, zarody kary.

KONIEC TOMU DZIEWIĄTEGO.







No 24 4*



